366358

1876 1900

BIESIADA LITERACKA

REDAKTOR I WYDAWCA

Władysław Maleszewski

UJK Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

ANULOWANO

527445

Дозволено Цензурою.

Варшава, 8 Августа 1900 года.

OJCIEC ŚWIĘTY LEON XIII-ty.

Rok 1887.

J. E. KS. WINCENTY CHOŚCIAK-POPIEL,
Arcybiskup Warszawski.

J. E. KS. HENRYK KOSSOWSKI,
Biskup-sufragan Kujawsko-Kaliski.

J. E. KS. TOMASZ KULIŃSKI,
Biskup Kielecki.

J. E. KS. ANTONI BARANOWSKI,
Biskup Sejneński.

J. E. KS. KAZIMIERZ RUSZKIEWICZ,
Biskup-sufragan Warszawski.

J. E. KS. FLORYAN STABLEWSKI,
Arcybiskup Gnieźnieńsko-Poznański.

J. E KS. ANTONI SOTKIEWICZ,
Biskup Sandomierski.

J. E. KS. BISKUP ALBIN SYMON.

Ś. P. J. E. KS. MICHAŁ NOWODWORSKI,
Biskup Płocki.

J. E. KS. D-r JÓZEF PELCZAR,
Biskup Przemyski.

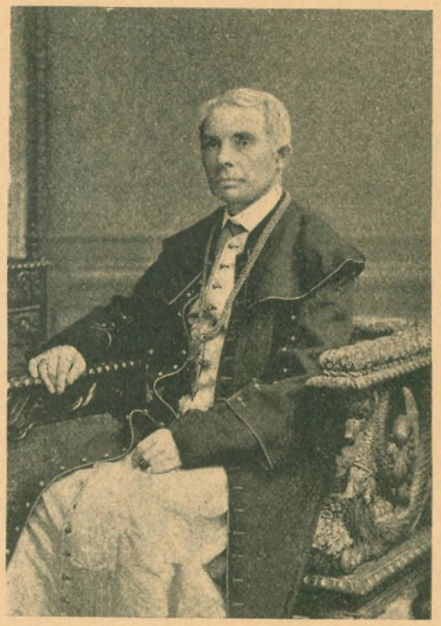

J. E. KS. FRANCISZEK JACZE.. SKI,
Biskup Lubelski.

J. E. KS. ALEKSANDER BEREŚNIEWICZ,
Biskup Włocławsko-Kaliski.

PAMIĄTKA JUBILEUSZOWA.

J. E. Biskup-Jubilat Sotkiewicz, Kapituła dyecezyi sandomierskiej, goście Dostojnicy Kościoła.

Ks. Majewski, ks. prałat Stopieżyński, ks. kanonik Sokalski, ks. kapelan Tymieniecki, ks. kanonik Zdzitowiecki, ks. prałaci: Ryx, Bulakowski, ks. kanonik Tayrol, ks. prałat Strymowicz, ks. kanonicy: Bajerkiewicz, Latalski, Świątkowski,

Ks. kanonik Mech, ks. prałaci: Bagiński, Weberski, Brudzyński, J. E. KS. SOTKIEWICZ, Biskup Sandomierski. J. E. KS. POPIEL, Arcybiskup Warszawski. J. E. KS. KULIŃSKI, Biskup Kielecki. J. E. KS. JACZEWSKI, Biskup Lubelski. Ks. kanonicy: Czapliński, Czerwiński, Kukliński.

Ś. P. O. PROKOP, KAPUCYN.

W młodości.

W starości.

Dzieje „Biesiady Literackiej.”

Dzieje czasopisma, złączone ściśle z życiem umysłowem i duchowem społeczeństwa, stanowią ważny przyczynek do historyi minionych czasów, a zatem nie gwoli zadowolenia miłości własnej założyciela i redaktora pragniemy dać czytelnikom możliwie zwięzłą historyę „Biesiady“, lecz dlatego, aby w niej, jak w zwierciadle, odbiły się fakta kronikarskie i literackie, może już zapomniane, a przecież zasługujące na głębszą uwagę, aby przypomnieć nazwiska współpracowników, którzy „Biesiadzie“ wyrobili wziętość i uznanie, aby silniej jeszcze zespolić jej przeszłość z teraźniejszością. Streszczenie dziejów „Biesiady“ dokonane będzie podmiotowo, jakby to uczynił bezstronny czytelnik, przerzucający kartkę po kartce pisma, od pierwszej do obecnej chwili.

W grudniu 1900 r. „Biesiada Literacka“ kończy 25 lat swej pracy literackiej i artystycznej.

Pierwszy numer wyszedł z druku w dniu 7 stycznia 1876 r.; zajęcia przedwstępne, zgromadzenie sił współpracowniczych, obmyślenie układu pisma rozpoczęło się, naturalnie, o wiele wcześniej.

„Biesiada“ powstała w epoce największych tryumfów ówczesnego pozytywizmu krańcowego, jako jeden z objawów protestu przeciwko niemu.

Szerokie koła społeczeństwa naszego w owe czasy czuły potrzebę pisma możliwie popularnego i taniego, któreby służyło rodzinom polskim, stało na straży ognisk naszych, czerpało prawdę w zdroju szczerej wiary, umiejącego godzić postęp społeczny i naukowy z tradycyą. Z dwóch istniejących podówczas illustrowanych pism warszawskich, „Tygodnik Illustrowany“ kroczył wyrobioną już drogą pod redakcyą Ludwika Jenikego, spełniając godnie obowiązki pierwszej illustracyi polskiej, a dużemu jego formatowi odpowiadała cena prenumeracyjna, wyższa niż innych pism. „Wędrowiec“ był wówczas pismem prawie wyłącznie podróżniczo-naukowem.

Nie zajęty posterunek nęcił ku sobie przyszłego redaktora „Biesiady“, Władysława Maleszewskiego, który, obmyśliwszy tytuł pisma i we wszystkich szczegółach plan przyszłej pracy, powierzył jego losy wydawnicze znanemu wydawcy, Gracyanowi Ungrowi, zawarłszy z nim umowę, jako z przyszłym współwłaścicielem pisma.

Wydawca „Tygodnika Illustrowanego“ i „Wędrowca“ uzyskał koncesyę na swoje imię. Podpisywał pismo od pierwszego numeru także jako redaktor odpowiedzialny, ale redakcya literacka i artystyczna była bezwzględnie pod sterem Władysława Maleszewskiego.

Pierwsze numera „Biesiady“ przedstawiają się pod względem literackim zajmująco, pod względem illustracyjnym niebardzo zasobnie. Pismo zaczęło wychodzić w formacie dwóch małych arkuszy, a kosztowało tylko rubla kwartalnie.

Wydawnictwo rozpoczęła Deotyma, dotychczas wierna nasza współpracowniczka i przyjaciółka, prześlicznym wyjątkiem z „Biesiady u Ziemomysła“, z illustracyami nestora malarzy polskich, Wojciecha Gersona.

Tytan pracy, niedość oceniony dotychczas J. I. Kraszewski, dał na pierwszy ogień powieść „Cześnikówny“, jako dzieło literackie doskonałe, lecz pod względem etycznym obfitujące w zbyt drażliwe szczegóły. Illustrował ją Józef Chełmoński i Ksawery Pilatti.

Od pierwszych kroków działalności redakcyjnej okazało się, że kierownik pisma musi niekiedy ulegać sile wyższej, którą jest także współpracownictwo pierwszorzędnych literatów.

Każde nowopowstające pismo uważało sobie za zaszczyt posiadać w gronie swych pracowników J. I. Kraszewskiego; o ten zaszczyt i myśmy się ubiegali, a gdy najpoczytniejszy autor „Starej Baśni“ zaszczycił nas swą pomocą, czyż można było pracę jego ducha skalpować lub odrzucać zupełnie? Zrazilibyśmy go do siebie raz na zawsze i nie mielibyśmy tylu cennych prac, któremi zbogacił następnie łamy „Biesiady“. Drukowaliśmy więc powieść, spodziewając się, że rodzice młodzieży, oceniwszy pobudki

nasze, „Cześnikówien" nie dadzą jej do ręki, a sąd o naszych zasadach wyrabiać sobie będą na podstawie artykułów redakcyjnych i innych utworów.

Dotychczas w archiwum redakcyjnem znajdują się listy czytelniczek „Biesiady", zakazujące swoim córkom czytania „Cześnikówien".

Okoliczność tę, nie uwłaczającą pamięci J. I Kraszewskiego, wspominamy dla stwierdzenia prawdy, że nie zawsze redaktor może działać bez względu na współpracowników pisma.

W przeglądzie naszym dziejów „Biesiady" wymienimy tylko prace cenniejsze lub mające ścisły związek z jej rozwojem.

Kronikę tygodniową, zatytułowaną „U nas", objął od pierwszego numeru redaktor pisma. Po upływie pewnego czasu, jak to niżej zaznaczamy, kronika otrzymała nazwę „Z Warszawy", a redaktor podznaczać ją zaczął pseudonimem „Sęp", który zachował dla kroniki dotychczas.

Przeglądy teatralne pisywał St. M. Rzętkowski (poeta „Floryan").

W Nr. 5-ym znajduje się wiersz Antoniego Edwarda Odyńca p. t. „Roża" (z perskiego), a w następnym wiersz Józefa Kościelskiego do „Wybranki wieszcza." St(anisław) W(itkiewicz) pisał o sztuce, ukazując już wtedy pazury krytyczne, które następnie tak się dały we znaki wielu jego kolegom.

„Notaty literacko-naukowe" wychodziły z pod pióra znanego i idealnie bezstronnego krytyka, Kazimierza Kaszewskiego.

W Nr. 12-ym Wincenty Korotyński pomieścił pracę swą o J. I. Kraszewskim, illustrowaną doskonałym portretem rysunku Fr. Tegazzo.

Nr. 16 ozdobił wiersz Wiktora Gomulickiego p. t. „Usnęły dzieci", illustrowany. W tymże numerze zakończyły się „Cześnikówny".

Nr. 17 rozpoczął fraszkę humorystyczną Edwarda Lubowskiego p. t. „Kiedyż obiad?", grywaną następnie z powodzeniem na scenie warszawskiej.

W tymże numerze rozpoczął swe współpracownictwo wierny druh „Biesiady", do dziś dnia spędzający chmury z czoła naszych czytelników, Franciszek Kostrzewski; dał on wówczas „Niezabawną historyę pana Filipa" w 6-u obrazach. Tych wybornych szkiców niema w dwóch seryach wydanego „Albumu" najznakomitszego polskiego humorysty rysownika.

Nr. 18 zawiera początek ważnej pracy Piotra Chmielowskiego p. t. „Kłopoty wieszcza" (ustęp z życia Adama Mickiewicza). Chmielowski opisał tu zbywaną zazwyczaj kilkunastu wierszami w życiorysach epokę 1834—1840, a uczynił to na podstawie korespondencyi wieszcza i innych źródeł.

W Nr. 19 przemawia rymami *n* (Maryan Gawalewicz) w obrazku „Z dziecinnych igraszek".

W Nr. 21 na naczelnej stronie widzimy popiersie Adama Mickiewicza z pomnika grobowego na Montmorency, podług medalionu rzeźbiarza Preaulta.

W Nr. 22 Władysław Łoziński rozpoczyna opowiadanie „Szlachcic Zakuta", illustrowane przez Ks. Pilattiego.

Znakomity poeta Felicyan daje w Nr. 24-ym „Meandry".

Jako illustracyę chwili bieżącej znajdujemy w tymże numerze rysunek Ks. Pilattiego p. t. „Do uroczystości Bożego Ciała".

Nr. 26 podaje przegląd życia z miesiąca czerwca, zatytułowany „Nasza praca".

Z powieści tłumaczonych, w pierwszem półroczu istnienia „Biesiady", drukowaliśmy utwory Mayne-Reida, I. Claretie i M. Jokaja („Moje, twoje, jego").

W Nr. 29 Walery Przyborowski rozpoczyna opowiadanie historyczne p. t. „Ze szwedzkich wojen" w r. 1655 i 1702. Jako odgłos wojny serbsko-tureckiej, znajduje się w tymże numerze artykuł o bitwie Czarnogórców z Turkami, illustrowany. Rysunki z pola bitwy „Biesiada" pomieściła następnie w Nr. 35 i 36.

Ten sam numer podaje wspomnienie pośmiertne o naszym genialnym komedyopisarzu, Aleksandrze hr. Fredrze (ojcu). Portret hr. Fredry dała „Biesiada" w następnem półroczu, w Nr. 70.

W Nr. 31 El-y... (Asnyk) opowiada natchnionemi słowy o „Królu Jubie".

W Nr. 33 rozpoczęto studyum Waleryi Marrené „Pani Sand".

Odbywającą się podówczas wystawę w Filadelfii opisywał Sygurd Wiśniowski w „Listach z Nowego Świata", z illustracyą.

W Nr. 36 znajduje się pierwszy „List z zakątka", pisany z Drezna przez J. I. Kraszewskiego.

Pojawienie się „Listów z zakątka" można nazwać epokowem dla dziejów „Biesiady", zawdzięczającej im niemałą część swego powodzenia.

Jakim tytanem pracy, jak wszechstronnie wykształconym umysłem był Kraszewski, można powziąć pojęcie z ogłoszonej przez Kazimierza Bartoszewicza w „Przeglądzie literackim" korespondencyi, pozostałej po nim. J. I. Kraszewski korespondował ze wszystkiemi wybitniejszemi osobistościami, z ludźmi najrozmaitszych stanów, profesyj, uzdolnień, odpowiadając każdemu, udzielając właściwych informacyj, rad i wskazówek, zawsze dokładnych, jak najlepsza encyklopedya.

Żadna dziedzina twórczości ducha ludzkiego nie była mu obcą, z łatwością i równą prawie znajomością rzeczy mógł wydać zdanie o wartości dzieła literackiego, jak i o utworze malarskim lub muzycznym. „Listy z zakątka" stały się kroniką artystyczno-literacką krajową i zagraniczną.

W tej bogatej skarbnicy zabytków historycznych, umysłowych i artystycznych przeszłości i teraźniejszości naszego kraju pełno klejnotów pierwszej wody, godnych uwagi miłośników rzeczy pięknych i cennych. „Listy z zakątka“, po usunięciu rzeczy przebrzmiałych, utworzyłyby cenną książkę.

Ogół inteligentny przyjął „Listy z zakątka“ z niezmiernem zainteresowaniem, czytelnicy z upragnieniem oczekiwali pojawienia się następnych, a każdy literat dbał o to, aby znalazł wzmiankę w „Listach“ o swej nowej pracy.

Zapatrzeni na wzór naszego mistrza, wspólne z nim czcząc ideały, staraliśmy się nie dorównać mu, bo to było niemożliwe, lecz zasłużyć na jego uznanie.

Na listy, którym z wolą ich autora daliśmy tytuł „Listów z zakątka“, zgodził się bez żadnej zwłoki. Przysyłał nam je z Drezna jak najpunktualniej. Nawet w San Remo, gdzie już prawie dogorywał, jeszcze je kreślił. Posiadamy list jeden zaczęty, którego dokończenie miał przysłać ze Szwajcaryi, po nagłem opuszczeniu San Remo. Niestety, nie dokończył listu; śmierć zaskoczyła go w drodze.

W Nr. 41 rozpoczyna się druk szkicu literackiego Piotra Chmielowskiego p. t. „Bohaterowie i bohaterki w naszych powieściach historycznych“.

W następnym numerze Jan Zacharyasiewicz zaczął opowiadać z humorem o „Preferansie po śmierci“, illustrowanym przez Ks. Pilattiego. Redakcya dała wspomnienie o badaczu przeszłości, ś. p. Auguście Bielowskim.

W Nr. 46, jako ilustracyę chwili bieżącej, znajdujemy widok z wystawy w Muzeum przemysłowo-rolniczem.

W numerze następnym M. Gawalewicz opowiedział poetycznie „Znane dzieje“.

W Nr. 48 rozpoczyna się opowiadanie Władysława Łozińskiego p. t. „Hospodarska głowa“.

W Nr. 50, w odezwie przednoworocznej, redakcya mogła zaznaczyć, że „Biesiada“ doznała powodzenia, jakiem się, pod względem liczby prenumeratorów, dotychczas żadne pismo warszawskie przy swych narodzinach nie poszczyciło. Tendencya pisma zawierała się w tych słowach: „Potępiając wszystko, co fałszem olśniewa, co ciemnotą osłabia siły i brudzi czystość rodzinną i społeczną, osłaniamy miłością spuściznę przeszłości i szlachetne zdobycze dnia dzisiejszego, chcemy być zawsze na usługi ziemi, dla której dobra wszyscy pracujemy“.

W numerze wigilijnym pierwszego roku przemówił wierszem „Przed wigilią“ M. Gawalewicz. Z powieści tłumaczonych wyróżnia się powieść historyczna z chorwackiego p. Augusta Szenoa p. t. „Seńska ręka“, tłumaczona z oryginału przez Bronisława Grabowskiego.

Względami czytelników cieszył się wprowadzony od pierwszego numeru dział drobnych wiadomości z całego świata, p. t. „Okruszyny“.

Względy te dla urozmaiconych drobiazgów literackich, naukowych i dziennikarskich pozostały do dnia dzisiejszego.

1877. W numerze ponoworocznym z d. 5 stycznia 1877 r. stanął przed czytelnikami nowy, nad wyraz pożądany współpracownik, znakomity humorysta, Bolesław Prus, dając im tryskające życiem obrazy życia społecznego, zatytułowane „Wieś i życie“. Sceny opowieści illustrował ołówek drugiego, również dzielnego humorysty, Fr. Kostrzewskiego.

„Biesiada“ w drugim roku swego istnienia powiększyła format, drukując numera na arkuszach szerszych i dłuższych.

W Nr. 2-im tegoż roku kronikę „Z Warszawy“ podpisał po raz pierwszy „Sęp“, przyrzekając czytelnikom objaśnić przy sposobności, dlaczego podpisywać się będzie „Sęp“, nie „Orzeł“ albo „Koliber“. Sposobność dotychczas się nie nastręczyła.

Od tego czasu pseudonim przyrosł do kronikarza i stał się przydomkiem, pod którym czytelnicy, oddaleni od Warszawy, obcy miejscowym stosunkom literackim, znali oddanego im sługę. Do dziś dnia otrzymujemy listy, których autorowie dopytują się, kto jest tym „Sępem“.

Nr. 57 pomieścił początek powieści historycznej Teodora Tomasza Jeża p. t. „Z ciężkich dni“; druk jej ciągnął się do Nr. 85.

W Nr. 59 autor libretta do „Hrabiny“, Włodzimierz Wolski, rozpoczął tłumaczenie z flamandzkiego „Nieznanych bohaterów“ Emila Greysona.

Nr. 61 umieścił wykonaną przez F. Tegazza grupę ludzi zasłużonych w ubiegłem półroczu. W gronie tem są: ś. p. Podczaszyński, Żmichowska, dr. Hirschfeld, Stolpe, Szermentowski i Stefani.

W Nr. 64 znajduje się portret Papieża Piusa IX, poprzednika szczęśliwie dziś panującego nad naszym Kościołem Ojca Świętego, Leona XIII. Rysunek wykonał F. Tegazzo.

Od czasu objęcia działu rysunkowego przez tego utalentowanego artystę, w „Biesiadzie“ ukazują się rysunki, nie pozostawiające nic do życzenia, jak np. widok „mebla florenckiego“.

W Nr. 70 do obrazka E. M. Andriollego „Pieszczocha-pociecha“ Gawalewicz dał objaśnienie wierszem.

Następny numer zawiera seryę widoków „Łazienek“.

W Nr. 72 rozpoczyna się druk studyum Piotra Chmielowskiego p. t. „Entuzyastki od roku 1838 do 1848“, w następnym druk dwuaktowej krotochwili Michała Bałuckiego p. t. „Teatr amatorski“.

W Nr. 76 znajduje się wiersz „Wiosna“, pióra autora „Kirgiza“, Gustawa Zielińskiego.

W tem półroczu wyróżniły się dwa artykuły pedagogiczne p. t.: „W imię naszych dzieci“ i „Poświęcenie i samolubstwo“.

Nr. 79 daje wiersz El-y'ego „Tym, którzy smutni“, numer następny wiersz Czesława (Jankowskiego) „Przeszło — zniknęło“.

Wobec rozpoczętej akcyi wojennej na Wschodzie, „Biesiada“ podała szereg widoków miejscowości Turcyi europejskiej i azyatyckiej, oraz scen z życia tamtejszego i wojny rossyjsko-tureckiej.

W Nr. 85, z powodu ukończenia powieści T. T. Jeża, dano jego portret, rysunku F. Tegazza, wraz ze wzmianką biograficzną. W tymże numerze Michał Bałucki z właściwym sobie humorem zaczął opowiadać o „Latawicy“.

W numerze następnym rozpoczyna się fraszka dramatyczna J. I. Kraszewskiego p. t. „Słomiana wdowa“.

Nr. 89 pomieścił początek „Historyi banknota“ przez Walerę Marrenową.

Zgon Thiersa zaznaczono sylwetką biograficzną i portretem.

Wystawie lwowskiej pracy kobiet „Biesiada“ poświęciła opis i rysunki.

Wspomnienie pobytu Jana Matejki w naszym grodzie upamiętniła podobizną wieńca srebrnego, wręczonego mistrzowi w imieniu Warszawy.

W Nr. 94 znajdujemy, zamiast kroniki, artykuł „Sępa“ o Henryku Siemiradzkim (jednocześnie dwaj mistrze pędzla gościli w Warszawie), ozdobiony portretem.

Nr. 95 podał seryę widoków z Pragi czeskiej do artykułu slawisty, Bronisława Grabowskiego.

Nr. 97 przyniósł portret znakomitego komedyopisarza naszego, Józefa Blizińskiego, wraz z sylwetką biograficzną.

Głód w Indyach illustruje szereg rysunków.

Tragiczny zgon dra Polikarpa Girsztowta wywołał w „Biesiadzie“ obszerne wspomnienie o zmarłym, wraz z portretem.

Na czele Nr. 99 redakcya wezwała czytelników do spłacenia choć w części długu, zaciągniętego względem nestora literatury polskiej, J. I. Kraszewskiego, a to przez zapisywanie się na listę prenumeratorów „Wydawnictwa jubileuszowego wyboru pism“.

Wystawę pracy kobiet w Muzeum przemysłowo-rolniczem illustrował szereg rycin do artykułów.

W Nr. 102 znajdujemy grupę zmarłych mężów zasłużonych krajowi, wśród nich ś. p. Lucyana Siemieńskiego i Karola Beyera.

W numerze wigilijnym wiersz „Sen o gwiazdce“ M. Gawalewicza illustrowany przez Ksawerego Piattiego.

W czwartem półroczu istnienia „Biesiady“ redakcya, celem dostarczenia swym czytelnikom przyjemnej rozrywki, wprowadziła, chętnie przez nich przyjęty, dział rebusów i łamigłówek.

R. 1878. W Nr. 105, ponoworocznym, rozpoczęła się powieść jednego z koryfeuszów naszego powieściopisarstwa, Jana Zacharyasiewicza, p. t. „Jedna krew“.

W Nr. 106 znajduje się piękny wiersz Kazimierza Glińskiego p. t. „Widziałem ciebie“. Młody poeta rozpoczynał wówczas pracę na niwie poetycko-literackiej.

Dział „Okruszyn“ zaczął od Nowego Roku gromadzić napływające ze wszystkich stron kraju projekty uczczenia jubileuszu 50-letniej pracy literackiej J. I. Kraszewskiego, niezależnie od podawanej co tydzień listy imiennej prenumeratorów na wydawnictwo jubileuszowe wyboru jego powieści.

Z „Okruszyn“ tych możnaby utworzyć ciekawą monografię urzeczywistnionych i niedoszłych do skutku zamiarów i zapoczątkowań jubileuszowych.

Redakcya „Biesiady“ zbierała starannie wszystkie projekty na pamiątkę gorliwości, z jaką całe społeczeństwo starało się okazać swą cześć i wdzięczność. „Kiedyś — pisała redakcya w Nr. 110 — potomkowie nasi, którym nietylko cnoty, ale i grzechy przekażemy w spuściznie, rozpatrując się w tych projektach, powiedzą: oni ginąć nie myśleli, bo umieli czcić i kochać swych wielkich mężów“.

W dniu 6-ym lutego 1878 r. zasnął w Bogu Najwyższy przewodnik świata katolickiego, Papież Pius IX, przeżywszy lat 85. Smutnemu temu faktowi poświęciła „Biesiada“ w Nr. 111 serdeczne wspomnienie pośmiertne, illustrowane portretem, który dla młodszego pokolenia jest poniekąd nowością. Na szpaltach „Biesiady“ znajdują się opisy sposobu odbywania „conclave“ i wyboru nowego Papieża, obficie illustrowane.

W Nr. 114 zawiadomiono czytelników o wstąpieniu na tron papiezki Jego Świętobliwości Papieża Leona XIII, przyczem pomieszczono portret nowo obranego Ojca Świętego.

W Nr. 114 jest początek listu J. I. Kraszewskiego „Z Florencyi“, zkąd przesłał nam w ogóle trzy listy. „Zakątkiem“ swym nazywał Kraszewski tylko ulubioną willę w Dreznie, gdzie mając swą bibliotekę i zbiory, czuł się jak w domu.

Po ukończeniu powieści Zacharyasiewicza, daliśmy nowelkę Sygurda Wiśniowskiego „Przysiągł, że ją znajdzie“, osnutą na tle życia wychodźców do Nowego Świata.

Nr. 117 zawiera, jako illustracyę chwili bieżącej, widoki Łodzi.

Doświadczenia z nowo wynalezionym przez Edisona fonografem zostały w „Biesiadzie“ objaśnione słowem i rysunkiem.

W numerze przedwielkanocnym Michał Bałucki dał opowiadanie „W starym domu“.

W Nr. 122 rozpoczął się druk 1-aktówki Kazimierza Zalewskiego p. t. „Spudłowali“, illustrowanej przez Ks. Pilattiego. W dziale rysunkowym numeru następnego wyróżnia się rzeźba Teodora Rygiera „J. I. Kraszewski“.

W tymże numerze rozpoczynają się listy z wystawy paryzkiej przez Sygurda Wiśniowskiego.

W Nr. 125 widok Radomia, objaśniony krótkim artykułem.

Od Nr. 127 Michał Bałucki drukuje szereg obrazków pod zbiorowym tytułem z „Książeczki pamiątek“.

Urywek z „Henryka IV“ Wiliama Szekspira daje czytelnikom wyobrażenie o mistrzowskiem tłumaczeniu Felicyana.

W Nr. 129 jest początek dłuższego poematu Kazimierza Glińskiego p. t. „Ataman Soroka“ (powieść ukraińska).

W Nr. 131 Piotr Chmielowski dał sylwetkę nie strudzonego bibliografa naszego, Karola Estreichera, illustrowaną portretem.

W Nr. 135 rozpoczęło się opowiadanie historyczne z końca XVIII wieku przez J. I. Kraszewskiego, p. t. „Wilczek i Wilczkowa“.

W kwartale III r. 1878 redakcya ofiarowała swym czytelnikom pierwsze, skromne na oko, ale niezmiernie cenne dla nich premium w formie artystycznego drzeworytu, przedstawiającego „Pracownię Józefa Ignacego Kraszewskiego“.

W Nr. 140 i 141, zamiast zwykłego listu „Z zakątka“, znajduje się pismo J. I. Kraszewskiego, zatytułowane „Z Homburga“, jak zwykle pełne treści.

Ostatnie wypadki wojenne, rozgrywające się na Wschodzie, illustrował rysunek, przedstawiający widok bitwy Bośniaków z Austryakami w Serajewie.

W numerze następnym jest grupa rysunku Fr. Tegazza, przedstawiająca „Panteon Polski“.

Od Nr. 145 przybywa „Biesiadzie“ nowa siła na ulubionem przez czytelników polu humorystyki krajowej, w osobie Arkadyusza Mucharskiego.

Kronikę Nr. 147 poświęcił „Sęp“ 45-leciu pracy scenicznej Aloizego Żołkowskiego, którego podobiznę odtworzył F. Tegazzo.

Prawie jednocześnie przypadł jubileusz mistrza Jana Matejki, któremu przed obrazem „Bitwa grunwaldzka“ wręczono berło.

Na odbytej w listopadzie 1878 r. wystawie w Muzeum przemysłu i rolnictwa, znalazły się wyroby „Osad rolnych w Studzieńcu“.

W zapowiedzi przednoworocznej redakcya zapewniła swych czytelników, że i nadal „pozostanie sobą“.

Od początku *1879 r.* zaczęła dołączać „Dodatek powieściowy“ za oddzielną dopłatą, który przetrwał do dziś dnia p. t. „Wieczory powieściowe“.

W tomie VIII powieść T. T. Jeża p. t. „Zbłąkany“.

Śledząc bacznie, co się dzieje na całym świecie, „Biesiada“ dała w 1879 r. portret Tomasza Edisona, oraz obszerny artykuł, streszczający wrażenia z pracowni znakomitego wynalazcy.

W Nr. 164 znajduje się wiadomość o złożeniu „pierwszej cegiełki“ na rzecz zamierzonego stowarzyszenia literatów imienia J. I. Kraszewskiego. Ofiarę tę złożył znakomity poeta Faleński.

W prowadzonej systematycznie kronice jubileuszowej J. I. Kraszewskiego, „Biesiada“ pomieściła list jubilata do dra Zyblikiewicza, prezydenta miasta Krakowa. Jubilat był zdania, aby raczej „wszelkiego obchodu zaniechać, gdyż dziś czas dla nas skupienia ducha i cichego trudu“, oświadczając zarazem, że jeżeli prezydent i komitet zarządzą inaczej, zastosuje się do ich woli. Wskutek tej odpowiedzi, komitet urządził obchód jubileuszowy w d. 30 września 1879 r. w Krakowie. Programem uroczystości zajęli się: Adam Asnyk, Jul. Kossak, K. Lange, Ad. Miłaszewski, Walery Rzewuski i Alfred Szczepański.

Obchód odbył się z niezwykłą okazałością i serdecznym nastrojem, a echa uroczystości upamiętniły się na łamach „Biesiady“ najpierw w obszernej kronice „Sępa“ w Nr. 198, następnie w Nr. 203, poświęconym przeważnie Kraszewskiemu. Na czele numeru znajdujemy widok zakątka J. I. Kraszewskiego pod Dreznem, podług rysunku Napoleona Ordy. Rysunek ten jest miłem wspomnieniem dla tych, którzy przed laty, odwiedzając Drezno, nie zapominali o Kraszewskim. W tymże numerze Piotr Chmielowski przypomina szczegóły pobytu J. I. Kraszewskiego w Warszawie w 1838 roku.

Środek numeru zajęły widoki uroczystości krakowskich: (procesya z kościoła N. Maryi Panny do Sukiennic, wręczenie darów, obiad, bal, przemówienie J. I. Kraszewskiego), brama J. I. Kraszewskiego w dolinie Kościeliskiej w Tatrach, ustronie Kraszewskiego w Krynicy. Numer ten, rozchwytany w tysiącznych odbitkach, dziś należy do białych kruków.

W dziale illustracyjnym od tomu X wprowadzono miesięczne przeglądy ołówkowe przez Mucharskiego.

Niemałą stratę poniosła redakcya przez zgon kierownika działu artystycznego, ś. p. Tegazza, którego pamięć uczciła wspomnieniem i portretem.

W tymże 1879 r. zmarł zasłużony badacz przeszłości naszej, zbieracz „Klechd“, Kazimierz Władysław Wójcicki; portret jego i wspomnienie pośmiertne dała niebawem „Biesiada“.

W Nr. 191 Stanisław Bełza rozpoczął druk ciekawych swoich wspomnień z podróży po Norwegii, p. t. „Z niedawnych wspomnień,“ illustrowanych.

W Nr. 204 znany i zasłużony artysta malarz, Wojciech Gerson, wystąpił w roli pisarza, dając bardzo ciekawy artykuł p. t.: „Działalność J. I. Kraszewskiego na niwie sztuk pięknych plastycznych“.

W dwóch numerach, kończących rok 1879, znajdujemy ciekawe „Wspomnienia osobiste“ T. T. Jeża.

Jako premium, wydała „Biesiada“ dla swych prenumeratorów w 1879 roku obraz H. Rodakowskiego p. t. „Wojna kokosza“.

W „Wieczorach powieściowych“ znalazła się, między innemi, powieść oryginalna Walerego Przyborowskiego p. t. „Sznur korali“.

R. 1880 rozpoczyna Sewer nowellą „Jedna noc w Londynie“.

W Nr. 210 redakcya otwiera rubrykę ofiar dla Szlązaków, braci naszych, głodem tępionych. Na cel ten napływają zewsząd liczne datki, to hojniejsze, to skromne, w każdym razie świadczące, że głos kronikarza, wzywającego do ofiar, nie przebrzmiał bez echa.

Po dzień 30 kwietnia „Biesiada“ zebrała na zasiewy dla Szlązaków 1,269 rb. 40 kop. i przerwała dalsze składki na skutek listu Karola Miarki, oświadczającego, iż „już zbieranie ofiar nie jest konieczne“.

Nr. 218 „Biesiady“ podał życiorys, a następnie portret Karola Miarki.

Piąty rok zażyłości z czytelnikami obudził w nich takie zaufanie do redakcyi, dał im taką ufność w oględne szafowanie groszem publicznym, że odtąd po dziś dzień rubryka ofiar nie zamykała się wcale. W tymże roku nadeszła klęska, wymagająca ofiar „na powodzian sandomierskich“.

Następnie kwestowaliśmy na kościół w Irkucku i na bibliotekę polską tamże, na wpisy dla uczniów gimnazyalnych i t. p.

Osobny, duży rozdział moglibyśmy poświęcić „ofiarom“, ale trzymając się chronologicznego przeglądu działalności pisma, wspominać będziemy w najkrótszych słowach o ofiarach, notowanych w oddzielnych rocznikach. Nie próżność skłania nas do chełpienia się temi ofiarami, bo nie myśmy je dali, tylko chęć wykazania tej jedności, jaka łączy serca nasze z czytelnikami, tego duchowego prądu, przebiegającego od nas ku nim.

W Nr. 213 Jeż rozpoczął powieść „Serce matczyne“.

Odnowienie Sukiennic krakowskich dało pole do podania opisu ich i rysunku gmachu w nowej postaci.

W Nr. 220 wiersz „Czcigodnemu J. I. Kraszewskiemu,“ napisany przez Maryę Konopnicką, która w tymże jeszcze roku dała „Biesiadzie“ „Dwie wiosny“, „Na dnie przepaści“, „U okienka“.

„Ty przed ludem swym idziesz, jako słup przewodni,
Co w dzień świecił mgły srebrem, w noc złotem pochodni;
I jesteś, jako żóraw, co w błękity, przodem,
Przed długim, jako sztandar, leci korowodem...
I jesteś, jako sternik, co patrzy z wysoka,
Gdzie wir, gdzie zdradna rafa, gdzie sterczy opoka.
I jesteś, jako stary patryarcha rodu,
Co duchy wnuków tuli od głodu i chłodu —
I zbiera je przy sobie w jedno spójne koło,
I wśród nich, jak obelisk biały, wznosi czoło.
Ty jesteś wielką, srebrną ziemi naszej rzeką,
Co niesie naszych dębów korony daleko...
I przepływa kraj pszenny, grzmiąc pieśnią flisaczą,
Lub w cichych spada jękach, jak ci, którzy płaczą.
Ty stoisz, jak wódz wielki, co siłą zbiorową
Zamyka w błysk źrenicy — i w piorunie słowo...
I jesteś, jak krew w żyłach, co tętna porusza,
Jak oddech naszych piersi i jak nasza dusza.“

W Nr. 222 odzywa się do czytelników po raz pierwszy z naszych łamów Karol Brzozowski wzniosłą „Modlitwą“. Tegoż autora znajdujemy w tym roczniku strofy: „Na przesilenie wiosenne“ i „Lirnik“, oraz podróż prozą p. t. „Wzdłuż Eufratu“.

Przebicie tunelu na górze Ś-go Gotarda odtwarza nam parę rysunków.

Echo wyprawy podbiegunowej Nordenskiölda znajdujemy również w „Biesiadzie“, a widok okrętu „Vega“ uprzytomnia naturę podbiegunową.

Odczyt Piotra Chmielowskiego „Poezya w wychowaniu“ znalazł się w całości w Nr. 227—232.

Czterechsetną rocznicę zgonu Jana Długosza upamiętniła „Biesiada“ numerem pamiątkowym, na którego czele znajduje się studyum prof. Adolfa Pawińskiego o ojcu dziejopisarstwa naszego i wizerunek z rękopisu kromerowskiego, rysunki Eliasza i Kossaka, odpowiednie do charakteru numeru.

W Nr. 234 pomieszczono wiersz Bałuckiego „Palestyna“.

Maryan Gawalewicz, który dotychczas występował tylko z drobnemi poezyami, podznaczanemi literą *n*, rozpoczyna w Nr. 236 druk 1-aktowej humoreski scenicznej p. t. „Z rozpaczy“.

Do Nr. 241, zamiast zwykłego listu „Z zakątka“, J. I. Kraszewski nadesłał korespondencyę, zatytułowaną „Z Hof-Gasteinu“, opisującą tę miejscowość.

Nr. 244 przynosi początek szkicu historycznego pióra Walerego Przyborowskiego, p. t. „Barszczanie na Jasnej Górze“.

Pięćdziesięciolecie istnienia Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci, który społeczeństwu daje poprawionych i pożytecznych pracowników, uczciła „Biesiada“ grupą zbiorową widoków.

Ostatni numer w tym roku dał opowiadanie Jana Zacharyasiewicza, przypisane J. I. Kraszewskiemu, p. t. „Pan Izydor“. Czoło numeru zajmuje portret autora „Ś-go Jura“ i „Na kresach“, do którego redakcya dodała sylwetkę literacką.

Premium w 1880 r. stanowił obraz Ksawerego Pilattiego p. t. „Kto się w opiekę poda Panu swemu“.

„Wieczory powieściowe“ wydrukowały powieść „Złotą dzieweczkę“.

R. 1881. Początek roku dał nową powieść niestrudzonego J. I. Kraszewskiego „Było ich dwoje“. Stanisław Piast spisał wrażenia z wycieczki, zatytułowawszy je „Z wczorajszej chwili“. M. Gawalewicz umieścił w tomie XI humoreskę sceniczną p. t. „Po drodze“, w następnym tomie komedyę „Hannibal ante portas“, czyli „Świdrzykowska jedzie“.

W Nr. 266 zjawia się pierwszy ciąg nowego działu „Biblioteka obywatelska“, prowadzonego przez prof. Piotra Chmielowskiego.

W Nr. 268 wiersz T. Lenartowicza p. t. „Odpowiedź“. Źródłowy artykuł „Przechadzka po bibliotece jagiellońskiej“ zaznajomił czytelników z tą skarbnicą pamiątek rękopiśmiennych i foliałowych, ściągających się do przeszłości naszej. Artykuł był illustrowany.

Po ukończeniu powieści Kraszewskiego „Było ich dwoje“, rozpoczął druk swego opowiadania Sewer, na tle zwierzeń lekarza, p. t. „Stracona“. Obie prace łączyło podobieństwo głównych postaci: w powieści Kraszewskiego bohaterem był niewidomy, w „Straconej“ bohaterka była również niewidomą.

W Nr. 281 Walery Przyborowski rozpoczął druk opowiadania historycznego „Ksiądz Marek“; portret ks. Marka, podług obrazu ze zbiorów Wł. K. Wójcickiego, jest na czele tegoż numeru.

W Nr. 292 Bronisław Rejchman „Historyą ołówka“ rozpoczął szereg „obrazków technologicznych“.

Wystawa przedmiotów sztuki stosowanej, urządzona w Warszawie, utrwaliła się na szpaltach „Biesiady“ w artykule i rysunku.

W Nr. 296 zamieszczono odsłonę 1-go aktu z tragedyi Wiktora Czajewskiego p. t. „Bolesław Śmiały“.

Pod Nr. 297 z d. 9 września 1881 r. po raz pierwszy podpisał się, jako wydawca i redaktor odpowiedzialny, Władysław Maleszewski, który na tem stanowisku pozostaje dotychczas.

Od Nr. 299 na łamach „Biesiady“ zaczynają się ukazywać widoki grobów królewskich na Wawelu.

W 300-ną rocznicę zgonu Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, „Biesiada“ podała obszerną monografię o życiu i dziełach poety.

W Nr. 308 Edward Lubowski rozpoczął humoreskę p. t. „Romeo w Łodzi“.

Zgon autora „Kirgiza“, ś. p. Gustawa Zielińskiego, „Biesiada“ uczciła wspomnieniem i portretem.

W 1881 roku „Biesiada“ kwestowała dla głodnych Kurpiów, dla Sandomierzan i Stopniczan, na wpisy dla biednych uczniów, na różne instytucye filantropijne, dla najuboższych, na budowę kościołów, na nagrobek Syrokomli w Wilnie.

Przy zbieraniu ofiar na ten ostatni nagrobek zaszło nieporozumienie: pewna korespondentka nasza z nad Niemna przedstawiła w tak ponurych barwach zaniedbanie, w jakiem zostaje cmentarz wileński, a głównie zakątek, przeznaczony na spoczynek dla ludzi zasłużonych na polu nauki, literatury i sztuki, tak gorąco wzywała do opieki nad mogiłą Syrokomli, że redakcya, nie zwłócząc, pomieściła skargę w „Biesiadzie“ i wezwała do składek. Skarga odniosła swój skutek, ofiary napływały, ale posądzeniu o zaniedbanie mogiły zaprzeczyła dotknięta w swych uczuciach wdowa po zgasłym lirniku. Spełniła ona, co do niej należało: na cmentarzu usypać kazała mogiłę i własnym kosztem położyła kamień nagrobkowy, świadczący o pamięci i przewyższający może środki, jakiemi rozporządzała wdowa, obarczona dziećmi. W myśl treści tego listu, redakcya, nie przerywając zbierania ofiar, przeznaczyła je na budowę wspanialszego pomnika dla poety, nie na cmentarzu, lecz w jednym z kościołów wileńskich.

Prenumeratorowie w 1881 roku otrzymali, jako premium, wielki rysunek Andriollego p. t. „Grażyna“.

R. 1882. W pierwszym (314) numerze ponoworocznym Karol Brzozowski wystąpił z poematem p. t. „Sąd Boży“ („Ałłah-Bahczesi“).

W Nr. 316 Teofil Lenartowicz z poezyą „Przyjacielowi przy odjeździe z Rzymu“.

W Nr. 316 i 318 znajduje się artykuł zasłużonego pedagoga, Wincentego Dawida, „O naszych pensyach żeńskich“.

W Nr. 317 J. I. Kraszewski opisał „Zegarmistrzowstwo polskie w Genewie“ i zakłady Gostkowskich; do opisu dołączono rysunek, przedstawiający wielki gmach, mieszczący zakłady rzeczone.

Pożar Ring-teatru w Wiedniu z rysunkami w „Bieżącej chwili“.

Po szeregu drobnych, starannie wybranych obrazków i opowiadań, w Nr. 327 rozpoczął się druk powieści z podań ludowych pióra Piotra Jaxy Bykowskiego, p. t. „Mulik, niehistoryczny hetman Ukrainy“.

Pani Zofia drukuje od czasu do czasu „Listy matki do matek“, poruszające najżywotniejsze sprawy wychowania dzieci i rządności domowej.

Klemens Junosza występuje na łamach „Biesiady“ jako poeta, dając w Nr. 336 doskonały przekład „Armaty“ Fr. Coppé'go.

P. Horodyński przesłał do Nr. 339 rysunek i opis znajdującej się w prowincyi Stanów Zjednoczonych, Kolumbii, nad brzegiem rzeki Hudsonu, pamiątki z pobytu T. Kościuszki, zwanej „Ogrodem Kościuszki“.

Nr. 341 zawiera początek nowelli Sewera p. t. „W podziemiach“, której akcya rozgrywa się na tle wojny francuzko-pruskiej.

W Nr. 343 i 344 Władysław Zawadzki podał wspomnienie o Arturze Grottgerze.

500-letni jubileusz królowania N. M. P. Częstochowskiej na Jasnej Górze uczciła „Biesiada“ w Nr. 347 widokami: obrazu cudami słynącego, kościoła z klasztorem i świątyń poblizkich.

Jako odbicie wypadków politycznych, znajdują się rysunki: „Arabi basza i jego armia“ i karta geograficzna.

W Nr. 354 Zygmunt Sarnecki dał ładną drobnostkę p. t. „Karyera“.

W Nr. 358 rozpoczyna się druk obszerniejszej pracy Brzostowskiego „J. I. Kraszewski u siebie“. Autor oprowadza czytelnika po nowej willi drezdeńskiej, zapoznając nietylko z wewnętrznem jej urządzeniem, lecz i z trybem życia znakomitego pisarza.

Artysta malarz F. Brzozowski skopiował widok willi, w której tyle dzieł cennych powstało.

P. Zofia Mellerowa dała „Biesiadzie“ pełną ciepła rodzinnego komedyjkę „Straduję!“ (Nr. 359 do 362).

Sprawę budowy pomnika A. Mickiewicza w Krakowie poruszył w obszernym artykule (Nr. 360 i 361) archeolog i estetyk F. K. Martynowski.

W numerze gwiazdkowym Władysław Zawadzki opowiedział „O polskiej wigilii nad Dunajem“.

W 1882 roku, oprócz ofiar na cele stale powtarzające się, płynęły obficie datki: na elementarze i książki moralne, dla 100-letniego starca Adama Skarbka Malczewskiego w Omsku, dla ofiar katastrofy w kościele Ś-go Krzyża, na kościoły w Kursku, Władykaukazie, Irkucku, Daszlagarze i t. d. „Biesiada“ pośredniczyła również w zapisywaniach się na członków kasy dra Mianowskiego.

Prenumeratorowie otrzymali, jako premia bezpłatne: „Pamiątkę z Warszawy“ i „Pamiątkę z Wilna“; niezależnie od tego redakcya rozpoczęła wydawnictwo portretów historycznych, podług oryginałów Tytusa Maleszewskiego. Pierwszy w r. 1882 wyszedł portret A. Mickiewicza, następnie portrety: Jana Sobieskiego (w rocznicę odsieczy wiedeńskiej), królowej Jadwigi, ks. Piotra Skargi, Stefana Czarnieckiego, J. I. Kraszewskiego.

R. 1883. Nowy rocznik „Biesiada“ rozpoczyna powieścią J. I. Kraszewskiego „Noc majowa“.

Rok jubileuszowy pamiętnej w dziejach obrony chrześcijaństwa przed nawałnicą pogańską odsieczy wiedeńskiej uczciło pismo nasze szeregiem prac literackich i artystycznych. Historyk Lucyan Tatomir dał opowiadanie historyczne p. t. „Król Jan III“ i drugą opowieść epizodu z r. 1672 pod tym samym tytułem. Tegoż autora niezmiernie ciekawe, oparte na źródłach autentycznych dociekania, p. t. „Jedyna wzmianka w piśmiennictwie hebrajskiem o królu Sobieskim“, „O dacie urodzenia Jana Sobieskiego“, „Głosy współczesnych Niemców o królu Janie III i udziale jego w oswobodzeniu Wiednia od Turków w r. 1683“ i „Z pod dachu, który osłaniał kolebkę króla Jana III“, do którego dodano rysunek, przedstawiający widok współczesny zamku w Olesku. Opowiadanie historyczne „Król Jan III“, wydawnictwo książkowe, autor ofiarował swemu przyjacielowi, redaktorowi „Biesiady“, Władysławowi Maleszewskiemu.

Piotr Chmielowski opisał „Obchód wiktoryi wiedeńskiej przed stu laty w Wilnie“. St. Zaremba zestawił „Dzieła sztuki z motywów Sobieskiego“. P. E. K. dał krótkie wspomnienie „Sobieski w Krasnopuszczy“.

Niezależnie od tych głównych artykułów, pisała „Biesiada“ o odsieczy wiedeńskiej w kronice, korespondencyach i bibliografii szczegółowej wydawnictw jubileuszowych.

W dziale rysunkowym, oprócz ofiarowanego na premium portretu króla Sobieskiego, „Biesiada“ podała w tekście portret Jana III podług oryginału z galeryi wilanowskiej, pochód kostyumowy na tle epoki Jana Sobieskiego, powrót wojsk polskich z wyprawy wiedeńskiej, obraz Brandta, posąg Sobieskiego na moście łazienkowskim i pomnik w kościele po-kapucyńskim w Warszawie.

Illustrowana chwila bieżąca przypomina o zgonie Gambetty i Dorego.

W Nr. 381 podaje portret swego przyjaciela i dzielnego współpracownika w dziale artystycznym, M. E. Andriollego, wraz z widokiem jego „dziedzictwa“ — willi w Brzegach, nad Świdrem.

Nr. 384 zawiera portret nieodżałowanego historyka naszego, Józefa Szujskiego, zmarłego w Krakowie.

Przyczynek do monografii kościołów naszych podał w tymże numerze ksiądz Ludwik Piotrowicz, opisując „Sarkofag księżniczki Adelaidy w kościele Ś-go Jakóba w Sandomierzu“.

Ingres na stolicę arcybiskupią w d. 9 czerwca 1883 r. szczęśliwie dotychczas zasiadającego na niej J. E. ks. Popiela, uczcił „Sęp“ w kronice, a rysownik upamiętnił w widoku archikatedry w tym dniu uroczystym.

Nr. 389 podał wielką grupę Dostojników Kościoła z księdzem Arcybiskupem na czele i wi-

dok kościoła katedralnego Ś-go Jana w Warszawie.

Zgon Napoleona Ordy uczciła „Biesiada“ wspomnieniem pośmiertnem i portretem.

W Nr. 394 występuje po raz pierwszy w piśmie naszem z humoreską „Na granicy“ Jordan (Julian Wieniawski), podówczas zachowujący ścisłe „incognito“.

W Nr. 396 Eliza Orzeszkowa dała „Biesiadzie“ opowiadanie „Panna Antonina“, należące do pereł w jej skarbcu. Po tym utworze nastąpiła Waleryi Marrené nowella p. t: „Odnowione rany“. Pamięć twórcy „Tyrteusza“ uprzytomnił urywek z tego najcelniejszego utworu L. Wł. Anczyca, nekrolog i portret.

Dzięki uprzejmości rodziny ś. p. Gustawa Zielińskiego, „Biesiada“ pomieściła nigdzie niedrukowane opowiadanie autora „Kirgiza“, p. t. „Kwiaty“.

Opowiadanie dziejowe F. K. Martynowskiego „W obronie cześci“ zakończyło szereg powieści oryginalnych w r. 1883.

W tymże roku redakcya rozpoczęła poważne wydawnictwo, streszczające najcelniejsze twory literatury pięknej polskiej, p. t. „Złota przędza“. Obmyślone przez nas wydawnictwo doprowadziliśmy szczęśliwie do końca, dzięki współpracownictwu Piotra Chmielowskiego, Stanisława Krzemińskiego i Jana Świeżawskiego.

Niezależnie od dawniej zbieranych ofiar, znajdujemy w tym dziale w r. 1883 składki na „Schronienie dla nauczycielek.“

R. 1884. Nowy rok przynosi w zewnętrznym wyglądzie pisma, oprócz ulepszeń strony artystycznej, nową numeracyę pojedynczych zeszytów pisma od 1-go do 52-go, utrzymując dawną, wskazującą numer od początku wydawnictwa. Odtąd też pierwszej numeracyi trzymać się będziemy w streszczeniu dziejów pisma i w spisach bibliograficznych.

Rocznik rozpoczyna Jan Zacharyasiewicz pogodnem, pełnem humoru opowiadaniem, p. t. „Najpraktyczniejsza szkoła miłości“.

Trzechsetną rocznicę zgonu Jana Kochanowskiego „Biesiada“ upamiętniła pomieszczeniem obszernego studyum historyka, L. Tatomira, p. t. „Jan Kochanowski, opowiadanie z XVI wieku“.

W Nr. 4 dano portret wieszcza z Czarnolasu, podług płaskorzeźby na grobowcu w Zwoleniu, i słowo o zasługach „księcia poetów polskich“, skreślone przez redakcyę; w numerze zaś wydanym w oktawę rocznicy zgonu znajdują się kopie obrazów: Zamoyski u Kochanowskiego i Kochanowski nad zwłokami Urszulki. „Biesiada“ skrzętnie notowała w roku jubileuszowym wydawnictwa pamiątkowe, tyczące się Kochanowskiego, a Tatomir obszerniej ocenił to, co napisał Chlebowski o Kochanowskim.

W Nr. 8 znajduje się charakterystyczny rysunek J. I. Kraszewskiego, podług J. H. Müntza, który podróżując w 1781 r. po Polsce, narysował z natury „Młynek krwawy“. Podług podania, odebranie go Chmielnickiemu stało się powodem wojen kozackich i powstania ludu na Ukrainie.

Zygmunt Sarnecki dał w tym roczniku przeglądy pracowni artystów polskich w Paryżu.

W Nr. 10 „Echa z wystawy wiedeńskiej“, stanowią objaśnienie ciekawych rysunków „z teki hr. Konstantego Przezdzieckiego“.

Przypomnienie wystawy etnograficznej dra B. Dybowskiego, odbytej w 1884 roku, znajduje się w Nr. 11 na rysunku.

W Nr. 13 portret i sylwetka literacka Lucyana Tatomira.

W Nr. 14 rozpoczął się druk powieści Stanisława Grudzińskiego „Świat i pustynia“. W Nr. 27 portret tegoż poety i dłuższe wspomnienie.

W Nr. 14 rysunek J. Kossaka „Piotr Lipski na harcach pod Chocimem w roku 1624“.

W Nr. 20 ksiądz L. Piotrowicz dał w przekładzie podniosły hymn Ojca Świętego Leona XIII „Na wigilię uroczystości Ś-go Konstancyusza“.

W kronice „Sępa“, w Nr. 22, znajduje się wiadomość o przykrym nad wyraz fakcie, którego smutne przeczucia niepokoiły już od kilku miesięcy ówczesnego nestora naszych pisarzy, odbijając się w jego listach zwątpieniem i skargą: *Kraszewskiego sądy pruskie osadziły w fortecy magdeburskiej za rzekomą zdradę tajemnic państwa.* Wielkiemu starcowi przeznaczone było wypić kielich goryczy do dna samego.

Pod brzemieniem niesłusznego zarzutu gięło się ciało i siły starca, lecz nie złamał się duch potężny... Gdy go pierwszy raz uwięziono, napisał do nas: „*To mnie najwięcej boli, że przy mnie wszyscy cierpieć będziecie, bo nie o mnie im tylko chodzi...*“

Niezasłużoną karę przyjął z pokorą: „*Możem ja był za wyniosły, możem zanadto wierzył, że prace moje coś dla narodu warte, może za tę pychę spotkało mnie nieszczęście, które bez szemrania znieść potrafię.*“

„Ten wielki pracownik — pisał „Sęp“ — po przeszło półwiekowych nieustannych mozołach, dziś jest zamknięty w więzieniu, ale przedtem jeszcze był on zamknięty w sercach naszych, a ztamtąd żaden wyrok go nam nie wydrze.“ „Kraszewski to pomnik, którego nagła, w pierś jego skierowana burza rzuciła aż w więzienne mury, ale pomnik ten nie rozpadnie się, nie rozsypie, bo go trzyma jego własna moc ducha, jego wiekopomne zasługi i nasza miłość niewygasła — z wdzięczności zrodzona.“

Nić bratnich uczuć, łącząca redakcyę Biesiady i jej czytelników z Kraszewskim, nie zerwała się: pismo nasze notowało skwapliwie każdą wiadomość

o stanie zdrowia, sposobie życia więźnia magdeburskiego, streszczało głosy prasy polskiej i zagranicznej.

W Nr. 27 pojawił się pierwszy list Kraszewskiego z Magdeburga, przetłumaczony z francuzkiego. Listy z twierdzy (zawsze po francuzku) zachowały, stosownie do woli autora, tytuł „Listów z zakątka". Są to stokroć jeszcze droższe od poprzednich pamiętniki historyczne, świadczące o niepożytej energii i głębokiem przeświadczeniu, że pracuje dla dobra ogółu. Podajemy poniżej jeden z listów magdeburskich.

W Nr. 28 i 29 mieści się studyum H. Biegeleisena „Telimena i Zosia", z rysunkiem Tytusa Maleszewskiego „Zosia w Soplicowie".

Powódź świętojańską w Warszawie uprzytomnił czytelnikom szereg obrazków i wizerunek Piotra Kocza. Nowością w roczniku jest wprowadzenie działu „Encyklopedyi illustrowanej", wznowionej w r. 1899. Wprowadzono działy: „Z domu i z drogi", „Pług i kądziel".

W Nr. 36 Walery Przyborowski naszkicował ciekawą kartkę z dziejów przeszłości Warszawy, p. t. „Jan Dekert, prezydent m. Warszawy".

W Nr. 40 zaczęła się nowella Waleryi Marrené p. t. „Bracia".

Z powodu 25-letniego jubileuszu działalności pisarskiej Michała Bałuckiego, podała „Biesiada" jego sylwetkę piórem i ołówkiem.

Założenie Ogrodu zoologicznego w Warszawie zaznaczono dłuższym artykułem i grupami rysunkowemi Ryszkiewicza.

W Nr. 48 Walery Przyborowski napisał treściwie „O ks. Piotrze Skardze".

Korzystając z uprzejmości rodziny ś. p. Gustawa Zielińskiego, „Biesiada" pomieściła w Nr. 51 i 52 wyjątek z dramatu „Zbigniew", podług rękopisu poety.

W ciągu roku redakcya kwestowała między innemi na powodzian galicyjskich i miejscowych, na kościół w Piekoszewie, na podróż dla biednych Irkutczan i t. d.

R. 1885. W numerze noworocznym znajdujemy początek pełnej wdzięku nowelli J. I. Kraszewskiego p. t. „Radca Maciek". W dziale illustracyjnym walczą o lepsze piękne dzieła dwóch mistrzów: kopia z obrazu J. Matejki „Wit Stwosz" i rysunek A. Grottgera „Pielgrzym".

W tym roczniku coraz częściej zjawiają się rysunki artystów swojskich; wśród nich rozmiarami i wykonaniem wyróżnia się akwarella J. Kossaka p. t. „Pod Wagram".

Zgon sędziwego poety, towarzysza A. Mickiewicza, ś. p. Antoniego Edwarda Odyńca, uczciła „Biesiada" wspomnieniem, portretem i rysunkiem na motywach pogrzebowych.

Na początku tegoż roku ułożyli się do snu wiecznego ukochani przez dyecezyan przewodnicy duchowni, pełni wielkich cnót, ś. p. Ich Eksc. ks. Kacper Borowski biskup płocki, i ks. Kazimierz Wnorowski, biskup lubelski.

„Biesiada" podała obszerne życiorysy tych dostojników Kościoła, opisy ich pogrzebów i portrety.

W Nr. 9 dano początek obrazu pióra autora „Kłopotów starego komendanta" p. t. „Pan Jan", oraz sylwetkę literacką i ołówkową autora, Alberta Wilczyńskiego. Zbiór pism jego redakcya „Biesiady" wydała dla swoich prenumeratorów po cenie nizkiej.

Zajścia w Sudanie illustrowane odpowiedniemi rysunkami.

Sporo miejsca poświęcono krytyce wyniku konkursu na pomnik Mickiewicza w Krakowie (nagrodzeni: Dykas, Celiński, Barącz), oraz reprodukcyi w dziale illustracyjnym wybitniejszych z pośród projektów nie nagrodzonych.

Artysta J. Zajdel dał „Biesiadzie" szereg rysunków „Ze starej Warszawy", który mógłby utworzyć małe album pamiątkowe.

Rok 1885 odznaczał się obfitością wystaw w Warszawie: gospodarczo-spożywczej (kucharskiej), rolniczo-przemysłowej i ogrodniczej; wszystkie upamiętniono w licznych rysunkach i artykułach.

Pierwsze półrocze zawiera cztery „Listy z zakątka", pisane przez J. I. Kraszewskiego z Magdeburga; w jednym liście, z powodu ukończonego konkursu, wyraził swe zdanie o pomniku Mickiewicza.

W Nr. 28 z tegoż roku znajdujemy widok Magdeburga.

Z powodu urządzenia pierwszej wystawy prowincyonalnej w Radomiu, „Biesiada" podała widoki kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, otwartej na początku roku.

Zgon Wiktora Hugo, wielkiego pisarza i przyjaciela Polaków, upamiętniła „Biesiada" podaniem portretu i rysunku zmarłego mistrza.

Pożar Grodna zapisał się na łamach „Biesiady" przedewszystkiem wezwaniem czytelników do ofiarności na rzecz pogorzelców, następnie szeregiem wzmianek kronikarskich i rysunkami.

W Nr. 27 „Biesiady" początek powieści obyczajowej „Samoluby" Jana Zacharyasiewicza.

W Nr. 32 J. H. Rychter podał kilka nieznanych poezyj Jana Pawła Woronicza.

Autor „Kirgiza" przypomniał się znów z za grobu czytelnikom „Biesiady" obrazkiem „Wieczór myśliwski", po raz pierwszy ogłoszonym z niedrukowanego rękopisu.

W Nr. 39 ogłoszono 12 pytań konkursowych z nagrodami. Nowy ten dział wywołał żywe zaciekawienie i współudział licznych czytelników.

W Nr. 40 znany slawista i współpracownik nasz, profesor Bronisław Grabowski, rozpoczął druk pełnych ciepła i uznania dla braci Czechów wspomnień z wycieczki swej do Pragi czeskiej, celem obejrzenia „divadla“, p. t. „Pielgrzymka do Złotego Domu.“

W Nr. 43 znajduje się początek ciekawego epizodu z ówczesnej wojny domowej w Ameryce, skreślonego przez Józefa Siemiradzkiego, p. t. „Wojna“. Rzecz illustrowana rysunkami, wiernie odtwarzającemi typy i sceny opisywane w „Wojnie“.

W drugiem półroczu nie znajdujemy ani jednego „Listu z zakątka“, gdyż autor ich był wówczas mocno cierpiący; za to w Nr. 46 „Gazetka“ zaznacza z radością, że Kraszewski opuścił już Magdeburg, uzyskawszy urlop kilkomiesięczny do Włoch dla poratowania zdrowia, za złożeniem 20,000 marek kaucyi.

Klemens Junosza, który w temże półroczu opisał wystawę ogrodniczą warszawską, występuje w Nr. 47 z początkiem obrazka wiejskiego „Pogodny zachód!“.

Wojnę serbsko-bulgarską opisywały „Listy polityczne“, illustrowane mapą teatru wojny i rysunkami.

Pamięci zmarłej przedwcześnie poetki Maryi Bartosówny, Wiktor Czajewski poświęcił obszerny artykuł z portretem.

W r. 1885 redakcya, oprócz kwesty na pogorzelców Grodna, zbierała ofiary: na pomnik ks. Skargi, dla Maryi Bartosówny i na miejscowe instytucye dobroczynne.

Z powieści pomieszczonych w dodatku wyróżniła się „Boży gród“ Jokay'a.

R. 1886. W numerze ponoworocznym znajduje się początek napisanego w twierdzy magdeburskiej wspomnienia akademickiego J. I. Kraszewskiego p. t. „Trzej królowie“.

Pięćdziesięciolecie istnienia straży ogniowej warszawskiej upamiętniło się dwoma rysunkami: „W zapasach śmiertelnych“ i „Straż ogniowa warszawska“, oraz wspomnienie kronikarza.

W Nr. 6 znajdujemy artykuł „J. I. Kraszewski w San Remo“, z fotografią czcigodnego pisarza, wykonaną w San Remo przez Boncarola, i widok willi, w której zamieszkał niedawny więzień magdeburski.

Nr 8 przynosi pierwszy „List z zakątka włoskiego“; do końca roku było ich jeszcze cztery, nie licząc listów z zakątka szwajcarskiego.

W Nr. 11 rozpoczęła się duża powieść historyczna, z czasów Jana III, pióra Aera (Rzążewskiego).

Uroczystość otwarcia nowego teatru w Lublinie przedstawiły czytelnikom Biesiady rysunki i artykuł.

Zgon „Słowika ukraińskiego“, Józefa Bohdana Zaleskiego, uczcił rysunek Andriollego, świadka ostatnich dni poety, i artykuł.

W Nr. 25 artysta Józef Ryszkiewicz uplastycznił na rysunku głównych bohaterów dumek Zaleskiego.

W Nr. 18 Piotr Chmielowski dał wzór „Biblioteki obywatelskiej“.

W Nr. 26 ceniony autor dzieł historycznych, dr. Antoni J. (Rolle), dał humoreskę p. t. „Pierwsze moje w świat wystąpienie“ (jako lekarza, nie literata).

Wystawę rolniczą w Warszawie illustrują liczne rysunki.

Tragiczny zgon Ludwika bawarskiego zaznaczył się w „Biesiadzie“ portretem króla marzyciela.

Konsekracyę kościoła ŚŚ. Piotra i Pawła w Warszawie upamiętniło pióro kronikarza i rysunek artysty.

W Nr. 37 i 38 znajdujemy nieznane wspomnienie „O Juliuszu Słowackim“ przez Aleksandra Półkozica (Niewiarowskiego).

Zgon niezapomnianego tragika polskiego, ś. p. Jana Królikowskiego, upamiętniła „Biesiada“ grupą rysunkową i wspomnieniem.

Wystawie nasion poświęcono rysunek.

Zgon długoletniego redaktora „Kuryera Warszawskiego“, poety, dramaturga i publicysty, ś. p. Wacława Szymanowskiego, uczciła „Biesiada“ rzewnem wspomnieniem kronikarza i portretem nieboszczyka.

W obec uznania powszechnego, jakiem cieszyła się umieszczona w dodatku powieściowym z roku poprzedniego powieść Jokay'a p. t. „Boży gród“, w 1886 r. w „Wieczorach powieściowych“ znalazły się dwie powieści tegoż autora: „Ostatnie dni Janczarów“ i „Turcy na Węgrzech“.

R. 1887. Nowy rocznik przynosi początek powieści Jana Zacharyasiewicza p. t. „Herb na giełdzie“, oraz opowiadania historycznego dra Antoniego J. (Rollego) p. t. „Zakładnicy lwowscy“.

Odbywająca się w Warszawie wystawa w Muzeum rolnictwa i przemysłu zostawiła ślad na szpaltach „Biesiady“ w artykułach i rysunkach, również jak wystawy z tegoż roku: starożytności i nasion w Warszawie, oraz krakowska.

Ciekawy artykuł, streszczający genezę „Świtezi“ Mickiewicza, podał Józef H. Rychter p. t. „Świteź i Świteź“.

Nr. 12 przyniósł żałobną wieść o zgonie nieodżałowanego mistrza powieści naszej, niestrudzonego J. I. Kraszewskiego, zgasłego w Genewie w d. 19 marca 1888 r. Jakkolwiek ciosy, spadające nieustannie od lat paru na głowę starca, i nadwerężony więzieniem, tułaczką stan zdrowia kazał się spodziewać smutnej ostateczności, wydawało się jednak, że właśnie zahartowany w ogniu nieszczęść

i cierpień organizm ostoi się zwycięzko nowym próbom, że siły ducha niepożytej trwałości powstrzymają ciało od zagłady. Niestety! katastrofa trzęsienia ziemi w San Remo miała być ostatnim szczeblem prób ziemskich, po którym już tylko pozostało parę tygodni mąk i uspokojenie na łonie wieczności.

Na czele wzmiankowanego numeru znajdujemy fotografię Kraszewskiego z czasów pobytu w San Remo i wspomnienie pośmiertne. Z bólem wielkim redakcya zaznaczyła w końcu nekrologu: „Listy z zakątka“ już się skończyły; z zakątka, który teraz zamieszkałeś, daj nam swoje błogosławieństwo!...“

Pamięci znakomitego współpracownika i przyjaciela „Biesiada“ poświęciła cały numer następny.

Czoło Nr. 13 zajęły widoki Biały podlaskiej, w której Kraszewski uczęszczał do szkół; następnie artykuł „Z pamiątek po J. I. Kraszewskim“, pełen cytat z listów jego prywatnych i kilku wierszy autografów. Dalej czytamy wiersz „Dnia 19 marca 1887 r.“ przez Z(aleskiego). Pamiątkowego znaczenia nabrały artykuły przygodne p. t. „Z San Remo do grobu“ i „Ostatnie hołdy, oddane twórcy „Starej baśni“.

W bogatym dziale rysunkowym tego numeru znajdujemy grupy „Z obrazów i szkiców J. I. Kraszewskiego“ (z objaśnieniem w tekście), winietki kreślone przez J. I. Kraszewskiego ołówkiem na liście, widoki: zakątka drezdeńskiego, willi w San Remo i nabożeństwa żałobnego w kościele Ś-go Krzyża w Warszawie.

Następny numer przyniósł rysunek, przedstawiający pracownię drezdeńską J. I. Kraszewskiego (rysunek ten w formacie zwiększonym otrzymali poprzednio prenumeratorowie jako premium).

Nr. 15-ty zawiera rysunki: szkic p. Hanny Mirkowskiej, przedstawiający J. I. Kraszewskiego w parę godzin po śmierci, następny odtwarza wystawienie zwłok J. I. Kraszewskiego w krypcie kościoła ks. Pijarów w Krakowie, a Nr. 19-ty widoki przeniesienia zwłok tych z kościoła Panny Maryi do grobów zasłużonych na Skałce i pogrzebanie. W tymże numerze pomieszczono widok gniazda Kraszewskich w Dołhem.

Z bogatej spuścizny literackiej po ś. p. Kraszewskim, jak to dalej zaznaczymy szczegółowiej, i Biesiadzie dostało się sporo, z czego ku pożytkowi czytelników nie zaniedbała skorzystać; już w N-rze 15-tym znajduje się piękny poemat żałobny (prozą) p. t. „W oknie.“

Aleksander Półkozic dalszy ciąg wspomnień osobistych „O Juliuszu Słowackim“ zamieścił w N-rach 17 i 18 Biesiady.

Narodziny towarzystwa śpiewaczego „Lutni“ powitała Biesiada rysunkiem Ryszkiewicza.

W N-rze 22-im Biesiady portret marszałka Zyblikiewicza, widok jego pogrzebu oraz wspomnienie pośmiertne.

Michał Bałucki przypomniał się czytelnikom naszym obrazkiem z życia akademickiego „Sobek“.

Spełniając obowiązki pisma literackiego, Biesiada obok prac hetmanów piśmiennictwa, chętnie pomieszczała i pomieszcza prace młodszych pracowników, byle żywotnej treści i pokrewnych ideałów, dała więc w tomie 24-tym powieść Teofila Szumskiego p. t. „Nie ziemia winna“.

W N-rze 28-ym po raz pierwszy występuje w „Biesiadzie“ młody poeta Józef Waśniewski z wierszem „Z moich dum“.

Niezaprzeczony ten talent, w pełni sił i rozwoju, zgasiła śmierć przedwczesna.

Odnowienie kolumny króla Zygmunta III go w Warszawie upamiętniły dwa rysunki.

Objaśniając czytelnikom stale zjawiska przyrody, Biesiada podała w numerze 33-im mapę zaćmienia słońca 19 sierpnia 1887 r.

Bronisław Grabowski dał wspomnienie, poświęcone towarzyszom szkolnym, p. t. „Kolega Tomek“.

25-letnią rocznicę zgonu niezapomnianego barda litewskiego, Władysława Syrokomli, uczciła „Biesiada“ portretem poety i sylwetką literacką.

Albert Wilczyński, autor „Kłopotów starego komendanta“, dał „Biesiadzie“ opowiadanie „Z własnego doświadczenia“ p. t. „Miła podróż“.

Do numerów 48 i 49 Wincenty hr. Łoś dał szkic p. t. „Honor w armii węgierskiej“.

Urządzona na rzecz Towarzystwa Dobroczynności zabawa przedświąteczna „Gwiazdka“ zaznaczona rysunkiem.

R. 1888. W pierwszym numerze ponoworocznym znajduje się początek opowiadania J. I. Kraszewskiego „Psiarek“; w tymże numerze Józef H. Rychter umieścił „Z notatek J. I. Kraszewskiego“.

Wobec rozpoczętego, w d. 31 grudnia 1887 r., 50-letniego jubileuszu kapłańskiego Ojca Świętego Leona XIII „Biesiada“ podała w numerze 1-ym portret Najdostojniejszego Jubilata z autografem, widok uroczystego pochodu papieskiego z Watykanu do bazyliki św. Piotra i wnętrze kaplicy św. Stanisława Kostki w Rzymie. W numerze 3-im znajduje się: Wielki ołtarz w bazylice św. Piotra i „sedia gestatoria“. Nr. 6-ty podaje wizerunek Ojca Świętego, błogosławiącego Rzymianom i pielgrzymom.

W numerze 10-ym znajduje się galerya kart geograficznych w Watykanie.

Do wypadków polityki europejskiej należą: widok tracheotomii w San Remo, dokonanej na przyszłym cesarzu niemieckim Fryderyku, portre-

ty cesarza Fryderyka i jego syna, następcy Wilhelma II.

Wystawa tkacka, odbyta w 1888 r., znalazła się na szpaltach „Biesiady“ w rysunku.

Rysownik zgrupował sceny z powieści: „Kunigas“, „Chata za wsią“, „Kopciuszek“, „Pamiętniki Mroczka“, „Hrabina Cozel“, „Ulana“ i dał im tytuł: „Wspomnienie J. I. Kraszewskiego“. Znalazło się ono na łamach „Biesiady“ w rocznicę zgonu twórcy tych dzieł.

W tymże numerze zwraca uwagę obszerna monografia o Fryderyku Szopenie, illustrowana większą kompozycyę Ryszkiewicza.

W numerze przedwielkanocnym znajduje się widok „Święconego w samotni J. I. Kraszewskiego“, odtworzony ołówkiem Andriollego, i wiersz Kraszewskiego „Na Baranek Boży“.

Chwilę bieżącą illustruje rysunek p. t. „Karnawał Ujazdowski“, przez Władysława Sandeckiego. Tegoż rysownika są „Wianki“ na Wiśle.

Pierwszą wystawę muzyczną w Warszawie przypominają liczne rysunki i wzmianki kronikarskie.

Dr Franciszek Bylicki dał „Podróż po oceanie lodowatym“, illustrowaną.

Wystawa rolnicza miała w „Biesiadzie“ swoje echo rysunkowe.

Sezon kąpielowy dostarczył artykułów i rysunków z Zakopanego i Solca.

Muzeum etnograficzne, utworzone przy Ogrodzie zoologicznym w Warszawie, dało powód do dwóch charakterystycznych rysunków.

W numerze 40-ym Aleksander Jawornicki umieścił kartkę z dziennika podróży po Afryce p. t. „Epidemia“, illustrowaną rysunkiem własnoręcznym.

Wystawę paryską 1888 r. uprzytomnia czytelnikom pomieszczony w numerze 41-ym „Biesiady“ widok wieży Eiffel, porównanej z najwyższemi gmachami i kolumnami.

Klemens Junosza przypomniał się czytelnikom pełnym serdecznego wdzięku i naturalności obrazkiem „Przedewszystkiem spokój“ (Nra 45—48).

Ceniona autorka licznych opowiadań dla młodzieży, Z. Morawska, dała „Biesiadzie“ nowellę „Na oceanie“.

Wystawę przemysłową w Muzeum rolnictwa i przemysłu przedstawiły liczne rysunki.

Z początkiem roku 1888 wprowadzono nowy dział „Pogadanki“, podającą pytania i odpowiedzi z rozmaitych dziedzin nauki i życia. W dziale tym umieszczono dotychczas przeszło dwa tysiące odpowiedzi, rozwiązujących różne ciekawe i żywotne zapytania.

Prenumeratorowie całoroczni otrzymali, jako premium, dziełko użyteczności praktycznej, niezbędny podręcznik gospodyń, p. t. „Skarbiec dla rodzin w mieście i na wsi“ — tom I-szy, tom zaś drugi tegoż dziełka otrzymali w następnym roku.

R. 1889. Nowy rocznik rozpoczyna się pierwszym szkicem „Jeden z wielu“, ze zbioru obrazków J. I. Kraszewskiego p. t. „Mozaika“, ofiarowanych przez czcigodnego autora, w dowód przyjaźni, redaktorowi „Biesiady“ Władysławowi Maleszewskiemu.

W numerze ponoworocznym znajdują się również pierwsze ciągi: opowiadania historycznego dra Antoniego I... „Szahin Girej gościem“ i listów E. M. Andriollego do redaktora „Biesiady“, zatytułowanych „Pod ziemią i na ziemi“. Dzielny illustrator okazał się w nich ożywionym i zajmującym gawędziarzem.

W numerze 6-ym rozpoczął się druk większego szkicu powieściowego Klemensa Junoszy p. t. „Tryumf stryjenki“.

Zgon ś. p. Ignacego Domejki uczciła „Biesiada“ wspomnieniem i portretem, który przypomina człowieka wielkiej nauki i szlachetnej duszy.

Krzątającym się około wydania monografii kościołów katolickich (np. wileńskiemu wydawcy „Świata Katolickiego“) przyda się wiadomość, że „Biesiada“ w r. 1889 pomieściła widoki i opisy kościołów katolickich, w Kijowie, Odessie, a nawet w Pekinie, oraz wnętrza świątyń, znajdujących się w bliższych od nas miejscowościach: w Lichem, Tomaszowie Lubelskim i Skępem, ten ostatni do artykułu księdza Józefa Żaboklickiego.

Wypadki polityczne z portretami Milana, b. króla serbskiego, jego żony, Natalii i Aleksandra I-go, obecnego króla Serbii.

Chwilę bieżącą na bruku warszawskim illustruje ołówek J. Ryszkiewicza.

W numerze 21-ym Józef Rogosz drukuje pierwsze z cyklu „Wrażeń i wspomnień“, opowiadanie o wilkach na stepie.

Wrażenia z Wystawy paryskiej wszechświatowej w obszernych listach i licznych illustracyach.

Pobyt Szacha Perskiego Nasr-ed-Dina w Warszawie przypomina jego portret.

40-letni jubileusz działalności artystycznej Juliusza Kossaka upamiętnił portret niezapomnianego malarza scen z dziejów naszych, oraz kilka kopij z celniejszych obrazów.

W numerze 24-ym Aleksander M. Jawornicki rozpoczął druk effektownych obrazów na tle własnej podróży po Afryce, p. t. „Czarny dyabeł“.

Wystawę pracy kobiet opisał dziennikarz, naszkicował rysownik. Niemniej charakterystycznym jest rysunek, przedstawiający wystawę Kostrzewskiego w salonie Krywulta, z portretem humorysty przy pracy.

Ś. p. arcybiskupowi metropolicie mohylewskiemu ks. Aleksandrowi Kazimierzowi Gintowtowi poświęcono wspomnienie i portret.

W numerze 41-ym Wincenty hr. Łoś opowiedział wypadek prawdziwy z życia p. t. „Sarenka Jadwisi“.

W numerze następnym początek obrazka z życia miejskiego przez A. Wilczyńskiego, p. t. „Dla konkurenta“.

Wystawa rolnicza w Wilnie podług rysunku ks. Pilattego.

Znany zaszczytnie poeta, Stanisław Rossowski, dał do numeru 45-go piękny wiersz „Sen miasta“.

Zgon ś. p. dra Tytusa Chałubińskiego odbił się na szpaltach „Biesiady“ echem serdecznej boleści, wyrażonej i przez kronikarza, i w oddzielnych artykułach, i wspomnieniach, i w rysunku okolicznościowym.

Jednocześnie prawie ułożył się do grobu na sen wieczny ten, który przez szereg lat bawił szlachetnym humorem i wrodzoną siłą komiczną, parę pokoleń widzów, tworząc mnóstwo typów swojskich, ś. p. Aloizy Żółkowski. Pamięci genialnego komika „Sęp“ poświęcił kronikę, a rysownik dał portret.

W numerze gwiazdkowym z tego roku widok pasterki w katedrze św. Jana w Warszawie, rysunek Władysława Sandeckiego.

R. 1890. W numerze ponoworocznym tomu XXIX-go początek szkicu z puścizny po ś. p. J. I. Kraszewskim p. t. „Rejent Wątróbka“.

Wiele z okazów wystawionych na odbywającej się w Muzeum wystawy starożytności.

Zachęcony powodzeniem szkiców swych z wrażeń afrykańskich Aleksander M. Jawornicki pomieścił w „Biesiadzie“ „Szkice morskie“ oraz opowiadanie „Bogi i ludzie“, obie prace illustrowane.

Dążąc nieustannie śladami Kościoła, „Biesiada“ dała portrety czterech prekonizowanych nowo Biskupów, I. I. Excel. ks. ks. Henryka Kossowskiego, Michała Nowodworskiego, Antoniego Awdziewicza i Franciszka Jaczewskiego, z życiorysami.

Wincenty hr. Łoś dał opowiadanie p. t. „U cyganów“.

Wojciech Gerson piórem i ołówkiem nakreślił wycieczkę swoją do Tylicza, miasteczka galicyjskiego.

W numerze 12-tym pojawia się po raz pierwszy dział nowy „Herbarz szlachetnych“, w którym notują się szlachetne czyny, godne dyplomu szlachectwa duchowego. Dział ten, przyjęty ogólnem uznaniem, utrwalił się i pozostał do dziś dnia.

Michał Bałucki dał nowellę „Dwie wigilie“, Józef Rogosz obrazek „Słowak“.

Pod kroniką „Z Warszawy“ numeru 27-go redaktor i wydawca „Biesiady“ Wł. Maleszewski sprostował słowa Adama Pługa, poświęcone w pożegnaniu z „Kłosami“ „Biesiadzie“, że „Tygodnik illustrowany“ wydał z siebie „Biesiadę“.

„Biesiada“—czytamy w sprostowaniu—powstała samodzielnie, bez żadnego wpływu „Tygodnika“, nawet mimo pewnej jego opozycyi. Znalazłem pełnego młodzieńczej energii i dobrej woli wydawcę w osobie p. Gracyana Ungra, który zajął się uzyskaniem koncesyi na pismo, obmyślone od tytułu aż do najdrobniejszego szczegółu wyłącznie przezemnie“.

„Któż wie, czy w chwili jubileuszowej „Biesiady“, będzie przy życiu jaki świadek jej narodzin“—powątpiewała odezwa... Dziękujemy Najwyższemu, że dał nam dożyć tej chwili uroczystej.

Walerya Marrene napisała dla „Biesiady“ obszerną powieść „Wśród kąkolu“, z życia łódzkich przemysłowców.

Wobec zbliżającej się 45-letniej rocznicy zgonu Adama Mickiewicza pismo nasze dało podobiznę medalionu poety, umieszczonego na grobie w Montmorency, rzeźbę A. Préaulta.

Zgon ś. p. Jana Kantego Gregorowicza, niezapomnianego pisarza dzieł ludowych „Janka z Bielca“, redaktora „Przyjaciela dzieci“, uczciła „Biesiada“ wspomnieniami i portretem.

Pogrzeb ś. p. biskupa Józefa Hollaka w Wyłkowyszkach zapisał się na łamach „Biesiady“, czczącej siewców w winnicy Pańskiej.

Prenumeratorowie otrzymali, jako premium, tom I-szy dzieła p. t. „Wiedza“, będącego wytłómaczeniem zjawisk codziennych przez Bremera i Migno. Tom drugi tegoż dzieła otrzymali w r. 1891.

Niezwykłem powodzeniem cieszyła się rozpoczęta przy końcu 1890 r. w dodatku powieściowym, powieść historyczna Ern. Ecksteina p. t. „Neron“.

R. 1891. W dziale powieściowym numeru pierwszego tomu XXXI-go „Biesiady“ znajduje się początek „Walerki“, nazwanej „spowiedzią przyjacielską“ przez J. I. Kraszewskiego. Jest to cząstka zbioru przypisanego redaktorowi „Biesiady“.

Przyjaciel „Biesiady,“ dr Stanisław Karwowski streścił ciekawy wykład monsignora de Waal p. t. „Katakumby rzymskie i papież Leon XIII-ty“.

„Biesiada“ zyskała w tymże roku cenną pomoc w pracy literackiej znanego zaszczytnie kapłana publicysty, ks. Antoniego Brykczyńskiego, który wystąpił z pracą „Sztuka chrześcijańska w muzeum w Cluny“.

Powieść obyczajową, nazwaną skromnie przez autora, Józefa Rogosza „obrazem z życia“ p. t. „Przez boleść i miłość“, przyjęli czytelnicy nasi z należnem jej uznaniem, a odbitki w niej w formie książki oddzielnej są już wyczerpane.

Zgon zasłużonych krajowi ś. p. pisarza Wincentego Korotyńskiego i doktora-publicysty Wiktora Szokalskiego uczciła „Biesiada“ pełnemi gorącej sympatyi wspomnieniami pośmiertnemi. Portrety ich znalazły się w zbiorowej grupie zmarłych pracowników na różnych polach działalności społecznej.

Odwiedzinom Warszawy przez znakomitą artystkę Modrzejewską poświęcono artykuły i liczne rysunki.

W N-rze 21-ym widzimy portrety dziewicy Orleańskiej, według starych dokumentów, M-ge Pagis, biskupa w Werdun, projektodawcy pomnika Joanny d'Arc, kopię obrazu le Roux „Widzenie Joanny d'Arc“. Rysunki objaśniają artykuły.

Podczas dorocznej pielgrzymki warszawian do Czerniakowa, gdzie w kościele znajdują się zwłoki św. Bonifacego, „Biesiada“ podała widok tej miejscowości.

Od numeru 25-go redakcya wprowadza w dziale zabaw grę warcabową, którą po pewnej przerwie, wznowiliśmy w roczniku bieżącym.

W numerze 28-ym znajdujemy obrazek Klemensa Junoszy „Talmudziści“.

W numerze 34-ym występuje po raz pierwszy z listem wileńskim Lucyan Uziębło, znawca i miłośnik zabytków sztuki i przeszłości wileńskiej.

Twórca Kolonij letnich dla dzieci warszawskich dr Gustaw Fritsche dał „Biesiadzie“ doskonały artykuł „Praca umysłowa i nerwy“.

Gruntowne przerobienie gmachu teatru Wielkiego w Warszawie na modłę teatrów europejskich, z zastosowaniem elektryczności i wentylacyi, upamiętniła „Biesiada“ rysunkami i opisem.

Po ukończeniu powieści Rogosza nastąpiła powieść historyczna „Judaszowe srebrniki“, na tle dziejów XIV-go wieku, napisana przez M. Synoradzkiego.

35-letni jubileusz działalności scenicznej W. Rapackiego zapisał się na łamach „Biesiady“ grupą rysunkową typów. Zgon artysty i reżysera sceny warszawskiej ś. p. Jana Tatarkiewicza portretem.

R. 1892. I ten rocznik rozpoczyna utwór pośmiertny J. I Kraszewskiego, p. t. „W hotelach“, stanowiący urywek wspomnień z podróży po Szwajcaryi.

W pierwszym numerze „Biesiady“ b. właściciel Żelazowej Woli, p. Adam Towiański, pomieścił artykuł wyświetlający, gdzie się urodził Chopin.

Zgon ś. p. Aleksandry hr. Augustowej Potockiej, hojnej filantropki, uczciła „Biesiada“ odpowiedniem wspomnieniem, portretem i widokiem rezydencyi w Wilanowie.

Streszczono odczyt Hajoty (Heleny Janiny Rogozińskiej) o wyprawie jej w towarzystwie męża na szczyt „Clarence—Peack'u“ w Afryce.

Michał Bałucki dał do XXXIII-go tomu nowellę p. t. „Sąd honorowy“. Ks. A. Brykczyński opowiedział „Wycieczkę na Kurpie“.

Zgon dzielnego dziennikarza i zacnego człowieka ś. p. Karola Kucza zapisał się serdecznem wspomnienie w „Biesiadzie.“

Stratę poniesioną przez sztukę polską skutkiem śmierci Feliksa Brzozowskiego, rysownika—pejzażysty, zobrazował „Sęp“ w poświęconej pamięci artysty kronice i uprzytomniły piękne rysunki.

Michał Synoradzki dał opowieść na tle historycznem p. t. „Jaksa z Miechowa“.

Dr Stanisław Karwowski monografię „Jan Amos Komeniusz, jako uczony i człowiek“, z powodu 300-nej rocznicy jego urodzin.

Otwarcie kolejki wilanowskiej—opis i rysunek z podobiznami jej założycieli.

W numerze 27-ym portret Ojca Świętego Leona XIII, podług oryginału, wykonanego przez T. Chatrana.

Zgon ś. p. Emila Skiwskiego, właściciela drukarni, w której przez szereg lat do dnia dzisiejszego odbija się „Biesiada“, znalazł oddźwięk przyjacielski na jej szpaltach.

400-lecie odkrycia Ameryki spowodowało pomieszczenie artykułów i rysunków, poświęconych wspomnieniu tego faktu dziejowego.

Wobec rozbudzonej w społeczeństwie naszem chęci uczczenia pamięci Fr. Chopina, która wyraziła się, między innemi, utworzeniem sekcyi jego imienia przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznem, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że i w XXXIV-ym tomie „Biesiady“ znajduje się obszerny artykuł i szereg rysunków pamiątkowych z życia Chopina.

Ks. A. Brykczyński naszkicował „Kilka wspomnień z wycieczki po kraju“.

W numerze 43-im przybył nowy dział, p. t. „Nieporozumienia“, który miał za cel prostowanie mylnych wniosków i nieporozumień, wynikających skutkiem fałszywego zrozumienia przez pisma peryodyczne lub czytelników zdań, wyrażonych przez „Biesiadę“.

W numerze 50-ym ks. A. Brykczyński objaśnił artystom i rzemieślnikom „Jak należy robić krucyfiksy i przedstawiać Pana Jezusa na krzyżu“.

W numerze następnym dr Stanisław Karwowski pomieścił pierwszy szkic z pracy dłuższej p. t. „U wyspiarzy“ (Anglików).

Prenumeratorowie otrzymali, jako premium, dzieło p. t. „Siła woli“.

Z powieści drukowanych w dodatku, szczególniejszem uznaniem cieszyło się opowiadanie księdza Lanusa „Pod Sedanem.“

R. 1893. Nowy rocznik przynosi czytelnikom początek powieści znakomitej poetki naszej Deotymy, która i na polu powieściopisarskiem zbiera laury. „Panienka“—miano tego utworu—na tle rozgrywającej się akcyi opisuje z porywającą prawdą życie i wygląd dawnego Gdańska.

W główniejszych momentach akcyi, celem wywarcia na czytelnikach silniejszego jeszcze wrażenia, mistrzyni pióra dopomógł ołówek artysty Ksawerego Pilattego.

Wystawienie w teatrze „Rozmaitości“ jednoaktówki „Wśród boru“ odsłoniło przed publicznością oblicze starannie ukrywającego się przez lat dziesiątek, pod pseudonimem „Jordana“, autora „Wędrówek Pana Delegata“.

„Biesiada“ przedstawiła czytelnikom swym Jordana—Wieniawskiego na wsi, przy pracy literackiej i w banku.

W numerze 11-tym rysunki przedstawiają Ojca św. Leona XIII, błogosławiącego „urbi et orbi“ podczas uroczystości jubileuszowej, i galeryę „Pio-Clementino“ w Watykanie.

W numerze 13-tym widoki sali tronowej w Watykanie.

Zgon godnego następcy Fredry ojca, znakomitego komedyopisarza naszego, Józefa Blizińskiego, uczciła „Biesiada“ serdecznem wspomnieniem i portretem w otoczeniu postaci z jego komedyj.

Ks. A. Brykczyński nadesłał kartkę z podróży po obczyznie p. t. „Eger“.

W tymże numerze znajduje się portret i życiorys ś. p. biskupa sejneńskiego, ks. Piotra Lubicz Wierzbowskiego.

Zmarłego w sile wieku, w pełni talentu mistrza illustratora E. M. Andriollego, którego śmierć zabrała przed wcieleniem obmyślonego wspólnie z nami dzieła „Historyi Polski w obrazach“, uczciliśmy wspomnieniami, niejednokrotnie wracającemi na łamy „Biesiady“, i portretem.

W numerze 35-ym obie stronnice zajął duży rysunek przedstawiający Ojca Świętego Leona XIII, udzielającego posłuchania pielgrzymom.

Wystawa powszechna w Chicago w artykułach i rysunkach.

W numerze 45-ym widok z wystawy Andriollego w salonie artystycznym.

Rok 1893 przyniósł ciężkie straty sztuce polskiej: po Andriollim ułożył się na sen wieczny mistrz, geniusz wśród malarzy naszych, Jan Matejko. „Biesiada“ podawszy na razie życiorys i portret twórcy „Bitwy pod Grunwaldem“, w następnych tomach niejednokrotnie powracała do oceny jego twórczości i zasług.

Wizerunek mistrza podług portretu, wykonanego przez niego samego.

Odbytą w Warszawie wystawę wyrobów skórzanych przypomina rysunek K. Pillattego.

Prenumeratorowie otrzymali premium w postaci książki p. t. „Żeby nie chorować“.

Z końcem roku redakcya zapowiedziała wydawnictwo obrazów na blasze złoconej, przedstawiających wizerunki Chrystusa Pana i Matki Boskiej Częstochowskiej. Obrazki te, sprzedawane po cenie kosztu, rozkupione zostały co do jednego.

R. 1894. Numer ponoworoczny rozpoczyna opowiadanie, pozostałe w spuściźnie literackiej po J. I. Kraszewskim, p. t. „Świetna partya“.

Ks. A. Brykczyński wprowadza na szpalty nasze stale dotąd utrzymującą się rubrykę „Ze sztuki kościelnej.“

Dr Franciszek Bylicki drukuje ciekawą podróż po Alpach p. t. „Na białe szczyty.“

Bronisław Grabowski obrazek karnawałowy, p. t. „Suknia balowa.“

Zgon ś. p. Jerzego Aleksandrowicza, niedawnego jubilata, przypomniał licznym jego uczniom rysunek, jego zasługi zaś—życiorys.

Numer 6-ty zawiera życiorys i portret zmarłego w Kamieńcu Podolskim przyjaciela i współpracownika „Biesiady“ dra Antoniego Józefa Rollego, pisującego pod pseudonimem dra Antoniego J.

W numerze 7-mym rozpoczął się druk nowelli Maryana Gawalewicza „Dusza w odlocie“, osnutej na motywach znajdujących oddźwięk w sercach czytelników „Biesiady.“

Na czele numeru następnego znajduje się portret J. E. ks. arcybiskupa warszawskiego W. T. Chościak Popiela.

Zasłużonemu dziennikarzowi ś. p. Władysławowi Olendzkiemu poświęcono rysunek i życiorys.

W dwóch numerach znajdujemy studyum d-ra H. Dobrzyckiego o Matejce, z fotografiami szkiców, rysowanych w r. 1885, wedle których gmach politechniki lwowskiej przyozdobiony został freskami.

Po nowelli Gawalewica, nastąpiła powieść Waleryi Marrené „Dokąd zajdzie?“

W N-rze 17-tym dr Henryk Dobrzycki dał pełne ciekawych szczegółów a natchnione uczuciem serdecznej przyjaźni studyum p. t. „Z dziejów twórczości Andriollego.“

„Biesiada“ streściła obszernie odczyty Maryana Gawalewicza o „Królowej niebios“, które następnie rozszerzone i opatrzone rysunkami Stachiewicza utworzyły cenne dzieło.

W numerze 23-im pomieściliśmy Encyklikę Ojca Świętego Leona XIII, do Biskupów polskich.

Porę pielgrzymek do Częstochowy przypomniały wiernym dwa rysunki.

Wystawy w Antwerpii i Medyolanie poznali czytelnicy nasi z artykułów i rysunków; i o wystawie lwowskiej nie zapomniano.

Wypadki, jakie się rozegrały we Francyi, przypominają portrety Sadi-Carnota i Casimir Periera, oraz rysunek, przedstawiający nabożeństwo żałobne za ś. p. Sadi-Carnota.

W numerze 30 ym Klemens Junosza dał objaśnienie charakterystycznego rysunku Kostrzewskiego „Człowiek skamieniały.“

Zabytek budownictwa dawnego odtworzył rysunek Wróblewskiego bramy w Opatowie.

Pamięci Joanny d'Arc poświęcono rysunki i artykuł.

W numerze 38-ym widoki Argenteuil i domku, w którym się przechowuje sukienka Pana Jezusa.

W numerze 41-ym rozpoczęto druk powieści „O duszę“, napisanej przez Jana Ładę, którym to pseudonimem podpisuje się ks. prałat Gnatowski.

Uroczystości poświęcenia pomnika Fr. Chopina w Żelazowej Woli poświęcono cały dział obrazkowy numeru 42-go, wiele artykułów i poezyj, z których wyróżnia się wiersz A. Niemojewskiego: „Czemu szumisz. Utrato?“

W n-rze 47-ym znajduje się początek utworu Machczyńskiego, autora „Mozaiki wilczej,“ p. t. „Dziecko“. Jest to urywek ze wspomnień myśliwskich.

Zgon ś. p. artysty malarza Jana Konopackiego uczciliśmy piórem i ołówkiem.

W numerze gwiazdkowym—wdzięczne opowiadanie K. Laskowskiego „Opłatek“ i rysunki Ludwika Stasiaka.

Prenumeratorowie całoroczni otrzymali dzieło użytku niezaprzeczonego „Żeby nie chorować“, i obraz Fr. Kostrzewskiego „Rozkosze dziadunia“.

W dodatku powieściowym czytelnicy wyróżnili uznaniem ogólnem powieść tłumaczoną „W szponach“.

R. 1895. Zwyczajem od lat kilku przyjętym, nowy rocznik rozpoczęła „Biesiada“ utworem J. I. Kraszewskiego (pozostałym w jego puściźnie) p. t. „Pijani“.

Doskonałemu studyum obyczajowo-historycznemu Zygmunta Kaczkowskiego, p. t. „Kobieta w Polsce“, „Biesiada“ poświęciła szereg obszernych artykułów, streszczających wybitniejsze ustępy dzieła.

Objęcie prezydentury francuzkiej przez F. Faure'a zaznaczono w rysunkach i artykułach.

W dniu 1-szym marca r. 1895 wyszedł z druku tysiączny numer „Biesiady“, która tę godową chwilę upamiętniła szeregiem artykułów i rysunków, związanych z uroczystością domową. Na czele numeru znajduje się rysunek Stasiaka: wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, umajony kwieciem rodzimem, czuwa nad chatą wiejską. Wiersz, dołączony do rysunku, głosi:

„Błogosławione, co z Bogiem poczęte,
Więc, gdy się pracy jęliśmy przed laty,
Hasłem nam było Imię Jego święte,
Z niem do pałacu szliśmy i do chaty,
I Pan poszczęścił naszej pracy zbożnej:
Pałac i chata stanęły otworem!
A myśmy ziarna miłości pobożnej
Nieśli uczciwie, dobrych siewców wzorem.
Bóg daj, żeby nas to samo przyjęcie
Zawsze czekało za rodzinnym progiem,
I miłościwe nasze przedsięwzięcie
Tak się skończyło, jak poczęło—z Bogiem!“

Redaktor pisma, Władysław Maleszewski, w słowie swem wstępnem napisał, między innemi: „Z tysiąca numerów nie ułoży się piramida, zaledwie stopień jeden, więc na nim staję, aby zmierzyć przestrzeń, jaka nas dzieli od dnia pierwszego. Mierzę ilością mogił, na tej drodze wyrosłych. Bardzo wiele mogił przybyło; nie wszystkich pracowników, którzy w nich spoczęli, „Biesiada“ miała za swych towarzyszów, jednak i tym cześć oddaje, których rozum i talent ją także, chociaż z daleka, ogrzewały. Czcimy wszystkich, wspominamy z wdzięcznością Kraszewskiego, który od pierwszej karty „Biesiady“ do ostatniego tchnienia swojego był naszym niestrudzonym oraczem i przyjacielem.“

Podziękowawszy ogółowi czytelników i współpracownikom, tym zwłaszcza, którzy od 1-go numeru do tysiącznego byli z „Biesiadą“, redaktor skończył swą odezwę słowami: „Czy zejdziemy się wszyscy w przeddzień XX wieku, czy ja się stawię—Bóg jeden wie, ale chcieć to już połowa módz, a drugą połowę niech da przekonanie, żeśmy wszyscy potrzebni.“

W przeddzień XX-go wieku nie doliczymy się wielu z towarzyszy pracy, ale cząstka ich ducha pozostanie na zawsze na kartach „Biesiady“, jako wiecznotrwała spuścizna. Cześć pamięci towarzyszy, którzy wyprzedzili nas w przekroczeniu progów wieczności. Cześć im!

W n-rze 1000-ym znajduje się w dziale artystycznym rysunek Chełmońskiego, który w pierwszym numerze „Biesiady“ brał udział; portret Adama Mickiewicza, według rysunku Andriollego, rysunek okolicznościowy Stasiaka, przedstawiający parę czytelników młodocianych „Biesiady“ przed 19-tu laty i po ich upływie, z herbem naszym u góry „Prawdą i pracą“, dalej rysunek Wróblewskiego „Stare miasto“, dwa szkice Ryszkiewicza i rysunek J. Kossaka. W części literackiej, oprócz zwy-

kłych działów, zwracają uwagę artykuły d-ra Stanisława Karwowskiego, Wincentego hr. Łosia, oraz serdeczne wiersze Janiny Górskiej i Gustawa Czernickiego. Zgon ojca Prokopa, kapucyna, autora licznych dzieł moralno-religijnych, uczciła „Biesiada" rysunkiem ze zbiorów K. hr. Przezdzieckiego, przedstawiającym O. Prokopa przed wstąpieniem do zakonu i jako kapucyna, oraz wdzięcznem wspomnieniem.

Najjaśniejszą, najwspanialszą kartą w dziejach „Biesiady" było i pozostanie *Błogosławieństwo Ojca Świętego Leona XIII*, o którego udzieleniu donieśliśmy czytelnikom naszym w numerze 11-tym w tych słowach:

„Do wszystkich towarzyszów pracy naszej i do wszystkich czytelników „Biesiady Literackiej" należy dar duchowy, jakim nas, niegodnych najwyższej łaski, raczył uszczęśliwić Ojciec Święty, Leon XIII: Błogosławieństwo Apostolskie. Nie śmielibyśmy nigdy o taką wielką nagrodę zabiegać, pracę naszą uważając za obowiązek powszedni, a religijność za jej fundament niewzruszony. Bez naszych starań, bez naszej wiedzy, dostąpiliśmy szczęścia, w którem jest blask i siła nie z tego świata. Radości naszej nie wyrażą słowa; choćby one dosięgły wierzchołka niebotycznej góry i dna morskiego, nie zmierzyłyby jednak głębi naszej wdzięczności.

Od daru takiego wymawiać się nam nie wolno, więc łaskę Namiestnika Chrystusowego przyjmujemy z pokorą i rozrzewnieniem. Wierząc w Jego nieomylność, nie pytamy, za co Benedictio Apostolica na nas spłynęła."

Nr 12-ty przyniósł rysunek pomnika w katedrze św. Stefana w Wiedniu, dla uczczenia pamięci bohatera wyprawy wiedeńskiej.

Po ukończeniu w numerze 14-tym powieści Łady „O duszę", wydrukowano obrazek Klemensa Junoszy „Wnuczek", illustrowany ołówkiem Kostrzewskiego, a następnie dłuższą humoreskę na tle stosunków małomiasteczkowych pióra Konrada Machczyńskiego, p. t. „Burmistrz rogaty."

Ks. A. Brykczyński drukował w tym roczniku wrażenia ze swych podróży po obczyznie.

Zgon ś. p. J. E. ks. Antoniego Audziewicza, biskupa wileńskiego, odbił się żałosnem echem na łamach „Biesiady" we wspomnieniu pośmiertnem i portrecie.

Odbywającą się w Warszawie wystawę metalową upamiętniły liczne artykuły i rysunki.

W numerze 27-ym, pierwszym w nowem półroczu, znajduje się początek powieści Michała Wołowskiego „Na cudzym obroku".

Kronika żałobna pisma naszego zapisała zgony: pisarza-doktora Wład. Matlakowskiego, spółredaktora „Słowa" Antoniego Zaleskiego, muzyka Jana Kleczyńskiego i podała ich portrety.

Wystawa przemysłowa w Łodzi, również jak wystawa w Pradze Czeskiej, znalazły swe echo na łamach „Biesiady".

Zgon dzielnego a skromnego uczonego ś. p. Żegoty Pauli uczciła „Biesiada" nekrologiem i portretem.

Prenumeratorowie całoroczni otrzymali na premium dzieło cenne „Siła woli".

W „Wieczorach powieściowych" znalazła się, między innemi, słynna praca kapitana Danrita, p. t. „Śmierć Europie", którą czytelnicy przyjęli z uznaniem.

R. 1896. W nowym roczniku rozpoczynają się od 1-go numeru: opowiadanie Karola Brzozowskiego „Dumny Turek" i powieść T. T. Jeża (Władysława Bonara) „Którędy do szczęścia?" W tymże numerze znajduje się wspomnienie „Z czasów młodości" Zygmunta Noskowskiego.

25-lecie istnienia Warszawskiego Towarzystwa Kredytowego Miejskiego upamiętnił szereg rysunków i artykuł.

Numer 3-ci przyniósł pierwszy z cyklu rysunków humorystycznych, stanowiących „Kalendarz Franciszka Kostrzewskiego".

W dodatku do n-ru 4-go pomieszczono przegląd styczniowy „Pasieki sąsiedzkiej" t. j. wybitniejszych artykułów z czasopism krajowych; dział ten, życzliwie przyjęty, wcielony został następnie do treści samego numeru.

D-r H. Dobrzycki pomieścił w dwóch numerach źródłowy artykuł „90-lecie towarzystwa lekarskiego w Wilnie" z licznemi rysunkami.

Nr 7-my przyniósł portrecik, wierszem przez Jordana skreślony, p. t. „Żanetka", krytykujący wadliwe wychowanie niektórych panien „z towarzystwa". Drobny ten utwór wywołał polemikę: „Odpowiedź Jordanowi", daną przez Zawiślaną, i „Odpowiedź na odpowiedź" pióra Jordana.

Niesłychanie ważne odkrycie Röntgena wyjaśniono szczegółowo słowem i rysunkami.

W liczbie zabaw karnawałowych pierwsze miejsce zajął bal kostiumowy w sali ratuszowej, dany na korzyść Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami i dziećmi.

Numer 11-ty mieści dwa portrety Adama Mickiewicza, podług rzeźb Dawida i Préaulta, oraz rysunki paru scen z utworów poety.

Na czele n-ru 15-go znajduje się rysunek pieczęci i emblematów cechów łowickich.

Nr 18-ty podaje pomysł pomnika na uczczenie zasług ś. p. Stanisława Jachowicza, dotychczas, niestety, nie urzeczywistniony.

Wobec częstych starć z sobą pracowników literackich, starć, wywołujących najrozmaitsze niepożądane a nieraz opłakane skutki, obniżające godność zawodu literackiego, „Sęp“ zaproponował w jednej ze swych kronik utworzenie rodziny literackiej, ciężar zaś odrodzenia jej włożył na barki sędziwego Jenikego. Z tego powodu Ludwik Jenike w numerze 19 pomieścił list, w którym zaznaczając, że na organizatora jest już jakoby za stary, pisze: „Zbierzcie się, młodzi, zbierzcie i wy, starsi, choć niezbyt starzy jeszcze, obmyślcie, co robić, złóżcie syndykat, mający roztrzygać polubownie sprawy literackie“. Po latach trzech od tego czasu doczekaliśmy się „Kasy literackiej.“

Odnowienie prastarej macierzy kościołów kujawskich, katedry włocławskiej, przypomniała „Biesiada“ artykułem i rysunkiem.

W rocznicę zgonu Juliusza Słowackiego „Biesiada“ pomieściła portret wieszcza, podług medalionu Oleszczyńskiego i widok grobu na cmentarzu Montmartre w Paryżu, z artykułem L. Méyeta.

Warszawską wystawę hygieniczną dokładnie dały poznać czytelnikom zamiejscowym liczne rysunki i artykuły.

Zgon ś. p. biskupa płockiego, J. Eks. ks. Michała Nowodworskiego uczciła „Biesiada“ wspomnieniem pełnem czci, widokami z pogrzebu i portretem.

Rozpoczęcie starań około utworzenia doniosłej dla mieszkańców Warszawy instytucyi „Pogotowia ratunkowego“ uprzytomnił rysunek z portretami fundatorów.

Wystawę tysiącolecia węgierskiego przypomniały w „Biesiadzie“ rysunki i artykuły.

W numerze 31-ym rozpoczął się szereg szkiców znanego „taternika“ i malarza, Walerego Eljasza, pod zbiorowym tytułem „W Tatry.“

Pierwszy szkic nosi tytuł „Na Wysoką.“

Podróżnik znajdował się w tem wyjątkowo szczęśliwem położeniu, że słowa jego illustrował ołówek własny, nie mogło więc być najmniejszego rozdźwięku między jednem a drugim.

Zgon ś. p. księży: prałata Rocha Filochowskiego i kanonika Antoniego Gabryelskiego uczciła „Biesiada“ portretami i nekrologami.

Daleka od ślepego szowinizmu, nie uznającego dobytków cywilizacyjnych u wrogów, „Biesiada“ dała, w swoim czasie, widok ogólny wystawy w Berlinie i streszczony zarys jej zawartości.

Zgonowi znakomitego powieściopisarza historycznego ś. p. Zygmunta Kaczkowskiego poświęcono wspomnienie, wraz z portretem autora „Murdeliona“.

Nowo pozyskana współpracowniczka „Biesiady“ hr. Cecylia Zyberg Platerówna dała cenny artykuł p. t. „Słowo prawdy o gospodarstwie kobiecem“.

W numerze 46-ym rozpoczęto druk notatek z podróży do Czarnogóry przez księdza Marcina Czermińskiego.

W numerze gwiazdkowym zasługują na uwagę: artykuł M. Synoradzkiego „Gwiazdka mistrzów poezyi polskiej“, opowiadający, jak spędzali na obczyznie wigilie Narodzin Chrystusa Słowacki i Mickiewicz, oraz St. Schnür—Pepłowskiego „Uroczystość Bożego Narodzenia dawniej i dziś.“

Prenumeratorowie całoroczni otrzymali, jako premium, obraz artystycznie kolorami wykonany „Ojcze nasz.“ Trzy premia treści religijnej, zwłaszcza „Zdrowaś Marya“, zjednały sobie ogólne uznanie, nie tylko prenumeratorów, prasy, ale i władzy duchownej.

1897 r. W numerze 1-ym kronikarz „Sęp“, kryjąc się czasowo za bezimienność, polecił względom swych przyjaciół „Sępa“ powieściopisarza, który w 30-tu numerach opowiadał o tem, co się działo „Siłą prawdy“.

Trzydziestoleciu pracy Adama Asnyka poświęcono studyum literackie i portret.

Dr W. Czermak podał monografię historyczną „U zięcia“, osnutą na tle dziejów Maryi Leszczyńskiej.

Otwarcie panoramy „Golgota“ uprzytomniły rysunki i obszerny artykuł.

Początek roku przyniósł nam nowy dar duchowy, będący najdroższą nagrodą: błogosławieństwo kapłańskie J. E. arcybiskupa warszawskiego ks. Wincentego Teofila Chościak Popiela i J. E. biskupa sufragana warszawskiego ks. Kazimierza Ruszkiewicza. Listy dwóch najdostojniejszych kapłanów pomieścił nr 6-ty „Biesiady“.

Dwudziestopięciolecie działalności na polu piśmienniczem znakomitego publicysty i pisarza, Bolesława Prusa, uczciliśmy portretem i studyum obszernem.

Na uderzenie redakcyi „Gazety Radomskiej“ w dzwon, przypominające o 100-nej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, odezwały się echa we wszystkich pismach polskich.

Wziąwszy, narówni z innemi pismami, udział w zbieraniu składek na pomnik wieszcza w Warszawie, „Biesiada literacka“ już w numerze z dnia 12-go marca 1897 r. zaproponowała uczczenie pamięci mistrza przez utworzenie *Stowarzyszenia, czuwającego w kraju nad pamiątkami, posiadającemi wartość artystyczną lub dziejową.*

Inicyatywę naszą przyjęli sympatycznie wszyscy koledzy po piórze, a rzecz, omawiana wszechstronnie, zyskać musi na pewnej jeszcze zwłoce.

Jubileusze: setnej rocznicy urodzin J. Korzeniowskiego i 10-tej rocznicy zgonu J. I. Kraszewskiego, jednocześnie obchodzone, odbiły się na łamach naszych w numerze, poświęconym ich pamięci.

Nr 13-ty zawiera portret nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Mac-Cinleya.

Zgon szlachetnego przyjaciela Polaków ś. p. Edwarda Jelinka znalazł odgłos pełen żalu na łamach „Biesiady.“ Dano portret i życiorys zmarłego.

Dziewięciowiekową rocznicę męczeństwa świętego Wojciecha upamiętniono w licznych artykułach i rysunkach n-ru 18-go.

Wojnę grecko-turecką zaznaczyły rysunki okolicznościowe.

Nr 22-gi można nazwać numerem jubileuszowym Deotymy, której całą kronikę poświęcił „Sęp“, strofy natchnione poeta Ant. Pilecki, artykuł „Improwizacye i poezye“ M. Synoradzki, streszczenie zaś „Panienki“ z rycinami zajęło większą część numeru.

Nie wspominaliśmy dotychczas o powieściach tłumaczonych, drukowanych w „Biesiadzie“, wyjątek uczynić musimy dla „Szpiega“ Coopera, a to z powodu, że powieść tę illustrują rysunki E. M. Andriollego.

Jako echo obchodu 10-letniej rocznicy zgonu J. I. Kraszewskiego znajduje się widok pomnika czcigodnego pisarza, wzniesionego w kościele św. Krzyża.

Jak wszystkie ważniejsze wypadki chwili, i wystawa introligatorska w Warszawie była szeroko opisana i illustrowana w „Biesiadzie“; również wystawa inwentarza.

Żal po zgonie czcigodnego mecenasa, Henryka Krajewskiego, znalazł wyraz w wspomnieniu pośmiertnem, portrecie, według obrazu Jana Matejki, i podniosłym wierszu Waleryana Staniszewskiego.

Zejście do grobu gwiazdy sceny krakowskiej, Antoniny Hoffmanowej, przypomniał nekrolog i portret.

Stanisław Bełza umieścił wrażenia z wycieczki p. t. „Na Szląsku pruskim“.

Wystawienie prawie współczesne w teatrach naszych dwóch utworów, wprowadzających na scenę postać Chryzostoma Paska, przypominają podane sceny z „Grochowego wieńca“ i „Towarzysza pancernego“, wraz z fotografiami ich autorów.

Naskutek pomieszczonej w n-rze 29 gorącej odezwy ks. F. Brażewicza, wzywającego do składek na rzecz dotkniętych klęską gradobicia parafian w Połańcu, posypały się raźno ofiary dla nich i na budowę kościoła.

Nr. 31 zawiera początek wyjątków z obszerniejszego pamiętnika Aleksandra hr. Fredry p. t. „W roku 1813“.

Zgon jednego z mistrzów pieśni polskiej, Adama Asnyka, uczciło studyum pióra M. Synoradzkiego, poezya Antoniego Pileckiego i szereg rysunków.

Wystawę w Stokholmie upamiętniły stosowne rysunki i artykuły.

Arwor (K. Laskowski) dał doskonałą humoreskę z życia p. t. „Aktor na zagonie“, illustrowaną przez Arkadyusza Mucharskiego.

Pobyt Najjaśniejszych Państwa w Warszawie upamiętniły portrety Pary Cesarskiej i szereg rysunków, przedstawiających różne ulice Warszawy podczas przejazdu Najjaśniejszych Państwa.

Walery Eljasz dał szkic podług pamiętników księdza Józefa Stolarczyka, p. t. „Zakopane przed trzydziestu laty“.

Nr. 38 przyniósł rysunek nagrodzonego przez komitet projektu pomnika Adama Mickiewicza.

Rok 1897 wyrządził ciężkie straty poezyi polskiej: po Asnyku ułożył się do grobu ostatni z bardów, którzy natchnioną pieśnią karmili i podnosili serca, twórca „Skarg Jeremiego“, Kornel Ujejski. Uczciliśmy go, jak przystało, wspomnieniem serdecznem i portretem, „wyjętym z teki zasłużonych“ Tytusa Maleszewskiego.

W n-rze 41, jako nowy dowód łaski dla „Biesiady“, pomieściliśmy autograf listu J. E. arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, ks. Floryana Stablewskiego, udzielającego nam swego błogosławieństwa arcypasterskiego.

Trzydziesto-piątą rocznicę zgonu ś. p. Władysława Syrokomli, lirnika wioskowego, uczciła „Biesiada“ numerem pamiątkowym, na który złożyły się: portrety poety i sceny z jego utworów, podług rysunków Andriollego.

W tymże numerze zdano sprawę z obrotu funduszu, zbieranego przez redakcyę „Biesiady“ na budowę pomnika Syrokomli. Fundusz ten z odsetkami wyniósł po dzień 1 października 1897 r. 1286 rb. 20 kop.

Pamięć zacnego filantropa-obywatela, ś. p. Edwarda Czabana, utrwaliły w „Biesiadzie“ życiorys jego i portret.

Poświęcenie pomnika hr. Aleksandra Fredry we Lwowie odbiło się na łamach „Biesiady“ w nr. 46.

Nr. 47 przyniósł rysunek, odtwarzający nabożeństwo żałobne w kościele Ś-go Jana w Wilnie, odprawione za dusze ś. p. Ujejskiego i Asnyka.

W rocznicę zgonu Adama Mickiewicza wydaliśmy numer pamiątkowy. Na czele artykułów widnieje ustęp ze „Wspomnień córki“ (Maryi Goreckiej); Leopold Méyet dał dwa szkice: „Adam Mickiewicz“, rzeźba Marcelego Gujskiego, i „Mogiła

na Montmorency“; M. Synoradzki zebrał głosy przy trumnie ze zwłokami ś. p. Adama Mickiewicza. Portrety poety, szereg rysunków uroczystości pogrzebowych, widoki Wawelu i Montmorency dopełniają całości numeru.

Zgon idealnego obywatela kraju, księgarza i właściciela cennych zbiorów antykwarskich w Warszawie, ś. p. Jakóba Kazimierza Gieysztora, upamiętniła „Biesiada“ wspomnieniem i portretem.

Walery Eljasz dał szkic z działu „W Tatrach“, opisujący najstarszego przewodnika, Macieja Sieczkę.

Wystawienie na scenie warszawskiej „Goplany“ było powodem podania czytelnikom portretu jej twórcy, Władysława Żeleńskiego, oraz rysunków, illustrujących sceny z innych jego oper.

Jubileusz 50-letniej działalności na polu piśmienniczem Adama Pługa upamiętniła „Biesiada“ portretem jubilata i serdecznem słowem „Sępa“.

Prenumeratorowie całoroczni otrzymali, jako premium bezpłatne, obraz „Zdrowaś Marya“, kompozycyi L. Stasiaka.

R. 1898. Rocznik rozpoczyna się rysunkiem, przedstawiającym Ojca Świętego, Leona XIII, błogosławiącego.

W tymże numerze redakcya powróciła do wspomnień rodzinnych, spisanych przez córkę naszego wieszcza, Maryę Gorecką, streszczając je w artykule: „Adam Mickiewicz wśród swojej rodziny“.

Włodzimierz Trąmpczyński dał do tego numeru kartkę z pamiętnika p. t. „Dawison i Alpuhara“.

Dr. Adam Karwowski, syn szanownego naszego współpracownika i przyjaciela, dra Stanisława, dał „Przygody i wrażenia lekarza okrętowego“. Podróż ta była illustrowana.

Powieść, na tle stosunków rodzinnych osnuta, p. t. „Mężna niewiasta“, pióra Bronisława Grabowskiego, zajęła kilkanaście numerów.

Czterdziestolecie wystawienia „Halki“ na scenie warszawskiej przypomniała grupa pierwszych jej wykonawców i artykuł.

W nr. 3 znajduje się wiersz Jana Zacharyasiewicza do Adama Pługa, z powodu jubileuszu tego ostatniego.

Zgon zasłużonego artysty malarza, ś. p. Tytusa Maleszewskiego, uczciła „Biesiada“ gorącemi wspomnieniami pośmiertnemi, portretem zmarłego i podaniem kilku kopij z najcelniejszych jego obrazów.

Mianowanie przez Stolicę Apostolską nowych Biskupów polskich upamiętniliśmy podaniem ich życiorysów i portretów.

Celem uczczenia pamięci autora pierwszych „Listów z zakątka“, niezapomnianego J. I. Kraszewskiego, redakcya wprowadziła nanowo owe „Listy“, poświęcone sprawom literackim i rozpoczynające się sentencyami z pism J. I. Kraszewskiego.

Pierwsze listy napisał dr. Piotr Chmielowski o Adamie Bełcikowskim, o pierwszych utworach Adama Pługa i t. d., następnie pisali je od czasu do czasu pp. Juliusz, Olan i inni.

Od nr. 5 redakcya, nie zadawalniając się rozmową z czytelnikami w rozszerzającym się z dniem każdym dziale „Post scriptum“, mieszczącym odpowiedzi na zapytania i listy, utworzyła nowy dział „Biesiada poufna“, przeznaczony na sprawy poufne, niemal rodzinne, ale potrącające zarazem o kwestye doniosłe dla ogółu. Tytuł działu tego zmieniliśmy następnie na „Narady poufne“.

Portret literacki jubilatki, Seweryny Pruszakowej-Duchińskiej, pomieściliśmy w n-rze 6-tym.

Następny numer przyniósł artykuł illustrowany, opisujący szczegóły potoczne „Z życia Jego Świętobliwości Leona XIII“.

Nr. 8 może być nazwany grottgerowskim. Portret i rysunki mistrza wypełniają cały dział illustracyjny; trzy artykuły obrazują momenty z życia i treść obrazów Grottgera.

Grupa zbiorowa Dostojników Kościoła, złożona z Arcypasterza warszawskiego, ks. Wincentego Chościak Popiela, Biskupów: kieleckiego i sejneńskiego, Biskupów-sufraganów warszawskiego i kujawsko-brzeskiego, podług fotografii Edw. Troczewskiego, znajduje się w Nr. 10.

Zgon zasłużonej pracowniczki na polu literackiem, założycielki i kierowniczki „Wieczorów rodzinnych“ i „Kroniki rodzinnej“, ś. p. Aleksandry Borkowskiej, upamiętniliśmy portretem i nekrologiem.

W nr. 12 znajdujemy artykuł Z. Żur. p. t. „Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ i widoki Wilna.

Zgon utalentowanego współpracownika naszego, sympatycznego humorysty, ś. p. Klemensa Junoszy, opłakawszy na równi z innymi, uczciliśmy przypomnieniem jednego z najpiękniejszych obrazków jego p. t. „Wnuczek“, portretem, oraz widokami eksportacyi w Lublinie.

W nr. 17 Pelagia Restorffowa pomieściła artykuł p. t. „Karyera czy charakter?“, ważny w sprawie wychowania dzieci.

Wojnę hiszpańsko-amerykańską upamiętniły streszczone pokrótce wiadomości z pola bitwy, oraz liczne rysunki.

Przed porą roku kąpielową podaliśmy obszerną pracę d-ra H. Dobrzyckiego p. t. „Gdzie szukać zdrowia?“, illustrowaną widokami zdrojowisk i zakładów leczniczych.

Zgon ś. p. Michała Mosiołka, literata z pod strzechy wieśniaczej, pisującego pod mianem „Radomczyka“, uczciliśmy wspomnieniem życzliwem w dziale „Pług i kądziel“ i portretem.

Nr. 22 przyniósł początek powieści autora „Krzyżowców“ (Ad. Rzążewskiego), osnutej na tle życia Juliana Ursyna Niemcewicza.

Do nr. 23 P. Restorffowa dała drugi cenny artykuł z cyklu „Rodzina“ p. t. „Na wakacyach“.

Zgon ś. p. ks. Cyryla Lubowidzkiego, biskupa łucko-żytomierskiego, uczciliśmy nekrologiem i portretem.

Nr. 30 przyniósł widoki pomnika Adama Mickiewicza w Krakowie i uroczystości krakowskich z powodu poświęcenia pomnika.

Zgon niezrównanego znawcy przeszłości Warszawy, ś. p. Juliana Heppena, uczciliśmy wspomnieniem i portretem.

W trzech numerach podaliśmy ryciny, odtwarzające sceny z dramatu Barreta „Lygia“. Dramat ten otrzymali wszyscy bez wyjątku prenumeratorowie „Biesiady“, jako dodatek nadzwyczajny.

Zgon ś. p. kardynała Sylwestra Sembratowicza upamiętnił nekrolog i portret; tak samo uczciliśmy pamięć kapłana i publicysty, ś. p. ks. Franciszka Salezego Krupińskiego.

Wystawę archeologiczną w Łomży opisali: Łomżynianin i Z. Sokołowska; liczne fotografie illustrowały opisy.

Śmierć tragiczną cesarzowej austryackiej Elżbiety obwieściliśmy czytelnikom artykułami i portretem.

Wystawę rolniczą w Kielcach upamiętniły liczne widoki i portrety.

W numerze z dnia Zadusznego podaliśmy widoki dwóch grobów w Łomży, w których spoczęły zwłoki zasłużonych mężów: ś. p. Feliksa Bernatowicza i Jakóba Wagi.

W tymże numerze znajdują się trzy widoki z bruku łódzkiego.

W nr. 43 p. Marya ze Skirmuntów Twardowska rozpoczęła opowieść o losach misyonarza, p. t. „Ksiądz Michał Twardowski w Indyach“.

Wprowadziliśmy nowy dział: „Prawdzie w oczy“, i rozszerzyliśmy rubrykę wiadomości bieżących, a to na prośbę niektórych czytelników, pragnących, żeby „Biesiada“ mogła zastąpić im poniekąd i dziennik.

W nr. 43, ku uczczeniu naszego roku jubileuszowego, ogłosiliśmy konkurs artystyczny na kompozycye, illustrujące dzieła księdza Piotra Skargi. Zaprosiliśmy wszystkich artystów polskich.

Odszukany przez szperaczy, na podwórzu przy ulicy Grzybowskiej, posąg kamienny króla Kazimierza Wielkiego odtworzyliśmy na rysunku w nr. 44-ym.

Uprzejmości kolegi L. Uziębły zawdzięczamy kopię rysunku artysty malarza wileńskiego, W. Ślendzińskiego: „Święci i prorocy Pańscy“.

Zgon redaktora „Dziennika dla wszystkich“, ś. p. Henryka Perzyńskiego, uczciliśmy wspomnieniem pośmiertnem i portretem.

Uroczystość odsłonienia w kościele PP. Wizytek pomnika ś. p. Jędrzeja Śniadeckiego upamiętniła się na szpaltach „Biesiady“ w podobiznach portretu i pomnika, oraz w stosownym artykule.

W nr. 47 ks. A. Brykczyński pomieścił artykuł żywotny w sprawie niesłowności naszej, p. t. „Słowo się rzekło“.

Bohaterskie poświęcenie się dra Müllera, podczas dżumy w Wiedniu, „Biesiada“ uczciła portretem lekarza.

Z powodu pojedynków posła Gniewosza i hr. Badeniego z Wolffem, pomieściliśmy obszerne studyum o pojedynkach, osnute na dziełach Czackiego i Lelewela.

Zgon mistrzyni słowa polskiego, ś. p. Aleksandry Rakiewiczowej, upamiętniliśmy słowem i portretem.

Uroczystości: uczczenia pamięci Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, z powodu setnej rocznicy jej urodzin, i odsłonienia pomnika Jana Sobieskiego we Lwowie odbiły się na łamach „Biesiady“ w artykułach i rysunkach.

W Nr. 50 podaliśmy udzielone nam przez generał-lejtnanta Puzyrewskiego rysunki do dzieła jego, opisującego szarżę kawalerzystów polskich na Somo-Sierra.

Numer gwiazdkowy, przypadający w sam dzień uroczystości Mickiewiczowskich w Warszawie, podał, między innemi, streszczenie dzieła Józefa Tretiaka p. t. „Młodość Mickiewicza“ i początek artykułu L. Uziębły „Nieco pamiątek Mickiewiczowskich“; w dziale rysunkowym zaś widok pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie, portrety Adama i Celiny Mickiewiczów, rysowane przez K. Mordasewicza, podług dagerotypów ze zbiorów L. Méyeta, widoki miejscowości pamiątkowych w życiu poety i jego apoteozę.

Przy numerze gwiazdkowym wszyscy prenumeratorowie otrzymali, jako podarek jubileuszowy, życiorys Mickiewicza z rysunkami, a przy następnym kalendarz ścienny na rok 1899 z pomnikiem Mickiewicza.

Niezależnie od tego, przedpłatnicy całoroczni dostali ostatni z trzech obrazów, stanowiących cykl „Błogosławieństwo temu domowi“, a mianowicie „Wierzę w Boga“.

W dodatkach powieściowych na pierwszym planie stała doskonała powieść historyczna przez Pawła i Wiktora Margueritte p. t. „Klęska“, stanowiąca odpowiedź na Zolowski „Pogrom“.

R. 1899. Zwiększoną już w roku poprzednim objętość „Biesiady“, stosownie do wyrażonego przez większość czytelników życzenia, powiększyliśmy

jeszcze do rozmiaru trzech arkuszy druku, przyczem ogłoszenia, nowo wprowadzone działy mód i szachów, szarady, zadania, logogryfy, mniejsze artykuły i drobiazgi przenieśliśmy na okładkę.

Różnicę, jaką stanowi to powiększenie objętości, możemy ocenić z zestawienia zawartości tomów obecnych z tomami poprzedniemi. Tomy normalne, np. w r. 1892, po 26 numerów liczące, zawierają po 416 stronic druku; tom 45 z r. 1898 mieści stronic 516, tom 46 z tegoż roku — 484 (nie licząc kilkudziesięciostronicowej „Lygii“), tom 47 z r. 1899— stronic 520.

Każdy, mający wyobrażenie o kosztach wydawniczych, przyzna, że tych 100 z górą stronic nadliczbowych, z jakąś setką rysunków, z dodatkowemi kosztami druku, papieru, spółpracownictwa literatów i rysowników, wyniosą jakieś kilka tysięcy rubli rocznie. Liczby te przytaczamy, aby dać dowód czytelnikom, że czynimy, co możemy, że wśród ogólnego prądu konkurencyjnego, prądu, który postawił za warunek dawanie jak najwięcej papieru, i my nie pozostaliśmy w tyle, z tem zastrzeżeniem, iż niezależnie od zwiększenia ilości stronic zadrukowanych, staramy się o zapełnienie ich treścią zajmującą, żywotną i licującą z ideałami naszemi.

Nowy rocznik rozpoczyna piękna, symboliczna rycina Ks. Pilattiego, przedstawiająca Ojca Świętego, wskazującego pielgrzymowi krzyż Pański z godłem: „Habeas fidem!“ (miej wiarę).

Sewer, przypomniawszy sobie o dawnej swej przyjaciółce, „Biesiadzie,“ umieścił w niej nowellę „Miłość panicza“, illustrowaną rysunkami A. Mucharskiego.

Zygmunt Sarnecki dał, ku uczczeniu imienia Mickiewicza, obraz sceniczny „W Tuhanowiczach“, wyprowadzający na scenę Adama Mickiewicza, Tomasza Zana, Michała Wereszczakę, Wawrzyńca Puttkamera, Marylę Wereszczakównę, marszałkową, jej matkę i dworzan.

Dział rysunkowy wypełniają: widoki rozmaitych chwil odsłonienia pomnika A. Mickiewicza, posągu, świeczników, kraty, portret twórcy pomnika, Cypryana Godebskiego i t. p.

Z powodu wznowienia „Hrabiny“ Moniuszki, „Biesiada“ podała rysunek Ks. Pilattiego, odtwarzający sceny i typy z opery, oraz oblicza jej twórców: kompozytora i librecisty.

W numerze ponoworocznym znajduje się barwny obraz Z. Sokołowskiej „Odjazd emigrantów“ i początek artykułu Ed. Jankowskiego „Istrya czerwona“.

Nr. 2 podaje portrety członków komitetu budowy pomnika A. Mickiewicza, z Henrykiem Sienkiewiczem na czele, Celiny Szymanowskiej i Maryli, oraz podobizny: jubilata, sędziwego poety Karola Brzozowskiego i słynnego wirtuoza-pianisty Ignacego Paderewskiego; tego ostatniego z powodu pobytu jego w Warszawie.

W nr. 4 rozpoczyna się druk powieści Stanisława Pileckiego, osnutej na tle stosunków wielkoświatowych, p. t. „Uboga panna“.

Ks. Antoni Brykczyński odnawia swoje niepożyte wspomnienia o „Katakumbach rzymskich“.

Redakcya w ciągłem staraniu się o urozmaicenie programu pisma, połączone z pożytkiem umysłowym czytelników, wprowadza do nr. 5 „Encyklopedyę illustrowaną wynalazków, odkryć, zastosowań praktycznych, nadzwyczajności“.

Zgon niezapomnianego twórcy obrazów, odtwarzających przeszłość naszą, ś. p. Juliusza Kossaka, uczciła „Biesiada“ pomieszczeniem pięknego portretu podług K. Pochwalskiego, widokiem pogrzebu, reprodukcyą licznych obrazów zmarłego mistrza pędzla i ołówka, serdecznem wspomnieniem i artykułem pióra J. J. Rychtera p. t. „W dworku Wygoda“.

Śmierć Feliksa Faure'a i objęcie prezydentury przez E. Loubet'a upamiętniły liczne artykuły i rysunki; również uczciliśmy pamięć zgasłych w tym czasie luminarzy zagranicznych i krajowych.

Numer przedwielkanócny odznacza się nadzwyczajnem bogactwem rysunków, specyalnie na zamówienie nasze wykonanych przez artystów-malarzy swojskich: Ks. Pilattego, H. Piątkowskiego i L. Stasiaka. W numerze tym wyróżnia się artykuł Stanisława Schnür-Pepłowskiego „Święcone“, z tłumaczonych zaś nowe szczegóły, zawarte w pracy L. Legera, p. t. „Adam Mickiewicz w Szwajcaryi“ i początek powieści z czasów Tyberyusza p. t. „Nowy Bóg“.

Pięćdziesięciolecie zgonu ś. p. J. Słowackiego przypomniały czytelnikom odpowiednie artykuły i rysunki. Zwracał szczególną uwagę portret Słowackiego rysunku K. Mordasewicza.

W nr. 15 Lucyan Uziębło podał notatkę „Malarstwo wileńskie“, illustrowaną rysunkami.

Niepokojące wieści o groźnym stanie zdrowia Ojca Świętego odbiły się żywem echem na łamach „Biesiady“; przy sposobności pomieściliśmy kilka rysunków okolicznościowych.

Z uwagi na ogłoszony przez nas konkurs na prace illustracyjne do dzieł ks. Skargi, pomieściliśmy zwięzłe studyum J. Zahorskiego p. t. „Ksiądz Piotr Skarga Pawęzki“.

Zofia Sokołowska rozwija w dalszym ciągu barwne obrazy z podróży swej po Europie „Szlakiem nadmorskim“.

Zgon polskiego „Lessepsa“, ś. p. Stanisława Kierbedzia, uczciliśmy sympatycznemi wspomnieniami i portretem; tąż samą czcią otoczyliśmy po-

stacie ś. p. Jana Pankiewicza, ks. Nestora Bieroń-skiego i Wiktora hr. Ronikera.

W prowadzonej systematycznie rubryce „Zasłużonych na różnych polach“ nie pominęliśmy, o ile się dało, żadnego nazwiska z dzielnych pracowników krajowych.

Będącą na czasie sprawę rozrywek ludowych poruszyliśmy w artykułach: „Panem et circenses“ i „Latarnia czarnoksięska“.

Drukowaną w tem półroczu pracę dra Matlakowskiego p. t. „Wspomnienia z Zakopanego“ czytelnicy nasi przyjęli z wielkiem uznaniem.

Uzyskawszy od głównego zarządu prasy pozwolenie na pomieszczanie artykułów treści historycznej, rozpoczęliśmy od nr. 20 podawanie całego szeregu „Budowli historycznych“, a w nr. 21 druk „Somo-Sierry“, podług dzieła generała Puzyrewskiego. Następnie poszli „Tułacze“, skrót monografii A. Kraushara. Dział historyczny będziemy rozszerzali stopniowo, wybierając doń prace uznanej wartości.

W nr. 22 charakterystyczne widoki kiermaszów wileńskich.

Z powodu otwarcia wystawy łowieckiej w Warszawie, daliśmy kilkanaście obrazów scen łowieckich pędzla naszych mistrzów.

W tymże numerze wiersz drobny p. t. „O kozią wełnę“ przez L. J. Inicyały te ukrywają nazwisko czcigodnego nestora dziennikarzy warszawskich, b. redaktora „Tygodnika Illustrowanego“, Ludwika Jenikego, który w następnym kwartale, na prośbę naszą, rozpoczął prowadzenie stałego działu p. t. „Czy to po polsku“? Listy dziękczynne stwierdzają żywotność tej rubryki i sumienność jej prowadzenia.

W n-rze 27-ym portret i życiorys pierwszego prezesa krakowskiej akademii umiejętności, ś. p. d-ra Józefa Majera.

W n-rze 28-ym Wojciech Gerson opisał wystawę dzieł Maryi Klass-Kazanowskiej. Portret przedwcześnie zmarłej artystki i fotografia wystawy dopełniają artykuł.

Z powodu wystawy dzieł ś. p. Juljusza Kossaka, w Towarzystwie Zachęty sztuk pięknych, przypomnieliśmy czytelnikom cały szereg dzieł nieodżałowanego mistrza.

W drugiem półroczu 1899 przypadły Jubileusze 50-lecia kapłaństwa Ich Ekscelencyi: Najdostojniejszego Arcypasterza ks. Wincentego Teofila Chościak Popiela i Jego Czcigodnych Towarzyszów Biskupów: sandomierskiego, ks. Antoniego Ksawerego Sotkiewicza i kieleckiego, ks. Tomasza Teofila Kulińskiego. Radosne dla wszystkich katolików-Polaków daty upamiętniliśmy wydaniem jubileuszowych numerów, które zyskały uznanie nietylko czytelników i prasy naszej, lecz i Najdostojniejszych Jubilatów.

W n-rze 31-szym znajdujemy pierwszy list z nad Bosforu, napisany przez Radomyślanina, który odtąd zapisał się do grona stałych spółpracowników naszych.

Po ukończeniu powieści Pileckiego „Uboga panna“ daliśmy krótki obrazek rodzajowy Ireny Mrozowickiej „Iskierki,“ następnie zaś powieść piszącego po francuzku rodaka naszego, A. hr. Wodzińskiego „Wnuczka,“ dedykowaną mistrzowi powieści współczesnej, Henrykowi Sienkiewiczowi.

W n-rze 32-im portret J. E. ks. Augustyna Rosentretera, biskupa chełmińskiego.

W n-rach 33-cim i 34-tym dr. Józef Thórznicki opisał „Dzień w Nałęczowie,“ illustrowany rysunkami.

Pożar Grodna zobrazowaliśmy słowem i rysunkiem.

W n-rze 34-ym rozpoczęliśmy druk streszczenia pracy prof. Romana Plenkiewicza o Janie Kochanowskim, illustrowanej rysunkami.

W tymże numerze portret i życiorys ś. p. d-ra Konrada Chmielewskiego, czcigodnego kierownika zakładu leczniczego w Nałęczowie.

Z powodu zapowiedzianego na dzień 13-ty listopada przez Falba „końca świata,“ daliśmy artykuł prof. Wiktora Doleżana „Dzień krytyczny w r. 1899.“

Z zupełnem uznaniem witając każdy wybitniejszy objaw życia prowincyi, wysłaliśmy na wystawy rolniczo-przemysłowe do Płocka i do Radomia swego delegata, który opisał je obszernie w kilku numerach, dodając tu i ówdzie rysunki dla uplastycznienia tekstu.

Dwie wystawy Wileńskie opisali: Swój i L. Uziębło.

W dziale nowowprowadzonym „Stara Warszawa,“ przyjętym z wielkiem uznaniem, dajemy wszystko, „co godne pamięci wieczystej, co schodzi do grobu lub w perzynę się obraca...“ Działowi temu dodają wartości doskonałe fotografie Adama Münchheimera.

Zabytki Archikatedry warszawskiej znalazły się w dwóch numerach, w połączeniu z odtworzeniem dni jubileuszowych naszego Arcypasterza.

Uroczystość odsłonienia pomnika J. Słowackiego w Miłosławiu przypomniały artykuły i liczne rysunki.

W n-rze 40-tym portret i życiorys Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, założyciela muzeów we Lwowie.

Bohaterską wojnę Boerów z Anglikami zobrazowały liczne rysunki.

N-r 43-ci, z powodu 50-tej rocznicy zgonu mistrza pieśni polskiej, był „Chopinowskim“ w tekście i rysunkach.

Sprawom rodaków na obczyźnie poświęciliśmy nowo wprowadzony dział „Daleko a blizko.“

Przed dniem Zadusznym wydaliśmy numer okolicznościowy z rysunkami grobów na Wawelu, Starej Warszawy i t. p.

Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę nowego kościoła w Kijowie odbiła się na szpaltach naszych w słowie i rysunku, równie jak i takaż uroczystość w Radomiu.

W n-rze 44-tym daliśmy ważny artykuł o „losie zbiorów i bibliotek prywatnych.“

W n-rze 45-tym znalazła odbicie uroczystość 50-lecia istnienia kościoła Św. Karola Boromeusza w Warszawie.

W tymże numerze zwraca uwagę duży rysunek Dangera „Nie zabijaj!“ oraz rysunki Stasiaka „Wiśnicz.“

N-r 46-ty przynosi pierwszy „List o sztuce stosowanej.“

W n-rze 47-ym daliśmy urywek pracy podróżniczej p. A. Bondini'ego „O Japonii,“ z rysunkami.

W n-rze 49-tym portret i życiorys Najdostojniejszego Arcypasterza Mohylowskiego, J. E. ks. Szymona Kozłowskiego; w tymże numerze życiorys M. Kanteckiego, redaktora „Kuryera Poznańskiego.“

W okazałym, jak zwykle, numerze „gwiazdkowym,“ znalazły się rysunki uroczystości rozpoczęcia w Rzymie „Roku jubileuszowego.“

Prenumeratorowie całoroczni otrzymali premia: obraz „W Polskim lesie“ Fr. Kostrzewskiego, portret kolorowany Henryka Sienkiewicza, kalendarz ścienny na rok 1900.

Niniejszy „Herbarz“ stanowi również premium bezpłatne za rok 1899.

W dodatku, po ukończeniu druku dzieła prof. A. Pawińskiego „Hiszpania,“ pomieściliśmy powieść historyczną „Tragedya korony.“

Rozpatrzyliśmy pobieżnie treść 48-iu tomów „Biesiady“. Czytelnik, zawierający z pismem naszem znajomość od przejrzenia „Herbarza“, wyrobi sobie, bądź co bądź, pojęcie o tem, kogo mieliśmy w swych szeregach, jak spełnialiśmy służbę społeczną, jakie ideały nam przyświecały. Sądzimy, iż „Herbarz“ nasz spełni swe zadanie należycie. Czytelnicy jednak mogą powiedzieć: daliście nam szereg nazwisk i tytułów, nieco rysunków, my zaś wolelibyśmy dowiedzieć się coś o tem, jak pracę waszą przyjęło społeczeństwo rodzinne, czyście zdołali wyrobić sobie byt trwały, oparty na podwalinach niezłomnych. Każdy prenumerator, pojedynczo wzięty, to jednostka mniej lub więcej znacząca, gromada ich — to dopiero siła.

Stoi-ż przy was jakaś gromada?...

Aby módz odpowiedzieć wyczerpująco na to pytanie, należałoby chyba przedrukować tysiące odpowiedzi naszych na zapytania czytelników, dane w działach: „Gazetka“, „Post scriptum“, „Narady“, przytoczyć odpisy listów prywatnych i t. p. A pytano się nas nietylko o adresy lub informacye w przedmiotach potocznych, ale uciekano się o radę i pomoc w pokierowaniu zbłąkanemi dziećmi, wtajemniczano w kłopoty rodzinne, wprowadzano do sanctuaryum serc swoich...

Zaznaczyć to tylko możemy, ale nie możemy przedrukować.

Natomiast podzielimy się z czytelnikami, jak to przyrzekliśmy przed rokiem, wiązanką nieznanych im szczegółów, zdobytych dzięki kwestyonaryuszowi naszemu w sprawie powiększenia objętości lub formatu „Biesiady“.

Rezultat kwestyonaryusza wiadomy: prawie wszyscy oświadczyli się za powiększeniem objętości. W tym razie wykazała się dowodnie okoliczność, że po za nami, pracującymi stale przy biurkach redakcyjnych, stoi gromada, odczuwająca wszystkie nasze wydawnicze zabiegi, jak swe własne sprawy. Możemy z dumą zaznaczyć, że posiadamy wielotysięczny zastęp sodalisów takich, którzy oświadczyli wyraźnie, iż nie odstąpią nas do końca życia swego, choćbyśmy nawet, zmuszeni ostatecznością, zmniejszyli i format, i objętość; którzy powiadają: „Dajemy wam zupełne votum ufności, piszemy się na wszystko, co zrobicie.“ Nieliczne głosy, przemawiające za powiększeniem formatu, dodawały: „Uczynicie to dla własnego swego dobra, takie jest zdanie nasze, ale uszanujemy i wasze.“

Z olbrzymiego stosu listów wybierzemy choć po kilka, z grup różnych.

W. Ksiądz W. Siek w Libiszowie pisze: „Format „Biesiady“ obecny jest bardzo wygodny, tak przy czytaniu jak i do oprawy, i miły. Od lat 15 przyzwyczajony do niego, głosuję za jego utrzymaniem. Co do objętości, to mniemam, że czy większa, czy mniejsza, nie zmniejszy ona sympatyi dla szanownej Redakcyi, której przesłać należy życzliwe: „Szczęść Boże! i nadal“.

W. Ksiądz W. Dębowski z Raszyna: „Pięknym i wielkim jest kwiat tulipanu, wspaniałe są olbrzymie złocienie, przecudną białością odziewa się ogromna kalla; ale żaden z tych magnatów nie

dorówna małej różyczce, której każdy listek napawa nas przyjemną wonią, a obfitość ich składa tak miły oku i pociągający do siebie kwiatek. Niech więc „Biesiada“ zostanie małą w formacie, ale pełną zapachu w treści. Niech tylko z różyczki zamieni się w różę. A zatem niech będzie niewielką, lecz obfitującą we właściwy jej a zawsze cudny zapach.

Zresztą sama natura „Biesiady“ za zdaniem mojem przemawia—gdyż:

Ta tylko dla każdego zdrową jest biesiada,
Od której każdy wstaje zdrów, tak jak zdrów doń [siada.

A więc nie na wspaniałości, lecz na wartości dań treść jej polegać winna.“

Swobodę w wyborze zmian, jakie uważamy za właściwe, pozostawia nam **p. Walenty Uljański w Częstochowie:** „Co do powiększenia „Biesiady“, to zgadzam się na wszystko: format, objętość; nie wiem, co to znaczy, a wiem tylko, co znaczy „Biesiada“.

P. **Tadeusz Grotkowski w Krasnymstawie** radzi: „Biesiadę pozostawić nadal *taką, jaką jest obecnie*“.

P. M. Czychaczew z Rajgroda, pomijając kwestyę powiększenia formatu lub objętości, zaznacza krótko:

„Gra rolę treść, nie format“.

P. K. Wilpiszewski z Żytomierza uznaje, że teraźniejszy format jest najwłaściwszy i do czytania dogodniejszy, zwiększenie zaś objętości pozostawia do uznania redaktora-wydawcy.

Pani Olga Jezierska, wieloletnia prenumeratorka ze Sterdynia, pisze: „Cała moja rodzina i ja jesteśmy przeciwko zmianie formatu ukochanej naszej „Biesiady“, jest on albowiem nadzwyczaj wygodny i miły.“

P. Jana Nepomucena Wielickiego, z Warszawy, wiernego przyjaciela naszego od początku istnienia pisma, gniewa myśl powiększenia formatu. Pisze do nas: „Format „Biesiady“ teraźniejszy jest bardzo dogodny; komu do głowy przychodzi, żeby go zmienić! Sądzę, że wielu czytelników zgodzi się na moje zdanie“.

W tym samym duchu napisany jest list z podpisem *„10 czytelników z gubernii Mińskiej“*. Czytamy w nim, między innemi: „Format niewielki „Biesiady“ bardzo jest dobry i wygodny, *zwiększenie formatu dużo ujmie* pismu temu. Szkoda, że tę kochaną „Biesiadę“ męczą ciągłemi zmianami, niepotrzebnemi najzupełniej“.

Bardzo charakterystycznym i drogim dla nas jest list jednego z najdawniejszych prenumeratorów warszawskich, p. Br. Starzyńskiego:

„Biesiada Literacka“ powołuje swych prenumeratorów do głosowania:

Czy zwiększyć format, czy też objętość? Odpowiadam, ani jedno, ani drugie!

Format obecny jest nader wygodny, ustalony i do niego jużeśmy się przyzwyczaili,—pocóż ta nowość?—Co po wielkim formacie, jeśli treść mała! a tu w „Biesiadzie“ naszej treść góruje zawsze nad formą i przewyższa ją znakomicie. Zresztą po co psuć harmonię w naszych biblioteczkach, w których, jak np. u mnie, już 45 oprawnych tomów jest zsegregowanych.

A treść? Boże kochany! toż palce lizać, a kochanemu Redaktorowi ręce całować za poczciwą i jednostajną tendencyę jego i zacne artykuły, sprawiające to, że pismo jego z całem zaufaniem, bez kontroli i cenzury, dać można do czytania wszystkim członkom rodziny polsko-katolickiej, nie wyłączając dzieci.

„Biesiada Literacka“ jest prawdziwą biesiadą dla wszystkich rodzin i kół domowych, jest ich przyjacielem, za którą przez sześć dni w tygodniu tęsknią, a zawsze z radością witają. Pocóż więc zmiana i zwiększenie treści? Przeciwnie, treść i tendencya polsko-rodzinna i katolicka nie powinna być zmienioną, bo to właśnie jest zaletą pisma i to ją podtrzymuje. Jedynie jeszcze na format zgodzić by się można, jeżeli znaczna większość tego sobie życzy,—ale i w takim razie nieprędzej toby nastąpić mogło, jak po 25-letnim jubileuszu,—i nb. przy *zdwojonej liczbie prenumeratorów*, coby ci, zacny panie, mogło zwrócić niepotrzebne nakłady.

Ad multos annos sz. Redaktorowi i pismu jego!“

P. p. **Kuczkowski z Kamieńca Podolskiego i Ludwik Łukaszewski z Dobrzelina,** motywując obszernie dogodność dawnego formatu, głosują za utrzymaniem go nadal.

Setki innych głosów tej samej treści przytaczać nie widzimy potrzeby; wraz z autorami listów podanych zostawiają nam zupełną swobodę działania.

Znaczna większość głosujących piśmiennie wyraziła życzenie *powiększenia objętości*, z setek otrzymanych listów wybieramy najcharakterystyczniejsze oraz zawierające „desiderata“ prenumeratorów. Nie będziemy uprzedzać przed czasem, które z tych życzeń uwzględnimy, które zaś na dalszym postawimy planie; pragniemy tylko obecnie wykazać, jak trudno byłoby „wszystkim dogodzić“.

W. Ks. Jan Łapiński pisze: „Byłbym za tem, aby „Biesiadę“ i nadal utrzymać w tej samej formie co do kształtu, a niech będzie wielką co do treści, opartej na prawdziwej wierze i moralności, bo są pisma duże co do kształtu, a dobrej essencyi nie można z nich ani kropli wycisnąć. W „Biesia-

dzie literackiej“ jestem zamiłowany i chyba nie przestanę jej prenumerować“.

W. W. Ks. Jan Niedzielski i H. Schmid z Chełmna głosują za powiększeniem objętości, a zostawieniem dawnego formatu, „bardzo dogodnego i do czytania, i do oprawy, i miłego dla oka“.

P. **J. K. Barzykowski z Rostowa nad Donem** pisze: „Format „Biesiady“ jest lepszy niż jakiegokolwiek innego naszego pisma illustrowanego.

Nam nie obrazków potrzeba ale pokarmu dla serca i duszy — pokarmu rdzennie swojskiego— a więc katolickiego i polskiego.

Przy zbliżającej się uroczystości 25-letniej pracy swej redaktorskiej, prosimy przyjąć od nas serdeczne staro-polskie Bóg wam zapłać, czcigodny panie—za pracę uczciwą, obywatelską a nader pożyteczną—i daj wam, Boże, w dobrem zdrowiu pracować dalej przez długie jeszcze lata—a miłość, cześć i uznanie współziomków i błogosławieństwo Boże niechaj wam w tej pracy przy każdem słowie, kreślonem waszą ręką, towarzyszy. Przyjmijże, szanowny panie, tę parę słów wdzięcznem sercem, bo one z głębi serca płyną.

Studyowałem ja jeszcze wówczas matematykę na uniwersytecie warszawskim, kiedy pierwsze numera „Biesiady“ ukazały się naszemu społeczeństwu. Wówczas, zapytany przez ś. p. K. Wł. Wójcickiego: „No cóż, panie Józefie, jak ci się podoba „Biesiada?“—odpowiedziałem: „Uczciwy to Polak, co swojski nad swą pracą wywiesił sztandar“.

Co o was, czcigodny panie, przed laty powiedział młodziutki naówczas student, to dziś powtarza dojrzały człowiek i daj Boże, aby wam za lat 50 toż samo powtórzyło całe nasze społeczeństwo“.

P. **J. Bienkiewicz,** prezes dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Suwałkach, głosując za powiększeniem objętości, proponuje wysyłanie dodatku powieściowego zbroszurowanego.

Toż samo zdanie co do formy dodatku wygłasza dr **Tomasz Witkowski z Mińska.**

Dawna i życzliwa szczerze prenumeratorka nasza pani **Stefania Danielewiczowa z Dorohobuża** pisze:

„Format teraźniejszy „Biesiady“ bardzo dogodny dla czytelnika i jeżeliby zmieniać go, to tylko na mniejszy, ale pod żadnym pozorem nie na większy.“

P. **Wawrzeniec Durys w Rydze,** po długiem rozważeniu sprawy z rodziną, głosuje za zwiększeniem objętości, a pozostawieniem formatu dotychczasowego, jako bardzo wygodnego i do ręki każdemu z czytelników więcej nadającego się, przyczem „Biesiada“ zachowa swą pierwotną formę, a i to także coś warto! Przyjaciółce swej „Biesiadzie“ p. D. zasyła najszczersze życzenie: „niech rośnie, niech się wzmaga, niech idzie wyżej a wyżej!“

P. **Kazimierz Gieysztor, z Petersburga,** pisze:

„Rzadkiemu pismu w naszych czasach Bóg pozwala przy tej samej redakcyi obchodzić srebrne gody serdecznej łączności Redakcyi z czytelnikami. Piszący te słowa, długoletni stały prenumerator (od 1879 r.) a czytelnik „Biesiady“ od początku jej istnienia, pamięta dobrze skromną szatę, w jakiej się pojawiła: lecz i w one ciężkie czasy, nie patrząc na zewnętrzną suknię, szukaliśmy treści. Dzień pojawienia się „Biesiady“ był niejako dniem święta. Ona nas, żyjących zdala od rodzinnej strzechy, podtrzymywała, pokrzepiała na duchu, przenosiła w te strony, gdzie wszystko nam drogie, ona była niejako moralnem ogniwem, łączącem nas z krajem, więc sądzę, żeśmy zaciągnęli dług względem wydawcy i redaktora. Póki ster redakcyi spoczywa w twem ręku, o kierunek „Biesiady“ czytelnicy będą zupełnie spokojni.

Mojem zdaniem format obecny bardzo wygodny, głosuję *za zwiększeniem objętości.* Co dogodniejsze, pod względem materyalnym dla redakcyi, nie wiem. Może zwiększając format, zwiększy się liczba prenumeratorów, lecz niech ci nowi przybysze zastanowią się nad tem, że za 5 rubli rocznie nie mogą żądać świetnych ilustracyj. Na dziesiątki tysięcy prenumeratorów liczyć w obecnych czasach u nas jeszcze nie możemy. Ja przekładam dobry artykuł, posilny dla umysłu, pokrzepiający serce, nad świetną ilustracyę, miłą często dla oka, sympatyczną, lecz nigdy nie mogącą zastąpić oryginału.

Powtarzam: póki ster w twej dłoni, czcigodny redaktorze, starzy przyjaciele cię nie opuszczą, chyba z przyczyn od nich niezależnych, a da Bóg doczekać, gdy przyjdą złote gody, może i u nas, przy szczerej, uczciwej pracy i dobrej woli myślącego ogółu dla młodszej braci, będziemy w stani liczyć na dziesiątki tysięcy prenumeratorów, czego z serca życząc, ślę: „Bóg zapłać“ za przeszłą, „szczęść Boże“ w przyszłej pracy.“

P. **Marya Glińska z gubernii Kijowskiej** prosi o powiększenie objętości, bez zmiany formatu, który jest bardzo miły, zręczny a do czytania o wiele dogodniejszy, aniżeli odznaczający się wielkością.

P. **Jan Jahołkowski w L.,** głosując za powiększeniem objętości, pisze: „Format nęci tych czytelników, których treść nie interesuje, a od takich niech Bóg obroni „Biesiadę,“ szkoda dla nich uczciwej pracy“.

„*Jedna z najżyczliwszych prenumeratorek,*“ pisząca za wszystkich swych znajomych, wyraża wspólne żądania w takiej formie: „Prosimy o for-

mat „Biesiady“ taki, jaki był dotąd, bo te wielkie formaty są nadzwyczaj niewygodne do oprawiania, w przewożeniu, czytaniu i t. d. „Biesiada“ jest ukochanem naszem pismem i tak miłem z formatu, iż nic jej wyżej podnieść nie może“.

P. **E. Kleber z Tyflisu,** w imieniu 11-tu Polaków, którzy czytają i oczekują z niecierpliwością nadejścia „Biesiady“, pisze: „Dziękujemy z całego serca za to, co dostajemy, jest to pokarm zdrowy i pożywny. Chcecie zwiększyć objętość—wdzięczni będziemy, a o format, t. j. modną szatę, nie dbamy!“

P. **Bronisław Kleczyński z Proskirowa** „stary, stały i szczery przyjaciel“ nasz pisze: „Przeciwko powiększeniu formatu stanowczo protestuję, mając nadzieję, że przy zwiększonej liczbie arkuszy każdego numeru „Biesiady“ przybędą duchowe skarby, któremi ona stale i hojnie od lat tylu nas darzy“.

P. **Helena Kalicka w Ostrowie,** w gubernii siedleckiej, uważa, iż lepiej byłoby, ażeby umysł, a nie oko, miał większy pożytek i dlatego głosuje za zwiększeniem objętości.

P. **A. Komorowski** z cukrowni „Marya“ pisze: Wypowiadam następujące, na sumieniu i sercu oparte zdanie: „Dobrego ziarna i posiewu nigdy nie zawiele, że zaś najczęściej dobre wypływa z małego, niech przeto umiłowana przez wielu już „Biesiada“ zatrzyma dotychczasowy, bardzo dogodny dla czytających format, powiększając nieco objętość, a tem i ilość dobrego, jakie z niej i przez nią w dusze i myśli jednostek czytających „Biesiadę“ wsiąka.

P. **Mellinowa w Kuczwałach,** pisze: „Format jest pod każdym względem tak dogodny i przyjemny, że, doprawdy, byłaby szkoda powiększać go.“

P. **Marcelina Michałowska z Kijowa** pisze: „Przyjmiemy z wdzięcznością zwiększenie objętości, bo nigdy nie dosyć tego, co wzbogaca umysł i serce, szerząc tak wzniosłe i prawdziwie chrześcijańskie zasady. Niech Bóg pomaga zacnej i mozolnej pracy, podjętej dla dobra i pożytku społeczeństwa, a wdzięczne czytelniczki postarają się skorzystać z tych ofiar.“

P. **Izabela Narkuska** z gub. Mińskiej pisze: „Byłabym za dotychczasowym formatem, jest on praktyczniejszy i przyjemniejszy od innych.“

P. **Paweł Ordyniec w Nowogrodzie** jest nawet zdania, że ze zmianą formatu „Biesiada“ mogłaby postradać sympatyę, którą obecnie posiada. Doradza, zamiast dodatków tygodniowych, zaprowadzenie miesięcznego wydawnictwa po całym tomie prac oryginalnych lub tłumaczonych.

P. **G. Paluszyński z Gór-Mokrych,** głosując za zwiększeniem objętości, zaznacza, że według jego zdania, teraźniejszy format jest jednym z najdogodniejszych ze wszystkich pism tygodniowych.

Pani **Sabina Re....ska,** prenumerująca „Biesiadę“ od początku jej istnienia, radzi nam powiększyć objętość.

Stała, „uwielbiająca“ — jak pisze — „Biesiadę“ prenumeratorka, p. **Izabella Siliniczowa z Wilna,** radzi nam: „najlepiej pozostawić format, jakim był. „Biesiada“ była dla mnie najsympatyczniejszem pismem i tak przywykłam od lat 20-tu do jej skromnego i małego formatu, że nawet nie chcę pomyśleć o jakiejkolwiek zmianie. Sama treść pisma jest tak bogata, tak szlachetna, że na resztę mniej się zważa.“

P. **Marya Szewel z Petersburga** pisze: „Jestem przeciwną zmianie formatu „Biesiady“ z powodu, iż od lat 20 czytam, a od lat 8-iu jestem jej stałą prenumeratorką; oko i ręka moja przez tyle czasu tak nawykły do formatu, że zmiana jego byłaby dla mnie wielką przykrością. „Biesiadę“ uważam za swą przyjaciółkę, podziela ona wszystkie moje poglądy i przekonania, wprost jakby odgaduje moje myśli, miłą i jest pożądaną dla mnie z jej dawną powierzchownością. Na zwiększenie objętości zgodzi się najchętniej każdy, kto ją prenumeruje dla własnej korzyści moralnej i przyjemności, a nie dla upiększenia swego salonu, lub zaimponowania komuś. Takim „Biesiada“ nie wystarczy, bo ona przemawia do serca i rozumu, a nie do próżności ludzkiej!“

Stary nasz przyjaciel, p. **Romulus Szyszkowski z Sinnicy**, pisze: „Zwiększenie formatu, chociażby z najpiękniejszemi illustracyami, będzie nęciło wzrok, ale pokarmu duchowego nie da. „Biesiada literacka“ dosyć jest w one bogata, a zwiększenie objętości doda więcej jeszcze jedną cenną perłę do korony „Biesiady Literackiej“, którą ukoronują i ciebie, przezacny redaktorze, w dniu twego jubileuszu, za 25-lecie niezmordowanej, mozolnej a uczciwej pracy dla dobra publicznego. Szczęść ci, Boże, i nadal.“

Od p. **A. Ufniarskiego z Saratowa** otrzymaliśmy pismo następujące: „Moje panie są za tem, żeby nie zwiększając ceny, powiększyć objętość, z zachowaniem dotychczasowego formatu, jako dogodniejszego.

Zresztą po co ulubione pismo ma zwiększać ramki, kiedy i w dzisiejszych dobrze mu a z niem i czytelnikom.“

Prenumerator nasz z Wołynia, p. **Jan Wyleżyński**, pisze:

„Biesiada“ jest pismem wyrobionem wysoko, wydawnictwem nie wczorajszem, o ogromnem doświadczeniu, ustalonym układzie, przekonaniach niedwuznacznych, przeprowadzanych wszędzie i we wszystkiem, i właśnie tą konsekwencyą, tym

utrzymanym stylowo kierunkiem imponuje zawsze. Rzadką rzeczą w innych pismach jest ciepły ton „Biesiady“ i chęć nawiązania strun między redakcyą a czytelnikami... strun, któreu wszystkich jednako brzmieć powinny.“

P. **Karol Wróblewski** z Augustynówki w Siedleckiem jest za pozostawieniem tego samego formatu.

P. **J. Zieliński z Lublina** pisze: „Jestem za powiększeniem objętości „Biesiady Literackiej“, gdyż format dzisiaj ma *bardzo wygodny i poręczny*, po oprawieniu w książkę nawet krótkowidzom jest ułatwione czytanie. Raczy szanowna Redakcya przyjąć życzenia powodzenia, gdyż na „Biesiadę“ wszyscy, mogę powiedzieć, oczekują z utęsknieniem; ja np. wyglądam tylko poniedziałku, choć dla innych one są feralne, w ten dzień bowiem odbieram „Biesiadę“.

P. **S. Zjawny z Neftianej** uważa, iż zwiększenie objętości o jakiś, chociażby jeden, dział wiadomości pożytecznych, będzie lepszem niż zwiększenie formatu i t. d.

Zaledwie dziesiątek osób przemawiał za zwiększeniem formatu, a i to była tylko rada przyjacielska, dobro nasze mająca na celu.

Oto np. pan **Ł. P. z Dąbrowy** radzi nam zwiększyć format dlatego, że, jak sami napisaliśmy, „wielki format pociąga wzrok czytelnika i zachęca go“.

P. **Sz. z Berdyczowa** pisze: „Powiększyć format, zresztą jak sobie „Biesiada“ życzy“.

P. **M. Th. ze Lwowa,** głosując za zwiększeniem formatu, dodaje zaraz: „dla prawdziwych przyjaciół pisma format jest wprawdzie rzeczą podrzędną, a treść główną, ale chciałbym, aby „Biesiada“ mogła skuteczniej konkurować z innemi pismami. Dla ogółu, sądzącego z pozorów, format stanowi o wartości pisma.“

Pani **K. B. w S.** pisze: „Format dotychczasowy bardzo wygodny i sympatyczny, ale większy format postawi „Biesiadę“ od razu w rzędzie wielkich illustracyj europejskich.“

Wynik głosowania wiadomy: do uchwały zapadłej większością głosów „powiększyć objętość“ zastosowaliśmy się od 1899 roku; myśl zaś o powiększeniu formatu, dla dorównania „pismom zagranicznym“, odłożyliśmy na później.

Wynik głosowania przyjęto w gronie przyjaciół pisma uznaniem powszechnem.

Pozwolimy sobie przytoczyć wyjątek z listu czcigodnego proboszcza par. Zakroczym, ks. **Józefa Żaboklickiego**: „Niniejszem chcę tylko wyrazić Szanownej Redakcyi moją radość i wdzięczność za to, że utrzymała w dalszym ciągu *ten sam format* „Biesiady literackiej“, gdyż inaczej zdawałoby mi się, że biorę do ręki inne pismo, a nie będę już oglądał mojej „Biesiady“—towarzyszki, z którą się nie rozłączam od lat 16-tu. Szacownej pracy szczęść Boże *ad multos annos!*“

W dziejach pisma naszego wynik głosowania publicznego w sprawie dalszego wydawania „Biesiady“ jest epizodem znamiennym i tak charakterystycznym, żeśmy musieli poświęcić mu nieco miejsca.

Nasi współpracownicy.

W porządku abecadłowym podajemy listę współpracowników „Biesiady,“ od pierwszych chwil jej istnienia do obecnej doby. Część ich ułożyła się już na spoczynek wieczny po trudach ziemskich—niech światłość wiekuista im świeci! Część pracuje przy innych warsztatach, część kroczy niezmordowanie pod naszym sztandarem; i jednym i drugim należy się od nas podzięka serdeczna za to, co już uczynili dla „Biesiady“ i za to, co jeszcze uczynić zamierzają.

W spisie poniższym znajdują się nazwiska głośne i skromne, hetmanów, wodzów i szeregowców armii piśmienniczej, stałych i przygodnych współpracowników naszych; łączy ich jednak myśl wspólna, cel jeden, zawarty w słowach dewizy naszej: „Prawdą i pracą“ ku dobru i pożytkowi powszechnemu.

Dla ułatwienia przy poszukiwaniach bibliograficznych, obok nazwisk autorów podajemy liczby, wskazujące rok i tom, w którym pomieszczono prace; utworów większych, ważniejszych podajemy całe tytuły, z wskazaniem numerów. Dla odróżnienia i uniknienia pomyłek, tomy oznaczamy liczbami rzymskiemi a numera arabskiemi.

I.

Współpracownicy działu literackiego.

Adamczewski J. 1887 r. t. XXIV.
Ks. Adamczyk J. 1896 r. t. XLI.
Adamska Janina, poezya—1899 r. XLVIII t.
† Aer (Rzążewski) „Krzyżowcy“ powieść historyczna, 1886 r. NN. 11 – 53. — „Przyjaźń czy kochanie?“ 1898 r. NN. 22—39.
† Andriolli E. M. „Pod ziemią i na ziemi“, podróż 1889 r. NN. 1—6.
Antoniewicz Zofia 1899 r. t. XLVII—mody.
Antoszka r. 1898, t. XLV.
Ariel St. 1888 r. XXVI t., 1889 r. XXVII t.
† Asnyk Adam—patrz El-y.
Ks. Augustynik G. S. 1887 r. XXIII t.

Bałucki Michał: „Dwie wigilie", nowela, 1890 r. NN. 18—22. — „Latawica" 1887 r. IV t. — „Palestyna", wiersz, 1880 r. 234.—„Sąd honorowy", nowella, 1892 NN. 6—10. — „Sobek", obrazek z życia akademickiego, 1887 r. NN. 25—27.—„Teatr amatorski", komedya 1887 r. t. III. — „W starym domu," 1878 r. t. V.—„Z książeczki pamiątek," 1878 r. t. V—VI.—1879 r. t. VII—VIII.—1880 r. t. X.

Bardzka Natalia 1899 r. XLVII t.

† Bartels Artur 1884 r. XVII.

Baryczka K. J. 1892 r. XXXIV.—1897 r. XLIII.

Bełza Stanisław: „Z niedawnych wspomnień" 1879 r. t. VIII.—1880 t. IX.—„Stowarzyszenie pomocy naukowej dla księstwa Cieszyńskiego" 1880 r. X t. — „Na Szląsku pruskim" 1897 r. NN. 29—43.

Bełza Władysław: 1879 r. VIII t., 1880 r. IX t., 1881 r. XI, 1899 t. XLVIII.

Bem A. G. 1876 r. II t.

Biegeleisen H. „Telimena i Zosia" 1884 r. NN. 28—29.

Bielska Zofia—od r. 1882.

Biernacki Wiktor 1896 r. XLI t.

Bonar Stefan 1885 r. N. 19.

Bonar Władysław (T. T. Jeż) 1896 r. XLI t.

Bondini Ludwik, 1899, XLVIII.

Bożydar (Bogdanowicz Edmund) 1897 r. XLIII t.

Ks. Brażewicz Feliks 1897 r. t. XLIV.

Ks. Brykczyński Antoni: 1891 XXXI, 1892 XXXIII—XXXIV, 1893 XXXV, 1894 XXVII, 1895 XXXIX, 1896 XLII, 1897 XLIII—XLIV, 1898 XLV—XLVI, 1899 XLVII („W Katakumbach").

Brzozowski Karol: „Dumny Turek" 1896 r. NN. 1—16.—„Lirnik" 1880 r. N. 249.—„Modlitwa", poezya. 1880 N. 222,— „Na przesilenie wiosenne" (poezya) 1880 N. 228.—„Piosnka turecka" 1886 r. N. 527.— „Sad Boży" 1882 r. N. 314.—„Wzdłuż Eufratu", podróż, 1880 r. NN. 255—260.

Bukowski Bończa K. 1897 r. XLIV t.

† Bykowski Piotr Jaksa: „Mulik, niehistoryczny hetman Ukrainy", powieść z podań ludowych, 1882 r. t. XIII—XIV.

Bylicki Fr. Dr 1888 r. XXV t.—1894 r. XXXVII t.

Callier A, (tłumaczka).

Chmielowski Piotr: „Biblioteczka obywatelska" 1886 r. NN. 18—20.—„Bohaterowie i bohaterki w naszych powieściach historycznych" 1876 r. N. 41. „Entuzyastki od roku 1838 do 1848."—1877 r. od N. 72.—„J. I. Kraszewski w Warszawie w 1838 r." 1879 r. N. 203. — „Listy z zakątka": Adam Bełcikowski, 1898 r. NN. 5—6; Pierwsze utwory Adama Pługa 1898 r. NN. 23—24.—„Obchód wiktoryi wiedeńskiej przed stu laty w Wilnie" 1883 r. NN. 390—392.— „Poezya w wychowaniu" (odczyt) 1880 r. NN. 227—232. — „Ustęp z życia Adama Mickiewicza" 1876 r. N. 18.

† Chodyński Ad. 1882 r. XIII t.

Czajewski Wiktor: 1885 r. XX t., 1895 r. XL t., 1896 XLI t.

Czermak W.: 1897 r. XLIII t.

Ks. Czerminski Marcin: 1896 r. XLII t.

† Czerneda M. J. (Bierzyński) 1880 r. IX, 1881 r. X t.

Czernicki Gustaw — od 1-go numeru „Listy polityczne", następnie do obecnej chwili „Miecz i dyplomacya".

Czerwiński Kazimierz (Jastrzębiec): 1893 r. XXXV, — 1896 r. XLII t. — 1897 r. XLIII, wiersze drobne, aforyzmy, szarady.

Czesław (Jankowski), poezya, 1878 r. V—VI. — 1880 r. IX—X.—1881 r. XI.

Daniłowicz Władysław: 1885 r. XIX.

† Dawid Wincenty: 1882 r. XIII t.

Deotyma (J. Łuszczewska): „Biesiada u Ziemomysła" 1876 r. N. 1. — „Panienka", powieść 1893 r. NN. 1—47.

Dimmel Maryan: 1887 r. XXIV, 1888 r. XXV—XXVI, 1889 r. XXVII t.

Dobrzycki Henryk: 1894 r. XXXVII.—1898 r. XLV.

Doleżan Wiktor—od r. 1899 stały współpracownik działu naukowego.

Dombrowski Ernest: 1891 r. XXXI t.

Dzierzbicki W., od roku 1899 prowadzi dział szachów i szarad.

Eliasz Walery: „W Tatrach" 1896 r. N. 31—34. „Zakopane przed 30-tu laty"—1897 r. N. 49.

† El-y (Adam Asnyk): „Aforyzmy" 1896 r. N. 5.— „Król Juba" 1876 r. N. 31.—„Tym, którzy smutni" 1877 N. 79.

Felicyan (Faleński)—poezya, 1876 r. t. I, 1878 r. t. V, 1881 r. t. XII, 1883 r. t. XV. Przekład nowelli Edg. Poe 1891 r. t. XXXII.

† Fritsche Gustaw: 1891 r. XXXII t.

Gawalewicz Maryan: poezya—1876 r. II t., 1879 r. tom VII.—„Dusze w odlocie", powieść, 1894 r. NN. 7 — 15.—„Hannibal ante portas!", komedya, 1881 r. tom XII.—„Po drodze", humoreska scen. 1881 r. t. XI.— „Z rozpaczy", komedya, 1880 r. t. X.

Gerson Wojciech: 1879 r. t. VIII, 1890 r. N. 6. 1892 r. N. 40.

Gębarski Stefan (Wieniawa): 1895 r. XL t., 1896 r. t. XLII, 1898 r. XLVI.

Giller Stefan (Stefan z Opatówka): 1882 r. t. XIV.

Glaubicz J.: 1897 r. XLIV t., 1898 r. t. XLV.

Gliński Kazimierz, poezya — 1878 r. t. V, 1883 r. tom XVIII.

Gloger Zygmunt: 1890 r, t. XXX.

Gomulicki Wiktor, poezya, 1876 r. t. I, 1883 r. t. XV.

Górska Janina: 1895 r. t. XXXIX.

Górski Kornel: 1895 r. XXXIX.

Grabowska Marya, przekłady: 1876 r. II, 1877 r. t. IV.

Grabowski Bronisław: 1877 r. IV t., 1880 r. t. X, 1884 r. t. XVIII, — „Kolega Tomek" 1887 r. XXIV. — „Mężna niewiasta" 1898 r. NN. 1 — 17. — „Pielgrzymka do złotego domu" 1885 r. XX t., 1886 r. XXI t.—„Suknia balowa" 1894 r. NN. 2—6.

Grajnert Józef, poezya, 1876 r. I t.

† Grudziński Stanisław, poezya, 1881 r. t. XI. — „Świat i pustynia", powieść, 1884 r. NN. 14—39.

† Heppen Julian: 1895 r. XXXIX t.

Hoffman Karol: 1896 r. XLI t., 1888 r. XLV—XLVI, 1899 r. XLVII i XLVIII t. — („Chwila bieżąca;" objaśnienia do rysunków, wierszem i prozą, „Herbarz szlachetnych", Nekrologia.—Plon literacki.—„Stara Warszawa," „Narady poufne," — „Post-scriptum").

Idzikowski: 1887, XXIV.

Iwanowska Marya: 1894, XXXVIII.
Iwanowski N. E.: 1887, XXIII.
Jabłonowski W.: 1888, XXV.
Jagminowa Władysława: 1892, XXXIII.
Janczewski H. W.: 1897, XLIII,
Jankowski Edmund: 1890, XXX.—1897, XLVII.
Jankowski Józef. poezya: 1898, XLV. 1899, XLVIII.
Jasiński Feliks: 1891, XXXI,
Jastrzębowski Czesław: 1891, XXXI.
Jawornicki Aleksander: 1888. XXVI, 1889, XXVII — XXVIII, 1892, XXIV.
Jeleński Jan: 1876, II.—1878, VI.
Jenike Ludwik, 1899 r. XLVII. — „Czy to po polsku?“ 1899 r. t. XLVIII.
Jeż T. T. (Miłkowski Juljan) „Którędy do szczęścia,“ powieść, 1896, t. XLI i XLII. — „Serce matczyne“, powieść, 1880, t. IX i X.—„Wspomnienia osobiste“ 1879 r. VIII. — „Zbłąkany“, powieść, 1879, VII,— „Z ciężkich dni“, powieść historyczna—1877, III.
Jędrzejewicz Jan: 1887, XXIV.
Jordan (Wieniawski Julian): „Na granicy“, humoreska, 1883, N. 394.—„Żanetka“, portrecik wierszem, 1896, N. 7.
† Józef z Mazowsza (Wojciechowski): „Aby słodko“, nowella, 1879, XVIII.
Julien Mikołaj: 1891 r. XXXI, 1899 r. t. XLVIII.
† Junosza Klemens (Szaniawski): „Człowiek skamieniały“, — 1894, N. 30, poezya. 1886, N. 86. — „Pogodny wschód“, obr. wiejski, 1885, NN. 47—52. — „Przedewszystkiem spokój“, obr. wiejski, 1888 r. NN. 45—48, przekład z Coppégo, 1882, XIII t. — „Talmudziści“, 1891, N. 28.—„Tryumf Stryjenki“, z pam. konkur. 1889, NN. 6—19. — „Wnuczek“, obrazek, 1895, NN. 17—19.—„Wystawa ogrodnicza“, 1885 r. t. XX.
Ks. Kachnowski Franciszek: 1898, XLV.
Karoli Władysław: 1887, XXIV. — 1898, XLV. — 1899, XLVII i XLVIII.
Karwowski Adam: 1898, t. XLV.
Karwowski Stanisław: 1891, XXXI—XXXII. — 1892 r. XXXIII.—1893, XXXV—XXXVI.—1894, XXXVII.—1886, XLI.—1897, XLIII,—1898, XLVI.
Kaszewski Kazimierz: 1876, I („Notaty literacko - naukowe“).
Kierska Marya: 1887, XXIV.
Kleczyński Bronisław: 1889, XXVIII.
Kleniewska Janowa Marya 1895, XL.—1896, XLI—XLII.
Kłos R.: 1891, XXXI.
Kondratowicz Sylweryusz: 1877 r. XXIII i XXIV, 1892, XXXIV.
Konopnicka Marya: „Czcigodnemu J. I. Kraszewskiemu“, 1880, N. 220.—„Dwie wiosny“, 1880, N. 232.— „Na dnie przepaści“, 1880, N. 246.—„U okienka“, 1880 r. N. 261.
Ks. Koperski J.: 1897, XLIII.
† Korotyński Wincenty: „Józef Ign. Kraszewski“, 1876, I.
Kossakowska Michalina: 1893, XXXVI.
Ks. Kostka Stanisław: 1894, N. 44.
Kościelski Józef: poezya, 1876, I.
Ks. Krasiński Adam Stanisław: „Synonimy“ 1884, N. I.
Kraszewska Aniela: 1895, XL.
† Kraszewski Józef Ignacy: „Było ich dwoje“, powieść, 1881 r. NN. 262—274. — „Cześnikówny“, powieść, 1876, NN. 1—15 —„Jeden z wielu“, 1889 r. N. 679. „J. W. Gostkowscy i zegarmistrzowstwo polskie w Genewie“, 1882 r. XXXVII t.

„*Listy z zakątka*“, 1876 r. NN. 36—37, 39—40, 44—45, 49—50, 51—52; 1877 r. NN. 57—58, 61—62, 65, 70—71, 75, 79, 84, 88—89, 93—94, 99—100, 102 — 103; 1878 r. NN. 105, 126, 127, 135 — 136, 143—144, 146—147, 148—149, 150—151, 155—156; 1879 r. NN. 160, 164—165, 167—168, 173, 177—178, 181—182, 184—185, 192, 195—196; 1880 r. NN. 212—213, 216—217, 220—221, 225—226, 230—231, 233—234, 244—245, 248—249, 251, 256, 258; 1881 r. NN. 264—265, 269—270, 274—275, 279—280, 282, 286—287, 290—291, 299—300, 303, 307, 311; 1882 r. NN. 315, 320, 324—325, 329, 334—335, 338—339, 344, 348, 351—352, 354—355, 360—361, 363—364; 1883 r. NN. 369—370, 373, 376, 380—381, 386—387, 399—400, 404, 407—408, 411—412, 415—416; 1884 r. NN. 419—420, 423—424, 428, 435—436, 439—440, 444 (w tłómaczeniu z francuzkiego, jak i następne, pisane z Magdeburga), 456, 460, 464; 1885 r. NN. 472, 477, 481 i 486. (Dla uniknienia omyłek, dajemy NN. porządkowe od początku wychodzenia „Biesiady“, a nie coroczne od 1 do 52.)

Listy z zakątka szwajcarskiego: 1886 r. NN. 549, 552 i 564.

Listy z zakątka włoskiego: 1886 r. NN. 529, 534, 537, 541, 545, 569, 573; 1887 r. NN. 577 i 582. „Na Baranek Boży“, wiersz, 1888, N. 639. — „Noc majowa“, powieść, 1883 r. NN. 366—393.—„Pijani“ (z rozmyślań), 1895, N. 1. — „Psiarek“, opowiadanie, 1888 r. NN. 627—631. — „Radca Maciek“, nowella, 1885 r. NN. 470—477. —„Rejent Wątróbka“, 1890, NN. 1—2.—„Słomiana wdowa“, fraszka dramat., 1877, NN. 86—77.—„Świetna partya“, 1894 r. N 1.—„Trzej królowie“, wspomnienie akademickie, 1886 r. NN. 522—524.—„Walerka“, spowiedź przyjacielska, 1891, NN. 1—3. — „W hotelach“, 1892 r. NN. 1—4.—„Wilczek i Wilczkowa“, 1878, NN. 135—156.—„W oknie“, poemat żałobny, 1887 r. N. 589.—„Z Florencyi“, 1878 r. NN. 114—115, 118—119, 121, „Z Hof-Gastein“, 1880 r. N. 241.— „Z Homburga“, 1878 r. NN. 140—144.

Królikowski D.: 1887 r. XXIV t.
Kurnatowski Wacław, r. 1897 t. XLV.
Laskarys Jerzy, poezya, 1882 r. XIII — XIV, 1883 r. XVI.
Laskowski Kazimierz (Awor): 1894. XXXVIII, 1895, XXXIX, 1897, XLIV, 1898, XLV—XLVI.
† Laurysiewicz Modest od pierwszego N-ru w 1876 r. do zgonu w 1889 r.
† Lenartowicz Teofil: „Odpowiedź“, 1881 r. N. 258. —„Przyjacielowi przy wyjeździe z Rzymu“ 1882 r. N. 316.
Lenartowska Eug.: 1899 r. XLVIII.
Ks. Leonowicz Wł.: 1885 r. XX t.—1895 r. XL.
Lieder-Rolicz Wacław: poezya, 1898 r. XLVI.
Lubowski Edward: „Kiedyż obiad?“, krotochwila, 1876 r. I t.—„Romeo z Łodzi“, zdarz. prawdz., 1881, XII.

Łada Jan (Ks. Gnatowski): „O duszę“, powieść. 1894 r. NN. 41—52, 1895 NN. 1—14.

Łoś Wincenty hr.: 1887 r. XXIV t., 1888 r. XXV t., 1889 r. XXVIII t., 1890 r. XXIX t., 1895 r. XXXIX t,

Łoziński Władysław: 1876, I—II.

Machczyński Konrad: 1894, XXXVIII, 1895 r. XXXIX.

Maleszewski Władysław (Sęp): od pierwszego numeru wydawnictwa do obecnej chwili, oprócz stałej kroniki tygodniowej, tytułowanej z początku „U nas“, następnie do dziś dnia „Z Warszawy“, lub zastępujących ją działów: „Nie z Warszawy“, „Kartki przypięte“ i t. d., do każdego numeru daje sporo artykułów różnej treści, niepodpisanych, lub podzna czonych pseudonimami; prowadzi działy „Wieczory teatralne“, „Z mojego okna“ i t. p., uczestniczy w dziale „Z krainy piękna“. Z utworów podpisanych nazwiskiem, lub pseudonimem zwykłym „Sęp“, notujemy: „Ich Bóg“, 1897 r. N. 2. — „Siłą prawdy“, powieść, 1897 r. NN. 1—30.

Marrene Walerya (Morzkowska): „Bracia“, nowella 1884, NN. 40—50. — „Dokąd zajdzie?“ powieść, 1894, NN. 16—40. — „Historya banknota“, 1877 r. IV t. — „Nad jeziorem Como“, list, 1892, NN. 42—43. — „Odnowione rany“, 1883 r. t. XVI. — „Pani Sand“, 1876, II t. — „Wśród kąkolu“, powieść, 1890 r., NN. 27—52.

Martynowski F. K.: 1882, t. XIII—XIV. — 1883, XVI. — 1895, XL.

Martynowski Ks.: 1896, XLI.

Matlakowski Władysław: „Wspomnienia z Zakopanego“ 1899 r. XLVIII t.

Mellerowa Zofia: „Straduję!“ komedya, 1882 r. NN. 359—362. — „Uwięziona“, komedya, 1884 r. NN. 10—13.

Merzbach Henryk: poezya, 1876 r. I t.

Meyet Leopold: 1894, XXXVIII. — „W rocznicę zgonu J. Słowackiego“, 1896 r. NN. 24—29, 1898, XLV—XLVI.

† Mieleszko-Maliszkiewicz: 1899 t. XLVII.

Milkuszyc Marya: 1895, XXXIX—XL.—1896, XLI.

Miłkowski K.: 1896, XLII.

Mironowski Adam: 1899, XLVII—XLVIII.

Morawska Z.: 1888, XXVI.—1892, XXXIII.—1895, XL.

Morawski Z.: 1897, XLIII.

Morosz Julian: 1887, XXIV.

Mostowski Adolf: poezya, 1877, IV.

Mostowski Tadeusz: 1893, XXXV.

Mrozowicka Irena (Nagoda): 1886, XXI, 1887, XXIII — XXIV, 1898, XLVI, 1899 t. XLVIII.

Narkiewicz Jodko Aniela: 1887, XXIV.

Narkiewicz Jodko Jakób: 1887, XXIV.

Nawrowski Ewaryst: 1898, XLVI, 1899, XLVIII.

† Niemojowski Ludwik: poezya, 1876, I., 1877, IV, 1880, X., 1881 XI.

† Niewiadomski Wincenty: 1876 I., 1879 VIII.

† Niewiarowski Aleksander (Półkozic): „O Juliuszu Słowackim“ 1886, NN. 37—38. 1887 NN. 17—18.

Nitowski J., poezya, 1891, XXXI.

Norwid Jan: 1895, XL.

† Noskowski Władysław, poezya, 1878 V.

Noskowski Zygmunt: „Z czasów młodości“, 1896 N. 1.

† Odyniec Edward, poezya, 1876, I.

Okołów J.: 1897, XLIII.

Okuliczowa Krystyna: 1885, XIX.

Orłowski Antoni, poezya, 1899, XLVIII.

Orłowski Leon, 1899, XLVIII.

Orzeszkowa Eliza: „Panna Antonina“, 1883 r, NN. 396—400.

Ostoja Julia: 1881, XI—XII.

Ostrowski Stanisław, 1898, XLVI; 1899 XLVIII.

Parczewska Melania: 1884, XVIII.—1885, XIX.

† Pawiński Adolf: „Hiszpania“, podróż, dod. pow. w 1899, „Jan Długosz“, 1880 r. IX t.—„Stefan Batory, jako myśliwiec“, 1886, NN. 50—52.

Pepłowski-Schnür Stanisław: 1896 XLII.; 1897 XLIV, 1899 XLVII.

Pilecki Antoni, poezya, 1896 XLI., 1897 XLIII — XLIV.

Pilecki Stanisław: 1899, XLVII.

Ks. Piotrowicz Ludwik: 1883, XIII. 1884, XVII.

Plater Zyberg Cecylia: 1896, XLI—XLII, 1899, XLVIII.

Plenkiewicz Roman: „U kolebki i grobu księcia poetów polskich,“ 1899 r. XLVIII t.

Podwysocki Klemens, poezya, 1886, XIX. 1887, XXIV.

Polak Maryan, poezya, 1898, XLVI.

Potocki Narcyz: 1885, XX.

Prażmowska Teresa: 1884, XVII. 1886, XXI—XXII, 1888, XXV. 1890, XXX. 1891, XXXI. 1895, XXXIX.

Próchnik Stanisław, poezya, 1898, XLVI. 1899, XLVII i XLVIII.

Prus Bolesław (Głowacki Aleksander): „Wieś i miasto“, humoreska, 1877, III.

Prusinowska Stefania: 1890, XXIX.

Przezdziecki Konstanty: 1896, XXVI.

Przyborowski Walery: od 1876 r. tomu II, między innemi: „Barszczanie na „Jasnej Górze“, 1880 r. X. — „Bicz korali“, powieść w dodatku z 1879 r.— „Jan Dekert, prezydent miasta Warszawy“—1884, N. 36. „Ksiądz Marek“, opowiadanie historyczne, 1881 r. NN. 281—284. — „Ksiądz Piotr Skarga“, 1884, N. 48.

Rajchman Bronisław: 1878, V.—1882, XII.

Rembiszewski S. L.: 1887, XXIII.

Restorffowa Pelagia: 1898, XLV.

Rogosz Józef: „Bitwa pod Grunwaldem“, obraz Matejki, 1879, VII.—„Przez boleść i miłość“, obraz z życia, 1891, NN. 7 — 38. — „Słowak“, 1890 r. N. 23. — „Z moich wrażeń i wspomnień“, 1889 r. N. 21.

† Rolle (dr Antoni J.): opowiadania historyczne, 1886 r. XXI., 1887, XXIII., 1889, XXVII.

Rolle Michał (syn): „Ossolineum,“ r. 1897 N. 49.

Romanowski W.: 1887, XXIII.

Rossowski Stanisław, poezya, 1889, XXVIII

Rustejko: 1891, XXXII.

Rychter Józef J.: 1885, XX., 1887, XXIII. 1888, XV. 1889, XLVII.

Rydecki J.: 1894 r. XXXVIII.

Ryx B. w 1876 r.

Rzepecka Teresa: 1887 XXIV. 1889 XXVIII. 1895 r. XXXIX. 1896 XLII. 1897 XLIV, 1898 XLVI.

Rzyszczewska Janina: 1899, XLVII.

Sarnecki Zygmunt: 1892, NN. 352—355., 1884, XVII. — „W Tuhanowiczach“, obraz sceniczny, 1899 r. NN. 1—20 w XLVII t.

Saryusz Marya: 1890, XXIX. 1891.—XXXI—XXXII.
Sawicki Konrad: 1885 r. XIX—XX.
Schober Feliks: 1878, N. 137.
Sewer (Maciejowski): „Jedna noc w Londynie“ 1880, N. 209.—„Miłość panicza“, 1899, NN. 1—3. — „Stracona“, 1881, NN. 275—285.—„W podziemiach“, 1882, NN. 341—353.
Siemiradzki Józef: „Wojna“, 1885, XX t., 1887, XXIIII.
Sobieszczański F. M. w 1876 i 1877.
Sokołowska Zofia od 1880 r. do obecnej chwili stale prowadzi działy: „Pogadanki“ (od p. I-go), „Okruszyn“, „Encyklopedyi“, daje tłómaczenia z języków obcych, objaśnienia do rysunków, wrażenia z podróży, z większych prac „Nadmorskim szlakiem“, 1899, XLVII.
Sosnowski J.: 1893, XXXVI.
Staniszewski Waleryan (Wale-ski), stale od lat kilku nadsyłający nam wiersze, korespondencye, aforyzmy moralne, szarady i t. p.
Stasiak Ludwik: „Wystawa w Wenecyi,“ 1899 XLVIII.
Strenkowski Władysław: 1897, XLIV.
† Sulimierski Filip: 1877, III, 1879, VII.
Synoradzki Halina Michał: od 1891 do 1898 pracował stale w redakcyi, pisując pod różnemi pseudonymami, w tej liczbie, jako „Szczep“, dał parę opowieści historycznych. Wspominamy tu: 1891, XXXI, pow. histor. „Zatrute owoce“ w dodatku powieściowym, „Gwiazdka mistrzów poezyi polskiej“, 1896, N. 52.
Szaramowicz-Sawicki L. (Radomyślanin) — od r. 1899 stały współpracownik i korespondent z Konstantynopola.
Szukszta Wład.: 1895, N. 25.
† Szumski Teofil: 1887, XXIV.
† Szymanowski Wacław, poezya, 1878 r. V.
Śnieżka W.: 1886, XXI.
Talko Józef: 1898, XLVI.
Tatomir Lucyan: „Chlebowski o J. Kochanowskim“, 1884, XXXV. — „Głosy współczesnych Niemców o Janie III i udziale jego w oswobodzeniu Wiednia od Turków w 1683 r.“, 1883, NN. 402—403. — „Jan Kochanowski“, opowiadanie z XVI w., 1884, NN. 1—17. — „Jedyna wzmianka w piśmiennictwie hebrajskiem o królu Sobieskim“, 1883, N. 383. — „Jeszcze o dacie urodzenia Jana Sobieskiego“, 1883, N. 391.—„Król Jan III“, 1883, NN. 366—376.— „Król Jan III“, epizod w r. 1672, 1883 r. NN. 393—403. „Szarotka“, poezya w górach, 1883 r. NN. 406—407.—„Z pod dachu, który osłaniał kolebkę króla Jana III-go“, 1883 r. NN. 400—402.
Tchórznicki Józef: 1899 r. XLVIII.
Tomaszewska Janina: 1896, XLI.
Towiański Adam: 1892, XXXIII.
Trąmpczyński Włodzimierz: 1897, XLIV. 1898, XLV—XLVI. 1899, XLVII. (stale prowadzi działy: „Zamiary i czyny“, „Prawdzie w oczy“, „Daleko a blizko“. Zastępca kronikarza „Sępa“).
Turczyński Juliusz: 1889, XXVIII.
Turski R.: 1897, XLIII.
Twardowska M.: 1896, XLI. 1897, XLIV. 1898, XLVI.
Ufniarski A.: 1897, XLIII.
Ulanowski R.: 1899, XLVIII.
Uziębło Lucyan: 1891, XXXII. 1895, XXXIX, XL. 1897, XLIII. 1898, XLV, XLVI., 1899, XLVII.
† Waśniewski Józef, poezya, 1887, XXIV.
Wedel Emil: 1898, XLV.
Weryho Marya: 1895, XXXIX.
Wieliczko B., poezya, 1886, XX.
† Wielisław (Skrodzki): 1881, XI. 1883, XV. 1884, XVIII. 1887, XXIV. 1890, XXIX. 1891, XXXI. 1897, XLIII.
Wilamowski P.: poezya r. 1899, t. XLVIII.
Wilczyński Albert (autor „Kłopotów starego komendanta“).—„Dla konkurenta“, obraz z życia miejskiego, 1889, NN. 42—51.—„Miła podróż“, 1887, NN. 40—42.—„Pan Jan“, obrazek lwowski, 1885, NN. 478—482.
Winnicka Marya: r. 1899, t. XLVIII.
Wiszniewska Marya: 1896, t. XLI.
Wiśniewska Janina, poezya, 1888, XXVI. 1889, XXVII. 1891, XXXI. 1892, XXXIII.
Wiśniowski Sygurd: 1877, III.—1878, V.
Wodziński A. hr.: „Wnuczka,“ powieść, 1899 r. XLVIII.
† Wolski Włodzimierz, tłómaczenie, 1877, III.
Wołowski Michał: „Na cudzym obroku“, powieść, 1895, NN. 27—45.
Wróblewski Henryk Hugo: 1898, XLVI.
Wróblewski Kajetan (Korwin): 1897, XLIII — XLIV, 1898, XLV—XLVI.
Zacharyasiewicz Jan: „Do Adama Pługa“, wiersz, 1898, N. 3.—„Herb na giełdzie“, 1887, NN. 1—22.— „Jedna krew“, 1878, NN. 105—111. — „Najpraktyczniejsza szkoła miłości“, 1884, NN. 1—9. — „Pan Izydor“, 1880, N. 261. — „Preferans po śmierci“, 1876, NN. 42—45.—„Samoluby“, 1885, NN. 27—38.
Zahorski Jan: 1899, XLVII i XLVIII.
Zaleski Konrad, poezya, 1895, XXXIX.—1896, XLI.
Zalewski Kazimierz: „Spudłowali“, kom., 1878, NN. 122—126.
Zan T.; 1891, XXXI.
Zaremba Stanisław: 1883, XVI.
Zarębski Wiktor: 1889, XXVII.
Zawadzki Władysław: 1876, 1881 r.; 1882, XIV.—(„Artur Grottger“), 1884, XVII.—1885, XX.
Ks. Załuski Walenty: 1897, XLIII.
Zawisza Tytus: 1894, XXXVII.
Zdziarski Stanisław: 1898, XLVI.
† Zieliński Gustaw: „Bitwa pod Grunwaldem“, rapsod, 1883, XV.—„Kwiaty“, opowiadanie, (pośm.), 1883, NN. 411—414. — „Schyn-pas i Via mala w Szwajcaryi“, poezya, 1876, I.—„Wieczór myśliwski“, 1885, XXXIX—XLI.—„Wiosna“, 1877, N. 76.—„Zbigniew“, fragment z dram. (pośm.), 1884, NN. 51—52.
† Znatowicz E.: poezya, 1882, XIII t.
Zoryan: 1883, XV., 1885, XX., 1886, XXI, XXII.
Ks. Żaboklicki Józef: 1889, N. 32.
Żagiel J.: 1893, XXXV — XXXVI. 1894, XXXVII. 1897, t. XLIII.
† Żychliński Ludwik stale do końca 1890 r.
Żyżkowski Stanisław: 1889, XXVII. 1890, XXIX. 1891 XXXI. 1895, XXXIX — XL. 1896, XLII. 1898, XLVI.

II.

W dziale illustracyjnym.

Na kartach „Biesiady" przed oczami czytelników przewinęły się kopie obrazów i rysunki najdzielniejszych mistrzów pędzla i ołówka, z utworami Matejki i Siemiradzkiego na czele, za któremi poszły dzieła artystyczne Brandta, Chełmońskiego, Czachórskiego, Kossaków, Fałata, Kowalskiego, Buchbindera, Styki, Szymanowskiego, Maleszewskiego T., Gersona, Andriollego E. M., Brzostka A., Brzozowskiego F., Ryszkiewicza, Ciemniewskiego A., Kostrzewskiego Fr., Mordasewicza K., Mucharskiego Ark., Piątkowskiego H., Pilattego Ks., Stasiaka Ludw., † Tegazza Fr., Wróblewskiego J., R. i L. Kochanowskich, Wyczałkowskiego, Strejta, Rodakowskiego, Szernera, Stachiewicza, Krzesza, Rybkowskiego, Maszyńskiego, Stankiewiczówny, Popiela, Rajznera, Lindemana, Brodowskiego, Römera, Pochwalskiego, Piotrowskiego, Łosia, Czachórskiego, Wawrzenieckiego, Owidzkiego, Tańskiego i całego zastępu młodszych a zdolnych.

Gorliwym pomocnikiem trudów naszych, od lat kilkunastu, jest składający „Biesiadę" starszy zecer p. Stanisław Wyszyński.

Najdawniejsi protektorowie i prenumeratorowie „Biesiady Literackiej":

Ks. *Aftanasowicz* w Rydze.
Andrycz Ludwik w Hołobcach.
Andzielewicz Teofil w Żytomierzu.
Arcimowiczowa Postumia w Kałudze.
Ks. *Atkocewicz Hieronim* w Rozalinie.
Ks. Audycki Antoni w Jewiach.
Aufszlag L. w Trempinach.
Baliński w Wilnie.
Ks. Balukiewicz w Nowem Mieście.
Ks. Banachiewicz Jan w Chęcinach.
Ks. Bandrowski Wincenty w Różynie.
Bańkowski Józef w Penzie.
J. E. ks. Biskup Baranowski Antoni w Sejnach.
Ks. Bartliński Ignacy w Łoździejach.
† Bartnikowski Stanisław w Tomsku.
Bartoszewicz w Wilnie.
Barzykowski J. K. w Rostowie nad Donem.
Bądzkiewicz A. M. w Moskwie.
Ks. Bąkowski w Radomiu.
Ks. Bejnarowicz J. w Druskienikach.
Bełżecki Piotr w Tichoreckiej.
J. E. ks. Biskup Bereśniewicz Aleksander we Włocławku.
Ks. Bernatowicz Stanisław w Kaźmierzu.
Biczyński Władysław w Zwierzyńcu.
Ks. Biedrzycki Piotr w Rożanach.
Ks. *Bielawski Oktawiusz.*
Bielińska z Zawiszów K. w Sierczy.
Bielkiewicz w Mohylowie.
Bienkiewicz Jan w Suwałkach.
Bliziński Antoni w Aleksandronewsku.
Ks. Bludziński Antoni w Sompolnie.
Błoński Henryk w Szepietówce.
Ks. Błoński Leon w Jędrzejowie.
Bogdański Tadeusz w Dąbiu.
Ks. Bogdyszewski W. w Łuszy.
Boguszewski Adam w Porzenkach.
Bohdanowicz A. S. w Sejnach.
Ks. Boren Józef w Czudnowie.
Ks. Bordzyński Maurycy w Połtawie.
Borewiczowa Marya w Klejwach.
Borgoni Stanisława.
Ks. Borowski Florenty w Krasnymstawie.
Boryszewski Edward w Siekierzyńcach.
Braziewicz Marceli w Radomiu.
Ks. *Brażewicz Feliks* w Połańcu.
Brochocki Kazimierz w Ilińskiem.
Bronowska Stefania w Ustsysolsku.
Brydacki J. w Sandomierzu.
Ks. *Brykczyński Antoni* w Goworowie.
Ks. Brzostowski St. w Mohylowie.
Ks. Bubel Aleksander w Wolicy.
Buczyńska w Wilnie.
Ks. Budziszewski Wiktor w Potworowie.
Budźko Ludwika w Obolu.
Bujnicka Anna w Kwiryłach.
Bujwid Jadwiga w Wilnie.
Bukowski Marceli w Jarmolińcach.
Bułhak Władysław w Zaciszu.
Bułhak w Wilnie.
Ks. Burba Antoni w Wołoczysku.
Burchardt w Wilnie.
Ks. Butkiewicz K. A. w Wilnie.
Büttner Karolina w Kozińcach.
Bylczyński J. w Białymstoku.
Ks. Campo Scipio Józef w Łukowie.
Celewicz J. J. w Odessie.
Ks. Cepiel Antoni w Piotrkowicach.
Charewicz Marya w Anetowie.
Chęciński Jan w Chodorach.
Chmielewski Piotr w Wieluniu.
Ciechanowska w Radomiu.
Ks. Chmieleński Kor. w Czarnej.
Chodnikiewicz Henryk w Radomiu.
Ks. Chodorowicz Michał w Poniewieżu.
Chrapowicki Leopold w Symferopolu.
Chrucka Emilia w Mohylowie.
Chruścikowski Antoni w Moskwie.
Chrystowska Stefania w Wilkach.
Chyliński Jan w Dobrzyniu nad Wisłą.
Ks. *Cieślewski Edmund.*
Cimochowski A. J. w Rosławlu.
Cybulski Mikołaj w Mławie.
Czaplewski Antoni w Rendzinach.
Czarnocki Władysław w Kocku.
Czarnowski Wiktor w Radomiu.
Czerniński Józef.
Ks. Czerniewski Ignacy w Mścisławiu.
Ks. *Czerwiński G.* w Malicach.
Ks. Czupryński Czesław w Żółkiewce.
Ks. Czuwiński Józef w Szatach.
Ćwiklińska Stanisława w Mircu.
Darowska Michalina w Kijowie.
Daszkiewicz Antonina w Kupinie.
Dauksza w Wilnie.
Ks. Dąbrowski Aleksander w Radziejowie.

Dąbrowski Konstanty w Łodzi.
Ks. Doba Bartłomiej w Wilkach.
Dobkiewicz Marya w Nusikówce.
Doliński w Wilnie.
Dołęgowska w Wilnie.
Dołobowska Teresa w Stachowie.
Domański Marcin w Wyższym Taszliku.
Ks. Domaszewicz Jan w Turośni.
Dorantt Zofia w Soli.
Dowgiałło w Wilnie.
Dowgird Aleksander w Wilnie.
Ks. Dowkont Antoni w Worniach.
Downarowicz F. w Omsku.
Drojecki Stanisław w Turni.
Druet w Wilnie.
Drużyłowski w Wilnie.
Duplicki A.
Dynakowski F. w Szpakowie.
Dziubenko Paweł w Bereziance.
Ks. Ejdziatowicz Jul. w Mołodecznie.
Ejtminowicz Waleryan w Samarze.
Erdman Edmund w Syporówce.
Fedorowicz Tomasz w Mińsku.
Filawski W. w Olkuszu.
Francuzowicz Ludwik w Wilnie.
Gadonowa Jadwiga w Stanajciach.
Gallera Henryk w Rutkiszkach.
Ks. Garaszewski w Garwolinie.
Ks. Garniewicz Aleksander w Szwekszni.
Ks. Gawialis Michał w Kolnie.
Geniszewscy Helena i Wincenty w Łomży.
Giejsztor Kazimierz w Petersburgu.
Gierwatowska w Wilnie.
Gietling w Wilnie.
Glindricz w Wilnie.
Głodowska Jadwiga w Żółkiewce.
Głogowski A. w Rawiczu.
Godlewski Aleksander w Salince.
Godlewski Józef w Lubarze.
Ks. Godziszewski Leon w Lublinie.
Ks. Gołębiowski Albin w Koninie.
Górska Emilia w Żmijowie.
Ks. Górski Andrzej w Popielni.
Górski Ludwik w Pilicy.
Ks. Górski Piotr w Wierzbniku,
Górski Władysław w Kotiużanach.
Grajewski Ignacy w Radomiu.
Ks. Gratowski Bern. w Nowem Mieście.
Ks. Grodzki Józef w Łapach.
Ks. Gromadzki W. w Tomsku.
Grotkowski Tadeusz w Krasnymstawie.
Gruszczyński Szymon w Radomiu.
Gruszczyński Wiktor w Radomiu.
Ks. Grzeliński Adam w Kłobucku.
Grzybowska Julia w Cezarówce.
Ks. Grzymała Ambroży w Kostromie.
Gujski Antoni w Kielcach.
Ks. Gujski Marek w Przytyku.
Ks. Gumiński S. w Solcu nad Wisłą.
Ks. Gustajtys Józef w Simnie,
Hajkowicz w Wilnie.
d'Hauterive-Valentin Eliza w Lublinie.
Henneberg Wilhelm.
Herman Julia w Bałagańsku.
Herniczek Kazimierz w Nowej Aleksandryi.
Hoffman F. w Dorogobużu.
Hofman Jadwiga w Popielanach.
Holler Antoni w Ternach.
Hornowska Felicya w Lepelu.
Hulewiczowa Bronisława w Klitence.
Ks. Huzarski Wiktor w Starej Siniawie.
Idziakowski Feliks w Radomiu.
Iglatowski Stanisław w Romanowie.
Ilińska Celina w Skrobotówce.
Ks. Itner Franciszek w Błaszkach.
Iwanowska Bronisława w Żedni.
Iwanowski Waleryan w Dubience.
Iwaszkiewicz M. w Głębokiem.
Jachimowicz January w Zimowiszczach.
Jahołkowski J. w Lenkoraniu.
J. E. ks. Biskup Jaczewski Franciszek w Lublinie.
Janczewski Antoni w Widuklach.
Ks. Janczuk Stanisław w Wiślicy.
Janikowicz w Wilnie.
Ks. Jankiewicz Jan w Mstiżu.
Jankowska Teodozya w Kiwiszkach.
Jankowski Ludwik w Koluszkach.
Ks. Jarosiński L. w Ostrowążu.
Ks. Jarnutowski w Wąsewie.
Ks. Jarułajtys Wincenty w Płungianach.
Jastrzębski Tomasz w Kałudze.
Jaworowski Kazimierz w Kownie.
Jelec Aloiza w Kamieńcu Podolskim.
Jodko Piotr w Tyflisie.
Ks. Jozepajtis Jan w Komajach.
Józefowicz Hlebicki Stanisław w Perespie.
Juchniewicz Aleksander w Grodnie.
Jukszyński A. w Rybiniszkach.
Junowicz w Wilnie.
Jurewiczowa Józefa w Dorohobylu.
Jurkowska Emilia w Częstochowie.
Ks. Kaczyński w Łowiczu.
Kamieński Jan w Czepiełunach.
Kamieński w Wilnie.
Kamińska Józefa w Lemieszówce.
Kamiński J. w Sewastopolu.
Ks. Kamiński Jerzy w Zambrowie.
Kamiński Zygmunt w Terespolu.
Kanclerski Edward w Ostrówku.
Karkowska Marya w Lipsku.
Ks. *Karpowicz Eustachy* w Rakowie, w gub. Mińskiej.
Ks. Karpowicz Julian w Holszanach.
Katyl Antoni w Uku.
Ks. *Kazon L.* w Lidowianach.
Ks. Kempski P. w Smogulcu.
Kiersnowska Julia w Śpiachlicy.
Kleczyński Bronisław w Krzyszkowcach.
Kluczewska Malwina w Miłoszewicach.
Ks. Kobyliński K. w Złoczewie.
Ks. Kocott Stanisław w Skalbmierzu.
Kodź w Wilnie.
Kollis Antoni w Żyzdrze.

Komar w Rakowie.
Komorowska St. w Bereznie Wielkiej.
Komorowski A. W. w Buhłowie.
Komorowski Jan w Smoleńsku.
Konopacka Włodz. w Kijowie.
Kopański w Wilnie.
Kopycińska Marya.
Korniłowicz Władysława w Suwałkach.
Kosiński Aleksander w Pabianicach.
Kossakiewicz Adolf w Nasielsku.
Ks. Kossowski Wład. w Minkowcach.
Kossowskie w Szynkielewie.
Ks. Kościa Konstanty w Świsłoczy.
Kościelski Jan w Sokolnikach.
Kościński W. w Granicy.
Kozakiewicz A. w Wieluniu.
Kozłowski Feliks w Norce.
Ks. Kozłowski Teofil w Radzyminie.
Kozłowski Stanisław w Wołczańsku.
Kozłowscy Mieczysław i Stanisław w Wołczańsku.
Ks. Kożuchowski Fl. w Kocku.
Kożuchowski Karol.
Krajewski Aleksander w Klukowie.
Ks. Krasuski Wacław w Urzędowie.
Ks. Kraszewski Kazimierz w Bytoniu.
Kraszewski Kazimierz.
Krzepczyński Franciszek w Osięcinach.
Ks. Kucharski Jan w Wolbromiu.
Kudyrko Wincenty w Gryszkabudzie.
Kulesza-Korwin Edward w Indykach.
Kulesza Leon w Wereszynie.
Ks. Kulesza Władysław w Różanach.
Kulesza w Radomiu.
J. E. Ks. Biskup Kuliński Tomasz Teofil w Kielcach.
Kundzicz w Oszmianach.
Kunicki Antoni w Kielcach.
Kunińska Wanda w Rżgowie.
Kurkowska w Radomiu.
Kurkowska w Lipkach.
Kurmanowicz Witalis w Sidorowie.
Kwiatkowska Laura w Pomorzu.
Kwiatkowska Z. w Równem.
Lelesz Klemens w Gałachach.
Lenartowicz Bolesław we Władykaukazie.
Lenczewska Anna w Łowcach.
Ks. *Lendo J.* w Grajewie.
Lenkiewicz St.
Leszczyński Karol w Wasilkowcach.
Leszczyński w Wilnie.
Lewicka Cezaryna w Gołcie.
Lewicka Marya w Gniewoszewie.
Limodro w Wilnie.
Linowski Antoni w Kamionce.
Lipińska Józefa w Hermanowie.
Lipińska Klara w Torczynie.
Lipińska Marya w Brzesku Nowem.
Ks. Lisowski Antoni w Bełżycach.
Lucy Wincenty w Lublinie.
Łabęcki Hipolit w Ostrówku.
Łaniewski Robert w Kaprycy.
Łapińska w Wilnie.
Ks. Łapiński J. w Rogowie.
Łappo K. w Libawie.
Łaszkiewicz Mikołaj w Romnach.
Ks. Ławrynowicz Zygmunt w Słonimiu.
Łopuszański Wojciech Julian w Julianówce.
Łotocka Marya w Humaniu.
Ks. Łozicki Romuald w Zińkowie.
Łoziński Apolon w Chyźnikach.
Łukaszewicz Paweł w Piekutach.
Łukaszewski Ludwik w Dobrzelinie.
Łunkiewicz Antoni w Diatłowie.
Macewicz Mikołaj w Gorochowie.
Ks. Machczyński Leon w Sierpcu.
Ks. *Maciaszek Fr.* w Boniewie.
Madejski A. w Ciszewie.
Ks. Majewski w Petersburgu.
Makowiecki Jerzy w Turbowie.
Malanowicz Józef w Wilnie.
Malanowski Maryan w Sochocinie.
Malczewski Jan N. w Bątkowie-Rochnach.
Małęczyński Teofil w Zaporożu Kamieńskiem.
Małynicz Rozalia w Kijowie.
Markiewicz Jadwiga w Demiówce.
Ks. Masłowski P. w Wyłkowyszkach.
Ks. Matkowski Alojzy w Starej Uszycy.
Ks. Michalkiewicz w Kronsztadzie.
Michałowska Ludwika w Kownie.
Michałowska Monika w Oradówce.
Michałowski August w Bikiewiczu.
Migdalski Antoni.
Ks. *Mikołajewski Stanisław* w Piotrkowicach.
Minkiewicz Tomasz w Purplewie.
Mioduszewska Helena w Radomiu.
Misiewiczowa Z. w Solwyczegodzku.
Misiewiczowa Aleksandra w Kacianowiczach.
Ks. Modrzewski Wacław w Poddębicach.
Mogilnicki Ludwik w Nowo-Mińsku.
Ks. Molecki w Ożarowie.
Mongirdowa Zofia w Połądze.
Morawski w Petersburgu.
Moroz Kazimierz w Wołczku.
Moryno Amelia w Busku.
Możejko Michalina w Kulszyszkach.
Murzyc Aleksander w Kondratówce.
Nakielska Marya w Winnicy.
Nalewajko Maciej w Szemietowszczyźnie.
Ks. Namiotkiewicz w Augustowie.
Napiórkowski K. A. w Olszanej.
Narbutt Jan w Libawie.
Ks. Narkiewicz Leon w Worniach.
Ks. Nauwczyński w Sokołowie.
Newelski Maryan w Kalinówce.
Niedzwiedzki Antoni w Kamionce.
Niemcewicz Ursyn Jadwiga w Rynkach.
Niesłuchowski w Czernowie.
Niezabitowska Antonina w Lublinie.
Niezabitowska w Wilnie.
Nowacka Teofila w Adamowie.
Ks. Nowacki Paweł w Aleksandrowie Łęcz.
Nowakowski Andrzej.
Nowicki Antoni w Poniewieżu.
Nowicki Maryan w Chersoniu.
Nowicki W. w Łucku.

Nowodworski Faustyn w Sławucie.
Obidziński Antoni w Orszy.
Ks. Obrębski w Łęgu.
Ks. Obuchowicz Bronisław w Kielcach.
Okuszko Teresa w Połocku.
Olech Konstancya w Przemenczanach.
Olechowska Ludwika w Werbowie.
Olekiewicz Jadwiga w Mińsku.
Ks. Olkowski Jan w Ciechanowie.
Olszowski Ryszard w Ufie.
Oratowska Marya w Kowarsku.
Ordyniec Paweł w Nowgorodzie.
Orłoś Norbert w Wysokich Puzyrkach.
Orłowski Andrzej w Racławicach.
Osipowicz Franciszek w Mikuliczach.
Oskierko w Ruszonach.
Ossowski Antoni w Brąszewicach.
Ossowski Jakób Hubert w Kownie.
Ostaszewska Antonina w Lubartowie.
Ks. *Ostaszewski Mieczysław* w Nowo-Konstantynowie.
Ks. Ostrach Antoni w Zwoleniu.
Oświecimski Antoni w Mińsku.
Owczarewicz Kazimierz w Gżatsku.
Ks. Pacewicz Franciszek w Szylelach.
Paluszyński Gustaw w Górach Mokrych.
Pałasiński T.
Ks. *Pałtarakas* w Kurklach.
Papużyński Kalikst w Porycku.
Pawłowicz Emilia w Osowinie.
Pawłowska Helena.
Peczeń Karol w Tepliku.

J. E. Ks. Biskup Józef Pelczar w Przemyślu.

Peltier Zofia w Czubówce.
Perfiliew w Tobolsku.
Ks. Pilecki Józef w Rokitnie.
Ks. Piontek Julian w Radomiu.
Ks. *Piotrowicz Ludwik* w Sandomierzu.
Ks. Pióro w Sterdyni.
Hr. Plater w Wilnie.
Ks. *Plauszynajtys Mateusz* w Kuleszach.
Płużański Zygmunt w Radomiu.
Podbereski w Wilnie.
Podolecka Janina w Kozielcu.
Pomorski Roman w Częstochowie.

J. E. Ks. Arcybiskup Popiel-Chościak Wincenty Teofil.

Ks. Popiel w Janowie.
Popowska w Szepietówce.
Porcyanko Wincentyna w Podlesiejkach.
Potrykowska Aleksandra w Zielonem.
Ks. Powiłajtys A. w Wilkach.
Preszel Karolina w Żółkiewce.
Progulbicki w Wilnie.
Przewóski Julian w Siedlcach.
Przyłuski Stanisław w Radomiu.
Przygodzka Anna w Sołtanowszczyźnie.
Raciborska Wanda.
Ks. *Raczkowski Stanisław* w Brzózy.
Radłowski Sebastyan.
Dr Raduszkiewicz w Wilnie.
Radwiłłowicz Jadwiga w Melonkach.
Ks. *Radziejowski Ludwik* w Proskurowie.
Radosiński Rafał w Opatowie.
Radzikowski Bazyli w Gniwaniu.
Radwiłowicz w Mielenkach.
Ks. *Rakowski Bolesław* w Truskowie.
Ks. Randys Józef w Poniemuniu.
Raube Marya w Morszańsku.
Rawa Olgierd w Borysowie.
Regińska S.
Rogulski Ludwik.
Resursa w Radomiu.
Reuttówna Apolinarya w Radoszkowicach.
Rieff Zygmunt.
Robaczyńska Stanisława w Haliczanach.
Rodziewiczowa Helena w Uszy.
Ks. Rogacki Czesław w Rypinie.
Rogiński Kazimierz w Wojsznaryszkach.
Rogowski Wiktor w Ekaterynosławiu.
Ks. Rokossowski Bronisław w Kleczewie.
Romanowska Lucya w Toropcu.
Ks. Romanowski Stefan w Radoszkowicach.
Romiszowski Jan w Żytomierzu.
Rosiński w Radomiu.
Rosłaniec Aleksander w Lipowcu.
Rostkowska Józefa w Krzewinie.
Ruczyński Mieczysław w Kożuchowie.
Ks. Ruczyński Wilhelm w Smoleńsku.
Rudzińska w Wilnie.
Ks. Rułkowski w Ciechanowcu.
Rusinowska Adela w Kościelnicy.
Rustejko Petronela w Poniewieżu.

J. E. Ks. Biskup Ruszkiewicz Kazimierz.

Ks. Rutkiewicz w Zelowie.
Rutkowski w Wilnie.
Rybe K. w Łasku.
Rymszewicz w Wilnie.
Sadowska Marya w Nowogrodzie.
Sadowska Stanisława w Traszkunach.
Sadowska w Łunnej.
Sakiel Jan w Gorżdach.
Ks. Sapiński Jan w Sąspowie.
Sawicki Franciszek w Lublinie.
Ks. Sieciński Stanisław w Chojnem.
Ks. Siek Wawrzyniec w Opocznie.
Sienkiewiczowa w Wilnie.
Siliniczowa Izabella w Wilnie.
Skawiński Stanisław w Niemaniu.
Skraiński Edward w Didowiczach.
Skrzypkowski Aleksy w Luterce.
Ks. Słapczyński Józef w Hrubieszowie.
Sławeński Drabowicz Walery w Letyczowie.
Sławińska Michalina w Wieżoławkach.
Szmit Jul. w Wilnie.
Sobecki Aleksander w Radomiu.
Ks. *Sokołowski Aleksander* w Wodzisławiu.
Sokołowski Gaspar w Kownie.
Soroka Józef w Kurszach.

J. E. Ks. Biskup Sotkiewicz Antoni Ksaw. w Sandomierzu

Ks. Spełczyński L. w Dobrej.

J. E. Ks. Arcybiskup Stablewski Floryan w Poznaniu.

Staniewicz Stanisław w Maryampolu.
Staniszewski Waleryan w Suwałkach.

Staniszewski Władysław w Piwniku.
Starzyński Bronisław.
Statkiewicz Henryk w Kamieńcu Podolskim.
Ks. Stawgatt Łukasz w Wyłkowyszkach.
Ks. Stepszys Kazimierz w Kolnie.
Strażyński Józef w Piaskach Luterskich.
Styrpejkowa w Wilnie.
Ks. Suchecki w Żychlinie.
Suski K. w Kamieno-Koszyrsku.
Sutocka w Wilnie.
Swolkień Edward w Święcianach.
Swolkień w Wilnie.
Ks. Synowicz Józef w Rudnikach.
Szablewiczowa w Wilnie.
Szabłowska w Wilnie.
Szadziewicz L. w Wojszkanach.
Ks. Szaniawski Witold w Leopoldowie.
Szarska w Mińsku.
Szatowska Julia w Potworowie.
Szawieko Wanda w Czerczycach.
Szczeniowska Anna w Kopuścianach.
Szczytt Kazimierz w Łunińcu.
Szelążek Paweł w Krutach.
Szewell Marya w Petersburgu.
Szlachcianowski Marcin w Zdołbunowie.
Ks. Szmidel w Łodzi.
Sznejder w Wilnie.
Szostacki Maryan w Homlu.
Ks. Szulc w Wilnie.
Szwantowski Bronisław w Niedźwiadzie.
Szwarc Teofila w Orszy.
Szyczewski Józef w Ładzie.
Ks. Szymanowski Józef w Lutomiersku.
Szymańska Emilia w Złotouście.
Ks. Szymański Walery w Czerniowcach.
Szymborski Michał.
Szyszkowski Romulus w Baraniem Polu.
Śniadecka w Wilnie.
Świdzińska Wanda w Wierzchówce.
Święcicki Fortunat w Skierniewicach.
Święccy w Olszanicy.
Ks. Tarłowski Ludwik w Tczowie.
Tarulewicz W. K. w Oszmianach.
Thullié Maksymilian we Lwowie.
Thun (de) Wincenty w Kadłutowie.
Tłuchowska M. w Kijowie.
Ks. Toczyłowski Antoni w Kotaszowie.
Ks. Toczyski Piotr w Popielni.
Tołłoczko Pobóg Wiktor w Suszewie.
Tomaszewicz Władysław w Poniewieżu.
Ks. Tomaszewski Felicyan w Mohylowie.
Towginowa Alina w Menenczówce.
Trzepel Józef w Kamionce.
Turczyński Aleksander w Koniecpolu.
Tuźnik Stanisław w Sosnowcu.
Ufniarski Aleksander w Saratowie.
Urbanowicz Józef w Kielcach.
Urbanowska Wiktorya w Kaliszu.
Ks. Urbański Józef w Radomiu.
Ks. Urbański w Kałuszynie.
Wachowska W. w Pyzdrach.
Walicka Marya w Nałęczowie.
Walicka St.
Ks. *Wangal Józef* w Siechniewiczach.
Wańkowicz Dorota w Orszy.
Wańkowicz Stanisława w Osztorpolu.
Wańkowicz Zofia w Birczy.
Warpechowski Antoni w Rydze.
Ks. Wasilewski w Starej Wsi.
Ks. Waszak W. w Aleksandrowie.
Wawrykiewicz Aleksander w Słomnikach.
Ks. Wełutis Jan w Rutcau.
Węcewicz w Wilnie.
Ks. Wiadrowski Romuald w Prandocinie.
Wielicki Jan.
Wieliczkowa w Wilnie.
Wierszewska Natalia w Żytomierzu.
Wierzbicka Jadwiga w Żaszkowie.
Wierzbowski Konstanty w Horodyszczu.
Wierzycki Ludwik w Kielcach.
Ks. Winter Ludwik w Czerniowcach.
Wiszniewska Marya w Moskwie.
Wiśniewski Franciszek w Garwolinie.
Wiśniewski J. w Tomaszowie Rawskim.
Witkowicz w Wilnie.
Witkowski Julian w Józefowie.
Ks. Wlazlacki w Klimontowie.
Włoczewski Czesław w Trojanowym Wale.
Wojciechowski Stanisław w Łodzi.
Ks. Wojciechowski w Goniądzu.
Ks. Wojciechowski w Telakach.
Wojdacki Józef.
Ks. Wojewódzki Franc. w Płońsku.
Wojewódzki Habdank Witold w Petersburgu.
Wojnarowska Marya.
Ks. Wojtckunas w Białymstoku.
Wojtowicz Franciszek w Balwierzyszkach.
Wolejnia w Wilnie.
Wolfgang Weronika w Połukniach.
Ks. Wolski A. w Osiakowie.
Ks. Wołosiewicz w Kozienicach.
Wołoszyński Serafin w Włoszczowie.
Wolski Michał w Parzymiechach.
Worotnicka F. w Homlu.
Woźnicka w Wilnie.
Woźnicki Bronisław w Radomiu.
Ks. Wroczeński W. w Słucku.
Ks. *Wronowski Łukasz* we Lwowie.
Wróblewski Karol w Augustówce.
Wyrzykowski Edward w Kobryniu.
Zabłocki w Wilnie.
Zaborska Helena w Osieku.
Zadarnowska Teresa w Słonimiu.
Ks. Zagorski w Biniakowie.
Zaleska A. w Bielkowszczyźnie.
Ks. *Załuski W.* w Osieku.
Hr. Zamojski August we Włodawie.
Zamojski Hipolit w Kielcach.
Zarzecka w Wilnie.
Zarzycki L. w Daszowie.
Ks. Zawistowski J. w Sokołowie.
Zielińska M. w Radomiu.
Zieliński Józef-Klemens w Lublinie.
Ks. Ziemniewicz Władysław w Koninie.

Ziger-Korn E. w Jarosławlu.
Zimny Grzegorz w Racławicach.
Zjawny Stanisław w Neftianej.
Znamierowski Bolesław w Worniowatej.
Zuszko Paulina z Kruszewskich.
Ks. *Zubrys T.* w Smolanach.
Zuchowicz Konstanty w Sompolnie.
Zygadło Jan w Tuszynie.
Żejmo w Wilnie.
Żelazowski St. w Białogrodzie.
Żelechowski Franciszek w Dźwińsku.
Żelska w Wilnie.
Żukielis Antoni w Szawlach.

(Nazwiska najdawniejszych prenumeratorów wydrukowano pismem pochyłem. Prenumeratorowie, przy których nazwiskach nie podano miejscowości, mieszkają w Warszawie).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
Spółpracownik i przyjaciel „Biesiady.“

DZIAŁ LITERACKI.

Biesiada u Ziemomysła.

przez

Deotymę.

(W Gnieźnie wielka sala, ozdobiona w rogi i skóry myśliwskie. Po obu stronach dwoje drzwi mniejszych, w których służba się roi. W głębi wielkie drzwi wchodowe, na rozcież otwarte, za niemi widać niebo i miasto. W sali długi stół suto zastawiony. Szafarze roznoszą na ramionach deski, na których leżą ogromne ryby, niedźwiedzie łapy, dzicze i żubrze głowy. Inni przynoszą i krają kołacze, wielkie jak koła od wozu. Po jednej stronie stołu siedzi Ziemomysł, zamyślony, z czołem opartem na ręku, przy nim Kapłani i Wieszczkowie, dalej szereg Żupanów, Starostów, Kmieciów i Wojowników; między nimi wędrowny kupiec. Po drugiej stronie stołu, siedzi żona Ziemomysła, dalej inne niewiasty szeregiem. Za niemi kręcą się służebne dziewki i niańka).

CHÓR GOŚCI.

Przyjął że nas gospodarz, przyjął, co się zowie!
Niech że mu dobre bogi za to dadzą zdrowie.
A niech nam tak nie siedzi chmurno i żałośnie,
Kiedy mu syn jedynak na pociechę rośnie.

JEDEN Z ŻUPANÓW (*powstaje z kubkiem w ręku:*)

Więc teraz pijmy zdrowie syna jedynaka.
Może ojca piosenka rozweseli taka?
Ile dziś jasnych włosków spadło z jego głowy,
Tyle lat niech nam żyje syn Ziemomysłowy!

(*Wszyscy wstają i podnoszą kubki, oprócz jednego starego wojaka.*)

STARY WOJAK.

Żyć to nie dość. Bez chwały, co i życie znaczy?
Ja znałem lepsze czasy. Ja życzę inaczej:

(*Podnosi kubek*).

Ile włosów do śmierci wyrośnie mu z głowy,
Tyle Sasów niech zbije wnuk Ziemowitowy!

JEDEN Z KAPŁANÓW (*półgłosem do wojaka*).

Czyż nie znacie niedoli, która ten dom nęka?
Kiedy oko nie widzi, jakże ma bić ręka?

STARY WOJAK.

To niech sam nie wojuje, lecz niech nas wysyła.
Niech tak rządzi, by wielkość pradziadów odżyła,
Bo już o niej zapomniał dzisiejszy ród słaby.
Nic tylko spać i hulać. Żyjemy jak baby.
Jeśli tak dłużej potrwa, to do krocset kroci
Piorunów.....

SIWY WIESZCZEK (*do Ziemomysła*).

Nic-że, ojcze, was nie rozochoci?
Ani życzenie nasze aby rosł wam synek?
Ani tego rębacza zuchwały przycinek?

ZIEMOMYSŁ, (*powoli podnosząc głowę.*)

Cóż chcecie, abym mówił? Przed laty siedmioma,
Gdy spostrzegłem jak ludzka szczęśliwość znikoma,
Gdy noc wieczna dotknęła tej najmilszej główki,
Już się przygotowałem na wszystkie wymówki,
Obelgi i szyderstwa. Cóż rodzica czeka
Prócz hańby i żałości, kiedy syn kaleka?

INNY KAPŁAN.

Oj książę, nie gadajcie, niewdzięczna z was dusza.
Bogi niechętnie dają, gdy ich się przymusza,
A przecież ta ich łaska była wymuszona?
Przypomnijcie—no sobie, jak to wy i żona
Całe lata do świątyń znosiliście dary,
Chodzili codzień do nas, po wróżby i czary,
Płakali, jak najęta płaczka na pogrzebie,
Abyśmy wam potomka wymodlili w niebie.
Niebo was wysłuchało, i znów się skarżycie?

ŻONA ZIEMOMYSŁA.

O nie! Ja się nie skarżę. Będę całe życie
Błogosławić tę łaskę, choć tak okupioną,
Dziecko im nieszczęśliwsze, tem droższe.

ZIEMOMYSŁ.

Tak, żono,
Dobrze mówisz. Ach kiedy ta niewiasta miła,
Dzięki modlitwom waszym, syna mi powiła,
Szalałem od radości, on miał być mi chlubą...

ZIEMOMYSŁ.

Być może... Nie wiem, czy mi jakiś bóg zazdrości?
Ale szczęście jak przyszło, tak i w jednej chwili
Poszło... Okropna chwila! Gdyśmy zobaczyli,
Że te oczy patrzyły, a nic nie widziały,
I dla mnie się na czarno zasłonił świat cały.

NIAŃKA, (*stojąca za krzesłem żony Ziemomysła:*)

Długo się jeszcze państwo bawili nadzieją,
Że te śliczne oczęta z czasem rozjaśnieją,

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska).

SIWY WIESZCZEK.

Może właśnie ta radość stała nam się zgubą?
W zbytku szczęścia, przyczyna wszystkich nie-
[szczęść główna.
Bogi się obrażają, gdy im człowiek zrówna
W czemkolwiek,—a najbardziej, kiedy w szczęśli-
[wości.

Całe dnie nad kołyską, z płakaniem rzewliwem,
Klaskali na dzieciątko, świecili łuczywem,
Sprowadzali lekarki. Co kto radzić pocznie,
To robią. Wszystko próżno. Ktoś urzekł wido-
[cznie.

(*Zasłania oczy fartuchem i wychodzi.*)

ŻONA ZIEMOMYSŁA.

Żeby to jeszcze było dziecko z tępą głową?
Brzydkie? Ale nie, owszem! Urodę ma zdrową,
Rozum zadziwiający. Nieraz gdy odpowie,
To doprawdy jak stary. Wszystko mu bogowie
Dali: godność książęcą, zaszczyty bez granic,
Jedno mu odebrali, ach i wszystko za nic.

ZIEMOMYSŁ.

A jednak nie szemrałem. Sam się teraz dziwię,
Jak długo to nieszczęście znosiłem cierpliwie.
Ale się i nadludzka cierpliwość wyczerpie,
Kiedy mnie ludzie ranią, choć widzą, co cierpię,
I to kiedy? Dziś właśnie, w taki dzień pamiątek,
Co w każdym domu bywa najmilszem ze świątek,
A nam tylko dotkliwiej nasz ból przypomina.
Lada biedak, gdy sprawia Postrzyżyny syna,
Śmieje się i zajada z podniesionem czołem,
A ja co? Z całej uczty chyba łzy połknąłem.
Sromam się przed narodem, gdy wśród zdrowych [ludzi
Muszę stawiać dziedzica, który litość budzi.

STARY WOJAK.

No, wybaczcie, ojczulku, jeśli was niemiłem
Jakiem słówkiem drasnąłem. Lecz to, co mówiłem
Nie tyczyło się dziecka tylko waszych rządów.
Trudno,—ludziom co rządzą, nie uniknąć sądów.
Służyłem ja w chorągwiach księcia Ziemowita,
O, to był wódz prawdziwy!
Dziś każdy się pyta,
Ile kto ma zagonów, lub ile par wołów?
Dawniej to było życie! Wesołe, choć krwawe,
Rok po roku szły wici na nową wyprawę,
Książę świecił jak bożek. Przy nim zbrojni cali,
Setnicy, dziesiętnicy, hasła odbierali,
A kiedy cały pochód z włóczniami jasnemi
Ruszył, to jakbyś gwiazdy rozsypał po ziemi.

(Kilku młodzieńców wstaje i słucha starca mówiącego).

A dopiero gdy przyszło powracać z wyprawy,
Oj to, słuchajcie młodzi, był widok ciekawy.
Wszystko nam czapkowało. Kiedy nas dziewczęta
Zoczyły strojnych, lśniących, oho, już oczęta
Odwracały od grubych kmieci i pastuchów.
Nasz Ziemowit aż dzwonił pod siecią łańcuchów
I rynsztunków, zdobytych na przeróżnych królach.
Człek nieraz, choć i ranny, zapomniał o bólach,
O znużeniu, o wszystkiem, gdy wpadł w te pokłony.
Każdy z nas na proporcu miał wianek zielony,
A na rękach pierścieńce dla swojej dzieweczki.
A dopieroż na wozach całe wory, beczki,
Z niemieckiemi groszami, z pomorskim bursztynem,
A niektóre nalane słodziuteńkiem winem.
Jak człowiek z takim wozem wjechał na dziedzi- [niec,
Jak rozdał wszystkim swoim wojenny gościniec,
Jak wziął od najpiękniejszej serce i buziaka,
To sam zdawał się królem.

JEDEN Z MŁODZIEŃCOW.

Prawda, wojna taka
Dobra.

ROLNIK (*oglądając się po wszystkich:*)

Myślał, że przygania,
A tymczasem nam wyciął największą pochwałę.
Wiesz, bracie, co dowodzi to gderanie całe?
Że kraj za Ziemomysła daleko szczęśliwszy,
Niźli za Ziemowita.

STARY WOJAK.

Bo!

ROLNIK.

Wszystko zważywszy,
Wojna więcej przynosi szkody niż korzyści,
To prawda, że się żyje sto razy siarczyściej,
Że niektórym jest lepiej, ale wszystkim gorzej.
Ile to wdów i sierot w chatach się namnoży!
Bo nie każdy powraca tak szumnie i cało.

JEDNA Z NIEWIAST.

Moja babka aż bladła, kiedy się wspomniało
O wojnach Ziemowita, gdzie zginął mój dziadek.
Nieraz opowiadała, jako żywy świadek,
Okropności tych czasów, to myśmy się dzieci
Pod stół kryły.

INNY ROLNIK,

Nie wszystko złoto, co się świeci.
Kto bije, bywa bity. Po każdej zwycięzkiej
Wyprawie, jakby kruki zlatują się klęski.
Spaliliśmy sto wiosek? Nam spalono dwieście.
Nie miał kto w polu robić? To głód przyszedł. Wre- [szcie,
Zarazę roznosiły niegrzebane trupy,
I jeszcze się brat z bratem pokłócił o łupy.

PIERWSZY ROLNIK.

Ja przecież naszym ojcom i bojów nie ganię.
Kiedy trzeba obrony, dobre wojowanie.
Lecz po cóż, mówiąc szczerze, prowadzi się wojnę?
Aby sobie zarobić na życie spokojne.
Mamy je,—używajmy.

ZIEMOMYSŁ (*do starego wojaka:*)

Czy myślisz, mój stary
Żem ja także nie pragnął brać się z kim za bary?
Dać nauczkę sąsiadom? Popisać się z siłą?
Chciałem, lecz mnie nieszczęście prędko wyleczyło.
Syn po mnie, jako ślepiec, w bojach nie zasłynie;
Tylko spokojnej może panować krainie,

PANTEON POETÓW POLSKICH.

Juliusz Słowacki. Adam Mickiewicz. Zygmunt Krasiński.

Kornel Ujejski. Jan Kochanowski. Wincenty Pol.

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

Ach! gdy na to wspomniałem, opadły mi ręce
Pozaczepiam sąsiadów? Nieprzyjaciół znęcę?
A może jutro umrę? O nie!...

JEDEN Z MŁODZIEŃCÓW (*do innych półgłosem:*)

Ale czemu
Wszyscy my gnuśnieć mamy z łaski jego syna?

STARY WOJAK.

Mnie książę już potroszku nawracać zaczyna.
Istotnie, kto następstwem zasmucony takiem,
Ten musi kraj zostawić, jakby zasiał makiem.
I tak właśnie jest dzisiaj. Ślicznie! Tylko szkoda.
Że nie wiem, czy nam długo potrwa ta pogoda.

ZIEMOMYSŁ.

A to czemu?

PIERWSZY ROLNIK.

Cóż grozi?

STARY WOJAK.

Nieprzyjaciel blizko.

RÓŻNE GŁOSY.

Jak? gdzie?

STARY WOJAK.

Niemcy! Niemcy! ciągną jak mrowisko.

(*Śmiech ogólny).*

ŻUPAN.

A! Jeśli tylko tyle, to jeszcze daleko
Owe niebezpieczeństwo. Za dziesiątą rzeką!

JEDEN Z KAPŁANÓW.

Odkąd się urodziłem, rok w rok ludzie straszą,
Że Niemcy przyjdą, wezmą nas i ziemię naszą,
A jeszczem ich nie widział. Twój wymysł był dobry,
Tylko nie nowy.

STAROSTA.

Niemcy, to jak owe Obry,
Co to szli, szli, grozili, niby zawsze bliscy,
A zanim do nas doszli, wyginęli wszyscy.

DRUGI ROLNIK.

No, i teraz możemy spać na oba uszy.

STARY WOJAK.

Obyście nie zaspali! Niemiec gdy wyruszy,
To idzie wolniuteńko, okrąża przeszkody,
Pocichutku rwie brzegi, znosi wsie i grody,
Aż wszystko opanuje z cierpliwością wody.

KUPIEC WĘDROWNY.

Tak, to prawda.

STARY WOJAK.

Jeżeli mnie wierzyć nie chcecie,
Ten bywalec wam powie, co widział na świecie?
Spotkałem go, tu idąc, i przez całą drogę,
Takie rzeczy mi gadał, że aż jeść nie mogę.

KUPIEC WĘDROWNY.

Już tośmy zagrożeni sąsiedztwem niemiłem.
Co rok jeżdżę z futrami. Kilka razy byłem
Za Łabą, a raz nawet aż przy sławnym Renie.
To widzę, jak się wścibia owo pokolenie.
Pamiętam, gdy mnie ojciec przed trzydziestu laty
Wziął na pierwszą wędrówkę,—od chaty do chaty,
I od miasta do miasta, wszystko nas witało
Gościnnie, a co więcej, mową zrozumiałą.
Człowiek nie miał potrzeby odjechać do Sali,
Już cały nasz zapasik ludzie rozebrali.
Wszędzie świecił dostatek, pełne zboża składy,
W świątyniach pełno ludu, po domach biesiady,
Zupełnie jak dziś u nas. Ale rok po roku,
To szczęście się mroczyło, jak księżyc w obłoku.
Coraz częściej widziałem czerwone pożogi,
Coraz wcześniej musiałem zawracać się z drogi,
Bo już nowy pas kraju zajęli przybysze.
Gdzie dawniej ślicznych piosnek słuchałem, dziś słyszę
Tylko szepty o mordach, zdradach i pogromach.
Wszędzie jakaś twarz obca. W tychże samych domach,
Gdzie do stołu siadałem, piłem przy ognisku,
Dzisiaj tylko pies wyje na czarnem zwalisku.
Padły, jak słoma, bogom poświęcone lasy.
Niema się po co schylić tam, gdzie przejdą Sasy.
Jak tylko w jakiej bitwie otrzymają pole,
Zaraz resztę mieszkańców sprzedają w niewolę,
Budują gród, gdzie jakiś Grabia, czy Margrabia,
Osiada, grunt rozdaje, roje Sasów zwabia,
Wioski opustoszałe tą zgrają zapycha,
I tak to kraj się niemczy.

STARY WOJAK.

Ale cóż u licha,
Czy tamci się nie bronią?

KUPIEC WĘDROWNY.

I jak jeszcze bronią!
Tam piędź ziemi to świętość; tyle bitew o nią,
Że już chyba w tym gruncie więcej krwi niż wody,
Ale to z nieszczęściami przychodzą niezgody,
W tem sztuka, kto na kogo całą winę złoży?
I po każdym wysiłku coraz wszystkim gorzej.
Niszczeją sławni Wilcy, nikną Obotryci,
A Sasów nigdy nie brak. Sto razy pobici,

Sto razy wtargną, jeśli nie otwartym bojem,
To podstępem, i zawsze postawią na swojem.
Więc jak wrócę do domu, chociaż cicho wszędzie,
Myślę: „Jeszcze lat kilka, cóż to z nami będzie?“
Jak widzę nasz dodatek, jak siadam na gody,
Łzy mi się w oczach kręcą. I tamte narody
Widziałem godujące, a teraz?

KUPIEC WĘDROWNY.

Mówcie sobie co chcecie, jam taki zrażony,
Że już pewno nie wrócę nigdy w tamte strony,
Wolę iść między smoki, co siedzą u wschodu,
Za puszcze i za morza, aż do Carogrodu,
Niż tam! Człowiek już nie śmie wyznać, że Sło-
[wianin,

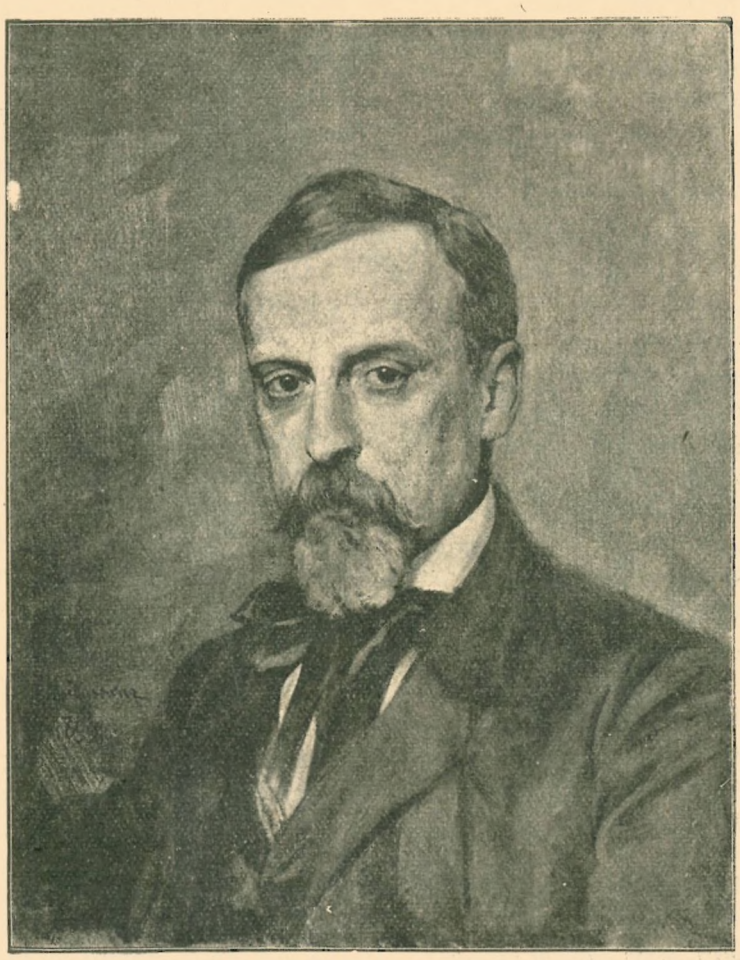

Henryk Sienkiewicz.

Akwarella K. Mordasewicza.

KAPŁAN.

Ej, bracie,
Wszystko mi się coś widzi, że złe przesadzacie,
Przecie zawsze na świecie wojna się gdzieś toczy;
Gdyby się każdej lękać...

ŻUPAN.

Strach ma wielkie oczy.
Zaraz Niemcy cię złupią pod pozorem danin
I zelżą; dobrze jeszcze jeśli ujdziesz cało,
Wszak już o tem po świecie przysłowie powstało.

PIERWSZY ROLNIK.

Jakie?

KUPIEC WĘDROWNY.

„Poszli w rozsypkę o głodzie i trudzie

Jak rodzina słowiańska, którą sobie ludzie
Rozszarpują na targu.“

(*Słuchacze przerażeni. Długa chwila ciszy.*)

STAROSTA.

Okropne przysłowie.

JEDEN Z MŁODZIEŃCÓW (*zrywa się*)

A niechże owszem przyjdą prędko ci Sasowie!
My im tu pokażemy, czy kto z nas na targi
Da się ciągnąć jak bydlę?

STARY WOJAK.

A co? moje skargi
Czy próżne? Ja wciąż mówię: nam więcej potrzeba
Wodzów niż gospodarzy, żelaza niż chleba,
Bo potem już zapóźno. Rozpacz nie pomaga.

ZIEMOMYSŁ (*zniecierpliwiony:*)

No, już jak będzie trzeba, znajdzie się odwaga,
Wszak mówisz sam, że idą powoli? Nim przyjdą,
Już nie mój syn, lecz prawnuk będzie robił dzidą.

(*Z ironią:*)

A że sobie tymczasem zajrzą do Pomorza,
Niema się czego zrywać. Słuszna kara Boża!
Tam radzą niedobitki po obrzydłym rodzie
Popiela. Ha! Niechciały trzymać z nami w zgodzie,
Niech teraz mają Niemców i niech drą się z nimi.
Niechcący i nas bronią. Jak obcy w ich ziemi
Osiądzie, wtedy truchleć będzie dosyć czasu.
Teraz nie myślę wilka wywoływać z lasu.

(*Chwila milczenia*)

SIWY WIESZCZEK.

Dobre słowa. Dopóki nas kto nie zaczepi,
Siedźmy cicho i mądrze. Tak będzie najlepiej.
Ziemowit bardzo sławny, ale Piast sławniejszy.

ZIEMOMYSŁ (*zwracając się do najmłodszego z wieszczków:*)

Twój starszy pięknie mówi, a ty, gościu blady,
Czary nie wznosisz? Milczysz? Nie tknąłeś biesiady?

MŁODY WIESZCZEK.

Słucham.

STAROSTA.

I o tem wątpię. Kto niemy, ten gluchy.

MŁODY WIESZCZEK.

Kto chce duchami rządzić, musi żyć jak duchy.

SIWY WIESZCZEK.

Zostawcie go. Nikogo nie znam z sercem czyst-
[szem.
To mój uczeń najmilszy, dziś on sam już mistrzem.
I jam był uczniem wieszczka sławnego w swym
[czasie.
Na starość zaniewidział, lecz z gęślą przy pasie
Chodził zawsze, śpiewając o ludziach i bogach,
A jam, go małe chłopię, prowadził po drogach,
I uczył się, jak śpiewać.

ZIEMOMYSŁ.

I on stracił oczy?
Nieszczęsny!

SIWY WIESZCZEK.

Ale gdzie tam! Był zdrów i ochoczy.
Mawiał nawet (niech to was, ojczulku, pocieszy),
„Odkąd“ mawiał—„oślepłem, trzymam serca rzeszy‘,
Mocniej niżeli przedtem, widzę różne dziwy,
Których wy nie widzicie, i jestem szczęśliwy.“

ŻONA ZIEMOMYSŁA.

On przynajmniej za młodu znał, co słońce złote,
Twarz rodziców!

ZIEMOMYSŁ.

Czy jabym czuł taką zgryzotę,
Gdyby to było dziecko proste, nie książęce?
Poświęciłbym go bogom, gęśl mu włożył w ręce
I puścił między ludzi, pewny, że przywiąże
Wszystkie serca do siebie. Co innego książę.
Zwłaszcza w tej naszej ziemi, gdzie małych ksią-
[żątek
Tyle, co gmin nieledwie.

(*Cichym głosem do siwego wieszczka*)

A że nasz początek
Niedawny, stu lat niema, jak pradziady moje
Wzięły wszystkich za głowę, — okropnie się boję,
Czy ten dom, jeszcze kruchy, po mnie się nie zwali?
Jeśli dzisiaj sarkają, cóż to będzie dalej?
Czy mój syn da im radę? Czy władzę zachowa
Nad tym całym drobiazgiem? Jaki wódz z Krakowa,
Albo jeszcze co gorzej, ci brzydcy Popiele,
Znów gotowi wypłynąć i stanąć na czele.

SIWY WIESZCZEK.

Nie troszczcie się mój, książę. Ja, wróżbita, wierzę
I wiem, że rodu Piastów coś wyższego strzeże,
Nie próżno same bogi ludziom go wskazały.

(*zwraca się do wszystkich*)

Czy uwierzycie, państwo, że ów ociemniały
Wieszczek nieraz mi gadał, jako świadek żywy,
O tej uczcie u Piasta, gdzie się działy dziwy?

ŻUPAN.

On? Pamiętał tę ucztę?

DRUGI ROLNIK.

Ba! To nie do wiary.

SIWY WIESZCZEK.

Czemu nie? Jam był dzieckiem, kiedy on był stary,
To mógł, jako pacholę, pamiętać i Piasta.

KAPŁAN.

I widział, jak to picia i jadła przyrasta
Bez ludzkiej ręki? Cudem?

SIWY WIESZCZEK.

Piast, jak dziś nasz Ziemomysł, święcił Postrzyżyny.

ZIEMOMYSŁ (*z westchnieniem*)

Tak... tylko jasne oczy miał jego jedyny!
(*Znów się zamyśla i czoło na rękę opiera*)

SIWY WIESZCZEK.

Po skończeniu Postrzyżyn były Mianowiny
Małego Ziemowita. Przy tej sposobności,

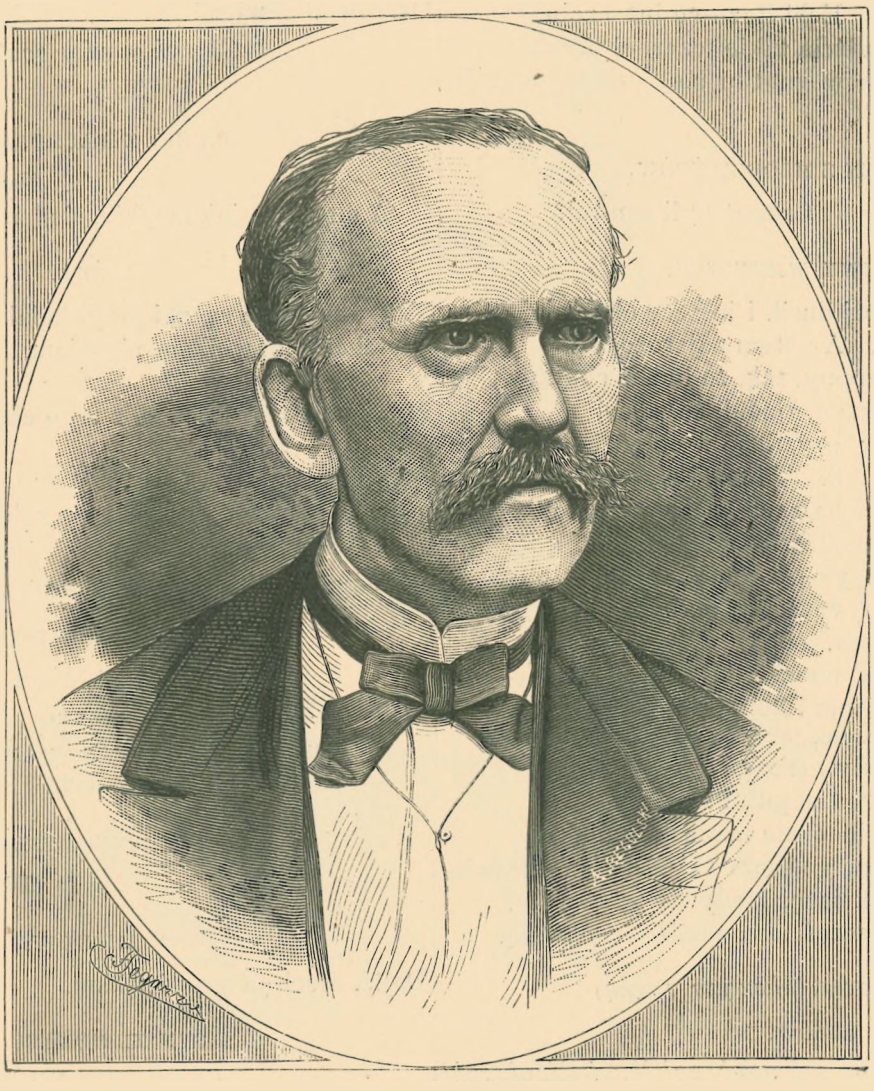

Ludwik Jenike. (Rok 1877).

STARY WOJAK.

Chciałbym patrzeć na to.

SIWY WIESZCZEK.

Widział. W tłum się zamieszał, stał sobie przed chatą
I nawet zakosztował cudownego jadła.

JEDEN Z MŁODZIEŃCÓW.

Czemuż to ta biesiada nie za nas wypadła!

Przypominam pamięci zebranych tu gości,
Że i my dziś dla dziecka mamy wybrać miano.
(*Chwila milczenia*)

STARY WOJAK.

Niełatwo.

ŻONA ZIEMOMYSŁA (*z nieśmiałością*)

Jabym chciała, aby go nazwano...

SIWY WIESZCZEK.

Jak?

ŻONA ZIEMOMYSŁA.

Bożydar.

ZIEMOMYSŁ.

Dosyć pięknie ale za wesoło.
Tu trzeba coś smutnego.

SIWY WIESZCZEK.

Ech! Raz—że już czoło
Podnieście i nie bądźcie takiej czarnej myśli,
Wszak i tam goście w smutku na biesiadę przyszli,
A w radości odeszli.

JEDEN Z MŁODZIEŃCÓW.

Czegoż byli smutni?

SIWY WIESZCZEK.

Przecież Popiel kraj dusił. I jeszcze okrutniej,
Dusiła go zaraza... A potem najsroższej
Dokuczył głód okropny, tak, że ludzie chorzy
Włóczyli się po lasach, zjadali żołędzie,
Gotowali złe trawy, gryźli się w obłędzie
I schli albo też puchli. To też i na owe
Postrzyżyny Rzepicha zachodziła w głowę;
Ledwie kilka bochenków i pieczonkę sporą
Mogła na stół położyć,—a Piast za jezioro
Aż płynął, aby przywieźć odrobinę miodu.
Licha była to strawa, jednakże narodu
Przyszło pełno, w nadziei, że coś dostać można.
Byłaby pewno kłótnia i bójka bezbożna,
Gdyby nie owe goście, jakieś z nieba posły,
Co jadło rozmnożyły i szczęście przyniosły.
Naród rad się nasycił napitku i chleba;
Poznał, że Piast widocznie ma łaski u nieba
I poszła wszystkim gościom ta uczta na zdrowie,
No, widzicie, mój książę, kiedy chcą bogowie,
Smutek staje się szczęściem, poniżenie chwałą.

ZIEMOMYSŁ (*kiwnąwszy ręką*)

Minęły czasy cudów.

(*Słychać za drzwiami sali nagły zgiełk, wielkie okrzyki i zamieszanie.—Kilka pacholąt wbiega do sali*)

JEDNO Z PACHOLĄT.

Cud! Dziecko przejrzało!

ŻONA ZIEMOMYSŁA.

Nasze dziecko!

(*Zrywa się i wybiega*).

ZIEMOMYSŁ (*chce wstać, porywa go drżenie, upada na krzesło*).

Kto mówił? Dziecko mówisz? Czyje?...

INNE PACHOLĘ.

Wasz syn.

ZIEMOMYSŁ.

Ach, czy to prawda? Bo ja nie przeżyję,
Umrę, jeśli uwierzę, a potem powiecie,
Że wam się tak zdawało....

NIAŃKA (*wbiega*)

Panie! Na tym świecie
Coś dziwnego się dzieje! Nasz panicz..... w tej chwili
Ozdrowiał.... widzi!

(*Okrzyk między gośćmi*)

Widzi.

JEDNO Z PACHOLĄT.

Myśmy się bawili,
A on sobie, jak zwykle, siedział na uboczu.

NIAŃKA.

Tak, ale ciągle rączki przykładał do oczu,
Nie chciał bawić się piaskiem, źle mu było wszędzie,
A ja zaraz mówiłam, że z tego coś będzie.

ZIEMOMYSŁ.

Ale dajcież go! Póki nie zobaczę syna,
Nie uwierzę.....

(*Wbiega żona Ziemomysła, prowadząc za rękę syna*)

ŻONA ZIEMOMYSŁA.

Cud boski! Cud! Nasza dziecina
Widzi.... Patrz, to twój ojciec.

(*Ziemomysł porywa syna na ręce* i *okrywa go uściskami*)

SYN ZIEMOMYSŁA.

Więc to ty, ojcuniu?

ŻONA ZIEMOMYSŁA.

Daj!... niech ja go uściskam.

SYN ZIEMOMYSŁA.

Więc to ty, matuniu?

(*Patrzy kolejno na rodziców*)

Jacy wy śliczni! Jaśni!

(*Ogląda się po wszystkich*)

No, a to co znaczy?

NIAŃKA.

To goście.

SYN ZIEMOMYSŁA.

Aha! Wszystko wygląda inaczej,
Niż sobie wystawiałem. A to.... moja niania?

NIAŃKA (*padając na kolana*)

Tyś mię poznał, robaczku?

SYN ZIEMOMYSŁA.

A no tak, z gadania.
Ja każdego tu poznam, bo dobrze znam głosy.
Działo się... tu mi było coraz to mniej ciemno....
A potem... już nic nie wiem...

ZIEMOMYSŁ (*wyciągając objęcia do żony*)

Pójdź, moja jedyna!
Jak ja cię kocham! Dzisiaj dopiero mam syna!

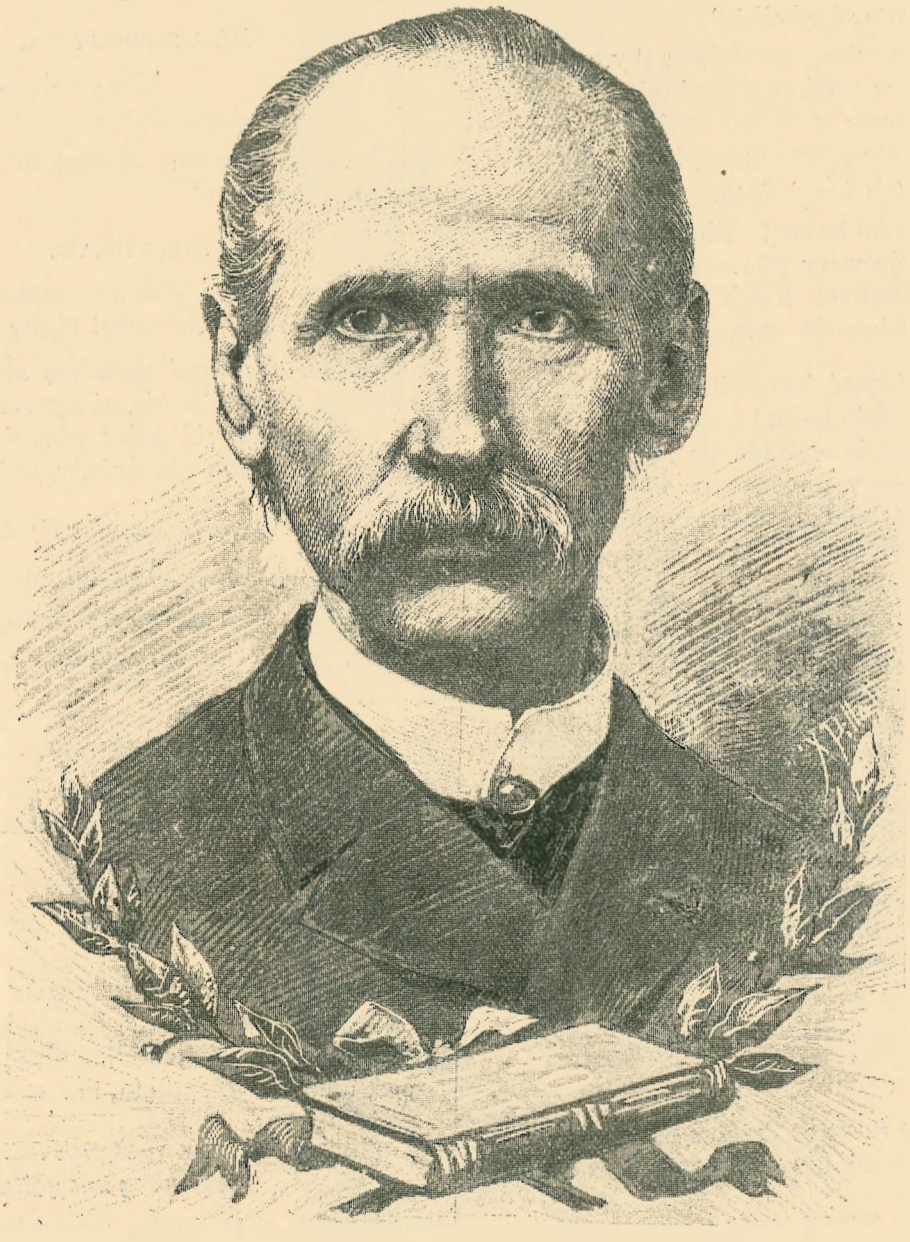

Adam Pług (Antoni Pietkiewicz). Rok 1888.

JEDEN Z KAPŁANÓW.

Jakże ci się to stało?

SYN ZIEMOMYSŁA.

Jak tylko mi włosy
Obcięto, już od rana, coś dziwnego ze mną

INNY KAPŁAN.

Błogosławiony dom ten!

GŁOSY NIEWIAST.

Jakie to pacholę
Pyszne! A jakie śmiałe!

JEDEN Z ROLNIKÓW.

Co za mądrość w czole!

ZIEMOMYSŁ (*do szafarzy*)

No, teraz mi podajcie szczerozłotą czarę!
Wytoczcie wszystkie miody i nalewki stare,
Przyniesie Popielówki, co ma sto lat z górą.
Już od dzisiaj nie będę ja siedział ponuro.
(*do skarbników*)
A wy idźcie do skarbca, znoście szuby, skrzynki
Z klejnotami i różną broń na upominki.
Co się w domu zebrało w długiej obfitości,
Wszystko dzisiaj chcę rozdać między moich gości.
(*do innej służby*)
Niech grajkowie nam hukną! Niech trąby ogłoszą,
Że książę po raz pierwszy pije miód z rozkoszą!
Zapalcie beczki smolne! Niech blask się roztoczy
Na znak, że syn książęcia ma promienne oczy!

I nie dość mi częstować dostojniki moje.
Na miasto powynoście jadła i napoje,
Na polach ustawiajcie biesiadę dla rzeszy,
Znajomy, nieznajomy, niech każdy się cieszy!
Jak ta ziemia jest wielką, na wszystkie jej końce,
Niechaj ze złotą wieścią rozlecą się gońce!

(*Za domem słychać odgłos trąb i okrzyki ludu. Drzwiami od jednej strony wchodzą grajkowie, wygrywający hucznego kujawiaka. Młodzież bierze dziewki, w głębi sali tańcują. Drzwiami od drugiej strony szafarze wznoszą dzbany i wielkie puhary i rozdają między starszyznę*).

STARY WOJAK (*podnosząc czarę*)

Teraz, to i ja mogę zdrowie wypić szczerze,
Bo już się nie kłopocę, że nas kto zabierze.
No, mój książę, jam jednak postawił na swojem!
Zobaczycie, że syn wasz rozsławi się bojem.
(*Goście klaszczą w ręce i z okrzykami otaczają dziecko*)

KUPIEC WĘDROWNY.

Już i ja się nie ruszę za domową grzędę,
Kiedy wiem, że mi dzieci na targ nie zawloką.

STARY WOJAK.

(*Porywa na ręce syna Ziemomysła i stawia na stole*)
A mój ty królewiczu, stańże nam wysoko,
By cię wszyscy widzieli.
(*Pije i podnosi wypróżnioną czarę*)
Mam dla niego imię!
I łeb utnę każdemu, który go nie przyjmie.

GŁOSY MIĘDZY GOŚĆMI.

Jakie?

STARY WOJAK (*kładąc miecz w rękę dziecka*)

Mieczysław!

GŁOSY MIĘDZY GOŚĆMI.

Dobrze! jak mu z mieczem pięknie!

ZIEMOMYSŁ.

Niechże będzie Mieczysław.

ŻONA ZIEMOMYSŁA.

Ależ on się zlęknie....
(*Zdejmuje dziecko ze stołu*)
Pójdź tu, mój Mieszku! Mieciu! Mój królu maleńki!
I ty się nic nie boisz?

MIECZYSŁAW.

Jak głos matuleńki
Słyszę, to nie. — Ja nawet nigdy się nie boję.

(*Środkowemi drzwiami wschodzą skarbnicy, za nimi dwa szeregi pachołków idą, niosąc różne bronie, kosztowne szuby, skrzynki pełne pierścieni i łańcuchów, i według wskazania skarbników, gościom je podają*)

ZIEMOMYSŁ (*zwracając się do gości*)

Na pamiątkę dnia tego oto dary moje.
(*Przechodząc koło siwego wieszczka, zatrzymuje się*)
Dla was, wieszczku, co wybrać? Chyba gwiazdkę z nieba?

SIWY WIESZCZEK.

Dla mnie darów nie trzeba, lecz uznania trzeba.
A co? Minął czas cudów? Nic Piastów nie strzeże?

ZIEMOMYSŁ.

Prawda! Ach święta prawda! Już we wszystko wierzę
I o więcej zapytam. Powstańcie, wieszczkowie,
Ilu was jest, powstańcie, niech który z was powie,
Co znaczy ten wypadek? Boć niezaprzeczenie
Rzecz, ludziom niepojęta, ma w niebie znaczenie?

SIWY WIESZCZEK (*wstępuje naprzód, siada, przynoszą mu gęśl*).

Pójdź, gęśli, oj ty mądra we wróżbiarskiej sztuce!
(*Namyśla się*)
O ludziach i ich losach później wam zanucę.
Zacznę, od czego zawsze zacząć się powinno;
Wam, bogi nieśmiertelne, złożę pieśń dziękczynną,
(*zaczyna nastrajać gęśl, jedna struna pęka*).
Czy bogi zagniewane, żeśmy w pierwszej chwili
Oddali się uciechom, z modlitwą spóźnili?
(*Chce grać, druga struna pęka*)
Czy jest kto, co ma oczy uroczne w tem gronie?

(Gdy oglądając się, opuszcza ręce, gęśl zsuwa się z jego kolan, reszta strun pęka).

ZIEMOMYSŁ.

Co to znaczy?

JEDEN Z KAPŁANÓW.

Zła wróżba.

ŻONA ZIEMOMYSŁA *(trwożnie przytulając Mieczysława).*

Pójdź! Niech cię zasłonię...

SIWY WIESZCZEK *(nogą odtrąca gęśl).*

Nie chcę cię! Szczęście zdradza
[i struny zdradziły...
Po co żyć, kiedy śpiew mój bo-
[gom już niemiły?

MŁODY WIESZCZEK *(zrywa się).*

Stara gęśl, stare pieśni. Skoń-
[czona ich władza.
Dziś trzeba głosów innych.
[Wszystko się odmładza.
Ja słów nie marnowałem za
[ludzką rozmowę.
Moja gęśl niepopsuta—struny
[u niej nowe.
Dajcie ją! Niech sprobuję dzie-
[wiczych jej dźwięków,
A kiedy stare bogi nie chcą na-
[szych dzięków,
Nie będę gadał z nimi. Inny
[duch tu gości...

. . . . . .

. . . . . .

CZEŚNIKÓWNY.

J. I. Kraszewskiego.

Był to ranek młodej jeszcze wiosny. Drzewa ledwie się rozwijać zaczynały. Wcześniejsze już się jasną okrywały zielenią, na sadach widać było jakby powłokę kwiatów białych i różowych, któremi grusze i jabłonie rzęsisto były osypane. Słońce świeciło wesoło,

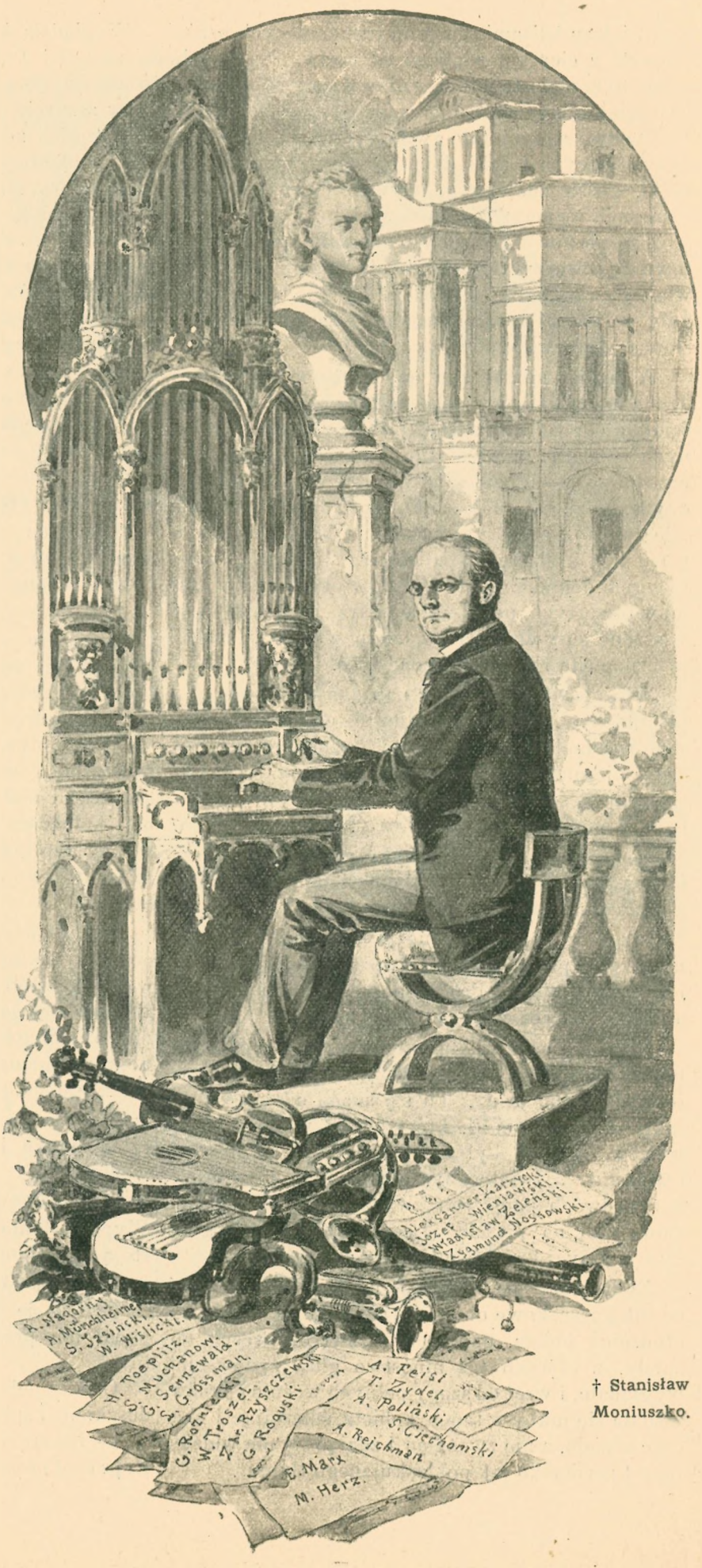

† Stanisław Moniuszko.

w powietrzu balsamiczna woń rozpękających brzóz ciągnęła z ciepłym wiatrem od lasów. Na łąkach widać było złociste łotocie, niby wzory rozrzucone na szmaragdowych kobiercach.

Ptastwo szczebiotało gwarnie, uwijając się około gniazd starych i zakładając nowe. Bociany, jaskółki, goście zdaleka opatrywali dawne siedziby i spieszyli wyporządzić na nowe lato.

Z za płotów wychylały się krzaki bzu, już gotowe się otworzyć liliowemi bukiety i rozesłać woń, wiosny zwiastunkę. Dzieci miejskie na ulicach biegały w koszulinach, szczęśliwe, że je promienie słońca odgrzewały do życia.

W małem miasteczku nadbrzeżnem, w tę niedzielę przewodnią był właśnie targ i zjazd, bo w kościołku odpust uroczysty. Więc ze wsi okolicznych zjechali się włościanie, z czem kto miał na przednówku,—najwięcej z bydełkiem i domową hodowlą, bo ziarna mało co kto posiadał na sprzedaż. Ale gwarno było w rynku około gospody, i na cmentarzu przy kościele, i po uliczkach miejskich, i przy mnogich domkach żydowskich, i około bud a kramów otwartych, przed któremi kraśne chustki i wywieszone buty długie, i rozstawione garnki, i nagromadzone sita i przetaki widać było.

Właśnie się w kościołku nabożeństwo skończyło; lud nabożny, szlachta okoliczna, ekonomowie wąsaci rozchodzić się zaczynali, szukając bryczek swoich i koni; część zamożniejsza popasała po gospodach, a skromniejsze zaprzęgi stały w rynku, torby koniom poprzywieszawszy.

Pomimo że wszędzie było pełno, największy jednak tłum gromadził się około Chaimowego domu; a zdala trudno to sobie wytłumaczyć było.

Znać tam widowisko ludzie mieli jakieś, bo spinali się na palce, włazili na wozy, i jedni śmieli się i klaskali w dłonie, drudzy posępnie jakoś patrzyli; a ciekawych coraz więcej przybywało.

Przed gospodą Chaimową było podsienie, na słupach rzeźbionych sparte, obszerne, przez które zajeżdżało się do szopy. Tu się snadź odegrywał ów jakiś dramat miejski, który coraz więcej ściągał widzów. Że to był dzień targowy, odpustowy i wiosenny a świąteczny, można było przypuścić, iż tam dwóch podpiłych zwadziło się i poszło na słowo lub na pięście. Lecz w takim razie gwar by był inny, i krzyki śmiech by zastępowały.

Zbliżywszy się, dopiero można było dojrzeć, co tak gorączkowe obudzało zajęcie. W przedsieni, otoczonej ludem, naprzeciw drzwi otwartych gospody, z których też mnóstwo głów żydowskich wyglądało, i wrót od szopy pełnych woźnic i panów, zwijała się jakby w tańcu kobieta, śpiewając i skacząc wesoło, a nie zważając i zdając się nie widzieć nawet szydersko jej poklaskującego tłumu.

Wyglądała dziwnie. Była niemłoda, choć wieku na zwiędłej twarzy nikt nie rozpoznałby; rysy świadczyły o niepospolitej niegdyś piękności, lecz jakby zgniecionej i zmiętej dłonią czasu i ogniem namiętności, zdziczałej od szału. Zaczerwieniona skóra, obłąkany wzrok dawały poznać łatwo, że nie była przytomną. Stare, odarte okrywały ją łachmany sukni, zszarzane, zbłocone, połatane, podziurawione. Kubrak wisiał na niej strzępami, na nogach miała dziurawe, zczerniałe pończochy i rodzaj chodaków sznurami powiązanych. Włosy w nieładzie, rozczochrane, bujne, spadały w części na plecy, w części nieforemnie pogniecione, oplatał rodzaj wieńca z łotoci i innych kwiatów polnych... Powpinane te ozdoby spadały jej na skronie. Chusta, która z głowy na szyję się zsunęła, wisiała na niej tak nieforemnie, jak cała odzież nieszczęśliwej, w której licu obłąkanie i pijaństwo dziwnym się malowały wyrazem.

Snadź sen jakiś młodości wionął na nią z wiosennem powietrzem, bo się uśmiechały spalone usta, i przymrużone oczy czarne patrzyły łzawo...

Rękami z obu stron ująwszy łachmany sukni, jakby najdroższe stroje, z wdziękiem, dziwnie odbijającym od nędzy i wieku, drobniuchno skakała i biegała, zwijając się obłąkana. Nie widziała nikogo, cienie jakieś otaczać ją musiały. Z ust to się głośniejsza, schrypła odzywała piosenka, to mruczenie i śmiech wesoły. Ludzie patrzyli i poklaskiwali nielitościwie. Dzieci się urągały biednej kobiecie. Poważniejsi tylko, z wlepionym w nią wzrokiem, zdawali się chcieć odgadywać straszny dramat jakiś, ktorego te skoki były zakończeniem.

Nagle kobieta, obudzona wrzawą, obejrzała się: oczy jej dopiero teraz zdawały się rozpatrywać w tłumie, którego była urągowiskiem. Zarumieniła się bardziej jeszcze.... ręce opuściły suknię... podniosła je do góry i wzięła się jedną w bok, drugą poprawiając upadające na czoło kwiaty łotoci.

— Łotry! chamy! zbóje! hę! czego się śmiejecie? czego? Co to mi tańcować nie wolno? Przecież szlachcianka i cześnikówna.... Żydzie! Judaszu! wódki!...

Poczęła szukać po kieszeniach, wywracając je. Wypadła biała dwuzłotówka, nogą potrąciła ją, do stojącego chłopaka.

— Podaj kwartę! słyszysz...—zawołała.

Żydek się schylił, podniósł pieniądz a starszy podał mu przez głowy stojących wódkę i kieliszek.

Czarkę pełną poniosła do ust kobieta, wypiła ją duszkiem i splunęła...

— Resztą częstuj... niech znają cześnikównę... Hopsa sa! hopsa sa!...

† Jan Matejko.

I poczęła znowu, zwijając się i przeginając, swój taniec, w którym jakieś ślady umiejętności i wdzięku dostrzedz jeszcze było można.

Żydek bliższych częstował, ale oprócz ostatniej hołoty, nikt wódki tej pić nie chciał.

Kobieta zaczęła śpiewać coraz głośniej, kręcić się coraz szybciej, szał ją opanował jakiś, łachmany rozwiane szeroko zwijały się z nią razem, nareszcie zdyszana padła na ziemię. Szczęściem, że kupka słomy leżała tam, gdzie głową trafiła. Porwała się prędko i usiadła. Rozsypane kwiaty zdawały się ją najwięcej zajmować; zbierała je skrzętnie i drżącą ręką wkładała znowu w rozczochrane włosy. Twarz jej przybrała wyraz smętny i dumny.

Podparła się na jednym ręku i po cichu zaczęła nucić:

„Już miesiąc zaszedł, psy się pośpiły...“

Głos z początku silniejszy, zamierał na ustach, powtórzyła razy kilka:

— Filon mój miły — i powieki kleić się jej zaczęły... Usypiała...

Tłum stał milczący, z szyderstwa przeszedłszy w zadumę. Cicho było na chwilę, potem zaczęto szeptać i gwarzyć, odchodzili niektórzy, przypatrywali się inni uśpionej, z sukniami w nieładzie, z zaognioną od trunku twarzą, nieszczęśliwej. Żydowskie dzieci obstąpiły ją dokoła, kopiąc nogami. Gospodarz wcale nie był rad, że mu drogę do zajazdu zawaliła uśpiona. Ale dobudzić się jej teraz nie było sposobu: odurzona, mruczała coś niezrozumiale, usta jej uśmiechały się dziwnie, ręce drgały, a oczu otworzyć nie mogła.

Z PIERWSZEJ KRONIKI:

U NAS.

Życzenia moje, są twarde jak życie nasze, olśnić nikogo nie mogą, oby chociaż na chwilę pokrzepić zdołały.

Wierz we własne siły, oto stara piosenka, którąśmy sobie wszyscy wzajem jako życzenie powtarzać powinni. Bez tej wiary wszelki cel zdobywa się tylko pełzaniem za tym, który skinąwszy — łaskawie palec ku nam wyciąga...

Ale jak niema dębu tak olbrzymiego, któryby stojąc samotnie mógł się oprzeć szalonym burzom, tak i niema człowieka, któryby polegając tylko na własnych siłach, zwyciężył sam i sam przeprowadził wszystko, co zamierzył. Jak dąb potrzebuje lasu, tak człowiek potrzebuje gromady....

Wierzmy więc, że świat nie jest brzydki, a ludzie nie są najgorsi. Bez tej wiary, co jak pochodnia drogę nam torować powinna, lada zawód nas złamie, lada złość ludzka obezsilni, a już podłość to przygnębi ciężkim smutkiem, nawet złamie rozpaczą.

Jak niema drzewa, na któremby nie znalazło się nieco nadpsutych, lub niekształtnych owoców, tak niema społeczeństwa, w któremby nawet anielskie skrzydło splamić się nie mogło.... A jednak i drzewo ze swoim skażonym owocem kraśnieje wiosenną barwą, i żyje, i rośnie, i weseli.... Tak i na świecie, robak robakiem, gad gadem, a człowiek, depcąc to plugastwo, rość w górę powinien, — i rość zawsze może!...

Z tą wiarą starcy nie będą narzekać, że świat zaprzedał się mamonie; młodzi nie zrażą się widokiem wiarołomców.

Młodzi! życzę wam, gdy znajdziecie serce zdolne do miłości, a umiecie pracować, śmiało idźcie przed ołtarz, nie lękajcie się przyszłości... Ojcom, ciotkom, wujkom zostawcie sprawy śledcze, niech oni obliczają grosze; niech oni kalkulują, wiele może być dzieci, wiele będzie potrzeba chleba, mięsa, wiele obuwia zedrzecie; niech przewidują, czy komorne podrożeje, czy węglarze, piekarze i rzeźnicy gorzej zdzierać będą... Niech śledztwo żołądkowo-matrymonialne nie ostudza waszych zapałów; bo łatwiej pono obliczyć gwiazdy na niebie, niż przewidzieć, co się z naszym dobytkiem jutro stanie... A chcecie śledztwa koniecznie, to pytajcie rozumem, czy uczciwa praca da chleb, pytajcie sercem, czy Opatrzność pomoże—i dalej w drogę!...

Sęp.

RÓŻA

„Żal mi ciebie, słowiku!
Żal mi ciebie, wietrzyku!“
Mówi róża do swych towarzyszy.
„Ty tak śpiewasz rozgłośnie,
„Ty tak wzdychesz miłośnie,
„A nikt was, prócz mnie jednej, nie słyszy.“

Na to słowik do róży:
„Gdy cię śpiew mój nie nuży,
„Nad cześć świata mi droższe twe słowo
„Bo co sława?—czcze brzmienie.
„A twe słowo—natchnienie!
„Tyś mych myśli i pieśni królową!“

A zaś wietrzyk rzekł do niej:
„Jedno tchnienie twej woni
„Milsze dla mnie niż kwiatów miliony.

„Wolę wzdychać dla ciebie,
„Niż bujając po niebie,
„Giąć lub zrywać dębowe korony.“

A. E. Odyniec.

Przez wieczór cały,
Księżyca oblane złotem,
Po mieście one śpiewały;
I ponad fabryk łoskotem
Ich głos dziecięcy, nieśmiały
Anielskim rozbijał się lotem
Przez wieczór cały.

† Antoni Edward Odyniec. Rok 1885.

Usnęły dzieci.

Usnęły dzieci
Pod piękną pałacu ścianą,
Co nie ogrzewa, choć świeci;
Czekając aż złote rano,
Z za krzewów splątanych sieci,
Wychyli swą twarz różaną—
Usnęły dzieci.

Biedni minstrele!
Serdeczna piosenka wasza
Zysków przyniosła niewiele;
Tylko dziewczyna z poddasza
Z bukietu dała wam ziele—
Więc głód was jutro zastrasza,
Biedni minstrele!

O późnym zmroku
Przyszliście przed gmach bogaty,
Z pieśnią na ustach, z łzą w oku...

Pałacu broniły kraty,
Przed nim, w posągów natłoku,
Szeptały drzewa i kwiaty
O późnym zmroku.

W ciemnym salonie
Ponuro dumał graf stary,
Na rękach oparłszy skronie...
Głucho szczękały zegary,
Heliotrop lał duszne wonie,
I milcząc, snuły się mary
W ciemnym salonie.

Dzieci śpiewały—
A nieuczonej piosence
Starzec oddawał się cały.
I cicho, po jego ręce
Łzy dyamentowe spływały,
Gdy mu w żebraczej piosence
Dzieci śpiewały.

Pieśń nikła zwolna,
Jak strumień, z którego fali
Zbyt długo piła darń polna.
Graf płakał wśród ciemnej sali,
I wspomnień furya swawolna
Siekła mu serce—a w dali
Pieśn nikła zwolna.

Usnęły dzieci
Z piosenką niedośpiewaną,
Osnuwszy w marzenia sieci
Bogacza duszę złamaną—
Może jej jutro zaświeci
Odrodzin cudowne rano!...

. . . . . .

Usnęły dzieci.

Wiktor Gomulicki.

KŁOPOTY

Adama Mickiewicza

przez

Piotra Chmielowskiego.

Pierwszy rok pożycia małżeńskiego przeszedł Mickiewiczowi bardzo szczęśliwie. Poeta czuł się zdrowym, używał więc życia dosyć wesoło. Dawne upodobanie w płataniu figlów i wykonywaniu ekscentrycznych pomysłów niekiedy mu wracało. Jeden z takich wypadeczków przechowała korespondencya. Raz, wybierając się na przechadzkę, Mickiewicz żonie Celinie, ubranej w czarną suknię, włożył kapelusz męzki i tak wyszli. Nie spodobało się to wielu. „Familja żony—pisze Mickiewicz—przysłała do mnie deputacyę urzędową, protestując przeciw takim abuzom władzy mężowskiej“. Mieszkali na przedmieściu paryskiem, w ciszy domowej, niby na wsi. Towarzystwo ich składali: Ignacy Domejko, Stefan Zan, który był śpiewakiem opery, a później, głos straciwszy, grywał na basetli, Witwicki, Gorecki, Niemcewicz, rzeźbiarz Dawid i kilku innych. W szersze koło towarzyskie wcale nie wchodził i bardzo niepochlebne miał o niem wyobrażenie, tak, że Odyńcowi nie radził przyjeżdżać do Francyi, bo „oprócz niego i dwóch innych osób nie mógłby z nikim ani żyć, ani rozumieć się.“

Obok tego zajmował się dopilnowaniem druku Giaura w swojem i Korsarza w Odyńca tłumaczeniu. Oba te poematy wyszły razem w Paryżu roku 1835. Zmudna ta robota zajmowała mu dużo czasu, tak, że oprócz dwóch artykułów w języku francuzkim, nic więcej w tym czasie nie napisał. Dwa artykuły, drukowane w czasopismach francuzkich w r. 1835, mają następnie napisy: 1) De la peinture religieuse moderne des Allemands; 2) Semaine de miel d'un conscrit, fragment des mémoires d'un sergent polonais.

Dochód z pism w ogóle, a z Tadeusza i Giaura w szczególności, starczył zapewne na jakie takie utrzymanie.

We wrześniu 1835 roku urodziła się córka, której imię Maryi nadano, szczególna sędziwego Niemcewicza pieszczoszka. Potrzeby więc rosły, przyszłość ze swą niepewnością posępne myśli nasuwać zaczęła. Pociecha z córeczki wielka była, ale smutki zjawiały się już coraz częściej. Mickiewicz zajmował się wówczas badaniem dziejów, mając zamiar napisać krótką historyę polską. Praca ta zajmowała go dosyć długo i szła mu oporem, gdyż, jak powiadał, musiał wielu rzeczy z gruntu na nowo się uczyć.

A miał taki umysł, że nie zdołał nigdy napisać tego, czego na pamięć nie umiał. Przeczuwał nawet, że wdał się w nieswoje, narzekając, że historyę strasznie u nas sfałszowano. Tak jeszcze w połowie 1838 roku biedził się z tą robotą, przerabiał te i owe rozdziały, czekając szczęśliwszego czasu i natchnienia, myślał zaś o niej jeszcze i później. Koniec końców historya ta nie została dokończona i wyszła dopiero w r. 1868 p. n. „Pierwsze wieki historyi polskiej“. Tu, prócz wstępu ogólnego, zawierają się dzieje Polski do roku 1194.

Tymczasem znany mecenas literatury Edward Raczyński, zachwycony „Panem Tadeuszem“, z którego codzień po obiedzie, jakby na wety, z jakie dwieście wierszy zwykł był odczytywać, dowiedziawszy się, że Mickiewicz pisze historyę pol-

ADAM MICKIEWICZ.

ską, słał list za listem, nagląc go, żeby pracę przyśpieszył i jemu zostawił zaszczyt nakładcy. Prócz tego poddawał różne projekta do poezyi. Raz mu przesłał powieść gminną o zdarzeniu, które się nad jeziorem Skrzynną czy Skrzynką zdarzyć miało, z prośbą, aby ją na balladę przelał lub pod inną jaką bądź formą wierszem przełożył. Miał bowiem zamiar ogłosić powieści gminne Wielkopolski wierszem i prozą, a chciał zbiór ten przyozdobić „rymami" Mickiewicza. Przytem szanowny hrabia kładł oryginalny warunek, dobrze malujący wielkopańską i wydawniczą zarazem zazdrość: oto prosił, ażeby Mickiewicz, przesławszy wiersze, spalił brulion, gdyż pragnął „aby jak będą wydane, były świeże i nieznane." Zastrzeżenie to niezbyt mile zapewne obijało się o uszy poety, który obiecywał wprawdzie nadesłać poezye ale obietnicy wcale nie spełnił, o co znów Raczyński natarczywie się dopominał.

Inną znów razą hr. Raczyński radził pisać powieść historyczną wierszem i nawet ramy podawał. „Ja nad wszystko przekładam obyczajowe nasze poezye—pisał —coś takiego, coby mi mego kochanego Tadeusza przypominało. Czyliżby w ręku pańskich życie Polaka nie miało być interesującem? Dajmy, że się urodził w r. 1750; szczegóły szkolnego zawodu, konfederacya Barska, stosunki z Tatarami i z Turkami (patrz pamiętniki Totta) później sejmy, sejmiki, obrady uczone u Stanisława Augusta, sejm czteroletni, walka obyczajowa polszczyzny z francuzczyzną:—czyliżby to nie pięknych dostarczyło sytuacyi? Wiem, że próżno orłowi ścieżki wskazywać. Ja przecież, czując, że miło dla pana pracować, zająłem się dla pana zbiorem szczegółów o obyczajach naszych z XVIII wieku. Wyciągam je z manuskryptów, które posiadam, których użyto do romansów obyczajowych, niedrukowanych, a z dobrych bardzo źródeł czerpanych, z pamiętników z tegoż wieku, które mi powierzono. Użyjesz W. Pan Dob. tych reprodukcyi, jak zechcesz."

Ucieszył się też bardzo, kiedy mu Mickiewicz doniósł, że zamierza niektóre epoki historyi polskiej wierszem opisać. Były to plany tymczasowe, ulotne, przy pisaniu listu; stąd też dalekie od urzeczywistnienia. Raczyński jednak nie zrażał się i, uprzedzając nawet wszelką robotę, przesyłał poecie tytułem zadatku to 1000 franków, to dwieście, to trzysta talarów. Pani Raczyńska obiecywała nawet, za pośrednictwem Odyńca, zebrać prenumeratę na historyę polską w ilości 2,000 talarów; ale do tego nie przyszło z powodu, że Mickiewicz nie mógł z dziejami dojść do ładu.

Smutne położenie finansowe zmusza poetę do szukania, za pośrednictwem malarza Stattlera, stosunków z niejakim panem Bochenkiem, który mu przed laty proponował korzystny jakiś interes literacki. Niema śladu w korespondencyi, czy i jak Bochenek odpowiedział na jego zgłoszenie się; ale wiadomo skądinąd, że i to przedsięwzięcie nie przyszło do skutku. Potrzeba więc było szukać innego środka do zapewnienia bytu rodzinie. Mickiewicz nie lekceważył obowiązków męża i ojca. Miło mu było w domu, córeczka sprawiała mu wielką uciechę, bo „miał komedyę domową, zawsze nową i zabawną." Z opowiadania tej, która się na powadze matki opiera, wiemy, że ojciec bardzo ją pieścił i wielce się nią zajmował, do tego stopnia, że kiedy ją zaczęto w pieluchach sadzać na ziemi, kładł się obok niej, aby patrząc na niego, nauczyła się pełzać. Do trzech lat przeszło nie chciała inaczej zasnąć jak na ręku ojca, który długiemi godzinami nosił ją po pokoju, gdyż nie pozwoliła mu nigdzie wyjść wieczorem. To też poczciwy, pełen serdecznej prostoty ojciec, musiał używać wybiegów, aby się uwolnić od „swego tyrana". A więc kiedy miał wyjść wieczorem, a podejrzliwe oczy Maryi zamknąć się nie chciały, zapowiadał, że ją bierze ze sobą do znajomych. Ubierano ją zatem w kapelusik i płaszczyk a ojciec, wynosząc swoją pieszczoszkę do drugiego, ciemnego pokoju, opowiadał, że schodzą po schodach, że przebywają ulice; dopóki ukołysana, nie zasnęła na jego ręku. Podobno nawet napisał wiersz, opiewający nieporównane wdzięki i przymioty tej córki; ale potem zastanowiwszy się, że kiedyś mogłaby urość w dumę, biorąc hiperbolę za prawdę, podarł go i spalił.

Owa atoli „komedya domowa" nie mogła trwać wiecznie. Bieda nieraz doskwierała poetycznemu małżeństwu. Należało zrobić jakiś krok stanowczy, któryby, zabezpieczając przynajmniej teraźniejszość, uchronił od kłopotów nieustannych. Na taki krok Mickiewicz się zdecydował. Postanowił pisać po francuzku „dla chleba", jak sam się wyraził w prostej swej frazeologii, i zwrócił się do dramatu.

Napisał więc Mickiewicz dramat p. n. „Les Confédérés de Bar" i dał go w roku 1837 Alfredowi de Vigny i Jerzemu Sand do oceny. Do Vigny radził mu oddać go do teatru, jakkolwiek miał ważne uwagi do zrobienia. Jakiego rodzaju były te uwagi, nie wiemy. Sand zaś zapewniała, że dramat był piękny i że nie może być nieużytecznem lub obojętnem cokolwiek Mickiewicz napisał. Widocznie wówczas już poczuł poeta, że dramat jego ma wady sceniczne, gdyż Sand zachęcała go, by utwór ten drukiem ogłosił, jeżeli w teatrze przedstawionym być nie może, prosząc zarazem o powtórne przysłanie rękopisu.

Odyniec na wiadomość, że Mickiewicz pisze dzieło po francuzku, wyraził wielkie nadzieje. „Jakeś je pisał z duszą, a nie z przymusu tylko—czytamy

CELINA MICKIEWICZOWA.

w liście jego do naszego poety—toć ani wątpić, że powinno zrobić ruch w Europie. Takich jak ty niewielu. Nie mogę się modlić, żebyś dobrze napisał, ale modlę się codzień z Antosią, żeby ci Bóg dał zdrowie i swobodę duszy. W tem ostatniem jest już modlitwa i za powodzenie dzieła twojego, któreby

Piotr Chmielowski.

cię mogło przynajmniej od trosk finansowych uwolnić, bo wiem, jak to robactwo dokucza i gryzie.“

Dramat nietylko nie zrobił ruchu w Europie, ale nawet nie zapewnił autorowi skromnego utrzymania. Oto co pod datą powyższą pisał lakonicznie Mickiewicz do Ignacego Damejki: „Dramat mój, na który jak na Chili liczyłem, dotąd śpi i na Porte-Saint-Martin nie przyjęty.“ Więcej ani słowa. Zapewne już mu się odechciało próbować szczęścia na innych scenach. Niepowodzenie było namacalne; upokorzenie miłości własnej, jeżeli nie zbyt bolesne, to bezwątpienia bardzo przykre. Śladów jego nie napotykamy w korespondencyi, ale możemy się ich domyśleć. Bądź co bądź stan finansowy nie polepszył się. Szczęście, że w tymże samym czasie, kiedy dramat odrzucono, dostał Mickiewicz od rządu francuzkiego 80 franków pensyi na miesiąc i jednorazowej gratyfikacyi 1,000 franków. Na chwilę potrzeby były zaspokojone. Ale pieniądze te na długoż mogły starczyć, kiedy samo jedzenie obliczał Mickiewicz na 150 fran. miesięcznie!

Z dziecinnych igraszek.

On był sobie chłopaczek malutki,
Ona była dzieweczką malutką;
Dwoje dzieci—on bratek drobniutki,
Ona drobnym kwiatuszkiem, stokrótką...

Pajac młynka wywijał nogami
I we dzwonki się natłukł niemało....
Lala była poważną, jak zwykle
Pannie młodej przed ślubem przystało.

No,—i było wesele wesołe,
Nawet mówek nie brakło, oracyi...

Maryan Gawalewicz.

Między dziećmi znajomość tak łatwa,
A na jednem mieszkali podwórku:
Ona miała laleczkę prześliczną,
On ślicznego pajaca na sznurku.

I mówili do siebie naiwnie,
Że się pajac pobierze z laleczką,
I że kochać się będą przedziwnie—
Tak zupełnie jak tata z mameczką...

Burek tylko się trochę podrapał
Z kotką Misią, przy końcu kolacyi.

Latek sporo minęło, aż w końcu...
Dziwnie w życiu się kolej obraca,
Ona sama się stała laleczką,
On—wziął rolę swojego pajaca.

Maryan Gawalewicz.

Szlachcic Zakuta.

Opowiadanie Imć pana Narwoya Rotmistrza konnej gwardyi koronnej

spisał

Władysław Łoziński.

Król pruski Fryc, jak my żołnierze zawsze go zwaliśmy, w ciężkich był opałach. Siła to złego dwóch na jednego, a co wtedy, jeżeli trzech odrazu?... Dwie potencye, Austrya i Rosya, armiami swemi twardo go przysiadły, a nasz król Jegomość a kurfirst saski, choć sam nie był zbyt srogim adwersarzem, ale w kupie z innymi, przydał także kłopotu. Odwróciła się kartka, padły kostki na opak, przyszła kreska na Matyska. Bijali my ich z gęsta, poczęli oni nas bić teraz.... Kwaśno i krzywo nam bywało o tej porze, ale już najkrzywiej i najkwaśniej w onej krwawej batalii pod Kunersdorfem.

W tej to walnej potrzebie król Fryc tak okrutną poniósł klęskę, że animusz wszelki rycerski postradał, żadnych już speransów nie mając, a przecież był to monarcha dużego serca, dusza harda i rogata, wojownik w rzemiośle swem sławny, co nie tak rychło dawał za wygraną, a byle tylko tchu trochę stało, jeżem się stawił i losom niefortunnym, i potędze nieprzyjaciół. Ale pod Kunersdorfem już prawie na koniec mu przyszło, a nam biednym żołnierzom na zgubę i śmierć mizerną. Wziął nas feldmarszałek cesarski, Laudan, w ciężki taniec, nie służyło nam szczęście, choć, bez przechwałki mówiąc, mężnie i z determinacyą dotrzymywaliśmy placu.

Owóż w batalii tej wielkiej, kiedy już na to przyszło, aby nędznie się cofać, a co jeszcze w garści żołnierza zostało, jakotako przed ostatnią salwować zagładą, regiment nasz dragonii na śmierć wyraźną rzucono i na zatratę; albowiem tak wypadło, że trzeba było koniecznie w jednem miejscu przełamać szyk austryacki i rum uczynić dla rozbitej armii, aby jeszcze jakotako przed zwycięzkim mieczem uchodzić mogła. Sam król Fryc przed front nasz podjechał, z p. obersztem Koggeritzem się rozmówił, ducha nam oficerom dodał i ruszyć kazał. Ozwał się sygnał na trąbkach i jako wicher stepowy ruszyliśmy ku wskazanemu miejscu, a wyglądało ono jak czarna, okrutna chmura, pełna błyskawic i gromów straszliwych. Były tam albowiem gęste baterye, a z grubego obłoku dymów armatnich rwały się błyskawice i ryczał huk strzałów bezustanku.

Dziesięć lat chleb żołnierski jadłem nie daremnie, bo w tych dziesięciu latach sześć lat minęło na srogich wojnach, na ustawicznych bataliach, potyczkach i twardych kampamentach—ale takiego terminu straszliwzgo nie miałem jeszcze.

Nie na przechwałkę to sobie mówię, ale bywałem zawsze mężnego serca i śmierci się nie bałem, bom ją nie raz i nie dwa widział zblizka—ale już przyznać się muszę, że markotno mi było w tej ciężkiej chwili i coś ściskało młode serce.... A tak mi się zdało, że lecę w samo piekło, i że w tej czarnej, straszliwej przepaści dymu i ognia zginę mizernie, szabli nie używszy, nieprzyjacielowi w oczy nie zajrzawszy.... Westchnąłem do Boga z głębi serca, a myśl na chwilę uleciała do owej kochanej ojczyzny mojej, którą pacholęciem prawie opuściłem, a której już obaczyć najmniejszej nie miałem nadziei.

Ledwie dwa „ave Maria" pędziliśmy ku onym bateryom, kiedy kule straszliwie razić nas poczęły, zniszczenie okropne w koniach i ludziach czyniąc, tak, iż mieszać się już zaczynaliśmy potrosze, ale wnet zwarłszy się znowu, dalej w oną czeluść piekielną sadziliśmy. Ale ogień silniejszy był niżeli determinacya nasza; ledwie mała chwila minęła, a grad kul i granatów obsypał nas okropnie, zgruchotała nas ta salwa straszliwie, jakbyśmy się między smocze zęby dostali.

Cały nasz piękny regiment, a drugiego takiego nie miał pewno król Fryc w całej armii swojej, rozsypał się i rozprysnął jak grudka piasku na wszystkie strony; połowa kamradów legła śmiercią, innym konie ubito lub raniono, a choć my reszta, ślepo posłuszni rozkazaniu oberszta, bylibyśmy jeszcze dalej onej ciężkiej i śmiertelnej imprezy próbowali, to poranione i rozhukane konie bunt podniosły, w szaleństwie i trwodze się miotając, szyki własne psując, żywych tratując, a w taki kłąb się miotając, że ani w tył, ani nazad, chyba mizernie giń na miejscu.

A tu, jakby na ostateczny dobitek tego fatalnego terminu, — jak nie rzuci się ku nam od lewego świeży pułk ułanów austryackich, ten sam, co go właśnie niedawno zwerbował był i uformował Cesarzowej Jej mości Polak Szybilski—tak już bywaj zdrowa, dragonio! Sam p. oberszter nasz Koggeritz, człowiek srogiego animuszu, twardy na śmierć swoją i żołnierza swego, istny dyabeł krwawy w batalii, nie widział tu ratunku, i choć nigdy jeszcze jak żyw był, w polu tyłu nie podał, teraz do odwrotu dał komendę, aby choć jaką biedną resztkę swojej dragonii z tych jatek salwować.

Zwróciliśmy konie i co nas zostało jeszcze, z tej wyprawy, ku swoim brać się poczęliśmy, a tu tymczasem kule austryackie na waletę nam grały, niejednego jeszcze trupem kładąc. Nie sromotno mi wyznać, żeśmy się odsadzali żwawo, jakby ostatnie jakie fugiszy, ale skoro już raz tak padło, to trwać

na placu nie męztwo, ale szalona rzecz była. Kiedy tak pędzę ku swoim, nagle granat pęka mi też przy samej głowie, ognistym pryskiem się rozpada, konia śmiertelnie godzi i mnie z nim razem na ziemię powala.

przez chwilę. Kiedym legł, zdało mi się, żem zabit i że mi głowę z karku jakby chudemu wróblowi urwano; tymczasem nie była to rana, ale kontuzya ciężka i duża, co mnie jak grom obaliła. To też za chwilę wróciły mi zmysły, a oprócz okrutnego

Wojciech Gerson.

Tak mi w danej chwili było, jakoby jakiś szatański wicher, w uszach zahuczawszy, potęgą swoją głowę mi urwał i z gwizdem okrutnym wirując, dalej gdzieś poniósł, a po polu jak obręcz toczył.... Padłem bez życia pod konia, żadnej o sobie pamięci nie mając i nie wiem, co się ze mną działo

szumu i ciężkości w głowie, żadnego bólu nie czułem, ale tak byłem słaby, że prawie ruszyć się nie mogłem, a cóż dopiero z pod konia nieżywego się wydobyć?

Otwieram powieki i patrzę przed siebie, choć mi się wzrok mroczy—strzelanie było jeszcze wielkie,

bito się jeszcze na wszystkie strony; snadź król Fryc w rejteradzie ostatnim zębem się odgryzał, z pola uciekając. Widzę sporo kamradów zabitych, a około mnie Paudurów p. Trencka, jak się między rannymi i poległymi uwijają. Srogi był to naród te Pandury; bitny, ale dziki i okrutny; nikomu pardonu nie dawał, sam też pardonu nie brał, krwi był żądny; jak stado wilków napadał, litości nie znał, kędy przebieżał, krew tylko a ostateczne spustoszenie zostawiał.

— Bywaj zdrów, Kamrad Narwoy—rzekłem sobie w duchu — już ty teraz nie ujdziesz! Lepiej by ci było leżeć tu z głową urwaną, niżeli paść w ręce pandurskie; ano teraz oczy zamknij a na śmierć się rezolwuj!

Ledwiem sobie pomyślał te słowa, kiedy dwaj tacy Sereszanie ku mnie podejdą, a za barki chwyciwszy, z pod konia ciągną... Jeden z nich, sądząc, żem żyw jeszcze, bagnetem się ku mnie zamierzył, w pierś samą godząc. W tej chwili odezwało się we mnie młode życie, siła i przytomność wróciły nagle; jak też mam na temblaku pistolet, tak leżąc, z ziemi palę w łeb Pandura, jak w jasną świecę. Obalił się opryszek na ziemię, nie jęknąwszy nawet, a ja w tej chwili na nogi się porwałem, macając broni jakiej. Ale nic już nie miałem przy sobie, oprócz tej próżnej lufy, bo szabla w pole poleciała, kiedym się wraz z koniem był powalił. Teraz już pewnej śmierci czekałem z rąk innych Pandurów, kiedy owo nagle ułan jakiś austryacki nadjeżdża, na nas wprost sadzi, a ledwo spostrzegł co się dzieje, nuż prawie drzewcem okładać po łbach Pandurów, odemnie ich pędząc. A trzeba wiedzieć, że tych Pandurów, jako już znane były kanalie z okrucieństwa a rozbójnictwa szpetnego, komenda na oku miała, ukrócając ich swawolę, aby jako dzikie bestye nie grasowały na pobojowisku. Umknęły się rabowniki, a ja, patrząc na ułana, mówię mu:

— Danke, Kamerad!

— Nix Kamerad! Nix deutsch!—on na to.

A był to chłop srogi, z okrutnym wąsem konopianym, barczysty jak niedźwiedź, z marsem dzikim na twarzy. Siedział na lichym koniu węgierskim, ale u troku miał ślicznego Arabczyka, którego zaraz poznałem, jako luzaka mego pana obersztera. Snadź ułan wziął konia, masztalerzowi kark skręciwszy w utarczce.

Kiedy mi mówi, że nix deutsch, to ja już milczę, rezygnując się na los wojenny, i gotów dać się jeńcem wziąć, bo o obronie ani myśleć było. On też, grot lancy swej przykładając mi do piersi, ciągle woła:

— Nix deutsch! Nix pardon! Schlag todt Preuss! Geld gieb!

Sięgam ja tedy do kartusza, a miałem tam kieskę z kilku talarami, bo złota trochę gdzieindziej schowałem i, rzucając mu w górę, rzekę mimowoli po polsku:

— Masz dyable rogaty; bodaj cię zabito!

On już nastawił rękę, aby kiesę uchwycić w powietrzu, gdy usłyszawszy moje słowa, nagle się skonsternował, dłoń spuścił, tak, że talary na ziemię padły, i dużemi oczyma na mnie się wypatrzył:

— A toś ty Polak?—rzecze do mnie z zadziwieniem.

— Polak—odpowiadam—tak jak i ty.

— Ale ja szlachcic i katolik — mówi on na to, patrząc na mnie ciągle—Zakuta jestem!

— A i ja szlachcic i katolik — mówię na to — Narwoj jestem.

— Idźże ty sobie na inne ręce, kiedyś ty mi brat; ja ciebie nie chcę!

— Ja się też nie proszę do waćpana; a kiedyś mi nie rad, to mnie puść.

— Z Bogiem sobie ruszaj, i talary weź; znaj, żem Zakuta!...

— Będę znał i to z wdzięcznym afektem, mości Zakuta, ale konia nie mam... Ot wiesz co, panie bracie, po co ci tego luzaka? Oddaj komuś wziął, z naszego to regimentu.

— Znaj, żem Zakuta, szlachcic Zakuta, bierz konia i uciekaj do swego Fryca; Zakuta mu się kłania!

— Sprawię się z pokłonu, ale i waszmość Laudanowi się pokłoń, a powiedz, że oddany chleb będzie!

Rzekłszy to, siadłem na konia, choć mi się głowa jeszcze zawracała, i, nie czekając długo, jak mu dam ostrogi, tak w jednej chwili odsadziłem się i od ułana, i od Pandurów, i kierując się jak można było, nuż wyskoczę w ową stronę, gdziem się swoich znaleźć spodziewał. Koń był szybki, jak piorun, i jemu to zawdzięczam, żem się do linii pruskich szczęśliwie dostał, szwanku dalszego uszedłszy; bo mnie ten rumak szlachetny jak strzała niósł przez ogień gęsty i huzarom nie dał wziąć, co się za mną wymykali, kusząc się daremnie, albowiem sromotnie w tyle pozostali na swych zmęczonych szkapach...

MEANDRY.

Byle za słońca wiekuistą chwałą,
Która ci może skrzydła nawet spali,
Podążyć co najdalej—
Nie żal, jak Ikar, w niebo wzbić się śmiało...
Choćby się potem i utonąć miało
Wśród zapomnienia fali.

—

Ktobądź się dręczyć stara
Swą myśl, ten ma szalenie
Upadek w wielkiej cenie.
Najprostsza ufność stara
Mędrsza jest niż niewiara,
Niewiara niż zwątpienie.

—

U zagadkowej życia rzeki,
Raz gdy się, wątpiąc, tęskny chylę:
— Cóż ci po wiedzy, marny pyle?—
Rzecze mi w wichrach głos daleki:
— Tak pracuj, jakbyś żyć miał wieki—
Żyj, jakbyś umrzeć miał za chwilę.

—

W służbę u świata idzie nieraz błoga
Myśl, jak niejedni pachołkowie chodzi.
Chciała być czystą— wtem ją życie zbrudzi,
Chciała być mężną— wtem ją zdrętwi trwoga.
Lepiej sto razy zgrzeszyć wobec Boga,
Niżeli raz wobec ludzi.

—

Tyś Pan! Cieszą się Święci,
Gdy znasz w sobie Anioła.
Więc miej siłę—niech zgoła
Szatan z rąk twych kark skręci!
Bo bez własnej twej chęci,
Zgubić on cię nie zdoła.

—

Tyś Pan! I tobie gwoli
Wielkie jest twe władanie!
Lecz cię od własnej, Panie,
Siły twej, któż wyzwoli?...
Bóg nawet, bez twej woli,
Zbawić cię nie jest w stanie.

Felicyan Faleński.

WIEŚ I MIASTO.

HUMORESKA

Bolesława Prusa.

W stodole.

Folwark Wilczołapy był własnością męża pani Euzebii z hrabiów Patykowskich, Jana Chryzostoma Letkiewicza, dziedzicznego dobrodzieja swej parafii, której w ciągu piętnastu lat ofiarował bezinteresownie furę chrustu na płot cmentarny i dwa nowe powrozy do dzwonów.

Budynki dominium, o którem mowa, wraz z nieznacznem od nich podwórzem, formowały kwadrat mający około 590 kroków wszerz i takiż wzdłuż. Na północnym boku kwadratu figurowała stodoła ze spichrzem, dolną młocarnią, młynkiem polskim i amerykańskim, tudzież z manežem vel kieratem. Na przeciwnym krańcu dziedzińca, a więc na południe od stodoły, znajdował się dwór parterowy, murowany, pod gontem a obok niego lodownia. Na zachód leżały: obora i stajnia cugowa. Wreszcie na wschód stał budynek, mieszczący pańską kuchnię, izbę czeladnią, na facyatce zaś małą izdebkę, niegdyś mieszkanie ekonoma, a obecnie kurnik. Do budowli tej przytykało parę chlewków.

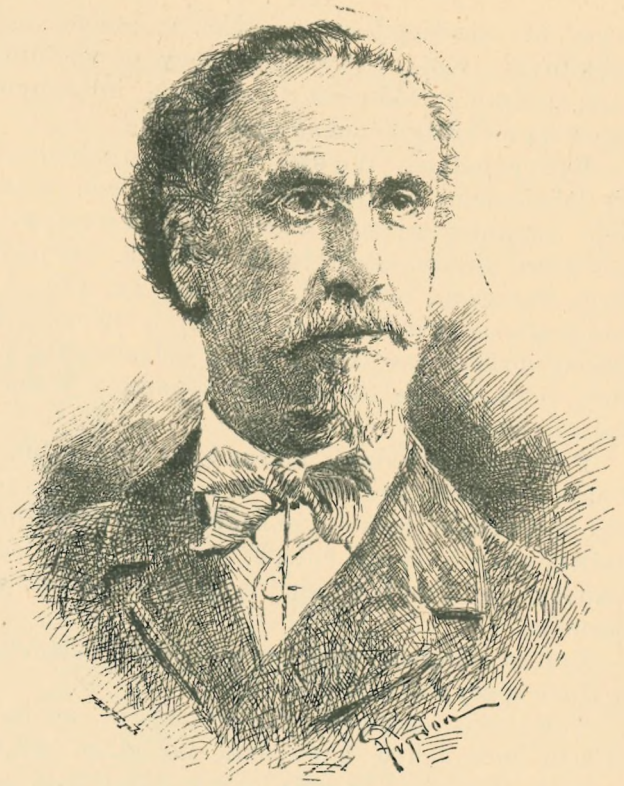

Felicyan Faleński. Rok 1880.

Jeżeli dodamy teraz, że na środku wielkiego dziedzińca znajdowała się studnia z korytem, to już chyba najzacieklejszy zwolennik szczegółów topograficznych nie zarzuci nam niesumienności, lub lekceważenia czytelników.

Tyle o miejscu; z kolei należy powiedzieć coś i o czasie.

Dzień, w którym mieliśmy honor dotknąć stopą Wilczołapskich gruntów, był zimowy i zimny. Okolica, z powodu grubej warstwy śniegu, podobna była do olbrzymiego, płaskiego talerza. Śnieg leżał na ziemi, okrywał dachy, starał się utrzymywać równowagę na płotach, i zwieszał się, niby puch łabędzi z gałązek kilkunastu drzew, które dwór otaczały. Nad dworem, stodołą, stajnią, i tak dalej, niby klosz nad butersznitami, rozciągało się niebo, koloru, który nazwać było można płowym, zielona-

wym, lub niezdecydowanym, lecz w żadnym razie błękitnym. Kolor to był chorobliwy, przypominający mieszaninę żółtaczki z bladaczką; dni zimowe miewają niekiedy podobną cerę.

Było południe. We dworze państwo zajmowało się śniadaniem, w kuchni czeladź obiadem, w stodole robotnicy wypoczynkiem. Na kwadratowem podwórzu nie słyszałeś głosów ludzkich, ani jękliwego warczenia młocarni. Słowem, na folwarku panowała zupełna cisza, na tle której, od czasu do czasu, rozlegał się skrzyp sanek jadących gościńcem, lub krakanie stada wron, sejmikujących na polnej gruszy.

Przy stodole widzieć można było ludzi. Jeden z nich o twarzy żółtej i przedwcześnie pomarszczonej, w brudnym, połatanym kożuchu, starej czapce i nie nowszych od niej butach, stał oparty o ścianę manežu, ze skrzyżowanemi nogami i rękami za pazuchą.

Był to parobek, w lecie pomocnik pastucha, w zimie specyalista od młócenia.

Towarzysz jego miał minę gospodarza na dwudziestu morgach i kandydata na urząd wójta gminy. Wysoka, barania czapka, brunatna sukmana i świeżo wysmarowane tłustością buty były nowe. Szeroki, skórzany pas ściskał mu biodra. Mierny nos, niezbyt wielkie usta i siwe oczy zdradzały pewność siebie i inteligencyę. Człowiek ten trzymał pod pachą gruby kij z rzemykiem, w ręku zaś płócienny worek, w którym mieścił się jakiś przedmiot wielkości bułki chleba.

— Nie uważaliśta Jakóbie — mówił dostatni gospodarz do ubogiego parobka — czy nie był jeszcze pan na dziedzińcu?

— Kto go tam wie — odparł parobek. — Może jeszcze i nie wstał, a jeżeli wstał, to pewnikiem szwargocze z Joskiem, albo z tym Niemcem, co łońskiego roku las kupił.

Nastała chwila milczenia, w ciągu której apatyczny specyalista od młocarni przełożył nogi i poczochrał się plecami o ścianę manežu. Poczem spytał gospodarza:

— Cości to wam pilno, Wojciechu, musi być do pana, kiejście tyle drogi na taki ziąb przeharowali? Musi wam być co winien?...

— Winien, nie winien!... Chciałem się go ino tylko rozpytać, co to jest o to... Może wy wieta?...

Z temi słowy gospodarz rozwiązał torbę i wydobył z niej przedmiot formy nieregularnej, wielkości średniej bułki chleba i koloru brudno-żółtego.

Nie wyjmując rąk z za pazuchy i nie przekładając tym razem skrzyżowanych nóg, Jakób pochylił głowę i dość obojętnie przypatrywał się przedmiotowi.

— Toście znaleźli?

— A znalazłem — odparł Wojciech.

— Zwyczajnie żywica! — mruknął Jakób.

— Ale!... Nie byłoby takie twarde.

— Juści nie ta żywica, co kapie prosto z drzewa, ale taka topiona, co to nią smyki smarują.

— Ale! ale!... Przecie ja się pytałem skrzypka Józwa a on powiedział, że to nie żywica ino bursztyn, taki jak dziewuchy na paciorkach miewają.

— A tu w nim robak, widzę jest... Oho! i jakieś liście we środku? — mówił Jakób, patrząc na bryłę której kawałek w jednem miejscu był nieco przezroczystszy niż w innych.

— To, co jest, to ja i sam widzę — odparł Wojciech — ale nie wiem, co to warto. W tem interes!

— Co warto? Tyle co żywica z robakami i liśćmi.

— Zawdy ja się dziedzica spytam, on mądrzejszy.

— Mądrzejszy do szwargotania z Niemcami.

— Zawdy ma lepszy rozum od nas.

— Żeby on ta miał lepszy rozum, toby mu rzeczy nie spisywali, a jabym miał kożuch calszy — odpowiedział niechętnie Jakób i, kiwnąwszy gospodarzowi głową, leniwie powlókł się do kuchni.

— Widzieliście go jaki mądrala, a niby pastuch! — mruknął do siebie Wojciech, patrząc za odchodzącym z pogardą. Poczem splunął i wszedł do otwartej stodoły.

Tu było gwarno jak w ulu; korzystając z obiadowej przerwy w młócce, dzieci i dorośli robotnicy, zamiast odpoczywać, bawili się na rozgrzewkę. Dwa barczyste chłopcy: Szymek ze wsi i Walek ze dworu, zrzuciwszy kożuchy i czapki, w koszulach i płóciennych spodniach, schwycili się w pół rękoma i wodzili po klepisku od jednej bramy do drugiej, tak aż im się ze łbów kurzylo. W zapolu Magda goniła Paraskę, skutkiem czego obie między snopami upadły; z dwójki tej niebawem utworzył się cały stóg ciał ludzkich, na to samo bowiem miejsce skoczyło kilkoro dzieci z belek; śmiechom i krzykom ich wtórował świergot wróbli, które kręciły się niespokojnie pod szczytem dachu.

Prawie w tej samej chwili gdy Wojciech stanął w bramie, Szymek przewrócił Walka, co zobaczywszy leżąca w zapolu gromada, jeszcze z większym hałasem zerwała się i pobiegła na klepisko.

— Rozdzielta ich — wołały starsze dziewuchy.

— Daj mu suję Walek, to cię puści — radził zwyciężonemu kilkonastoletni berbeć, mający więcej słomy niż włosów na głowie.

— Widłami go! — krzyczał inny.

Tymczasem zapaśnicy, wytarzawszy się i wysapawszy na klepisku, weszli z sobą w układy.

— No! puszczaj, głupi Szymku! — mówił Walek. — Udało ci się, jak ślepej kurze ziarno.

— Ale!... — odparł Szymek, klękając na jedno kolano. — Jabym takich dwóch chuchraków jak ty zmiętosił!

Nareszcie zmiękczony Walek, znalazłszy i wytrzepawszy swoją czapkę, okrył nią głowę, włożył lewą rękę za pas i rzekł:

Bolesław Prus, (Aleksander Głowacki).

Walczący wstali i poczęli skromne swoje garnitury porządkować w sposób bardzo wprawdzie stanowczy, lecz nie dość salonowy. Patrzące na to dziewczęta zasłaniały oczy i śmiały się jak opętane.

— Co się ty, głupi Szymku, puszysz? Obaliłem się, boś mnie wziął pod siłę, jeszcześ mi nogę podstawił...

— Zawdy Szymek mocny—wtrącił jeden z chłopaków — bierze korczyk pszenicy jakby nic.

wym, lub niezdecydowanym, lecz w żadnym razie błękitnym. Kolor to był chorobliwy, przypominający mieszaninę żółtaczki z bladaczką; dni zimowe miewają niekiedy podobną cerę.

Było południe. We dworze państwo zajmowało się śniadaniem, w kuchni czeladź obiadem, w stodole robotnicy wypoczynkiem. Na kwadratowem podwórzu nie słyszałeś głosów ludzkich, ani jękliwego warczenia młocarni. Słowem, na folwarku panowała zupełna cisza, na tle której, od czasu do czasu, rozlegał się skrzyp sanek jadących gościńcem, lub krakanie stada wron, sejmikujących na polnej gruszy.

Przy stodole widzieć można było ludzi. Jeden z nich o twarzy żółtej i przedwcześnie pomarszczonej, w brudnym, połatanym kożuchu, starej czapce i nie nowszych od niej butach, stał oparty o ścianę manežu, ze skrzyżowanemi nogami i rękami za pazuchą.

Był to parobek, w lecie pomocnik pastucha, w zimie specyalista od młócenia.

Towarzysz jego miał minę gospodarza na dwudziestu morgach i kandydata na urząd wójta gminy. Wysoka, barania czapka, brunatna sukmana i świeżo wysmarowane tłustością buty były nowe. Szeroki, skórzany pas ściskał mu biodra. Mierny nos, niezbyt wielkie usta i siwe oczy zdradzały pewność siebie i inteligencyę. Człowiek ten trzymał pod pachą gruby kij z rzemykiem, w ręku zaś płócienny worek, w którym mieścił się jakiś przedmiot wielkości bułki chleba.

— Nie uważaliśta Jakóbie — mówił dostatni gospodarz do ubogiego parobka — czy nie był jeszcze pan na dziedzińcu?

— Kto go tam wie — odparł parobek. — Może jeszcze i nie wstał, a jeżeli wstał, to pewnikiem szwargocze z Joskiem, albo z tym Niemcem, co łońskiego roku las kupił.

Nastała chwila milczenia, w ciągu której apatyczny specyalista od młocarni przełożył nogi i poczochrał się plecami o ścianę manežu. Poczem spytał gospodarza:

— Cości to wam pilno, Wojciechu, musi być do pana, kiejście tyle drogi na taki ziąb przeharowali? Musi wam być co winien?...

— Winien, nie winien!... Chciałem się go ino tylko rozpytać, co to jest o to... Może wy wieta?...

Z temi słowy gospodarz rozwiązał torbę i wydobył z niej przedmiot formy nieregularnej, wielkości średniej bułki chleba i koloru brudno-żółtego.

Nie wyjmując rąk z za pazuchy i nie przekładając tym razem skrzyżowanych nóg, Jakób pochylił głowę i dość obojętnie przypatrywał się przedmiotowi.

— Toście znaleźli?

— A znalazłem — odparł Wojciech.

— Zwyczajnie żywica! — mruknął Jakób.

— Ale!... Nie byłoby takie twarde.

— Juści nie ta żywica, co kapie prosto z drzewa, ale taka topiona, co to nią smyki smarują.

— Ale! ale!... Przecie ja się pytałem skrzypka Józwa a on powiedział, że to nie żywica ino bursztyn, taki jak dziewuchy na paciorkach miewają.

— A tu w nim robak, widzę jest... Oho! i jakieś liście we środku? — mówił Jakób, patrząc na bryłę, której kawałek w jednem miejscu był nieco przezroczystszy niż w innych.

— To, co jest, to ja i sam widzę — odparł Wojciech — ale nie wiem, co to warto. W tem interes!

— Co warto? Tyle co żywica z robakami i liśćmi.

— Zawdy ja się dziedzica spytam, on mądrzejszy.

— Mądrzejszy do szwargotania z Niemcami.

— Zawdy ma lepszy rozum od nas.

— Żeby on ta miał lepszy rozum, toby mu rzeczy nie spisywali, a jabym miał kożuch calszy — odpowiedział niechętnie Jakób i, kiwnąwszy gospodarzowi głową, leniwie powlókł się do kuchni.

— Widzieliście go jaki mądrala, a niby pastuch! — mruknął do siebie Wojciech, patrząc za odchodzącym z pogardą. Poczem splunął i wszedł do otwartej stodoły.

Tu było gwarno jak w ulu; korzystając z obiadowej przerwy w młócce, dzieci i dorośli robotnicy, zamiast odpoczywać, bawili się na rozgrzewkę. Dwa barczyste chłopcy: Szymek ze wsi i Walek ze dworu, zrzuciwszy kożuchy i czapki, w koszulach i płóciennych spodniach, schwycili się w pół rękoma i wodzili po klepisku od jednej bramy do drugiej, tak aż im się ze łbów kurzyło. W zapolu Magda goniła Paraskę, skutkiem czego obie między snopami upadły; z dwójki tej niebawem utworzył się cały stóg ciał ludzkich, na to samo bowiem miejsce skoczyło kilkoro dzieci z belek; śmiechom i krzykom ich wtórował świergot wróbli, które kręciły się niespokojnie pod szczytem dachu.

Prawie w tej samej chwili gdy Wojciech stanął w bramie, Szymek przewrócił Walka, co zobaczywszy leżąca w zapolu gromada, jeszcze z większym hałasem zerwała się i pobiegła na klepisko.

— Rozdzielta ich — wołały starsze dziewuchy.

— Daj mu suję Walek, to cię puści — radził zwyciężonemu kilkonastoletni berbeć, mający więcej słomy niż włosów na głowie.

— Widłami go! — krzyczał inny.

Tymczasem zapaśnicy, wytarzawszy się i wysapawszy na klepisku, weszli z sobą w układy.

— No! puszczaj, głupi Szymku! — mówił Walek. — Udało ci się, jak ślepej kurze ziarno.

— Ale!... — odparł Szymek, klękając na jedno kolano. — Jabym takich dwóch chuchraków jak ty zmiętosił!

Nareszcie zmiękczony Walek, znalazłszy i wytrzepawszy swoją czapkę, okrył nią głowę, włożył lewą rękę za pas i rzekł:

Bolesław Prus, (Aleksander Głowacki).

Walczący wstali i poczęli skromne swoje garnitury porządkować w sposób bardzo wprawdzie stanowczy, lecz nie dość salonowy. Patrzące na to dziewczęta zasłaniały oczy i śmiały się jak opętane.

— Co się ty, głupi Szymku, puszysz? Obaliłem się, boś mnie wziął pod siłę, jeszcześ mi nogę podstawił...

— Zawdy Szymek mocny — wtrącił jeden z chłopaków — bierze korczyk pszenicy jakby nic.

— Dla mnie i dwa korczyki także nic — dorzucił Szymek.

— No, słuchaj! — ciągnął Walek — choć ty niby taki mocarz, to przecie nie zrobisz tego, co ci powiem. Siądź w kucki na *hantej* ławie, a ja ci dam w gębę. Jeżeliś siłacz, to nie zlecisz i jeszcze dostaniesz kwartę wódki odemnie.

— Oj, chyba zleci! — mówiła z powątpiewaniem jedna z dziewuch.

— Co ma zlecieć? — przerwał jej z oburzeniem chłopak z partyi Szymka. Bo to jemu pierwszy raz czy co?... Jabym sam nie zleciał.

Zaczęły się rozprawy bardzo żwawe. Jedni dowodzili, że Szymek na ławie nijak nie usiedzi— drudzy twierdzili, że choćby ze sto razy nawet dostał, to jeszcze nie spadnie.

Szymek tymczasem, nie powiemy namyślał się, ale słuchał. Nizki lecz barczysty człeczyna, o ciemnych kudłatych włosach, z twarzą bladą i jakby nabrzmiałą, silny być musiał w pięści, ale w głowie dyabelnie słaby biedaczysko!

To też wysłuchawszy zdań swoich stronników i przeciwników, rozgrzany pochwałami jednych, a żartami drugich, w odpowiedzi na wszystko usiadł w kucki na ławie i rzekł do Walka:

— A wódka będzie?

— Ma się wiedzieć!

— Cała kwarta?

— To się wie!

— No to próbuj!

Walek uśmiechnął się, odgarnął konopiastych włosów, poprawił czapki, plunął w lewą rękę i „spróbował“ tak, że głupi Szymek wraz z ławą runął na ziemię.

Gromada widzów aż się zanosiła od śmiechu.

— Żydzie! — krzyknął rozdrażniony Szymek, zrywając się z ziemi i podnosząc ławę. Mańkutem mnie palnął, i dlatego zleciałem, ale spróbujemy się jeszcze raz!

Z temi słowy usiadł znowu w kucki na ławie, odgrażając się, że tam dopiero pokaże co umie.

Walek, któremu oczy paliły się jak węgle, plunął znowu z zamiarem powtórnego „wypróbowania“ sił Szymkowych — gdy wtem na środek klepiska wystąpił Wojciech, mówiąc:

— Wstydzilibyście się, Szymonie, żeby was tak poniewierali! Czy to nie widzicie, że się wszyscy śmieją z was, z gospodarza!...

Zmieszany Szymek skoczył z ławy, a nie mając żadnego argumentu na razie, mruknął:

— Jaki ja tam gospodarz!..

— Zawdy macie chałupę i trzy morgi, żonę i dzieci, i wamby to przystało kogo bić w gębę, a nie samemu brać...

— Dobre południe panu Wojciechowi, jak się mata, Szymonie!... A wa! jakie zimno...

Z tem powitaniem wszedł do stodoły Josek, wędrowny handlarz i faktor jaśnie wielmożnego Letkiewicza. Przybyły odziany był w długą zabłoconą i zatłuszczoną kapotę, miał bat w ręku, na głowie watowaną czapkę, a na niej dużą chustkę, która ochraniała mu nietylko głowę ale i szyję, krzyżowała się na piersiach i ściskała w pasie kapotę.

— Takie zimno co strach! — mówił Josek, ocierając wąsy i brodę okryte szronem. Kubali pozdychały dziś w nocy szczenięta w stodole, a na drodze do Wólki zmarzła jedna kobieta! Strach, co się dzieje!

Zakomunikowawszy to obecnym, zwrócił się do Wojciecha.

— Co pan Wojciech tu robi we dworze? Może panu Wojciechowi co w lesie dworscy zabrali?...

— Nic mi nie zabrali — odparł niechętnie gospodarz.

— Może pan Wojciech chce u jaśnie pana naszego co kupić?... — badał dalej Josek z odcieniem ironii w głosie. — Szkoda czasu! bo nasz jaśnie pan nie ma nic do sprzedania...

W czasie tej gawędy Wojciech starał się ukryć swój worek przed oczyma przybyłego. Handlarz jednak dostrzegł to i ze śmiechem zawołał:

— Ny, ny!.. wiem już, wiem! pan Wojciech przyniósł swój skarb do dworu! Pan Wojciech myśli, że oni to kupią, a oni nie kupią, bo im to się na nic nie zda i pieniędzy nie mają.

— Kupią nie kupią, ale zawdy powiedzą, co to warte — rzekł Wojciech.

— Co to warte?.. Ja już wam powiedziałem, że daję dziesięć rubli, tylko dla was. Taki bursztyn, z robakiem i z liściami we środku, co on może być wart?...

— A mnie się widzi, że wy dacie i więcej Josku, a nie wy, to kto inny.

— Co to dużo gadać — odparł handlarz.— Dam dwanaście rubli i ani grosz więcej, a boicie się, żebym was nie oszukał, to spytajcie się jaśnie pana. Tylko że on z wami pewnie gadać nie będzie.

— Co nie ma gadać? — przerwał oburzony gospodarz. — Gada z Żydami, ba! z *Miemcami* a nie gadałby ze swojakiem i katolikiem?..

Przez czas rozmowy Joska z Wojciechem, gromada rozbiegła się po zapolu. Został tylko Szymek, który skrobał się w głowę i patrzył na handlarza z bardzo zakłopotaną fizyognomią. Josek, wysłuchawszy odpowiedzi gospodarza, odwrócił się tyłem do niego i zaczepił Szymka.

— Szymku, Szymonie! — rzekł — ja mam do was interes, chodźcie no!

I wyszedł na dziedziniec, a za nim głupi Szymek z miną jeszcze bardziej zafrasowaną.

† Juliusz Kossak.

Gdy odsunęli się jeszcze o kilkanaście kroków od stodoły, Josek zaczął:

— Jak to będzie, Szymku, z mojemi pięcioma rublami?.. Dwa lata trzymacie, mieliście na nowy rok oddać, tu już trzy tygodnie po nowym roku, a wy jeszcze nie oddajecie?..

— Mnie ta ludzie gadają, żem wam już ze trzy razy oddał te pięć rubli — odparł Szymek, patrząc w ziemię.

— Gewałt! — krzyknął handlarz. — Trzy razy? czy choć kto aby jeden raz widział, jakeście oddali?..

— Dałem wam już parę korcy pszenicy, żyta też, cielę, gęsi troje, woziłem was i wasze towary także nie raz i nie dwa, a wy mi ciągle te pięć rubli wymawiacie.

— Ty zawsze głupi, Szymku! Przecież to za procent, no — a gdzie pieniądze?... Jak wy mi dacie pięć rubli do ręki, to ja się już upominać nie będę.

— Skąd ja ta wezmę! — mruknął chłop machając ręką. Handlarz zamyślił się.

— Jak nie macie teraz, Szymku, to ja wam mogę jeszcze do lata pofolgować, ale procent odbiorę.

— To i dobrze.

— Jak dobrze, to mi dacie ćwiartkę żyta.

— Sam nie mam.

— Przecie żyto młócicie tutaj?..

— Ja tam kraść nie będę! — odparł Szymek, bystro spojrzawszy na handlarza.

— Ny, nie macie żyta, to mi dacie gęś.

— Sam mam dwie całe gęsi.

— To mi też dacie jedną, a nie, to pójdę do gminy.

Chłop zacisnął pięści, lecz uspokoił się i rzekł:

— Dam ci gęś, dam!...

Po tej konkluzyi podali sobie ręce na znak zgody i rozeszli się: handlarz do dworu, a Szymek ciężkim krokiem do stodoły.

Tu usiadł na ławie, oparł łokcie na kolanach, twarz na szerokich i spracowanych dłoniach; tak siedział aż do rozpoczęcia na nowo młocki.

A gospodarz Wojciech stał sobie tymczasem ze swym kijem, ze swym workiem i bursztynem wielkości bułki chleba. Widział on i odgadł rozmowę handlarza z Szymkiem, widział jego frasunek, przypomniał sobie jego zakład z Walkiem i pomyślał:

— Oj ten Szymek! mocny bo mocny, ale głupi taki, że pożal się Boże!... Żeby go kto namówił, toby człowieka zabił...

A potem patrząc w stronę dworu, szepnął:

— Hej ty żydzie, nie okpij mnie, bo cię nieszczęście spotka!...

I ściśniętą pięść wyciągnął z gestem groźby.

Tymczasem dwaj mali chłopcy zaprzęgli do manežu dwie pary wysokich i chudych koni i poczęli je poganiać, gwiżdżąc i strzelając z batów.

W stodole rozległy się krzyki podających snopy do młocki, maszyna warczała i jęczała, a Wojciech wciąż myślał:

— Ten Szymek to taki głupi, żeby nawet Joska zabił.

* * *

Dziedzic dóbr, jaśnie wielmożny Letkiewicz, przechodząc do gabinetu przez salon, znalazł w nim pochylonego nad księgami gospodarskiemi i mapą Gotlieba von Oschuster. Młody ten człowiek, który z całego zarostu posiadał tylko ostrą bródkę, był z powołania agronomem a zarazem agentem jakiejś berlińskiej spółki, która na drodze wykupywania dóbr i wypędzania ich właścicieli, pragnęła uszczęśliwić i ucywilizować barbarzyńską okolicę.

Specyalność von Oschustra na ciernistych niekiedy stawiała go drogach. Niekażdy dziedzic zmuszony był sprzedawać swój majątek, gdy się zaś trafił jaki skorszy nieco do handlu, wówczas poczynał traktować z agentem, lecz w końcu majątek sprzedawał włościanom, niekiedy nawet za niższą cenę.

Stosunki tego rodzaju i cierpkie zdania, jakich niekiedy pan Gotlieb wysłuchać musiał o cywilizacyjnej misyi Niemiec, ostatecznie zniechęciły go do miejscowego elementu. To też ze wstrętem do półdzikich mieszkańców obrabianej przez niego okolicy von Oschuster bynajmniej się nie krył.

Gdy dziedzic dóbr wszedł do salonu, zbliżył się do Gotlieba i rzekł z protekcyonalnym uśmiechem:

— Cóż, mamy dużo roboty nad temi szpargałami?

Potwierdził Gotlieb.

— Tu wszyscy albo osły, albo łotry.

Ostatnia uwaga pod tak ogólnym wyprawiona adresem, wywołała lekką zmarszczkę na czole dziedzica. Starał się ją jednak połknąć, ponieważ agent o dwadzieścia tysięcy dawał za majątek więcej niż inni.

Pragnąc jednak zatrzeć przykre wrażenie, spytał znowu Gotlieba:

— Czy nie będziesz pan w naszem miasteczku na balu składkowym?

— Ja? — spytał zdziwiony agent, podnosząc głowę.

— Wyrobię panu zaproszenie! — zauważył dobrotliwie dziedzic dóbr.

— Zaproszenie? Ja do Torunia nie pojechałem na bal, choć mnie tam sami zaprosili.

— Nie dziwię się; Toruń przecież dalej...

— No tak! — przerwał agent. — Ale w Toruniu jest towarzystwo, w którem ja mogę być na balu.

Teraz Letkiewiczowi przyszło na myśl, że jego sąsiad pan Anastazy Paliwoda, za podobną odpowiedź z pewnością wyrzuciłby agenta za okno. Przez chwilkę sam on miał chęć wyrzucić go przynajmniej za drzwi; barbarzyńskie te jednak zachcianki szybko przeszły, gdy przypomniał sobie, że Oschuster ofiaruje mu za majątek dwadzieścia tysięcy więcej niż inni. Skończyło się więc na tem, że milcząc, poszedł do gabinetu.

Tymczasem wezwany przez służącego do jaśnie pana Josek, włożył swojej dziesięciorublowej kobylinie worek sieczki na łeb, a idąc do dworu, rzekł do lokaja:

— Słuchaj ty, Ignac! chcesz ty odemnie dostać paczkę papierosów?

— Cobym nie miał chcieć!

— Nu, to idź ty do Wojciecha, do stodoły i zapytaj go się: czego on chce? A jak on ci powie, że chce gadać z jaśnie panem, to ty jemu powiedz, że jaśnie pan powiedział: co on z takim ciarachem nie gada.

— Pójdę! — odparł lokaj — ale dacie dwie paczki?

— Ny, ny!

Henryk Siemiradzki. Rok 1877.

Z CIĘŻKICH DNI.

Powieść historyczna

Teod. Tom. Jeża.

Nieznajoma.

Smutnym był pozór łanów podolskich w roku 1674. Role odłogowały. Odłogowanie dziwny jakiś miało charakter — charakter opuszczenia, zaniedbania, zrzeczenia się plonów pożytek niosących dla bujnych chwastów i burzanów, które okiem nieobjęte zalegały obszary. Pierwsze ustąpiły miejsca drugim, jakby wskutek walki pomiędzy pierwiastkiem dobrego a złego, zakończonej tryumfem tego ostatniego. Chwasty rozsiadły się szeroko istnemi lasami, złożonemi z roślin rozmaitych, pomiędzy któremi królował bodiak o zawoju czerwonym, grubopienny, gałęziami rozramieniony, szorstki i twardy. Bodiak odgrywał rolę dębu. Obok niego bujało chwastów mnóstwo, przedstawiających kolor zielony, w odcieniach rozmaitych, od bladego zaczynając, na ciemnym kończąc. Czerwonemu zawojowi ukraińskiego kaktusa odpowiadały kielichy, dzwony i kity zabarwione na biało, na fioletowo, na brunatno, na pomarańczowo, na żółto. Żółtej barwy było najwięcej, wyskakiwała ona najwyżej i rzucała się w oczy najbardziej, pochodząc od smukłych dziewann, od góry do dołu kwieciem oblepionych, stojących niby na straży w szyku, znaczącym się kwadratowo. Zdawało się, jakoby ręka ludzka umyślnie przestrzenie niezmierne obsiewała brzegami dziewanną, dla jakowegoś celu tajemniczego, nadając obsiewaniu owemu kształty mniej więcej regularne. Żółte szeregi ciągnęły się długo, przypatrując się zaś onym, dostrzegać się dawała w miejscach niektórych podwójność, uformowana w ten sposób, że szereg jeden zbliżonym był do drugiego na odległość kroków kilku i pomiędzy niemi ciągnął się szereg trawy, takiej samej, jaka rośnie na stepach. Przypatrując się zaś jeszcze pilniej, dostrzegać się dawała ta osobliwość, że przestrzenie chwastami zarosłe przedstawiały się pod postacią ról zaodłogowanych, smugi zaś trawą okryte miały grunt twardy, dziewiczy, lemieszem nietknięty i szły śród dziewann w liniach długich, załamujących się pod kątami prostemi. Dziewanny spodem podszywała tak zwana *owsiuha*, gęsto krajami porastająca, dalej zaś ustępująca miejsca pojedyńczo, lub kępkami sterczącym pośród bużanów kłosom żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa, których obecność w tym chwastów tłumie zdziwienie sprawiała.

Przestrzenie burzanami okryte, były to łany zapuszczone, smugi trawą porosłe. Na polach wiało pustką, którą smętnym jakimś kolorytem powlekała pora jesienna, niepogodna. Zaludnienia nie znać było wcale, jedyny onego objaw

stanowił szlak szeroki, przerzynający się środkiem pól opuszczonych i dymiący kurzawą przez lada wietrzyk wzbijaną. Obok szlaku, tu i ówdzie, wznosił się kopiec, tu i ówdzie sterczał krzyż drewniany. Zresztą pustka. Stanąwszy zaś na kopcu i obejrzawszy się dokoła, siniała dal, a w niej majaczyły lasy, utopione jakby w mgle szafirowej.

Stańmyż na kopcu i obejrzyjmy się dokoła. I pusto, i cicho, i smutno — a tem smutniej, że widzisz, iż życie tu było, lecz nagle ustało.

Idź w burzany — szukaj życia — tam je znajdziesz, i to nietylko pod postacią bezpiecznie przechadzających się kuropatw, spokojnie wylegającego się zająca, niedbale myszkującego lisa, lub też rozwalonego w cieniu wilka, ale pod postacią ludzi, ludzi pracujących.

Było ich dziewięcioro: sześć kobiet, trzech mężczyzn. Troje z nich wyglądało z waszecia, a mianowicie, siwy jeden jegomość w podszarzałym, z założonemi za pas połami, żupanie, i dwie jejmoście w czepcach, w kacawajach i w spódnicach perkalowych—jedna stara, druga w sile wieku niewieściego.

Reszta, dwóch mężczyzn i pięć niewiast, wydawała ubiorem ludzi należących do klasy wieśniaczej. Mężczyzni byli to dziadowie, kobiety przedstawiały rozmaitość pod względem wieku, idącą od lat ośmnastu — dziewiętnastu, malujących się na postaci dziewczyny jednej czarnobrewej, szykownej a przystojnej, do lat sześćdziesięciu, które dźwigała na sobie najstarsza śród wieśniaczek.

Cóż ludzie ci w burzanach robili?

Zajmowali się zbiorem zboża padalicznego.

Każdy z gromadki tej miał na sobie przewieszoną przez ramię torbę, do której zrywając kłosy żytnie i rozcierając takowe w dłoniach, czyste zsypywał ziarno. Śród żyta trafiał się i jęczmień i owies. I to także szło do torby, ale nie do każdej. Jęczmień i owies zbierało osób parę, które za to kłosów żytnich nie zbierały, zostawiając je innym.

Robocizna ta odbywała się w cichości i spokoju. Robotnicy rzadkim szeregiem, pojedyńczo rozsypani, idąc w zygzaki, posuwali się powoli ku szlakowi, z którego, wpatrując się pilnie w przestrzeń burzanami okrytą, widać było kiedy niekiedy głowę ludzką, podnoszącą się do góry i spoglądającą uważnie wzdłuż traktu, idącego w kierunku słońca, od wschodu na zachód.

Przedmiotem osobliwej uwagi ich była strona zachodnia, ku której chyliło się słońce, którego ukośne promienie wzrok raziły, tak, że spoglądający musieli sobie dłońmi oczy przysłaniać. Spoglądali uważnie, jakby czegoś stamtąd wyczekiwali. Stary szczególnie jegomość, zajmujący w szeregu skrajne prawe skrzydło, zwracał na szlak baczenie, w momentach zwłaszcza, gdy się na takowym tuman kurzawy wzbijał. W chwilach takich nietylko wzrok wytężał, lecz i słuch nastawiał i gdy się przekonywał, że tuman jest wiatru następstwem, mówił sam do siebie:

— Nie jeszcze... A przecie, jużby z powrotem ciągnąć powinni....

Rzekłszy to, brał się napowrót do roboty.

Toż samo, o jakich sto kroków na lewo od niego, zrywający kłosy dziad. I ten baczenie na trakt zwracał, roboty sobie nie przerywając.

Nagle jegomość i dziad głowy razem podnieśli, czoła zmarszczyli i przez chwilkę nasłuchiwali.

— Hm.... — mruknął jeden i drugi z tym akcentem, który oznacza niepewność.

Po chwili znów obadwa razem postawę nasłuchującą przybrali. Dziad zmarszczył się i głową wstrząsnął, a roboty nie zaniechując, zbliżać się powoli począł ku szlachcicowi, który ze swojej strony, ku niemu się zbliżał. Po niejakim czasie zeszli się. Gdy się znajdowali o kilka jeden od drugiego kroków, znów się wyprostowali i słuchy natężyli:

— A co, jegomość?... — zagadnął dziad.

— Słyszysz?.. — zapytał jegomość.

— Ono w tej niby stronie... — rzekł dziad, palcem przed siebie ukazując.

— Hm... — mruknął szlachcic i iść począł we wskazanym kierunku.

Dziad uczynił to samo. Nie uszli kroków kilkanastu, kiedy o słuchy ich obiło się wyraźnie jękliwe stękanie, połączone z wymawianiem wyrazów pojedyńczych, znamionujących wzywanie Boga. Przyśpieszyli chodu i zrobiwszy jeszcze kroków kilkanaście, znaleźli się wobec leżącej w burzanach niewiasty, znajdującej się w najopłakańszem, jak tylko wyobrazić sobie można, położeniu. Odzież na niej, bogata i wykwintna, zakurzona, zabłocona, podarta, zaledwie ją okrywała; nogi bose i pokaleczone, na głowie chusta z grubego płótna, okrywająca bujne płowego koloru warkocze, skudłaczone i bodjakami nabite; twarz blada, wychudła, a delikatna, oczy duże, zaognione, usta spieczone.

— O Boże!... — westchnęła, gdy szlachcica i dziada nad sobą ujrzała.

— Niech będzie pochwalony!... — odezwał się pierwszy.

— Wody... och!.. wody... — odrzekła.

Dziad się wnet zwrócił i, składając w trąbkę dłonie przy ustach, zawołał:

— Kuku!...

Zawołał trzykrotnie. Przysiągłbyś, że to kukułka kuka i tylko byłbyś zdziwiony, skąd się wzięła ona w burzanach w niewłaściwej roku porze.

Zaledwie kukanie dziada przebrzmiało, aliści pojawiać się poczęli robotnicy, przychodząc pospiesznie. Najpierwsza przybiegła dziewczyna czarnobrewa. Dziad do niej:

— Pokwap-no się, Nastko, z wodą!..

Dziewczyna wnet się oddaliła.

Po niej przyszła jedna z dwóch szlachcianek i natychmiast obok leżącej na ziemi przysiadła. Po tej przyciągnęła baba i toż samo uczyniła.

Leżąca na ziemi odezwała się:

– Wody... ach!... wody...

— Poszła już Nastka... — była szlachcianki odpowiedź. — Nie widać jak powróci i wody przyniesie....

— Ach!... — stęknęła kobieta.

Robotnice ją tymczasem otaczały, ze współczuciem na nią patrząc. Wkrótce przybiegła dziewczyna, niosąc w ręku tykwę, zwitkiem z trawy zatkniętą. Na widok tykwy, kobieta podniosła się, ramiona wyciągnęła i oblicze uśmiechem pożądliwości oblała.

— Niech jeno nie pije na raz... — odezwał się dziad.

— Niech chlebem zakąsza... — dodał szlachcic stary.

Po słowach tych, szlachcic, dziad i wszyscy robotnicy odeszli, z wyjątkiem starszej z dwóch szlachcianek, która przy nieznajomej pozostała i łagodnem do niej przemawiała słowem. Zrazu chodziło o to tylko, ażeby zastosować się do rady szlachcica i dziada, która się nieznajomej nie podobała.

— Wody!... — wołała, sięgając po tykwę —wody!... Pali!... Szlachcianka broniła jej pić dużo na raz jeden.

— Nie można, serce... — mówiła — nie można, duszko... Przekąś i napij się.

Podawała chleb razowy, który nieznajoma odpychała; dała się jednak przekonać.

Chleb zajadała, wodę zapijała. Piła z łapczywością, którą w niej szlachcianka moderować usiłowała.

† Elwiro Michał Andriolli.

— Zaszkodzić ci to może — perswadowała.

— Kiedy mnie pali... pali... — była nieznajomej odpowiedź.

— Właśnie też... Zbytecznie jesteś spragniona.

— Och!.. pali... Pragnienie mnie pali... piecze...

— I zgłodniałą być również musisz... — odrzekła szlachcianka ze spółczuciem.

— Ach!... — odparła nieznajoma.

— Zdaleka Pan Bóg prowadzi?

— Czy zdaleka? mój Boże!... — odparła zapytana, obcierając sobie dłonią oczy, jakby dla tego, żeby widzieć jaśniej. — O! zdaleka... Lwów... Tarnopol. Wody!... — rzekła prośby tonem — choć kropelkę...

— Przekąś-że chleba kawałeczek... — odpowiedziała szlachcianka.

Nieznajoma zjadła kawałek podanego jej chleba, pociągnęła z tykwy haustów kilka i teraz dopiero podziękowała.

Podziękowawszy, dłonie złożyła, jak do modlitwy.

I modlić się poczęła pocichu. Szlachcianka głowę spuściła.

Po chwili nieznajoma, westchnąwszy z głębi piersi, zaczęła:

— Oto drugi już dzień, biegnę bez pamięci... nie wiem dokąd... Od dwóch dni nie widziałam człowieka żadnego... Gdzie jestem?...

— Jesteś...— odpowiedziała szlachcianka z zakłopotaniem niejakiem— jesteś... u ludzi, co ci szczerem sercem pomocną podadzą rękę...

Nieznajoma westchnęła, błędnem okiem w koło zatoczyła i udźwignąć się chciała. Lecz siły jej nie dopisały. Zachwiała się i pochyliła w objęcia szlachcianki, która ją do siebie przygarnęła, tuląc niby córkę własną.

— Słaba jesteś i znużona...

— Wstać nie mogę... Chciałam iść dalej...

— Dokąd?...

— Nie wiem... Chciałam iść... uciekać... uciekać... Ach!... — zawołała w końcu głosem przerażenia.

— Nie lękaj się... Nie masz się czego obawiać...

— Tatarzy!... Tatarzy!... Czy Tatarów w tej stronie niema?...

— Niema ich obecnie... nie widać... Przewaliła się ta nawałnica...

— O! niewiasto dobra!... — zawołała nieznajoma głosem błagalnym — nie odstępuj mnie... Byłam sama przez dni dwa... sama jedna... Jakże to ciężko być samą!... Chcę wstać... iść... uciekać...

Plątanina w mowie poznać dała jejmości, iż nie dopyta się jej o nic; nie rozpytywała więc, a tylko usiłowała wpłynąć na nią w sposób uspakajający.

— Bądź spokojną... — mówiła. — Tatarów tu niema... Jeżeli pokazują się, to na szlaku... przeciągną i do nas nie zaglądają, bośmy osiedli na ustroniu i oni drogi do futoru nie znają... Jegomość przytem ma baczenie... Do futoru stąd niedaleko... Niebawem, jak jeno słonko zachodzić pocznie, zejdziemy z pola i ciebie zabierzemy z sobą... Bądź spokojna i dobrej myśli...

Tak stara jejmość przemawiała do kobiety, która pozostawała w stanie obłąkania, pochodzącego nie z utraty równowagi umysłowej, a z wyglądającej jej z oczów i z postaci całej gorączki. Ogniem od niej niosło. Jejmość otulała ją, przemawiała do niej, aż nadszedł jegomość i zapytał:

— No i cóż?

— Zdaje się, że ona nie dojdzie sama... Paniątko jakieś... znękane, biedne i zbiedzone... Nie można się jej dopytać, skąd i jak?...

— Phi!...—odparł jegomość. Skąd i jak... o to mniejsza... Jak jaskółka powrót wiosny, tak ona powrót nawały tatarskiej zapowiada. Ani chybi wymknęła się z czambułu, który nie dziś to jutro zawita w te strony... Zabierajmyż ją i chodźmy do domu...

— Chodź, lubko — odezwała się do niej szlachcianka. — Wstań... chodźmy...

— Ha?... co? — zapytała. — Wojewodzina?

I ręce wyciągnęła.

— Wojewodzina?... ha?.. Czy to ty, Prokopie serce?.. Poczekaj trochę. Gdzie ta flaszeczka z wodą święconą? gdzie? Chrzczę ciebie... chrzczę ciebie... a!.. imię!... imię chrzestne!... wojewodzina...

Szlachcic stary patrzał, głową pokiwał i rzekł:

— Nieprzytomna. W malignie biedaczka bredzi...

— Bredzi — szlachcianka na to. — Ale, jak ona na futor zajdzie?

— Ano... Jak zajdzie?... Jużci rzucać jej nie godzi się. Zaprowadzimy...

Odwrócił się, dłonie w trąbkę przy ustach złożył i zakukał.

Na kukanie to zeszli się niebawem robotnicy i robotnice wszystkie i zdecydowanem wnet zostało odprowadzenie, w potrzebie zaś odniesienie nieznajomej. W zastosowaniu to ostatnie jeno możliwem się okazało. Kobieta, na nogach postawiona, utrzymać się na nich o sile własnej nie mogła. Nie mogła też iść, na kimś wsparta. Podstawiały się jej Nastka i druga dziewczyna, podstawiały się mołodyce. Po próbach, które się daremnemi okazały, skończyło się na tem, że ją najprzód jegomość wziął na plecy, następnie jegomościa zluzował dziad jeden, tego zaś dziad drugi, którego znów wyręczył jegomość. Każdy niósł staj parę, uginając się pod ciężarem, który nie był zbyt ciężkim, ale na barki młode. Starcy nużyli się, dźwigali jednak i dawne dzieje przypominali jeszcze.

— Ej ha!.. — odezwał się z dziadów jeden — żeby mi tak lat trzydzieści z barków ubyło, tobym z wyskokiem niósł tę panią młodą..

— Ja bo taki nosił, jak był młodszy — odezwał się drugi — ale to temu już dawno, dawno... jak jeszcze Chmielniczenko pod Zbarażem stał i kniazia Jaremę szturmował, a my to po miastach, to po wałach plądrowali. Hej ha!... otóż to czasy były!...

— He, he — odparł pierwszy.—Czasy... czasy... Była pilawiecka.. przeminęła... była berestecka... przeminęła... Było się na wozie i pod wozem... Starość przyszła i ot, my dwaj, z pod Pilawiec i z pod Beresteczka, znów z Lachem za jedno.. i to aż tu... na świata skraju...

Coś miał na to odpowiedzieć szlachcic stary, gdy nagle uwagę wszystkich zwrócił na siebie śpiew głośny, męzki, rozchodzący się w powietrzu. Na głos ten, niewiasty pierzchły w burzany, mężczyźni usunęli się z chorą i przysiedli nieopodal. Śpiew zbliżał się. Jeden z dziadów wstał, wyprostował się i rzekł:

— Bodajbym ogłuchł, jeżeli to nie Jurek!... Ale co mu się stało, że śpiewa tak głośno, jakby chciał Tatarlingom dać znać, że w tej stronie ludzie mieszkają...

Dziad drugi i szlachcic podnieśli się także, wyszli nieco naprzód i niebawem doczekali się przybycia jeźdźca, który jechał stępem i wyśpiewywał głośno. Gdy zoczył stojących, wnet z konia zsiadł, a zbliżając się do szlachcica starego, w rękę go pocałował. Szlachcic nad głową jego znak krzyża zrobił.

Nowoprzybyły pod względem wieku należał do pokolenia młodego, licząc niewięcej zapewne jak lat trzydzieści; co się zaś stanu tycze, kwestya ta rozstrzygać się nie dawała od oka, wyglądał bowiem po rycersku, a rycerstwo w czasach owych, w krainie, która nam za ramy opowiadania służy, tak się dawne z nowem pomieszało, że trudno było rozpoznać ze stroju i z miny, kto szlachcic, kto chłop, kto posiada antenatów szereg długi, kto rozpoczyna ród osobą własną. Młody człowiek, Jurkiem przez dziada na-

zwany, z miny patrzał na zucha, był dorodny, miał wąs zawiesisty i wejrzenie zuchwałe, okrywał go żupan szaraczkowy, opasany pasem wełnianym, za którym sterczał pistolet i od którego wisiała szabla zakrzywiona w pochwie skórzanej; z za pleców sterczała mu rusznica, przybory do której, pod postacią różka na proch i worka na kule, przy prawem wahały się biodrze; w ręku niósł dzidę bez proporca, którą, z konia zsiadłszy, w ziemię wetknął, głowę przykrywał czapką baranią z daszkiem sukiennym. Ta mina i ten strój mogły tak dobrze oznaczać szlachcica, jak kozaka i nie bylibyśmy w możności zdefiniować stanu społecznego, do którego Jurek należał, gdyby nie to, że starego jegomości tatkiem nazwał.

— Cóż u licha! — zagadnął ten ostatni — hałasy takie sprawiasz?...

— Jakie hałasy, tatku?—odrzekł młody człowiek.

— Ano... śpiewasz na całe gardło, jakbyś nie wiedział, że Tatarzy mają słuch bystry...

— Wiem o tem, wiem jednak niemniej i o tem, że słuch ich na milę nie sięga...

— Na milę... a?... Są więc w pobliżu?...

— Stoją za Popieluchami... rozłożyli się na noc...

— Dużo ich? — zapytał jeden z dziadów.

— Będzie sotni ze dwadzieścia...

— Z jassyrem?...

— Z jassyrem... pędzą bydło i jeńców...

— Ah! — westchnął szlachcic stary i głową wstrząsnął.

— Chyba jednak — ciągnął młody człowiek — skrzydeł ptasich dostaną, jeżeli się nam wywiną. Ledwie dyszę. Prawda, że i my bokami robimy, przecie, nie mając jassyru na karku, lżej nam biegać. Zabiegamy im na przełaj i przybywam po to właśnie, ażeby Ostapa — tu ku jednemu z dziadów głową skinął — o pokazanie drogi poprosić pokornie.

— Hm — odrzekł zagabnięty — czyż sam drogi nie znasz?

— Nie wyplątałbym się z pomiędzy futorów, po nocy zwłaszcza. Wy, dziaduniu, wyplączecie się, nietylko po nocy, ale z oczyma zawiązanemi...

Pokiwał dziad głową.

— W przygodzie nam stanąć zechciecie — dodał młody wojak, prośby tonem.

— Ta... hm... Niech tak będzie... chociaż to ja — zaklął się...

† Aleksander hr. Fredro. Rok 1877.

— Zaklęliście się przeciwko kozakowaniu, ale nie przeciwko pokazywaniu drogi ludziom w potrzebie... Doprowadziłem komendę do lasu, co przy Rudnickim futorze...

— Czy myślisz, że oni na Czeczelnik się rzucą?

— Broń Boże! Oni pociągną Szpakowym szlakiem, ale do zajęcia im na przełaj potrzeba, jak mi się zdaje, drogę obrócić mimo futorów Rudnickiego, Rozboja, no i naszego... — Dziad głową na znak potwierdzenia wstrząsnął, od czego mu czapka barania głębiej na czoło wpadła i odrzekł, miarkując:

— Prawda twoja, Jurku... Tak to wypada ono... Kiedy Tatarling pod Popieluchami, a komenda u Rudnickiego futoru, to najskładniej czambułowi w oczy skoczyć z uroczyska Pierożniańskiego... Szlak przesuwa się tam tuż pod lasem... Ano, chodźmy spiesznie... Jegomość konia staremu Ostapowi nie pożałuje, a Ostap nie pożałuje siebie...

— A taż pani?... — zagabnął szlachcic, interpelując w ten sposób odchodzących syna i dziada.

— Aha!... — zawołał ten ostatni. — To już Jurko chyba nas starych wyręczy...

— Albo Jurków koń — dorzucił dziad drugi.

W słowach kilku wyjawionem zostało młodemu wojownikowi o co chodzi i ten natychmiast, znalazłszy w burzanach, wziął ją na ręce. Usadowienie jej na siodle okazało się więcej aniżeli trudnem. Trudność pochodziła stąd, że się trzymać nie mogła. Wziął ją więc Jurek na grzbiet i poniósł.

Na drodze do mężczyzn przyłączyły się wyszłe z kryjówek niewiasty. Ze sposobu, w jaki stara jejmość powitała młodego rycerza, z łatwością poznać się dało, że wiążący ich węzeł, był to jeden z tych, co ludzi wiąże najmocniej. Jejmość przemawiała do niego „Jurku“ albo „Jurusiu“—on zwał ją „matką“. Na drugą szlachciankę wołał „Elzbieto“! a z akcentu, z jakim to imię wymawiał, domyśleć się było można, że pomiędzy nią a nim zachodził stosunek rodzinny. Elżbieta zapytała Jurka o jakowegoś Jana.

— I... — odrzekł zapytany — nic mu się złego nie stało... Chorągwie husarskie i pancerne wloką się z tyłu, z nowym królem jegomością, my zaś przodem wybiegli...

— Widziałżeś go, Jurusiu, dawno?...

— Niebardzo... hm.. miesiąc temu, czy co... Wiem jednak napewno, że ani draśnięty. Im dowodzi imć Rzewuski, pułkownik.

— Na zimę przybędzie?...

— No... a jakże... Spodziewamy się, że do zimy, tak w Podolskiem jak w Bracławskiem województwie tatarska i turecka nie pozostanie łapa... Hm — chrząknął, poprawiając na sobie ciężar, którego głowa spoczywała mu na ramieniu, warkocze spływały po ręku, a ręce wisiały wzdłuż piersi.

— Ciężko ci? — odezwała się matka, z akcentem troskliwości w głosie.

— Owa! — odparł młody człowiek.

— Zmęczonyś i zdrożony...

— Cóż z tego! Udźwignąłbym jeszcze dwie takie jak ta pani, która odbić się musiała od tego właśnie czambułu, za którym my od dni już czterech pościgiem idziemy i który nas obłędem wodził... Ależ go dopadniemy raz przecie... Tatarom, jak się zdaje, ani się śni, że im nad karkiem wisimy... Ha, ha!

Chora nie odzywała się. Od czasu do czasu tylko wydawała westchnienie, które oparem niby młodego wojownika po policzku lewem muskało.

Równo ze słonka zajściem gromadka nasza dostała się do lasu dębowego, zawalonego kłodami drzewa butwiejącego i pruchniejącego. Zmrok gęstniał. W lesie było prawie ciemno, w parowie zaś, w który się spuszczono niebawem, panowała ciemność zupełna.

Postępowano gęsiego.

Dziewczyna czarnobrewa trzymała przodek, szła spiesznie, za nią podążało kobiet parę, za temi zaś w zwiększającej się co chwila odległości szedł jegomość, poprzedzając dźwigającego chorą Jurka, obie jejmoście, resztę niewiast i dziadów, z których jeden prowadził Jurkowego konia za uzdę.

W porządku tym, w ciszy, przerywanej jeno łomotem gałęzi pod stopami i podzwanianiem konia wędzidłem, posuwano się z godzinę, jeżeli nie dłużej. Aż słyszeć się dało psów szczekanie, które atoli wnet ustało, gdy jegomość gwizdnął mocno. Niebawem, o ile w ciemności nocnej dojrzeć było można, widzieć się dała brama, otwierająca wstęp na podwórko, w głębi którego wznosił się budynek, przykryty strzechą nizką.

Młody rycerz z ciężarem swoim do ciemnej wszedł sieni. Drzwi wewnętrzne otworzyły się; błysnęło radośnie światło łuczywa, nastąpiły powitania, które poprzedziło złożenie chorej na łożu w alkierzu, dokąd młodemu człowiekowi, krom dwóch niewiast, co z nim przyszły, towarzyszyła jeszcze i trzecia, siwa jak gołąbek staruszka.

W izbie zrobiło się naraz ludno i gwarno. Ten mówił, i ten mówił. Pytania sypały się niby z rękawa, a wszystkie ściągały się do młodego człowieka i wszystkie ustały naraz, gdy ten oznajmił, że przybył na „godzinkę tylko“.

Noc Majowa.

POWIEŚĆ

przez

J. I. Kraszewskiego.

Wstęp.

Noc była majowa, ale nie ów ideał majowej nocy, opiewanej przez poetów.

Noc smutna, pospolita, prozaiczna tego miesiąca, który przy całym swym wdzięku i blaskach jest może jednym z najkapryśniejszych w roku.

Noc była majowa, ale chłodna; po krótkiej burzy deszcz spokojny padał, jakby zaspany i znużony.

Drzewa stały świeżemi już liśćmi okryte, odświeżone, wonne, nieporuszane najmniejszym wiatru powiewem.

Na niebie nie było księżyca, ani gwiazd, powłoka szara, jednostajna okrywała je oponą ciężką i grubą.

Słowik z obowiązku nucił w krzaku tę pieśń stróża u kolebki, która jest śpiewem ojca i piastuna nie kochanka, choć dla nas miłosnemi brzmi dźwiękami.

Lecz i pieśń nie rozlegała się tak wesoło jak zwykle: odzywały się w niej tęsknoty, troski, trwogi życia i bóle jego.

Śród krajobrazu, którego szczegóły noc kradła, na równinie gajami poprzecinanej, stał dwór szlachecki, jak zwykle, między dziedzińcem a ogrodem. O tej godzinie późnej dwór już był na wpół uśpiony.

Psy podwórzowe, pozwijane w kłębki, leżały w ganku i przy drzwiach sieni.

Niekiedy na starych olchach nagle zaklekotał rozgniewany bocian; słychać było jak trzepotał skrzydłami, gniewając się na wróble, które w jego pańskiem gnieździe swoje małe przytulisko pomieściły bez pozwolenia.

Z drugiej strony dworu odwieczne drzewa, krzaki gęste bzu, jaśminu, akacyi, podsuwały się prawie pod okna same.

Z tej strony także znaczna część dworu ciemną była jak ta, która w podwórze wychodziła. Ze trzech tylko okien otwartych światło bladą smugą wysuwało się na ogród, gdzieniegdzie posrebrzając liście drzew i zawieszone na nich deszczu kropelki.

† Józef Bliziński. Rok 1877.

Okna te wszystkie jeden duży pokój oświecały. Na stoliku przy ścianie paliła się lampa, przy której blasku dostrzedz było można dwa łóżka usłane i przygotowane do spoczynku.

Z drugiej strony za parawanikiem stało małe łóżeczko dziecinne.

Na jednej ze ścian zawieszony portret mężczyzny w młodym wieku, z wyrazem smutnym i zadumanym na twarzy; promień od lampy, padający nań, oświecał go dziwnie i, drgając, nadawał mu jakieś życie, którego może nie miał we dnie.

Był to wizerunek człowieka, który wiele cierpiał lub wiele cierpieć było mu przeznaczonem. Trudno było odgadnąć... przeczucie losu jego, czy ból doznany takim go czynił chmurnym i znękanym.

Znaczna część portretu przysłonięta była krepą czarną, dawniej zawieszoną starannie, teraz rozdartą, spyloną i na samem obliczu rozdartą.

Na jednej z kanapek, przy ścianach umieszczonych, leżała rzucona niedbale, świeżo zdjęta suknia kobieca, chustka i drobne stroju przybory; na drugiej, lat może dziesięciu dziewczę z główką okrytą włoskami jasnemi, potarganemi dzienną zabawą, usnęło nierozebrane, zmęczone, sparte na jednej rączce, z drugiej, spuszczonej na podłogę, upadł był pasek od sukienki odpięty.

Sen niespodzianie chwycił dziecinę i zamknął powieki, choć usteczka się jeszcze do niedokończonej zabawy uśmiechały.

Trochę opodal od uśpionej siedziały dwie osoby zajęte cichą, na chwilę przerwaną rozmową.

Mężczyzna, wcale nie podobny do zawieszonego na ścianie portretu, dosyć zażywny, rumiany, z rysami twarzy pospolitemi, głowę miał okrągłą z niskiem czołem, oczy małe, szare, usta trochę odęte, na których górnej wardze zuchowaty wąsik się kręcił.

Twarz nie zdradzała wielkiej inteligencyi.

Szlachcic to był z krwi i kości, zamłodu zapewne hoży i świeży chłopak, teraz jeszcze mężczyzna przystojny, ale, jak medal trochę starty, niepociągający już oczu.

W tłustej, jakby nabrzmiałej, z krótkiemi palcami ręce, trzymał zagasłe cygaro, a z rysów znużonych wyczytać się dawała chęć do snu, którą potwierdzało lekkie ziewanie, usilnie tłumione.

Obok, na wygodniejszem krzesełku, siedziała kobieta młoda jeszcze, jeszcze piękna, ale twarzy przekwitłej i uwiędłej przedwcześnie.

W rysach jej dostrzedz było można jakby coś pokrewnego, coś zbliżającego je do portretu zawieszonego na ścianie.

Obu wyraz pełen boleści, był jeden.

Oblicze to niewieście było niegdyś cudownie ukształtowane ręką natury, tworzącej krótkotrwałe arcydzieła. Dziś jeszcze nos, usta, czoło, nadewszystko kunsztowna oprawa ślicznych czarnych, dużych oczu, pełnych wyrazu, a wpadłych głęboko i jakby łzami zmęczonych — stanowiły całość pełną harmonii, typ bolejącej i zbolałej, choć skrzepłej już cierpieniem istoty.

Była to twarz kobiety, która się wszelkiej wyrzekła zalotności, a od świata nic już się nie zdawała żądać.

W małżeństwie tem trudno było dopatrzeć węzła, coby je mógł łączyć z sobą. Kobieta stała na wysokościach, których mąż nigdy nie mógł dosięgnąć ani myślą, ani uczuciem. Były to dwie natury nierówne, wagi niejednej, do zrozumienia się niestworzone. Takie było wnętrze sypialni, w chwili gdy dostrzeżony sen dziecka przerwał rozmowę małżonków.

Słowik tymczasem w bzach wyśpiewywał, a cichy szmer deszczu wiosennego towarzyszył mu, grając na szerokich liściach bliskich kasztanów.

U drzwi ogromny wyżeł pstrokaty, wychudły, stary, spoczywał na podesłanym dywaniku; musiał on być ulubieńcem państwa, gdy tu nawet wolno mu było im towarzyszyć.

Westchnienia psa i mruczenie przez sen nietyle uwagę pana zwracały, co samej gospodyni, która z wielką troskliwością spoglądała na inwalida.

* * *

Noc była ciemna bardzo, lecz ktoby mógł przeniknąć jej głębie, za ogrodem dwór otaczającym, dostrzegłby jakąś postać podejrzaną, która się do oparkanienia zwolna, ostrożnie, ale z widoczną znajomością miejscowości zbliżała.

Wśród mroków nocy, człowiek podkradający się tak ostrożnie i nieśmiało, wzrostu słusznego, zbudowany silnie, najpodobniejszym był do pospolitego złodzieja.

Oglądał się dokoła, szedł to krokiem przyśpieszonym, to wolnym — stawał, oglądał się, przysłuchiwał.

Zdala od wsi słychać było przerywane psów naszczekiwanie. Niektóre z nich wyły i milkły nagle, jakby się same zlękły swego głosu.

Przychodzień zdawał się liczyć kroki, szukać czegoś, w końcu ręką natrafił na furtkę, która z tej strony prowadziła w pole.

Musiał wiedzieć o niej i znać ją zdawna, bo ruchem śmiałym i pewnym ujął klamkę, pociągnął, ale wnijście było z wnętrza zaryglowane.

Raz i drugi wstrząsnął nią mocno, a że się furtka opierała, rozgorączkowany i zniecierpliwiony, oburącz schwycił drzwiczki, które skrzypiąc i trzeszcząc—uległy.

Obejrzał się niespokojnie, czekając chwilę i nadstawiając ucha, lecz hałasu tego nikt nie zdawał się słyszeć; wbiegł więc pośpiesznie w ogród zarosły i ciemny, zamykając za sobą wyłamaną furtę...

Tu takie mroki panowały, pod szerokiemi drzew gęsto skupionych konarami, że człowiek nieznający miejscowości byłby się w nich łatwo zabłąkał.

Przychodzień stanął chwilę, twarz zwróciwszy w stronę dworu—ale nie żeby szukał i badał kierunek, w którym się miał puścić; zdawał się słabnąć raczej, bo oparł się o pień starej lipy.

Nie trwało to jednak długo.

Podniósł głowę, oczy rozwarły się szeroko i, jakby władzą przenikania ciemności obdarzone, poczęły rozglądać się na wszystkie strony.

I żywo rzucił się naprzód, zwyciężywszy chwilowe wahanie, rozsuwając przed sobą pozwieszane gałęzie a za każdym ich szelestem, wstrzymując się onieśmielony—i po chwili znowu przyśpieszając kroku.

Chciał coprędzej wydobyć się z gęstwiny i zdradzić obawiał; nogi pod nim dygotały, ręce z siłą konwulsyjną kruszyły, co napotkały na drodze.

Ścieżkami umiejętnie wybieranemi, które go w najkrótszym czasie mogły doprowadzić do dworu —szedł to zbyt żywo, to krokiem ociężałym i powolnym.

Uczucie jakieś pędziło go, prowadziło, nagliło, rozum i obawa wstrzymywały.

Z po za gałęzi drzew gęsto splecionych, przedarł się nareszcie promyk światła od okien sypialni. Schyliwszy się, mógł już dostrzedz na jaśniejszem tle niebios czarno występujący dwór cały i okna, w których drżał blady blask lampy.

Stanął.

Słowik śpiewał tęskno a nie spokojnie, deszcz kropił, spadając na liście, kogut zapiał gdzieś w dali i na głos ten, powołujący do czuwania, odpowiedziały inne na wsi i folwarku.

We dworze cicho było—dokoła żadnej żywej duszy.

Po wilgotnej ziemi mógł przychodzień stąpać, nie będąc słyszanym. Zwrócił się w prawo ku oknom oświeconym, które za każdym krokiem, dalej mu we wnętrze sięgać dozwalały.

Wzrok jego wytężył się ku nim, uwiązł w nich z potęgą, która zdawała się dosyć silną, by mury przebiła. Z miejsca jednak, na którem stał, niewiele więcej widać było, nad zamglony obraz objęty ramami okien i drgające w nich firanki.

I znowu sił mu nie stało, pochwycił się za piersi, jakby go suknia dusiła, głowę dźwignął, odetchnął ciężko. Padający na przychodnia słaby odblask od okien, dawał teraz widzieć lepiej tę postać zagadkową.

† Albert Wilczyński. Rok 1885.

Był to mężczyzna lat średnich, opalony nie słońcem ale wichrami i pracą, wybladły — z twarzą wymizerniałą, na której sterczały kości, obleczone skórą stwardniałą.

Twarz miała jakieś dalekie podobieństwo rysów z wizerunkiem zawieszonym w sypialni, lecz tamto było dziecię dostatków, pieszczone, a to nędzarz wygłodniały i człowiek jakby należący do gminu.

Zbliżyć się ku dworowi nie śmiał jeszcze— a ciągnęło go ku niemu. Pochylał się, rozgarniając krzaków gałęzie, stawając i cofając... Poruszony krzew jeden spłoszył śpiewającego słowika, który furknął z niego i siadł znowu na straży gniazda i rodziny.

W prawo mała ścieżka, śród różnobarwnych rabatów kwiecistych prowadziła do okien samych pod ścianą dworu.

Na palcach począł się podsuwać nią ku oknom włóczęga.

Z za gęstego krzaku bzu, który właśnie rozkwitał i cały był okryty wonnemi gronami, mógł już, stanąwszy, sięgnąć wzrokiem w głąb sypialni, a nawet usłyszeć śród nocnej ciszy wyraźnie się rozchodzącą małżonków rozmowę.

Spojrzał i jak skamieniały stanął z założonemi rękoma.

* * *

Mężczyzna siedzący w krześle, nie mogąc już wstrzymać się dłużej, ziewnął razy parę po cichu.

— Okrutniem się dziś zmęczył — rzekł stłumionym głosem. — Oczy mi się już kleją, choć

wiem, że położywszy się, nie zasnę. W krześle drzemię, a w łóżku przewracam się — i nie wiedzieć jakie głupie myśli mi przychodzą.

Żona nie zdawała się go słuchać, patrzała na dziecko, zatopiona w niem cała.

— Żebyś mi pozwoliła jeszcze wypić szklankę groku do poduszki— ciągnął dalej powoli, żebrząco, mężczyzna—zasnąłbym zaraz, ale ty zapachu rumu nie możesz znieść. Wiem, wiem, że ty groku nie lubisz, znajdując go za mało dystyngowanym, a i tego co grok lubi; ja nigdy podobno nie będę u ciebie w tych łaskach co nieboszczyk.

I od niechcenia rękę wyciągnął ku przysłoniętemu krepą portretowi.

Na wspomnienie nieboszczyka, kobieta drgnęła i z oczu jej łzy, które się dotąd pod powiekami zbierały, pociekły po twarzy.

— Nacożeś żenił się ze mną? — szepnęła ledwie dosłyszanym głosem—przypomnij sobie, com ci mówiła przed ślubem...

— Pamiętam ja to, ale mało co kobieta mówi przed ślubem—rzekł mąż — a potem się to zmienia... Mógłbym i ja—dodał na pół żartobliwie, podpatrując jakie czynił wrażenie—powiedzieć: ci nacożeś wyszła za mnie? Sądziłem, że przecież kiedyś zapomnisz zmarłego, a żywego do łaski swej przypuścisz... A tu tymczasem ja do tej pory nie mogę się nawet doprosić, abyś z sypialni kazała wynieść ten portret jego... który mnie dławi i prześladuje... Gdzież to kto kiedy widział, aby w sypialnym pokoju pierwszy mąż stał na warcie i wspomnieniem swem nieustannie dokuczał mężowi wdowy?

— Proszęż cię—słodkim, łagodnym, zniżonym głosem, aby nie obudzić dziecięcia, odezwała się żona — wszakżem ja to za warunek kładła małżeństwu naszemu, gdym wychodziła za ciebie, że mi dozwolisz i ten portret mojego Karola, ojca Klarci, i pamiątki po nim zachować. Proszęż cię, przypomnij słowa moje... przyrzeczenia własne...

Starałeś się o mnie długo, wiesz żem miała najmocniejsze postanowienie nigdy nie wychodzić za mąż — tylko troskliwość o los Klarci, o jej przyszłość, potrzeba opiekuna dla dziecka na wypadek śmierci mojej, mogły mnie skłonić do drugiego związku, gdym po pierwszym płakała.

Nie obiecywałam ci serca, bom go dać nie mogła, złamane było na wieki... Wiesz i to, jaką uczyniłam ofiarę, jaki gwałt zadałam sobie, nie mając pewności o śmierci Karola... chociaż ją urzędownie poświadczono.

Ale w ucieczce, gdy ich napadnięto, mordowano i rozproszono, kto mógł tak bardzo starać się o sprawdzenie poległych?

Ja do dziś dnia....

— A! a! — przerwał niecierpliwie mężczyzna włosy targając na głowie. — Znowu ta stara baśń! Zawsze ci się zdaje, że Karol żyje i kiedyś zjawić się może! Cóż u licha! to sensu niema! Wszakże przyszło świadectwo, że został zabity....

Kobieta płakać zaczęła i chustką zasłaniała sobie oczy Mąż popatrzył na nią, na cygaro, i mówił smutnie dalej:

— Nie przeczę, że nieboszczyk Karol był ideałem, z którym ja się mierzyć nie mogę. Ja jestem sobie prosty szlachciura, prosty człek, a tamten więcej miał i w głowie i w sercu...

Nie — przerwał, poprawiając się i podnosząc śmiało wejrzenie. — Nie — w głowie miał więcej, w sercu—nie!... Kochać umiem— ale na tem koniec, a dla ciebie tego nie dosyć... Musisz więc go opłakiwać, choć dla mnie każda twoja łza jest wymówką...

— Lecz — odezwała się kobieta prędko, oczy ocierając, jakby się winną uczuła—czyż widujesz mnie kiedy płaczącą? Dziś, gdyś mi sam przypomniał tego biednego męczennika, nad którego losem obcy by nawet użalić się musiał, cóż dziwnego, żem łez kilka wylała?

Mąż zlekka poruszył ramionami.

— Tak! męczennika — zamruczał—ale sam on się dobrowolnie skazał na to męczeństwo...

W tej chwili Klarcia, która się była na kanapie zdrzemnęła, poruszyła się, otworzyła oczy i uśmiechnęła tym uroczym śmiechem dziecka, które w życiu tylko wesela kosztowało.

Śmiałym ruchem ręki, zdradzającym pieszczoszkę, odgarnęła z czoła włoski, tupnęła nóżkami, stanęła na nich i, obie rączki wyciągnąwszy, przybiegła klęknąć przed matką, która się ku niej z czułością pochyliła i objęła.

— Mamuńciu!—zaszczebiotała, oglądając się po pokoju—wszak to już musi być późno? mnie już czas spać iść, a ja jeszcze nie zmówiłam pacierza?

I jak gdyby do pacierza tego przeszkadzał obok siedzący ojczym, bojaźliwie spojrzała ku niemu...

Pan Bogusław patrzał także na dziecko, z wyrazem poczciwego, prostodusznego przywiązania... Uśmiechnął się do niej, pocałował ją w czoło i, ruszając z krzesła, dodał:

— Pójdę na ganek, kiedy wam przeszkadzam. Mówcie sobie pacierze wasze, przejdę się tymczasem z cygarem na świeżem powietrzu, żeby tu Józi nie robić dymu. Ale słówko tylko—szepnął, zbliżając się do żony.

Klarcia zerknęła na niego żywo, odgadła, że przy zwierzeniu się poufnem może być niepotrzebną, i zbiegła ku swemu łóżeczku, włosy potarga-

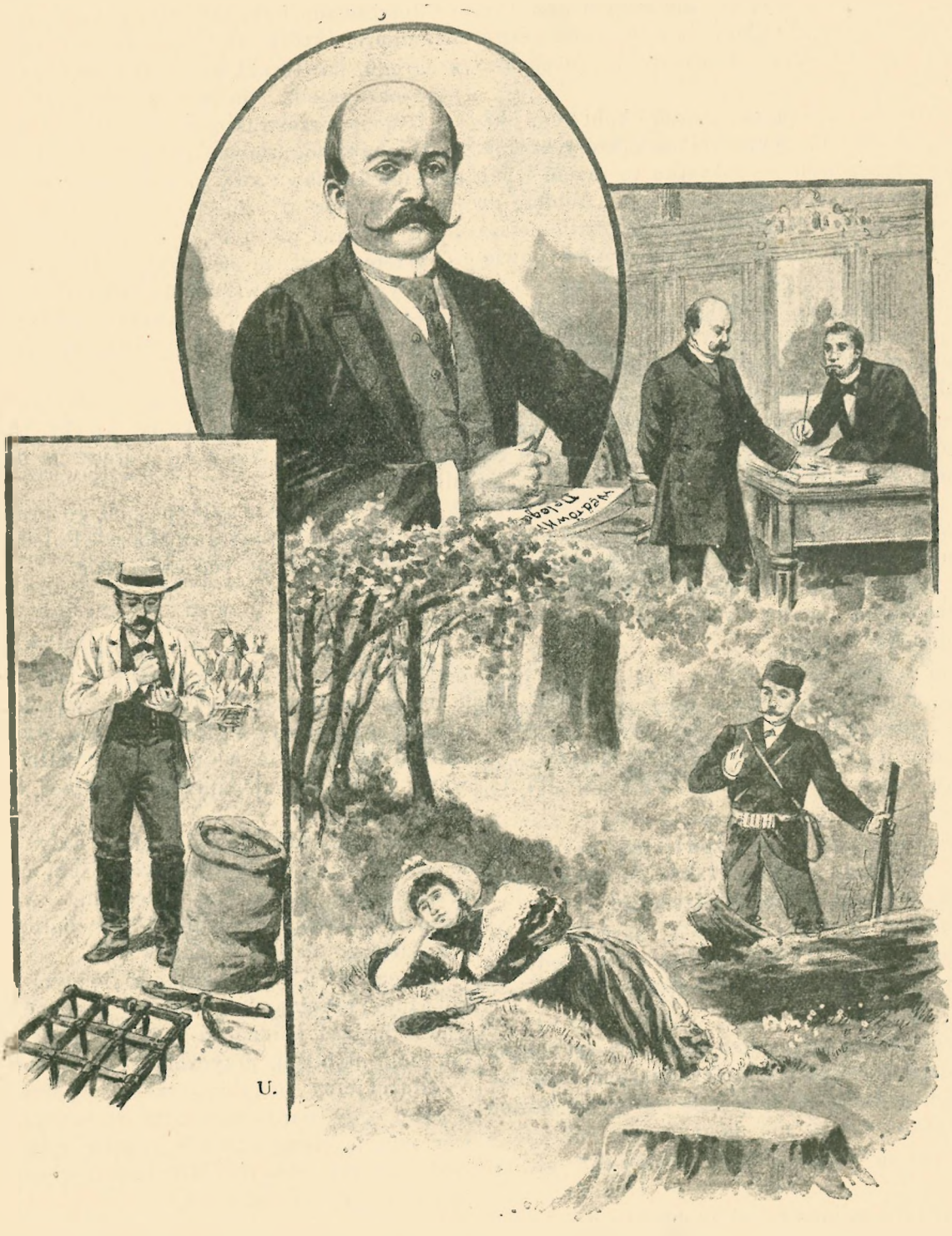

Jordan (Julian Wieniawski).

ne znowu porządkując obiema rączkami i zakładając je za uszka różowe.

Pan Bogusław chwilę stał zafrasowany i jakby bezsilny.

— Ja — rzekł cicho — nie umiem nawet ci nic wyperswadować, głupi jestem, niezręczny, ale znasz moje serce... Powiedz, czego chcesz? proszę, zrobię, co każesz.

Troskliwość, z jaką się krzątał około niej, okazane jej spółczucie, wyraz dobroci, który brzmiał w głosie poruszonym — wszystko to razem i ból, który ją przejmował, skłoniły biedną kobietę do okazania mężowi wdzięczności—a tej najmniejsza oznaka była dla niego szczęściem niewypowiedzianem.

Zwolna pochyliła zbolałą głowę i milcząca oparła ją na jego ramieniu.

Bogusław, pochwyciwszy jej rękę z zapałem, okrywał ją najgorętszemi pocałunkami.

Cisza nocy uroczysta, bo nawet słowik w bzach przerwał swoją cantilenę na chwilę — scenie tej życia domowego dodawała uroku.

Obraz był piękny.

Mała Klarcia, która, trzymając w ręku kołderkę, spojrzała na matkę i ojczyma, stanęła nieruchoma, niespokojnie, zazdrośnie przypatrując się tej parze ludzi, co się wydawali szczęśliwymi, jeżeli nimi nie byli...

Wtem milczenie to przerwał jakby jęk jakiś głuchy, stłumiony, który zdawał się wychodzić z głębin gąszczy ogrodu.

Kobieta drgnęła i krzyknęła przestraszona, Bogusław rzucił się z miejsca, na którem stał, ku oknu.

Śpiący u drzwi wyżeł, zbudzony, porwał się jednym skokiem, podbiegł także do okna, spiął się na nie—zaczął warczeć i szczekać.

Szerść się na nim najeżyła, nastawił uszy, nozdrzami wciągnął chciwie powietrze i gdy się zdawało, że miał się rzucić za okno, oniemiały zadrżał cały.

Dziwnego coś się z psem stało... trząsł się coraz bardziej i skomlał, napróżno staremi, bezsilnemi łapami usiłując wydobyć się na ogród. Stracił siły i wyskoczyć już nie mógł.

Pani domu, niespokojna, odwoływać go ku sobie zaczęła.

Zwrócił ku niej oczy, jakby błagające, i niemi wskazywał—za okno.

— Trzeba go wypuścić, ten pies coś czuje — odezwał się Bogusław.—Wezmę go z sobą, a wy tymczasem z Klarcią mówcie pacierze; powrócę wkrótce...

Świsnął na Tyrasa, który żwawszym niż zwykle krokiem wysunął się za gospodarzem.

Zapaliwszy naprędce cygaro u lampy, Bogusław wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

Matka wstała z krzesła, stanęła nad Klarcią i modlitwę z dziecięciem odmawiała cicho.

Jeszcze nie była skończoną, gdy ten sam jęk stłumiony, który się już raz był dał słyszeć z ogrodu, powtórzył się ze słabym i nagle urwanym okrzykiem. Gałęzie zaszeleściały.

Dziecię przestraszone rzuciło się w objęcia matki; pani Bogusławowa zbladła, nadstawiła ucha, ale słowik znowu swą piosnkę nucił w zaroślach, i nic już, oprócz szmeru kropli z liści spadających, słychać nie było.

Wtem drzwi się otworzyły i Bogusław z twarzą wypogodzoną wszedł do pokoju.

— No, spać! spać! — zawołał. — Klarcia dotąd nie w łóżku jeszcze?... Co to znaczy? Spać! wszak to już północ być musi.

— A gdzież Tyras? — zapytała pani domu, widząc, że stary pies, który zwykł był do sypialni powracać i kłaść się u drzwi na dywaniku, nie wrócił.

— A! Tyras! Nie było sposobu go przywołać— rzekł dosyć obojętnie gospodarz.—Poleciał gdzieś w krzaki, musiał poczuć zwierzynę.

* * *

Stary sługa, Jakób, zbliżając się z wielką oględnością ku dworowi, dostrzegł, nieco blaskiem z okien padającym oświetloną, wysoką postać mężczyzny, który, z głową naprzód wyciągniętą, zdawał się ciekawie we wnętrze sypialni wpatrywać... jakby chciał naprzód rozpatrzeć, co tam do ukradzenia było.

Włóczęga tak uparcie miał oczy wlepione w okna i tak zajęty był widokiem, jaki mu się tam przedstawiał, że na nic więcej nie zważał, nie słyszał. Jakób wyrozumiał, że bardzo łatwo przyjdzie go podejść i pochwycić.

Stanął więc, parobczakom idącym za sobą pokazując rękoma, jak mieli się ustawić, przysuwać i napaść znienacka. Sam także pocichu, jak mógł najbliżej, przyczołgał się do niego.

Nieznajomy ciągle jeszcze wpatrywał się w okno, gdy parobek bardzo zręcznie i szybko wór mu na głowę zarzucił, a gębę ręką mu ścisnął; poczem, obie ręce w tył wykręciwszy, skrępował je w mgnieniu oka.

Jakób, za piersi ująwszy go, jednem pchnięciem na ziemię obalił.

Złapany krzyknąć nawet nie miał czasu, na dany znak parobcy na ręce go wzięli i co prędzej ponieśli ku ogrodowej chacie.

Wszystko to dokonało się tak cicho, tak szybko, że Jakób mógł być pewnym, że we dworze nic nie słyszano, a Klarcia się nie przebudziła.

Pies tylko stary nadbiegł, warcząc i wąchając niespokojnie, i Jakób wstrzymać go nie mógł, a lękał się, ażeby ich nie zdradził szczekaniem. Lecz Tyras wspiął się na nogi nieznanemu włóczędze, począł wąchać, niecierpliwie rzucać się ku niemu i, zamiast ujadać, skomlił prawie wesoło...

Nie mogąc się psa tuż biegnącego pozbyć, wniesiono skrępowanego do izby, a że ręce i nogi miał związane, położyli go na ziemi, nie lękając się aby uszedł.

Jakób, widząc go tak nieruchomym, obawiał się już tylko, czy nie umarł uduszony. Pociemku więc zaraz worek mu kazał zerwać z głowy, a sam począł ogień niecić, aby lepiej się rozpatrzeć.

Parobcy stali nad związanym, śmiejąc się, szepcąc, radzi, że się im tak powiodło, czekając dalszych rozkazów.

Stare psisko położyło się tuż około głowy włóczęgi, wąchało mu ciągle twarz, i zdawało się, że ją lizało. Leżący na ziemi nie dawał znaku życia.

Dobra chwila upłynęła nim śpieszący się Jakób, który klął i nie mógł świeczki zapalić, nareszcie doszedł do tego, że płomyk błysnął...

† Ludwik Władysław Anczyc. Rok 1883.

Wziąwszy ją ostrożnie w palce, poszedł się przypatrywać leżącemu na ziemi. Parobcy też ponachylali się, aby nocnego zbója zobaczyć...

Wtem, gdy Jakób świecę przysunął do twarzy i popatrzał na nią — krzyk chrypliwy wyrwał mu się z piersi — świeca upadła i zgasła, a on sam, potknąwszy się czy zaplątawszy w sznury, na kolana przy leżącym się obalił.

Parobcy chcieli go podnieść a Iwanek macał, szukając świecy, i ofiarował się ją zapalić, gdy stary Jakób nagle porwał się z ziemi i z wielkim pośpiechem i niepokojem począł wołać do chłopców:

— Ruszajcie spać! ja was tu nie potrzebuję... Spać! Ja sobie sam z nim radę dam... A, patrzajcie — żebyście mi o tem słowa nie pisnęli nikomu, bo wygrzmocę.

Stary sługa poznał w nieznajomym włóczędze dawnego swego pana, Karola. Ten, gdy odzyskał przytomność, jął rozpytywać starego sługę o żonę, o córeczkę. Usłyszawszy, że żona wyszła za mąż, za Bogusława, postanowił, dla dobra dziecka, usunąć się i zniknąć ze świata... Czas w drogę.

Deszcz pruszył jeszcze i słowiki śpiewały, ale nie było już tak ciemno. Na wschodniej stronie nieba, blade brzaski dnia nadchodzącego widać było. Na ich tle czarno, smutnie, jak katafalk, stał dwór uśpiony...

Woń bzów rozkwitłych, czeremchy i jaśminów rozchodził się w powietrzu.

Karolowi noc ta wiosenna ileż innych, podobnych, przeżytych tu przypominała! Stanął, oglądając się, bo mu od miejsc tych oderwać się było trudno — lecz, męską siłą—natychmiast chwilową słabość zwyciężył.

Nie zwróciwszy już głowy, ze spuszczonemi oczyma począł znajomą ścieżyną iść ku furcie

ogrodowej—i wkrótce obaj z Jakóbem znikli wśród pni drzew starych i rozkwitłych krzewów.

Nazajutrz po tej nocy we dworze głowy sobie łamano, co się mogło stać z Jakóbem i złodziejem.

W tem wszystkiem było coś tak niezrozumiałego, zagadkowego, że, nie mogąc się powrotu Jakóba doczekać, Bogusław formalną pogoń za nim wyprawił, pieszą i konną.

Rozumie się, że na noc następną przedsięwzięte zostały nadzwyczajne środki ostrożności.

Zmierzchało się i słowik rozpoczynał preludium do wielkiego swojego koncertu nocnego, gdy parobek do siedzącego w ganku pana nadbiegł zdyszany, oznajmiając mu, że pan Jakób tylko co powrócili, ale się położyli chorzy w swojej chacie.

Bogusław wybiegł do ogrodu, otworzył drzwi, i w mroku ujrzał starego sługę na wznak leżącego na swem łóżku, z rękoma pod głową.

— Wytłumaczcież wy mi — zawołał, obcesowo przystępując do chorego—kto tu z nas pan—wy, czy ja? co wy tu sobie tak samowolnie gospodarujecie? Co to się tu stało? gdzieście się podziewali? gdzie ten człowiek?

— A! to jaśnie pan już wie? — odparł Jakób obojętnie.

— A wiem, żeście jakiegoś złodzieja złapali! — krzyczał, unosząc się pan Bogusław. — Jakżeście się mogli bez mojej wiedzy rozporządzać? gdzie on jest?

Jakób, z głową na piersi spuszczoną, bynajmniej nie poruszony, milczał bardzo długo.

— Raczcież mi choć odpowiedzieć! — wołał pan coraz gniewniej.

— Złodziej? uciekł — odparł krótko i chłodno Jakób, ruszając ramionami.

Bogusław aż podskoczył.

— Jakto? daliście mu ujść? — wołał — przecież związany był? Jakim sposobem! Przekupił was chyba...

Nieostrożne to słowo wyrwało się mimowoli Bogusławowi i jak kamień padło na głowę starca, który drgnął, porwał się nagle, stanął na nogi tak groźny, tak straszny, że pan na krok się cofnął.

Jakób, rozmyśliwszy się, po chwili mruczeć począł, nie podnosząc oczów.

— Uciekł. Winienem! Róbcie ze mną, co chcecie. Oddajcie do sądu. Karzcie, jak się wam podoba. Winienem. Zaspałem, rozplątał sznury i wyszedł pocichu... Poszedłem gonić za nim... — nie dopędziłem go, przepadł. Róbcie ze mną, co chcecie... Raz jeszcze powtórzył: — róbcie co chcecie — i padł na łóżko.

Gniewny pan wyszedł, drzwiami stukając.

Pani domu starego sługi żal się zrobiło; nazajutrz rano sama się wybrała do niego rozmówić się, rozpytać, pocieszyć. Z poczciwą tą myślą, nie czekając śniadania, pośpieszyła do chaty ogrodowej.

Na progu, odziany lichą sukmaną, z kijem w ręku, torbą przez plecy, w ubiorze, przypominającym żebraka, stary Jakób właśnie stał, zabierając się do wyjścia.

Zobaczywszy panią, zdjął czapkę z głowy i odsłonił twarz nagle pożółkłą, zwiędłą, pomarszczoną, na której straszna boleść się malowała.

— Mój Jakóbie — przemówiła, zbliżając się do niego, pani Bogusławowa. — Cóż to jest? wybieracie się? dokąd?

Stary potwierdził to skinieniem głowy.

— A cóż? — rzekł — czas pod kościół! za grzechy pokutować, Pana Boga chwalić, za dusze zmarłe się modlić! Za dusze zmarłe! — jęknął, zanosząc się od tłumionego płaczu.

I przystąpił pokornie do swej pani, w rękę ją pocałował, przeżegnał się, a gdy wzruszona kobieta chciała go wstrzymać — ruszył przyśpieszonym krokiem, jakby uciekał, w głąb ogrodu.

Na ścieżynie zabiegła mu drogę Klarcia...

Nie mógł uniknąć z nią spotkania, przykląkł przed wesołem dzieckiem, płacząc począł nóżęta jej całować — porwał się i zniknął.

Razem z Jakóbem przepadł gdzieś stary wyżeł Tyras, którego posądzono o wściekliznę, bo wiadomo, że psy dotknięte tą chorobą z miejsc, w których żyły, uciekać zwykły.

Tyrasa nikt już nie widział więcej, ale Jakóba spotykano potem długo jeszcze siedzącego pod kościołem, z różańcem w ręku i z oczyma spuszczonemi, odmawiającego modlitwy. Tylko ani Bogusławowej, ani Klarci nawet nie poznawał i gdy mu jałmużnę rzucały, oczu nie podnosił.

O Juliuszu Słowackim.

Fragment z pamiętnika

Aleksandra Półkozica.

...W tej chwili odebrałem z Paryża list od Cypryana Norwida, w którym donosi mi o śmierci Juliusza Słowackiego.

Cypryan, który dopiero w ostatnim roku życia autora „Lilli Wenedy" poznał go osobiście, olśniony był wielkością geniuszu poety i wciągnięty w regiony ducha jego, tak samo jak każdy, który się doń zbliżył.

Więc w swoim liście, stylem jak zwykle mistycznym i uroczystym, między innemi, pisał:

„I *odszedł* już od nas ten arcymistrz słowa, ten najpotężniejszy rzeźbiarz posągów ducha, który z wieścią straszną choć spodziewaną zresztą, drżałem na całem ciele przejęty jakąś duchową zgrozą, jakimś żalem bezbrzeżnym. Snadź geniusze ziemi, jak ciała niebieskie, posiadają siłę atrakcyi, przy-

Helena Modrzejewska.

czterdzieści poematów, jak czterdzieści piramid, na pustyni świata po sobie zostawił.“

Nie dziwiłem się tym wyrazom czci i uwielbienia. Sam także, trzymając w ręku ów list, ciągają ku sobie promieniami duchy, które tak samo, jak promienie słońca, nietylko oświecają i grzeją, lecz do twórczego rozrostu pobudzają wszystko, na co padnie ich blask dobroczynny...

Prawda, że niekiedy te duchy słoneczne zamieniają się w wulkany ogniem zniszczenia ziejące lub ukrytą w swej głębi siłą wstrząsają ziemi skorupą — lecz i wtedy nawet jeszcze nęcą ku sobie—majestatem grozy.

Słowacki posiadał taką siłę atrakcyjną dla każdego, komu się zbliżyć do siebie pozwolił.

Prawda, że umysł jego, przebywający zawsze w wysokich sferach ducha, nużył, z początku zwłaszcza tych, którzy nieoderwani, tak jak on, od ziemi, powiązani jeszcze nitkami uczuć lub włóknami namiętności ze zmysłowym światem, niezawsze utrzymać się mogli w czystym i pełnym spokoju *tonie*, w którym cała istność wielkiego poety płynęła już ciągle, jak jego pieśń potężna—w ostatnich latach życia.

Bywały jednak chwile, w których ten monarcha poezyi, arcymistrz słowa, zrzucał z siebie purpurę i składał insygnia królewskiego ducha. A czynił takie ustępstwo dobrowolnie i chętnie wtedy tylko, gdy przed nim stawał jeden z tych prostaczków cichych, którzy pracą i poświęceniem służyli idei zacnej, przez ślepą miłość dla niej, nie rozumiejąc jej wcale.

Do małej liczby takich należał pewien dawny żołnierz, szeregowiec prosty, oderwany od pługa, który zaniesiony wichrem wypadków aż nad Sekwanę, osiadł w Paryżu i żył tam oddawna samotnie, z pracy rąk swoich, krzepkich jeszcze i zawsze czystych...

Ilekroć ten prosty człowiek przybył do Słowackiego w odwiedziny, a bywało to przy niedzieli zwykle, poeta przyjmował go najserdeczniej, sadzał wygodnie przed swoim zawsze płonącym kominkiem, częstował koniakiem, przekąską, fajeczką nawet i słuchał jego prostych opowiadań lub zwierzeń z trosk powszednich, z doli i z niedoli — ze spółczuciem szczerem.

Gdym raz spotkał tego żołnierza, dziś robotnika w bluzie, wychodzącego już z mieszkania poety, i zapytałem, kto to był taki, Słowacki rzekł:

— Jest to człowiek, od którego zawsze uczę się czegoś i ciepło z jego serca biorę.

Siedząc tak i rozmyślając smutnie pod wpływem strasznej dla mnie wieści o zgonie Słowackiego, przypomniałem sobie jego pełną żalu skargę na ziemię rodzinną, ukochaną, która kochać go jednak także by powinna.

Skarga ta geniuszu, nieznanego prawie od ogółu współziomków, nieuznanego według zasługi, nawet od tych współtowarzyszów pielgrzymki, których „stopy grzęzły co chwila w glinie francuzkich cmentarzy,“ zbudziła we mnie przekonanie, że teraz dopiero, gdy już cielesna postać twórcy tylu dzieł wielkich znikła ze świata, rozpocznie się działalność i sława jego ducha na ziemi.

Zajmować się nim będą i wskrzeszać jego utwory wszyscy... Bo z dziełami wszelkich poetów zaraz po cielesnej ich śmierci odbywa się zwykle proces moralny, podobny w części do fizycznego nad zwłokami wszelkich istot organicznych.

. . . . . .

Od chwili przybycia do Paryża aż do pierwszego stamtąd wyjazdu, czyli raczej do pierwszej stamtąd wyprawy, która nastąpiła w dniu 9 maja 1848 r., bywałem codziennie prawie przez kilka miesięcy na ulicy Ponthieu pod № 30.

Słowacki bardzo rzadko wychodził z domu i to rankami jedynie; wieczory zaś wszystkie prawie przepędzał w swoim saloniku, w którym nieustanny ogień na kominku płonął.

Pomnę go — jak dziś — stojącego przed tym kominkiem, z twarzą zwróconą do gości siedzących w półkole.

Krucze włosy poety, jego oczy wielkie i czarne, z których niekiedy tylko strzelały ostre i ogniste promienie, rzucały jakby cień żałobny na oblicze blade i przezroczyste, jak oblicze owego „Króla Ducha“, który mocując się spojrzeniem z tajemniczem okiem komety na niebie, padł wreszcie od jej płomienia, „jak rycerz włócznią w serce przebity“.

Czarne, aksamitne palto, w którem Słowacki zwykł był jesienią i zimą chadzać po domu, dodawało jeszcze więcej żałoby jego postaci całej.

Najczęściej, rozmawiając, poeta palił fajkę, utwierdzoną na długim z wiszni tureckiej cybuchu, zakończonym bursztynem wielkim.

Przywyknienia tego zaniechać nie chciał, pomimo ostrych napomnień doktora przyjaciela, który musiał używać wielu fortelów, ażeby zmusić tę niepodległą nawskroś naturę do poddania się medykamentom aptecznym.

Przy domowem ognisku Słowackiego, oprócz kilku rodaków, zasiadali niekiedy i Francuzi nazwisk znanych. Widywałem tam malarza Delaroche a raz nawet sam Michelet, naówczas jeszcze czynny profesor w College de France, przepędził tam wieczór cały, słuchając pilnie opowiadań Juliusza o pieśniach ludu naszego i o przeważającym w nich elemencie religijnym lub fantastycznym.

Dawniej przychodził także do Słowackiego Fryderyk Chopin, lecz wówczas już choroba nieuleczalna nie pozwalała najwznioślejszemu poecie muzyki odwiedzać mieszkającego na piątem piętrze największego muzyka poezyi... i podczas

mojej ówczesnej bytności w Paryżu, Słowacki sam już tylko odwiedzał Chopina.

Gdym prosił pewnego razu, aby mnie zabrał z sobą i przedstawił monarsze kompozytorów polskich, Słowacki wprost odmówił, dając za przyczynę, że Chopinowi, w jego ówczesnem usposobieniu, byłaby może uciążliwą obecność nieznajomego, chociażby i ziomka nawet.

Zalecał mi natomiast złożyć hołd Mickiewiczowi, którego przy tej sposobności nazwał „Kapłanem naszego narodu.“

O własnych utworach Słowacki rozmawiał rzadko, chociaż okrzyk szczerego uwielbienia rozgrzewał go i wzruszał. Raz, gdym przybył do niego, nazajutrz po przeczytaniu „Króla Ducha“ i z entuzyazmem młodzieńczym zacząłem powtarzać z pa-

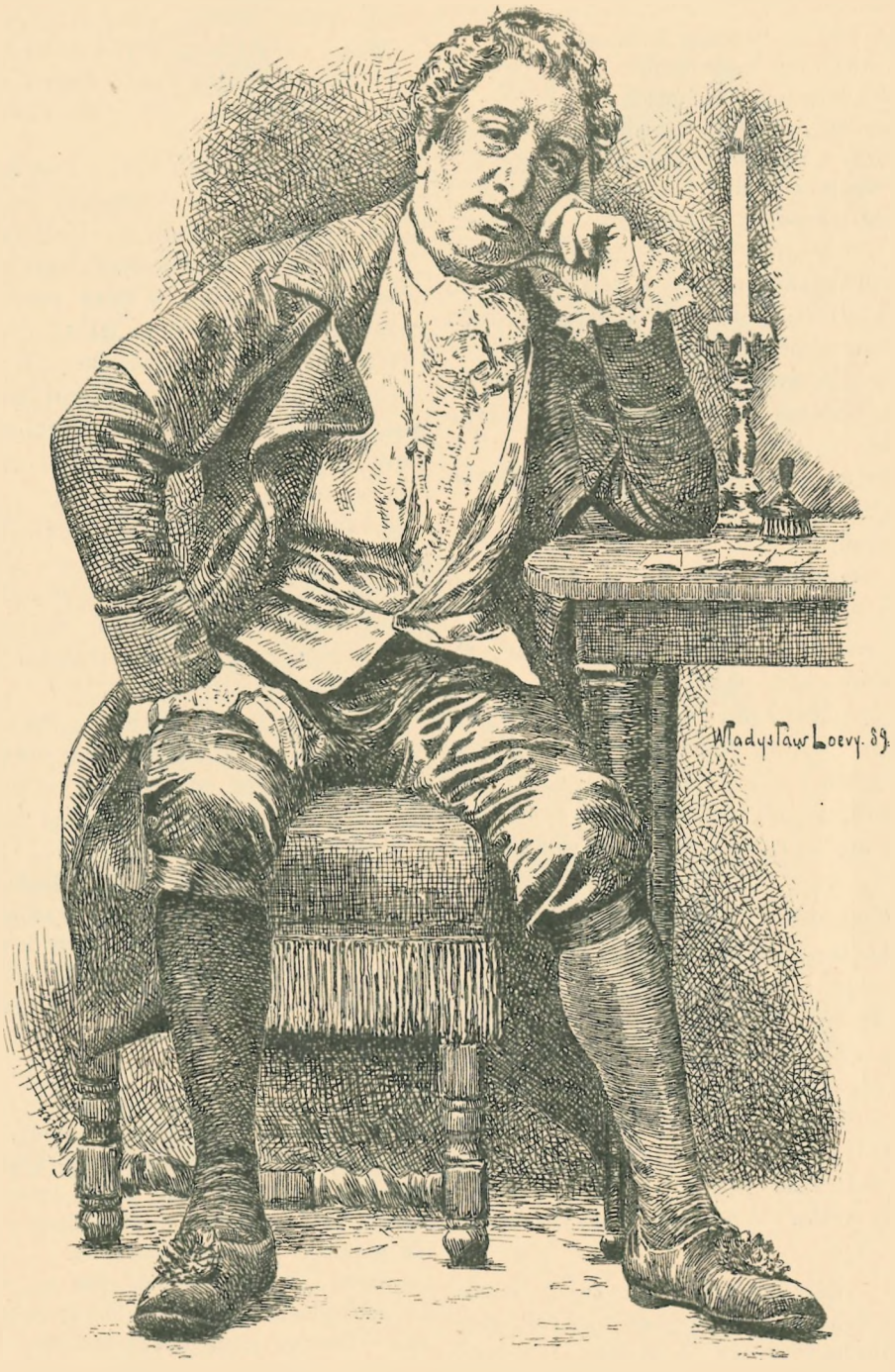

† Aloizy Żółkowski.

mięci scenę, w której palony żywcem bard Zoryan, przemawia śród płomieni do lirenki swojej, którą był „głaskał, wyjaśniwszy lice, niby strwożoną białą gołębicę“, Słowacki przerwał i głosem bardziej niż zwykle podniesionym deklamował całą następującą „oktawkę“, zakończającą ów wspaniały fragment o lirze:

Przyjmowano cię po dworach i chatach,
Pókiś ty ze mną była wędrownicą;
Bądź że dziś wdzięczną i nie płacz...
Czekaj, wstaniemy oboje po latach,
Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą...
Wstaniemy razem z wielką jakąś zgrają
Arfiarzy — co jak anioły śpiewają...

W tem miejscu kaszel suchy i ostry, którym już wówczas śmiertelna choroba szarpała płuca poety, przerwał mu mowę.

Zamilkł i wielkie swe oczy, zamglone jakby łzami, zwrócił na drzewa „Pól Elizejskich“, widne z jego mieszkania.

Po chwili dopiero, cichym już głosem zapytał:

— Czyś przeczytał całego „Króla Ducha“?

— Przeczytałem.

— A jak go zrozumiałeś? — dodał, topiąc we mnie przenikliwe spojrzenie.

Zmieszany nieco — gdyż wyznaję szczerze, iż, pomimo uwielbienia dla pojedyńczych fragmentów tego wielkiego „Rapsodu Ducha“, nie ogarnąłem wtedy jeszcze całości jego, zacząłem wypowiadać moje pojęcia. Wreszcie przyznałem się, że z ogólnej myśli, z idei tego poematu nie mogę sobie zdać dokładnej sprawy, że jej nie rozumiem zgoła.

Poeta spojrzał na mnie z dobrocią i rzekł:

— Źle czytałeś ten utwór — bo, czytając, szukałeś tam koniecznie rzeczy zagadkowych — szukałeś tajemnic ducha, które nie odsłaniają się nigdy — bo stoją zawsze odkryte dla tych, co je widzą; dla innych będą niewidzialnemi zawsze. Otóż proszę cię — dodał — przeczytaj tę książkę raz jeszcze ale czytaj ją tak, jak *prostą powiastkę*.

— Kiedyś, jeżeli Bóg pozwoli, złoży się cały szereg takich rapsodów — a ostatni wytłumaczy wam pierwszy.

Teraz dopiero — po śmierci Juliusza — zrozumiałem i znaczenie owych słów jego, i myśl przewodnią „Króla Ducha“, która jednakże, jak żyła czystego złota na słońcu — świeci jasno w wierszach, zakończających poemat, gdy bohater tytułowy, już jako duch wyzwolony, mówi do swego trupa:

Śpijże, mój *pierwszy* kształcie z ducha zdjęty,
W koszuli z drutów i czapce z ołowiu,
Samotny . . . . . .
Jak bazaltowe kolumny w pustkowiu
Z pierwszej natury ducha malowane.
W ciemność i w chmury i w piorun ubrane.
Lecz ja *na tobie nogę postawiłem*
I szedłem dalej — a już byłem Boży...
Morza się cofną, góry pójdą pyłem!
I świat się komet deszczami zatrwoży...
Gdy spełnię duchem, co ciałem spełniłem,
Duch — utworzony w pierwszej świata zorzy,
Któremu Pan Bóg zasłon swych uchyla,
A lat tysiące są — jak jedna chwila.

Małecki, Chmielowski i Bełcikowski, zarzucając Słowackiemu brak harmonii pomiędzy utworami jego — twierdzą jednak: Małecki, że Mickiewicz „wyższy jest od Słowackiego niższością ducha“; drugi zaś, mówiąc o tym poecie w gruntownej swej pracy „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego“, powiada: „Stwarzał on cudne obrazy, zachwycał pysznemi barwami, a zdumiewał językiem, co lśni jak mozajka, śpiewa jak słowik; językiem, któremu równego niema w literaturze naszej“.

Szanując zdania wszystkich, którzy o Słowackim z miłością i czcią należną geniuszowi mówią, trwam przy swojem przekonaniu, że wielki nasz poeta nietylko Szekspira, Bajrona i innych, lecz nawet Salomona chciał i zdołał uwięzić w swojej formie wszechstronnej.

Bo czyliż temu, kto zna „Pieśń nad pieśniami“ judejskiego króla poety, nie przypomni jej żywo piosenka, którą „Krystyna“ w pośmiertnym rękopisie Słowackiego Bolesławowi Śmiałemu:

O przyjdź — śpiewała — bo gołębi stadem,
Wysyłam na wsze wiatry ognie moje.
O przyjdź — z kwiatami czekam, z winogradem:
Na łonie białem złożę i upoję!
O przyjdź! — miesiąca i złodzieja śladem,
A otwórz cicho — jak anioł — podwoje.
. . . . . .
Gwiazdy zliczyłam idące na niebie
A ciebie niema, mój piękny i młody...
O przyjdź! W płomieniach cała czekam ciebie!...
Jestem pierzchliwa, jako młodę źrebię;
Jestem, jak jagnię najsmaczniejsze z trzody;
Jak gołębica jestem nieobronna,
A jestem, jak kwiat rajski, cała wonna...
Nie znajdziesz, czegom nie obiecywała!
Lecz obiecuję, czego dusza pragnie.
Przyjdź! A lichtarze złociste zapalę,
Zakadzę drogim, wonnym cynamonem,
A jeszcze jaśniej przez mych ust korale
I jeszcze śnieżniej zabłysnę ci łonem....
Cicho, jak ogień, szeptaj — bo mię strzegą.“

† Jan Królikowski.

Dwie wiosny.

W starej arkadzie, pod zczerniałą bramą,
Lekko draśnięte skośnym błyskiem słońca
Głębokie cienie nagle się rzucały,
Jak noc, zraniona końcem złotej strzały.
Na tem flamandzkiem tle, objęta ramą
Grubych występów muru i akantów,
Jakby obrazek godny dyletantów,
Stała dzieweczka drobna, złotowłosa,
Kształtów znikomych, wybladła i drżąca,
Nędznym łachmanem odziana—i bosa.

Dziecko to jeszcze było wiekiem; przecie,
W jej zadumanej, zagasłej źrenicy,
W ustach jej bladych, które bez uśmiechu

Lekko otwarte drgały, w osłupieniu,
Z jakiem się naprzód pochyliła cała,
Znać było — że już niema na tym świecie,
Dla dziecka tego. żadnej tajemnicy...
Że zna pokusy i nędzy i grzechu
I odrętwienie ciemnoty i winy,
Głodu, i chłodu posępne godziny
I łzy i krzywdy i płomień ponury.
Co plami czoła i przegryza ciała
I czarne piętna wypala w sumieniu...
I bryzgi błota, w którem dusza biała,
Nie mogąc skrzydeł rozwinąć do góry,
Zdawna już szaty swoje pokalała...
I nie dziewiczą jest ani dziecinną,
Ale zabitą — zdeptaną — i winną!

A przed nią w wielkim koszu, wśród zieleni,
Wiosenny towar pełen barw i rosy:
Blade narcyzy, stokrocie puszyste,
Ogromne bratki w fioletach całe,
Dzwoneczki modre, jak gdyby niebiosy,
Róże młodzieńcze szkarłatne i białe,
Konwalie smukłe, wonne i śnieżyste —
I tulipanów kielichy z płomieni.

Kwiaty te, ledwo wyniknęły z ziemi,
Znalazły światła i ciepła dostatek,
I napój rosy ożywczej, perłowy, —
I w błękit jasne podnosiły głowy,
Wśród blasków słońca wschodzących nad niemi...
A tak ich strzegły ogrody i lasy,
Że pory swojej i woni i krasy,
Zwinięty w pączku doszedł każdy kwiatek.

Ale dzieweczkę tę, co stoi biała,
Nędza zrodziła i nędza chowała...
Ulica jej była szorstką mistrzynią.
Życie bezwstydnem jest wobec nędzarzy...
Bez łun rumieńca, bez osłon na twarzy,
W swem obnażeniu i w ranach swych stoi
U pierwszych wrażeń, stalowych podwoi,
Tak bezpośrednio, jaskrawie i blizko,
Że dziecko, co się rozstało z kołyską,
Wie już, co starcy znieprawieni czynią —
I po imieniu zwać złe się nie boi —
I świat dla niego nie jest już świątynią
Ni serce ludzkie najczystszym z ołtarzy!

Myślicielowi, co w ranek majowy
Szedł tam, milczący, samotny, surowy,
Licząc łez wagę, co ziemię przyciska,
Te dwa zbliżone a różne zjawiska,
Te dwa odrębne, a pokrewne światy:
Dziecko to zwiędłe i te świeże kwiaty —
Dawały widok smętny — żałosny,
Pojąc mu duszę niezmierną goryczą...
Stanął — i patrzał, jak ci, którzy liczą
Pączki stoczone i w pyle zdeptane...
A potem schylił czoło zadumane,
I odszedł — szepcząc z boleścią: „dwie wiosny!"

Marya Konopnicka.

ICH BÓG.

Miasteczko już spało, w oknach było ciemno, jak na niebie, które od miesiąca nie dało ziemi kropli deszczu. Upał, trwający przez całe lato, wysuszył rolę a budynki drewniane i ich dachy gontowe zamienił w drzazgi, które płoną od lada iskry.

Nagle zabłysło światełko na końcu bocznej uliczki; zabłysło nie w oknie, tylko na poddaszu. Ze światełka buchnął w oka mgnieniu płomień, a po kilku minutach, przy pomocy wiatru, który zjawił się, jakby na wezwanie podpalacza— wylała się łuna na cały rynek, otoczony domkami, przytulonemi do siebie.

Nastał sądny dzień—wszyscy zerwali się z posłania i wylegli na ulice, aby patrzeć, jak ogień rozszalały zamienia w popiół ich biedny dobytek.

Dzwony kościelne biły na gwałt, wzywały pomocy, ale ludzie bezsilni, na duchu zabici, wyczekiwali ratunku—od cudu.

— Podpalacz! podpalacz! — zahuczała w powietrzu groźba z tysiąca piersi, a tłum to rozstępował się, to skupiał, aby przepuścić i przyjrzeć się zblizka zbrodniarzowi.

Pochwycili go na gorącym uczynku dwaj włościanie, którzy w chwili, kiedy ogień wybuchnął, powracali do swej wioski, sąsiadującej z miasteczkiem.

Podpalaczem był żyd, już kilka razy karany. Zły duch w nim mieszkał, bo żyd szkodził ludziom nie zawsze dla osobistej korzyści, lecz aby tylko dokuczyć, mścić się i patrzeć jak płaczą chrześcijanie. Był fanatykiem religijnym.

Zły duch znowu podmówił go do podpalenia dzielnicy, oddzielonej od żydowskiej szerokim odłogiem piaszczystym i rzeczką, zarosłą sitowiem.

Włościanie, spostrzegłszy uciekającego, puścili się za nim i nareszcie przytrzymali ukrytego w kępie nadrzecznej.

Żyd, w sukniach obszarpanych, z których ociekała woda, drżący, z oczami błędnemi; żyd stary, siwy, zgarbiony stanął przed rozjuszonym tłumem, który ryczał: Ukamienować zbrodniarza!

I na głowę starca padły ciężkie razy; łachmany z pleców mu zerwano, a gdy szarpany ze

ICH BÓG.

Rysunek Tadeusza Popiela.

wszystkich stron, wypuścił z zaciśniętych dotychczas dłoni garść pakuł — Śmierć żydom! — wrzasnęła gromada i pochwycono głownie gorejące, aby zbrodniarza żywcem spalić i całą dzielnicę jego spółwyznawców puścić z dymem.

Podpalacz upadł na ziemię bez tchu, jedni zaczęli go kopać, inni z pochodniami rozdmuchiwanemi wiatrem biegli ku rzeczce, aby po moście żerdziowym wtargnąć do dzielnicy żydowskiej i z czterech rogów ogień podłożyć.

Wówczas na drodze, wiodącej z rynku do kościoła, ukazała się postać księdza. Szedł on przyspieszonym krokiem, trzymając ręce wzniesione w górę, jak gdyby ludziom groził i zarazem wzywał pomocy Nieba. W milczeniu, przedzierał się przez tłum, pastwiący się nad powalonym żydem, a stanąwszy nad nim, zwrócił się do napastników ze słowami:

— Przestańcie! Bóg wam to nakazuje, przez niegodne usta moje!

— To zbrodniarz! to podpalacz! to żyd! — zabrzmiała ze wszystkich stron odpowiedź groźna.

— Więc chcecie go zabić?

— Zabić bestyę! podpalacza! — przywtórzono.

— Zabijecie go ale razem z waszym kapłanem, bo ja go nie odstąpię. Tak mi nakazuje prawo Boskie o miłości bliźniego.

— Niech dobrodziej nam nie przeszkadza! — odezwał się ktoś z gromady.

— Zabijecie a krew jego padnie na was, na dzieci i wnuki wasze i wlec się będzie za wami przekleństwo i sumienie wasze gryźć będzie robak nienasycony — a spowiednik nie da wam rozgrzeszenia w godzinę śmierci!

Kapłan zwrócił się ku kościołowi i wyciągając ku niemu ręce, mówił pochyliwszy głowę:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — mówicie codziennie, przechodząc koło wizerunku Ukrzyżowanego—ale mówicie obłudnie, kłamiecie! Chrystus umarł za odkupienie całego świata, nietylko za was, ale i za pogan, i za żydów, Bóg nasz odkupi ich swoją Krwią Najświętszą. Potomkowie tego człowieka, który wam wielką krzywdę wyrządził, gdy się ku Chrystusowej prawdzie nawrócą, krzywdę wynagrodzą dzieciom waszym i wnukom. Módlmy się na tych zgliszczach, aby Bóg nad nimi zmiłować się raczył.

Kapłan padł na kolana a za jego przykładem wszyscy parafianie. Zaintonował „Święty Boże! Święty mocny!" — i po zgliszczach, tryskających płomieniem, strzelających iskrami, płynął hymn święty i przedarł się do mieszczan, którzy z głowniami zatrzymali się nad brzegiem rzeczki, szukając przejścia w bród. Most żerdziowy, pod naporem pierwszego szeregu, zatrzeszczał i zachwiał się, a przez to rzucając popłoch w gromadę, pohamował jej zemstę.

Gdy hymn święty dobiegł nad rzekę, mścicieli ogarnęła trwoga; mimowiednie przyklękli i o ziemię oparli głownie, z których wiele pogasło i tylko dymem przypominały zniszczenie.

Bóg zdziałał cud, przez sługę swego — dzielnica żydowska ocalała. Żyd podpalacz, czując się wolnym, wypełzał na pole pozamiejskie, ukrył się w gliniankach i objąwszy rękami głowę, rzucał nią we wszystkie strony i jęczał — z radości, że ocalał, i z żalu, że goimy nie spełnili zbrodni.

Nad świtem wrócił do domu i opowiedział swoim, co mu groziło, kto go ocalił. Zgrzytał zębami, targał brodę, wyrywał pejsy, oczy w słup mu stanęły a z gardła wydobywały się krzyki straszne, dzikie, jak krzyki nienawiści, wzywającej do spełnienia przykazania: ząb za ząb, oko za oko!

Słyszał to wszystko wnuk jego, w którym cała rodzina widział przyszłego cudotwórcę-rabina. Zatopiony był on w talmudzie, badał kabalistyczne znaki, wierzył, że mozaizm zmiecie z powierzchni ziemi chrześcijan, wytępi ogniem i mieczem, że nie pozostanie po nich ziarnka nasienia. Wsłuchując się w narzekania i złorzeczenia dziadka, zapragnął nagle spojrzeć w oczy temu Bogu, który ocalił wroga chrześcijan — Bogu, który przebacza.

W tym celu wyszedł rankiem z dzielnicy żydowskiej, przedarł się przez sitowia i stanął przed Ukrzyżowanym.

Pierwszy raz w życiu spojrzał na Najświętszego Męczennika; dotychczas ile razy był zmuszony przechodzić koło krzyża, odwracał się, kroku przyspieszał i wymawiał złorzeczenie.

Spojrzał i zdziwił się, że Ten, który cuda czyni jest taki zbiedzony, nędzny cieleśnie, z żebrami połamanemi, z nogami przygwożdżonemi, z bokiem krwią ociekłym. Wiedział, że to żydzi Go ukrzyżowali, znał słodycz nienawiści, ale pojąć nie mógł, że Chrystus, zamiast mścić się za swoją koronę cierniową—przebacza.

— To ich Bóg? to ich Bóg? — pytał się siebie i czuł, że go coś przykuwa do miejsca. Ocknął się dopiero i spłoszył na odgłos nadchodzących ludzi.

Umknął niby złoczyńca, biegł przez pole, zdyszany wpadł w krzaki, ale ciągle mu się zdawało, że Chrystus za nim postępuje, ten Sam, w którego się twarz zbiedzoną wpatrywał.

Wybladły, drżący, chwiejący się na nogach, wszedł do izby swego dziadka, wciąż jeszcze jęczącego na łóżku; przypadł do niego i z przerażeniem spozierając ku drzwiom, zasłaniając ręką twarz, przymróżając oczy, szeptał urywanym głosem:

— On szedł za mną! On jest tu!

— Sędzia śledczy?...—zapytał przerażony podpalacz, prostując swe stare, nadwerężone kości.

— Ich Bóg! Ich Bóg! — powtarzał wnuk i zaczął bić głową o ścianę izby, jak jego pradziadowie bili o mury zburzonej Jerozolimy.

Wlad. Maleszewski.

Karol Estreicher.

Pierwszy List z Zakątka

J. I. Kraszewskiego.

Ani wy się dziwić, ani drezdeńczycy gniewać nie powinni, że stolicę saską nazwaliśmy zakątkiem,—stała się ona nim od roku 1866 i codzień cichsza, codzień puściejsza, smutniejsza co chwila, choć do imienia stołecznego miasta ma prawo, na prowincyonalny przeistacza się gródek. A że korespondent wasz, w tym zakącie nawet, zamieszkuje oddalone schronienie pod lasem, tytuł więc jego listów jest najzupełniej usprawiedliwiony. Cisza dokoła i ptaszki tylko świergocą, niedawno w odwiedziny przybiegła wewiórka z sosnowego boru, który też stoi na górze – nie jestże to zakątek? Pod bokiem płynie rzeczułka, która niegdyś pewnie się zwała Brzeznicą, od mnogich brzóz dokoła—Niemcy ją na Priessnitz przerobili.

Ślady dawnych Wendów w Drażanach, przed laty dwudziestu jeszcze widoczne, zacierają się

z dniem każdym. Wszakże w kościele katolickim, na pamiątkę, że ich tu niegdyś było dosyć, czasem się prawią po wendyjsku kazania, a w pewne dni od Budziszyna przybywają parobcy i dziewczęta i stają, służby szukając, na placu. Z dawnych też czasów stosunków Saksonii z Rzecząpospolitą—mało już pozostało pamiątek... poznoszono je w ostatnich czasach, zrzekając się przeszłości. Na Augustowym moście długo świeciły herby stare, kazano je nowemi zastąpić. Za karę zniszczenia tych wspomnień jakiś zapamiętały prusofil, z nad królewskiej tarczy nowej, koronę nocą zbił i wrzucił do rzeki. Najwięcej śladów dawnych Drezna z Polską stosunków pozostało jeszcze na katolickim cmentarzu. Dlaczegóżbyśmy nie mieli rozpocząć tych pogadanek pobożną pielgrzymką na tę odległą i osamotnioną „rolę Bożą"? Kawał drogi, który na Frydrychstadt prowadzi, w przeciągu lat kilkunastu przebywaliśmy wiele razy za żałobnemi wozy... odprowadzającemi ziomków naszych na miejsce wiecznego spoczynku.

Szeroka, pusta, cicha ulica prowadzi ku niemu. Dzieci się na niej bezpiecznie bawić mogą i gołębie przechadzać, bo rzadko powóz się tu ukaże, a i pieszych gości bardzo mało. Dzielnica to uboga, zapomniana, nie mogąca dorobić się życia. Ogromny, wspaniały niegdyś pałac Marcolinich, w którym mieszkał Napoleon czasu pobytu ostatniego w Dreźnie — dziś jest szpitalem. Cmentarz, szpital ten, szkoła, którą utrzymują masoni, oto główne budowy tej części miasta, zamieszkałej przez ludność ubogą, szukającą taniego schronienia. Niepoczesny kawał muru z szeroką bramą, która się tylko dla umarłych otwiera—zaledwie się dozwala domyślać cmentarza. Ubogo i biednie, a grobów już tyle i tak gęsto, że nowi przybysze z trudnością się będą mogli pomieścić. Drzew starych niema; jedna uliczka, trochę staranniej utrzymana, prowadzi środkiem do bardzo skromnej kaplicy; inne, idące dokoła, więcej udeptane, niż oczyszczone. Co krok oko spotyka napisy, herby, godła, rzeźby, które świadczą, ilu tu naszych zmarłych szukało gospody. Wspaniałe pomniki i krzyżyki skromne, na niektórych mogiłach tylko kupka ziemi trawą porosła... U murów wiele już monumentów pokruszonych... z ledwie dającemi się odczytać napisami.

Są cmentarze po świecie, śród których jakoś szeroko, zielono, przestworno, kwiecisto, prawie wesoło, jak na Campo Santo w Neapolu, skąd oko leci na morze i okolice, gdzie róż zawsze pełno, strumyk nawet szemrze jakąś cichą modlitwę... tu... okrutnie samotno! mury odrapane dokoła, zdziczałe kwiatki, dużo połamanych i zczerniałych kamieni — coś zapomnianego, opuszczonego, zapartego nad wyraz wszelki. Gdzieindziej życie przychodzi z przeszłością się pokumać i zbratać na pobojowisku — tu śmierć sama gości. Szukam oczyma świeżego wieńca, prawie ich niema, stare wiszą zczerniałe i powiędłe. Z małym wyjątkiem tylko bardzo świeże groby są utrzymywane staranniej—reszta rozsypuje się, zarasta i ginie. Jestże co wiecznego na ziemi? ani pamięć, ani żal, ani wdzięczność. Po pewnym przeciągu czasu, nieboszczyk się w proch rozsypał, grób był tylko najęty, wyrzucono resztki i nowy przybysz miejsce zajmuje. Szczęście to jeszcze, że na Frydrychsztacie miasto i municypalność nie potrzebują ani nowej prowadzić ulicy, ani nowego zakładać targowiska — bo — wszyscy umarli żywym ustąpić by musieli. Życie ma swe prawa przeważne na ziemi a śmierć żadnych.

Chodźmy na prawo... tam stoi pomnik Kazimierza Brodzińskiego, razem z drugim, okrywającym zwłoki wojaka. Oba są zupełnie jednakowe, bratersko podobne, tylko na jednym hełm i miecz lira uwieńczona na drugim. Zaschły wieniec zdobi grób poety. Ponad nim cyprysowa tuja chude wyciąga gałązki. Brodzińskiemu należało może spoczywać nie tu, ale u brzegu Wisły. Tamby pewnie więcej się dlań wieńców znalazło, i prochom byłoby lżej w swojej ziemi.

O kilka kroków od niego świeżo odnowiona mogiła, bez krzyża, bez napisu, bez kamyka... Tuśmy pochowali Romana Zmorskiego, który umarł wyczerpany, spaliwszy się sam w sobie, w wieku jeszcze sił pełnym—ot—tak — ze znużenia życiem. Gasł niemal umyślnie przez niezrozumiałą fantazyę, morząc się osobliwszą dyetą i głodem — rojąc chorobę, której nie miał — siły się wyczerpały, ochoty do życia brakło... musiał umierać... Zmorskiemu należałby się choć prosty kamień na mogile, nazwisko jego, rok zgonu — odzywamy się o pomoc do spełnienia tego obowiązku, ku dawnym druhom i towarzyszom.

Idźmy dalej, imion bez liku. Starzy i młodzi, ci co się przeżyli i co nie żyli prawie, kwiaty, owoce, nazwiska głośne i nie znane.

Mijamy wielu. To grób Aleksandra Potockiego, syna Szczęsnego, człowieka najlepszego w świecie serca, niegdyś przyjaciela Zygmunta, ukochanego od wszystkich co go znali, oryginalnego w życiu całem, który tu dożył skołatanego a poczciwego żywota. Grób jeszcze świeży, pamięć niezatarta, ubodzy żyją jego darami. Krzyż za krzyżem wszystko nasze, cmentarz prawie polski — imiona Chodkiewiczów, Cieszkowskich, Wodzińskich, Olizarów, Ożarowskich. Gustaw Olizar tu spoczywa także, piękna dusza, zacny człowiek, pisarz zdolny... który w latach żywego umysłowego ruchu na Wołyniu stawał do walki

i czynny brał w niej udział. Antagonista Bejły— kruszył kopie w obronie tradycyi, które śmiały a dziwaczny autor Soplicy raz wynosił pod niebiosa, to się im urągał. I temu tu zemrzeć przyszło z uśmiechem spokojnym na ustach.

Dalej—to świeży grób Karola Hoffmana, artysty, dziejopisarza, badacza, który długie lata przepędził w Dreznie, autora „Króla tułacza,“ męża i spółpracownika niezapomnianej Klementyny Tańskiej. Za kaplicą spoczywa generał Kołaczkowski. Czytam na grobowcach imiona Brezów, Czapskich, Hauków, Jełowickich, Lubomirskich, Radziwiłła, Roztworowskiej, Wesslów, Załuskich. Leży tu Ireneusz Załuski, r. 1868 zmarły z rany, w pojedynku odniesionej, pełen talentu rzeźbiarz. Lecz któż bo naszych policzy? Smutno.

Naostatek zajdźmy w odległy kątek, uczcić grób choć obcego, lecz wszystkim drogiego mistrza pieśni, którego melodye rozlegają się w świecie całym: tu leży Karol Marya Weber. U grobu kwitną drzewa laurowe i wieńców para więdnieje.

Drezno w dawniejszych czasach miało wielką siłę przyciągającą dla ziomków naszych. W końcu XVIII w. po kilkakroć gromadzili się tu rozbitki nasze pod Złotym Aniołem, istniejącym do dziś dnia, i w Hotel de Pologne, który przed laty kilku sprzedany został i przerobiony na okazały gmach, mieszczący dziś Bank saski. Imiona Ignacego Potockiego, Kołłątaja, Małachowskich; młodego Tremo, generała Henryka Dąbrowskiego, który poczynał swój zawód w wojsku saskiem, błąkają się tu jeszcze we wspomnieniach. W późniejszych czasach przesunęli się tędy Bronikowski, Słowacki, Mickiewicz i wielu a wielu innych. Zapomniałem wyżej Wybickiego, a z nim i wielu jeszcze: Bronikowski, autor pięknych historycznych powieści naszych, żył tu długo, pisał i skończył życie... a! bodaj czy nie w więzieniu za długi. O grobie jego ani się nawet dowiedzieć nie można. Dzisiaj zmniejszyła się bardzo i codzień uszczupla garstka cudzoziemców wogóle, naszych wędrowców szczególniej. W orkiestrze królewskiej, której niegdyś członkiem był Karol Lipiński, miejsce jeszcze zajmuje poczesne p. Maurycy Karassowski, wiolonczelista, kammermusikus królewski z Warszawy, znany wirtouz i pisarz, zięć Lindego. Oprócz niego stale tu osiadłym jest hr. Engestrom, wnuk posła szwedzkiego z czasów sejmu czteroletniego, literat i poeta, którego zadaniem jest obznajmiać nas z piśmiennictwem i historyą Szwecyi. Obok niego wymienić należy znanego z wielu pism w przedmiocie ekonomii politycznej i finansów, p. Piotra Falkenhagena-Zaleskiego, zamieszkującego stałe w Dreznie od lat wielu.

Profesor Stanisław hr. Tarnowski.

Dodajmy i p. Stefana Buszczyńskiego, pracowitego badacza na polu historyi i literatury, sztuki i teoryj społecznych, który świeżo wydał zajmujące dzieło o Stanach Zjednoczonych Ameryki, a naostatek nie godzi się też zapomnieć hr. Wielopolskiego, którego stan zdrowia zamyka w najciaśniejszem gronie rodziny, i hr. Starzyńskiej (niegdy hr. M. Potockiej), Mostowskiej z domu, od lat już wielu osiadłej także w Dreznie. Piękny jej zbiór numizmatyczny polski tu się także znajduje. Zimową porą szczupła ta garstka towarzystwa polskiego zwiększa się zwykle przybywającymi z różnych części kraju, dla wychowania dzieci, wypoczynku, rozrywki, studyów artystycznych. Pomiędzy kupiectwem a przemysłowcami niewielu znajdziemy Polaków, bo Saksonia wogóle dla cudzoziemców żadnych nie przedstawia widoków. Kraj jest niemal przeludniony, praca nawet miejscowych, obeznanych ze stosunkami, mogących rachować na czynniejszą opiekę władz i na stosunki łatwiejsze ludzi, zaledwie może znaleźć miejsce i zużytkowanie; dla przybyszów więc wyrobienie sobie korzystniejszego stanowiska niezmiernie trudne. Kraj, którego własne dzieci rozpierzchają się dla chleba po świecie, gościnnym bardzo być nie może. Nie po-

chwalimy się też tu szczególną sympatyą ludności i władz, choć wielu zdala łudzić się mogą, ze złudzenia tego prędko leczy rzeczywistość.

W bardzo bogatych, stosunkowo do rozległości kraju i dzisiejszego jego w Niemczech podrzędnego stanowiska, zbiorach różnego rodzaju, muzeach, gabinetach galeryach drezdeńskich, — materyał słowiański i polski ubogo jest reprezentowany, mówimy słowiański, gdyż Drezno, jak wiadomo, stoi na ziemi niegdyś przeważnie przez plemiona Serbów zamieszkałej. Z pamiątek przeszłości tej ledwie co dziś ocalonego pozostało, więcej po prowincyonalnych muzeach (w Budziszynie n. p.) niż w samym Dreźnie. Poszukiwania na Łużycach idą dość opieszale i dla braku funduszów, o które tu wogóle nie łatwo, są wielce zaniedbane, częste zasiedlenie i kultura zatarły dawne ślady życia W galeryi obrazów ledwie się co spotyka, coby historyę sztuki naszej obchodzić mogło. Prawie jedyny, ubocznie nas interesujący obraz szkoły włoskiej, wystawiający przyjęcie Henryka Walezyusza, uchodzącego z Polski, w Wenecyi, w tym roku usunięto; miejsce opróżniono zapewne dla nowych nabytków. W zbiorze pastelów wisi kilka dla nas zajmujących i tamże są dwa z polskiemi strojami alegoryczne jakieś przedstawienia, których znaczenia wytłumaczyć sobie nie umiemy. W muzeum historycznem parę zbroi i naczyń kilka, w Grüne Gewelbe trochę klejnotów, oręża kosztowniejszego, insygniów... oto wszystko. Gabinety rycin, królewskie i królowej wdowy, zawierają sztycharzy polskich dzieła dosyć liczne. Falck zbioru królewskiego ma kilka rzadkości, ale bogatszy od niego jest królowej, mieszczący także najpiękniejszą kolekcyą Płońskiego, jaką znamy.

Nareszcie do śladów dawnych stosunków, zaliczmy i obyczaj na dworze zachowujący się,— zastawiania co rok święconego na Wielkanoc. Dwór saski, w najwyższym stopniu konserwatywny, nie zmienia w najmniejszej rzeczy raz w program roku wpisanych zwyczajów -- dlatego do dziś dnia trwa i nasze święcone i instytucya wyśmiana tragarzy lektyk, chociaż nikt się już dziś nie posługuje lektyką.

Z upokorzeniem przyznać się do tego musimy, że ktoby miał ochotę w Dreznie zaopatrzeć się w książki nasze do czytania, napróżno by ich tu szukał. Tak jak w Karlsbadzie niepodobna się spotkać z polską książką, i w Dreznie trafi się na nią chyba — wypadkiem. Księgarze przekonali się znać, że odbyt jest trudny i wyrzekli się zaopatrywania w nie prawie zupełnie. Jedna księgarnia L. Wolffa czasem miewała wyjątkowo niektóre nowości, ale i te od niejakiego czasu znikły. Czytelnię polską, jako tako zaopatrzoną, ma towarzystwo przemysłowców.

Zdarzyło mi się literatom niemieckim okazywać illustrowane pisma nasze i dowodnie ich przekonać ile u nas wychodzi pism peryodycznych, w jakich one rozmiarach są redagowane. Nie mogli się wydziwić temu, spoglądali z rodzajem niedowierzania, sceptycyzmu, prawie oczom swoim nie chcąc ufać. Jesteśmy zawsze dla nich tym krajem barbarzyństwa i nierządu, o którym z tradycyi słyszeli. Gdy nasza literatura korzysta w tej chwili ze wszystkich prac i zdobyczy najwykształceńszych narodów Europy, Niemcy ignorują nietylko nas i całą Słowiańszczyznę, ale tak jak niegdyś Francuzi Niemców, nawet pod pewnym względem Francyę. Nieco lepiej są uwiadomieni o Włoszech, a najskrzętniej pilnują Anglii.

Tłumaczy się ze wszystkich języków w świecie, z polskiego wcale nic. Walka o prawo języka w Prusiech do reszty nam łaski ich odjęła. O równości praw niema mowy — narody, wedle nowej metody, dzielą się na godne poszanowania i niezasługujące na żadne względy. Dość jest spojrzeć na to, co się pisze z powodu Serbii o Słowiańszczyznie wogóle, aby się o tem przekonać.

Często spotyka się na wystawach corocznych obrazy malarzy naszych. Spotkaliśmy się tu z Łuszczyńskim, Budkowskim, teraz nawet z młodym Suchodolskim i raz z Sędziwojem Matejki. Jak wszędzie, o sprzedaży obrazów wcale nie słychać... trudniej o miłośników sztuki, niż o malarzy.

PANNA ANTONINA

OPOWIADANIE

Elizy Orzeszkowej.

— Gdybym miała dwadzieścia córek, wszystkie co do jednej wykierowałabym na profesorów uniwersytetu! Tak, wszystkie co do jednej, chociażby mię za to ludzie biczowali, krzyżowali i kamienowali, wszystkie co do jednej, byłyby profesorami uniwersytetu! Tak! dwanaście córek i dwanaście katedr. Takiem było zawsze najdroższe marzenie moje... O! pokazałabym ja wtedy, co kobiety mogą i do czego są zdolne. Byłabym też szczęśliwą, bo widok dzieci moich wynagrodziłby mi wszystko to, co przecierpiałam sama.

Istotnie, patrząc na nią, z łatwością uwierzyć można było, że w życiu swem przecierpiała wiele.

Eliza Orzeszkowa.

Była to teraz kobieta lat trzydziestu kilku, chuda, koścista, trzymająca się zawsze prosto, chodząca żwawo i raźnie z energicznemi ruchami delikatnych, podługowatych rąk, których błękitne żyłki, przebijające się przez cienką skórę, objawiały wysoki stopień fizycznego wycieńczenia.

Wycieńczenie to widocznem też było w twarzy panny Antoniny. Z profilu widziana wyglądała dość jeszcze młodo, bo rysy miała prawidłowe i delikatnie zarysowane, lecz gdy się na nią wprost twarzą w twarz patrzało, wydłużenie chudych policzków jej, czoło okryte rojem drobnych zmarszczek i żółtawa bezkrwista jej cera, sprawiały wrażenie przedwczesnego zwiędnięcia. Kiedy wpadała w zapał, co zdarzało się bardzo często, cienkie, blade jej wargi, drgały mocno a piwne, zagłębione oczy, ciskały iskry i płomienie. Ubierała się zawsze jednostajnie, w czarną suknię, której stanik obcisły zarysowywał wyprostowaną i suchą jej kibić i niepokalanie białe kołnierzyki i mankiety. Nigdy błyskotki żadnej ani żadnego przyozdobienia stroju, z wyjątkiem kawałka czarnej koronki, którym przysłaniała włosy swe, czarne niegdyś, teraz z lekka już siwiejące i dwoma gładkiemi pasmami nizko na czole zsunięte. Sposób ten czesania się nadawał wysokiemu czołu postać dość regularnego trójkąta i powiększał blask ognistych oczu.

— Tak; dwanaście córek i dwanaście katedr, i nikt mi tego z głowy nie wybije!

Ja nawet tego nie rozumiem, jak państwo możecie słuszności mi nie przyznawać. Cóżto? powiadacie mi, że ptaki nie orzą i nie sieją a jednakże żyją! dziękuję! Sliczne mi to pocieszenie! Nie orać i nie siać! Ja bo jak patrzę na te nieorzące i niesiejące, to taka mię złość ogarnia. żebym je pięścią do siania i orania naganiała! Tak, pięścią naganiałabym; bo to próżniaczki są, lalki, pijawki, pasożyty wysysające soki z drzewa społeczeństwa! O! gdybym miała córki, nigdy nie pozwoliłabym im na coś podobnego, nigdy, nigdy! Niechby lepiej poumierały dziećmi. Takie są moje przekonania i biczujcie mnie, krzyżujcie, ścinajcie a już ja od swego przekonania nie odstąpię!

Nie tylko biczować ją, krzyżować i ścinać ale nawet zaprzeczać jej nikt nie myślał.

Było to w malutkim, nizkim pokoiku, znajdującym się pod dachem wysokiej kamienicy miejskiej.

Panna Antonina siedziała na sprężynowej kanapce, bardzo staro i ubogo wyglądającej, przed okrągłym stolikiem, na którym paliła się świeca stearynowa w żelaznym lichtarzu i stały trzy szklanki z herbatą. Przy ścianie przeciwległej znajdowało się łóżeczko wązkie, ze szczupłą, twardą i śnieżyście białą pościelą, dalej stała komódka, pełna kajetów dziecinnych, książek ze zniszczoną oprawą, dalej dwa czy trzy żółte stare krzesła, jakiś taborecik ze spłowiałem nakryciem, samowarek gotujący się na ziemi przed otwartym piecem, na ścianach kilka historycznych rycin, z illustrowanych dzienników wyciętych i szpilkami przymo-

cowanych do obicia, zasianego polnemi kwiatami; u jedynego okna kilka zielonych roślin w doniczkach i klatka z kanarkiem.

Pokoik ten był nadzwyczaj czysty. Obicie z polnemi kwiatkami, wazoniki, ptaszek w klatce i śnieżnie usłane wązkie łóżko, nadawały mu pewien charakter naiwności, na tle której dziwnie odbijała czarno ubrana, surowa i sucha postać jego właścicielki.

Patrzałem na nią z ciekawością i współczuciem. Ani dwanaście córek w połączeniu z dwunastu katedrami, ani „drzewo społeczeństwa,“ ani uderzenia pięścią w stół, nie zrażały mię do niej. Znałam ją oddawna.

— Jednakże,—nieśmiało zaczęłam—pani sama nie zajmowałaś nigdy katedry profesorskiej, a któż powiedzieć może, że nie siejesz i nie orzesz...

Spojrzała na mnie bystro, podejrzliwie, jakby usiłując przekonać się, czy w słowach moich złośliwości lub ironii nie było, potem smutnie skinęła głową, a ręką uczyniła znak zniechęcenia.

— Oj!—rzekła—takież tam sianie i oranie moje! Boże odpuść.

Chude, długie, delikatne ręce swe na czarnej sukni splotła i cieńszym znacznie głosem zaczęła:

— To prawda; dwadzieścia jeden lat skończyło się na wiosnę, odkąd nauczycielką jestem.

Prosto z pensyi, tak, prościutko z pensyi, na nauczycielkę poszłam. Ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujałam. Ojca już na tej ziemi nie było, chora matka u krewnych mieszkała. Prosto więc z pensyi — do cudzego domu! No i cóż dalej! przez siedmnaście lat z domu do domu... a cztery lata, odkąd tu osiadłam, bo przekonałam się ostatecznie, że wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca cudze... Te ściany i te serca swoją drogą, a swoją drogą—własna głupota! Takem ja zupełnie do nauczycielstwa jak wół do karety. Czy to ja nie rozumiem, co to jest gwiazda wiedzy i jak mnie do niej daleko! O, gwiazdo wiedzy! Kto tam o czem marzy i do czego wzdycha, a ja o niej tylko marzyłam... Wzlatywałam też, wzlatywałam do niej i tędy i owędy, i tak i owak, ale sposobów i czasu nie było—głód moralny — i koniec! O! żebym miała córki...

Wszystko to mówiła z wielkim spokojem w postawie i ze spuszczonemi oczyma. Widocznie do zwierzań się i wywnętrzań nieprzyzwyczajona, wstydziła się nieco, że tak długo o samej sobie mówi... Nagle spojrzała, że szklanki, przed gośćmi stojące, są już próżne. Zerwała się żywo z kanapki i, pochwyciwszy szklanki, do samowarka pobiegła. Chciałam wyręczyć ją w nalaniu herbaty, bo samowarek stał na ziemi, a wiedziałam, o tem, że nachylanie się sprawiało jej przykrość z powodu artretyzmu w nogach i ramionach, którego lekkich jeszcze ataków od pewnego czasu doświadczała. Dobre chęci moje bardzo energicznie odrzuconemi zostały.

— O, nie! o, nie!—zawołała — tak mi jest miło służyć paniom w mojej chatce! Rzadko miewam gości, ot! prawie nigdy. Czasem chyba która z dziewcząteк tych, młodych koleżanek moich, wpadnie do mnie na chwilkę, ale i to rzadko bywa, bo czasu niebożątka nie mają i z młodemi przestawać wolą. Nie mam też ja do nikogo pretensyi o nic. Każdy ma swoje zajęcia i stosunki... A wielkie przyjaźnie i przywiązania pomiędzy obcymi sobie ludźmi, to tylko w powieściach...

Ot, córki dobre kiedy kto ma... o! córki.

Postawiła na stole szklanki z herbatą, starannie pokroiła i na talerzu ułożyła bułeczkę, a czyniąc to, uśmiechała się wesoło.

— Tak mi jest miło przyjmować panie w moim domku .. I przytem—dodała zaraz—wszystko w małem gospodarstwie mojem robię zawsze sama, a to dlatego, aby przekonać ludzi, że kobieta, która samodzielnie żyje i do gwiazdy wiedzy wzdycha, niekoniecznie już w życiu praktycznem musi być niedołęgą!

„Samodzielność kobiety“ i „gwiazda wiedzy“ ilekroć je wspomniała, nieuniknienie wprawiały ją w zapał. I teraz też, szerokim, energicznym ruchem wskazała nam ściany pokoiku swego i napełniające go przedmioty.

— A co?—zawołała—czysto, porządnie i choć ubogo ale i trochę nawet elegancko. Obicie z maczkami i bławatkami sama wybrałam w sklepie, jakem się tu wnosiła. I kwiatki są, i kanareczek, i ryciny takie, na jakie mnie stać było... Ot! niech przyjdą i zobaczą, że kobieta, która sama dla siebie na kawałek chleba zapracowuje a naukę ubóstwia... niekoniecznie przecież musi być niemytą i nieuczesaną.

— O kim to pani mówi, aby przyszli i zobaczyli?—zapytałam.

— Ot!—zawołała — albo to pani nie wiesz? Kobietożercy, tyrani. gwałciciele praw najświętszych, którzy odmawiają kobietom prawa do nauki i samodzielności, a gdy tylko która z nas palcem poruszy, u nich o pozwolenie nie poprosiwszy, arabskie awantury na nią wygadują... O! żebym ja miała córki...

Zauważyłam, że w marzeniach swych zanadto może jednostronną jest, dwanaście na raz kobiet na katedrach profesorskich osadzając, że przecież są inne jeszcze gałęzie pracy ludzkiej...

— No, no!—przerwała—to tylko tak się mówi! naturalnie że są inne gałęzie... Ale ot! skąd mi się tu katedry wzięły...

Zaśmiała się wesoło.

— Wiesz pani dobrze o tem, że ja w życiu mojem z uczonymi ludźmi nigdy żadnych stosunków nie miałam. Po obywatelskich domach młodość całą przewłóczyłam, a obywatelstwo nasze, wiadomo... Otóż, raz tylko, przez całe życie moje, zdarzyło mi się spotkać profesora uniwersytetu... Miałam wtedy już lat pod trzydzieści i, wiesz pani, omało, omało, żem przed człowiekiem tym na kolana nie uklękła. Mąż nauki! pani moja!—pokolenia młode do gwiazdy wiedzy prowadzi! Śmieli się wtedy wszyscy ze mnie, mówili, że pomiędzy nimi bywają tacy i owacy. A mnie co do tego? kapłan nauki i koniec. Wtedy też, na człowieka tego patrząc, pomyślałam sobie: gdybym na jego miejscu była! Aż mi się w głowie od myśli tej zakręciło! Gdzie tam mnie, mizernemu robakowi, o takiem szczęściu myśleć! Ale potem przyszło mi do głowy, że gdybym miała córki, i od tego czasu, ile razy pomyślę sobie o córce, tyle razy obok ślicznej dziewczyny, zdrowej, szczęśliwej, matkę swoją z całego serca kochającej, widzę profesorską katedrę... Tak to czasem, pani moja, człowiek swój głos moralny różnemi wyobrażeniami uspokaja. Czasem ramiona tej dziewczyny mojej wymarzonej około szyi swojej czuję... a czasem widzę ją i słyszę przemawiającą z katedry...

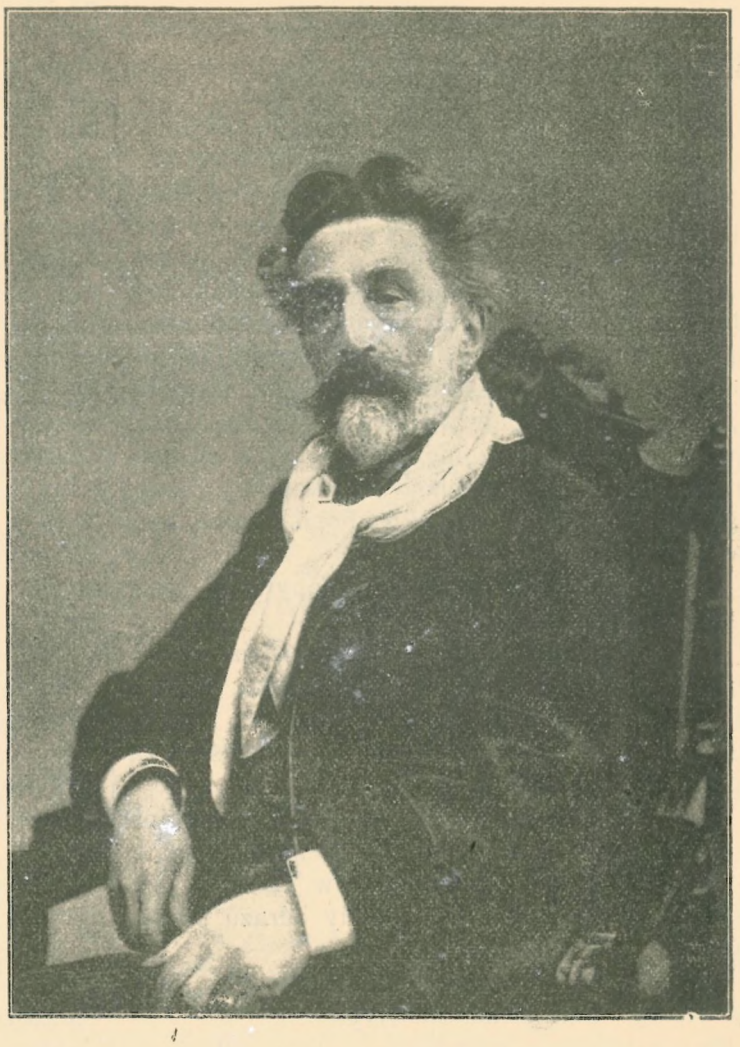

† Tytus Maleszewski.

Zaczęła mówić z uśmiechem, a kończąc, miała łzy w oczach. Jak wszyscy przecież, których łez nie spostrzegał i nie ocierał nigdy nikt, nie lubiła ich pokazywać nikomu. Zarumieniła się trochę i pobiegła ku oknu, aby mi kwitnącą tam w doniczce pelargonię pokazać.

Oglądaliśmy właśnie pelargonię, gdy cichutko i zwolna otworzyły się drzwi, wiodące na wschody, i do pokoju wsunęła się dziewczynka dziesięcioletnia może w długiej aż do ziemi, podartej sukienczynie, z lnianemi włosami na tył głowy zaczesanemi, więc odkrywającemi w pełni pucułowatą, różową, dwojgiem błękitnych oczu świecącą twarzyczką. Wsunęła się i, onieśmielona widokiem nieznanych sobie osób, tuż przy drwiach, do ściany plecami przycisnąwszy się, stanęła. Wnet za nią, żwawiej i śmielej, wtargnął chłopak, nieco od niej starszy, bosy, rozczochrany, w spancerku, z którego dawno już wyrósł, a po wtargnięciu jego wsunęło się jeszcze jedno dziecko, niewiadomo już jakiej płci, bo w grubej tylko koszuli, znacznie młodsze od tamtych, z kromką czarnego chleba przy ustach.

— Jacyż to osobliwi goście?—zapytałam.

Panna Antonina zmieszała się trochę.

— A no—zaczęła — to są dzieci stróża tej kamienicy... bardzo biednego człowieka i w dodatku pijaka...

— Uczniowie pani zapewne?...

— A uczniowie... dziewczyna jest łagodna i zdolna, chłopak zdolny także, ale...

— I to maleństwo także uczeń pani?...

— Ej nie! — przychodzi to sobie z rodzeństwem, kiedy samo chce i przysłuchuje się tylko naszym lekcyom. Jest to—dodała—na uniwersytecie moim wolny słuchacz...

Uniwersytet ani na chwilę z głowy jej nie wychodził.

— Ileż pani masz godzin lekcyi na mieście?— zapytałam.

— Ośm.

— Ta więc, z temi dziećmi, jest dziewiąta.

— Naturalnie. Ośm a jeden to dziewięć!

Kiedy z towarzyszką moją żegnałyśmy pannę Antoninę, dzieci ośmieliły się już zupełnie i były w pokoiku jej jakby u siebie.

Dziewczynka, wspinając się na palcach, ściągała z komody elementarz swój i zeszyt zakreślony grubemi kreskami, chłopak czyścił łupkową tabliczkę a maleństwo, wdrapawszy się na taboret, z podniesioną głową i otwartemi usty podziwiało kwitnącą pelargonię. Jakież było zdziwienie nasze, gdy na schodach spotkałyśmy dążące w górę jeszcze jedno dziecko ubogo ubrane, jeszcze jedno, i jeszcze jedno...

— Dokąd idziecie wszyscy? — zapytałam jedno ze spotkanych dzieci.

— Do panny Antoniny!— odpowiedział mi malec, który, jak dowiedziałam się potem, w sklepie jakimś zajmował posadę wymywacza naczyń, wymiatacza podłóg i roznosiciela po mieście zakupionych towarów.

— A ileż rodzice wasi płacą pannie Antoninie za to, że was uczy?—zapytałam jeszcze malca.

— A ktoby tam miał rodziców jakich! — odkrzyknął chłopiec, po trzy schody odrazu przesadzając.

Widocznie miłość panny Antoniny dla „gwiazdy wiedzy" platoniczną nie była.

Po raz pierwszy poznałam ją, gdy była jeszcze zupełnie młodą, bo nie miała więcej nad lat dwadzieścia cztery. Nosiła jeszcze wtedy kolorowe suknie i czarne włosy dość pretensyonalnie zaczesywała, ale nie była już świeżą i zaczynała stawać się chudą i kościstą.

Zwiędnięciu temu, nader przedwczesnemu, towarzyszyła przecież świeżość uczuć, do egzaltacyi i naiwności posunięta. Zajmowała miejsce nauczycielki w trzecim już z kolei domu i po raz trzeci była pod wpływem najzupełniejszego złudzenia, że na zawsze, albo przynajmniej na bardzo długo, stała się przybranym członkiem rodziny, śród której zostawała. W rzeczy samej rodzina ta, jakkolwiek z osób uczciwych i dobrze wychowanych złożona, o żadnem przybieraniu jej za członka swego ani myślała. Czuła się ona najzupełniej w komplecie i nie uczuwała potrzeby powiększania się przez przyjmowanie do siebie osób obcych. Obchodzono się z nauczycielką dobrze przez przyzwoitość i prostą życzliwość, trzymano ją, bo nie widziano jakąby korzyść odprawienie przynieść mogło, przytem z nadmiernej czułości wszystkim okazywanej i z przebijającego się niekiedy w mowie patosu, jak też czasem z loczków, które wysoko piętrzyła nad czołem i z całonocnych przesiadywań nad książkami, śmiano się po cichu. Śmiano się z nauczycielki tak cicho i tajemnie, że ona nigdy tego spostrzedz, ani dosłyszeć nie mogła.

Wzamian każdy żywszy objaw grzeczności, każde cieplejsze nieco uściśnięcie ręki lub życzliwsze słowo, przybierały w oczach jej znaczenie uczuć gorących i trwałych. Pod wpływem ich, tajała cała w przywiązaniu i wdzięczności, z zapałem i gorliwością niezrównaną oddawała się na usługi każdego, kto ich zażądał. Przedewszystkiem duszą i ciałem oddawała się uczenicom swoim. Ciekawym był istotnie widok, jak we wszelkich z innymi stosunkach heroicznie i skutecznie walczyła z wrodzoną sobie żywością i popędliwością, zarówno jak z niedostatkami wykształcenia własnego. Pensyjka, z której zaczerpnęła była cały zasób swej wiedzy, była pensyjką bardzo mizerną, to też z razu panna Antonina zająć mogła miejsce tylko nauczycielki początkowej. W tym trzecim jednak domu zostając, udzielała już nauki średniej.

Postęp ten nie przyszedł sam przez się: aby go zdobyć, przesiedziała była pięćset nocy nad gramatykami różnemi, ze trzysta przynajmniej nad historyą i geografią, ze sto pięćdziesiąt nad arytmetyką.

Były to już wszystkie prawie gałęzie nauki, których znajomości od niej zażądano. Żądano wprawdzie jeszcze, nawet bardzo usilnie muzyki, ale w tej panna Antonina, żadnemi już pod słońcem usiłowaniami, wydoskonalić się nie mogła. Poprostu nie miała ucha do muzyki, a pomimo że ręce jej były kształtne i delikatne, palce uderzały zawsze i niezmiennie po dwa klawisze na raz. Muzyce więc całkiem dała za wygraną. Natomiast ilekroć ktokolwiek zapytał ją dlaczego w pokoju jej po całych nocach pali się światło, podnosiła głowę i z oczami błyskającemi z zapału, śmiało i nawet z dumą opowiadała: kształcę się.

Kształcenie się było ambicyą jej, namiętnością, drogiem pragnieniem całej jej młodości. Postępowała czasem dziwnemi drogami: tak np. dla wprawienia się w język francuzki, tłumaczyła kilkotomowe powieści francuzkie i uczyła się recytować na pamięć długie ich ustępy; ażeby zaś zdobyć szerszą wiedzę o świecie i ludziach, kilka miesięcy ślęczała nad ogromnych rozmiarów dziełem o strategii wojskowej; szczególnie to skierowanie się jej studyów było wynikiem prostego wypadku. Pani domu lubiła czytać francuzkie powieści,—pan domu był ex-wojskowym. Suego więc, Dumasa, Sanda i strategię znalazła w starej bibliotece domowej

i z kilkoletniego pyłu otarłszy, za skarby znalezione uznała. Innych książek w domu nie było a ona sama skądżeby mieć je mogła? Pensyę brała niewielką i trzy czwarte jej odsyłała chorej matce. Za pozostałe pieniądze sprawiała sobie suknie tanie, ale tak co do barwy jak co do kroju usiłując zawsze mieć w sobie coś poetycznego. To dążenia do poetyczności w ubieraniu się, jako też piętrzenie loczków nad czołem, świadczyć zdawało się, że w porze tej swego życia panna Antonina, oprócz dwu powyżej wymienionych, miała jedno jeszcze, bardzo właściwe wiekowi jej pragnienie; zapewne marzyła czasem o tem aby kochać, być kochaną, wyjść zamąż. Jednak, napewno powiedzieć można, że ten szereg pragnień i marzeń stał u niej na planie dalekim. Głównie i przedewszystkiem szło jej o to, aby być jednostką rodziny jakiej i kształcić się.

Była też najzupełniej pewną, że osiągnęła pierwsze z pragnień tych a dokonywa drugiego, gdy niby piorun ugodziła w nią wiadomość, że przez caluteńkie dwa lata zostawała pod wpływem najzupełniejszego złudzenia, i że z chwilą w której uczennice jej potrzebowały rozpocząć naukę muzyki — ona z domu ich ustąpić musiała. Jakto? rodzina ta więc, lubiąc ją i szanując, uważała zawsze za osobę obcą i tymczasowo tylko niezbędną? Jakto? więc nie kochano jej naprawdę i odprawiono, gdy tylko jednej potrzebie jakiejś zadość uczynić nie mogła?!

Była to dla niej trzecia już z rzędu niespodzianka podobna, wywarła na nią przecież wrażenie takie samo zupełnie, albo może i silniejsze, jak pierwsza i druga. Zapomniała nawet o kształceniu się.

Przez dwa tygodnie po całych nocach zalewała się łzami, po wszystkich samotnych kątach domu i ogrodu załamywała ręce i na pożegnanie całowała sprzęty i drzewa; duże, już i ciężkie dzieci na rękę porywała, dusząc je w uściskach i wlewając w ich uszy całe dykcyonarze najczulszych wyrazów. Nakoniec, gdy z twarzą spuchniętą od płaczu, zmęczona, chora prawie wsiadła do powozu i wyjechała za bramę ładnego wiejskiego dworu, osłupiałym wzrokiem powiodła po szerokich polach i jesiennem niebie, bo doświadczyła takiego uczucia, jakgdyby świat cały był jedną bezgraniczną, głuchą, zimną pustynią.

W czwartym z kolei domu przebyła dłużej nieco niż w trzecim, niepospolicie nawet długo, bo całe lat trzy. Zawdzięczała to nowym postępom, których w kształceniu się swem dokonała, a które pozwalało jej dalej już nieco posuwać edukacyę młodych dziewcząt, nadewszystko zaś zawdzięczała staruszce pewnej, babce pani domu,

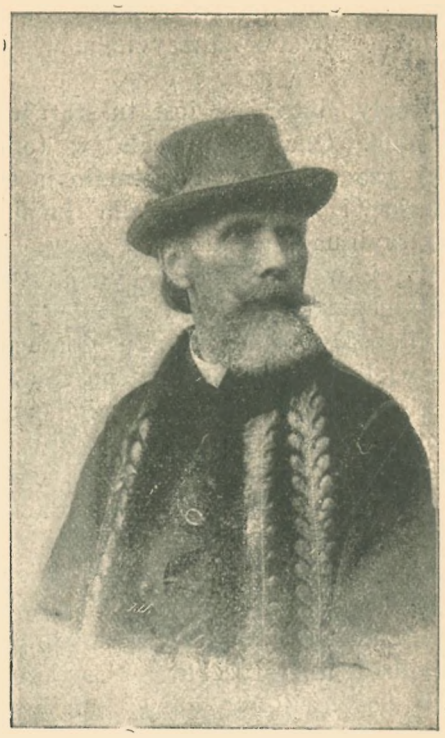

Walery Eljasz.

której stała się ulubienicą, sługą i ofiarą. Nie mogąc już tym razem na żaden sposób łudzić się co do usposobień względem niej pani i pana domu, ludzi dumnych i zimnych, i nie mogąc zdobyć sobie przywiązania dzieci, nieszczególnie przez naturę utworzonych a źle wychowanych — przylgnęła, można powiedzieć, przykleiła się do staruszki. Przedewszystkiem wyidealizowała ją sobie.

W rzeczywistości ośmdziesięcioletnia przeszło osoba ta, jeżeli i posiadała kiedy jakiekolwiek przymioty umysłu i serca, ze szczętem je utraciła, i teraz przedstawiała już zaledwie niekształtne i niedołężne resztki ciała, ożywione zaledwie dostrzegalnemi resztkami ludzkiej duszy. Dla panny Antoniny jednak dziecinne kaprysy jej, samolubne wymagania i bezmyślne gadaniny były „wspaniałym i rozrzewniającym majestatem starości.“ Co najważniejsza, że z jednej strony przypominała jej ona kochaną babkę w dzieciństwie utraconą, a z drugiej strony miała prześliczne, długie i gęste włosy, z białością śniegu a połyskiem srebra. Panna Antonina kwadranse i godziny przepędzała na klęczkach lub na niskim stołeczku, u stóp fotelu lub łóżka staruszki, bawiła ją opowiadaniem powieści Suego i Sanda, studziła jej rosoły i gotowała ziółka, pielęgnowała ją w chorobach, popychała wózek jej po cienistych alejach ogrodu. Wzamian tego wszystkiego, staruszka pozwalała jej nazywać

siebie babcią i, od czasu do czasu, nazywała też ją zdrobniałem imienieniem Antosi. To ostatnie szczególniej sprawiało nauczycielce wielką przyjemność.

Powoli cały ciężar „majestatu starości“ na jej barki włożono. Ona upatrywała w tem dowód zaufania i szacunku, co napełniało ją uczuciem przychylności i wdzięczności dla ludzi, którzy zresztą patrzyli na nią bardzo z góry. Drugiem szczęściem jej w domu tym była możność dalszego kształcenia się, polegająca na czytaniu niemieckich filozofów, których pan domu był zwolennikiem wielkim i zbiór spory posiadał. W porach więc, w których ani staruszka, ani dzieci jej nie potrzebowały, czytała filozofów niemieckich; kilkanaście miesięcy upłynęło zanim zrozumiała, że nic nie rozumie i że cała ta ciężka praca, której dokonała, nie przyniosła jej korzyści żadnej. W innym czasie odkrycie to napełniłoby ją smutkiem, teraz jednak nie myślała o biadaniu nad poniesioną stratą sił i czasu, bo najdroższa staruszka jej szybko bardzo zbliżała się do chwili, w której „majestat starości“ ustępuje przed „grozą śmierci.“

Umarła.

Przed skonaniem resztką duszy wzmogła się na siłach, gasnącym wzrokiem szukała pośród obecnych panny Antoniny, a gdy ta, wzrok zrozumiawszy, przy łóżku jej uklękła, zeschłą i kostniejącą dłoń swą, na znak błogosławieństwa, na głowie jej położyła.

Panna Antonina o chwili tej i o tem niemem błogosławieństwie wspominała zawsze i z silnem wzruszeniem. Jednem za to z najpiękniejszych wspomnień było ofiarowanie jej, na parę dni potem, przez panią domu, w rodzaju wynagrodzenia za czułość babce okazywaną, jedwabnej sukni i szczerozłotej broszy, których naturalnie nie przyjęła, i oświadczenie, że przed miesiącami wakacyjnemi dom ich opuścić powinna. Panna Antonina uczyniła to, ale już nie w ten sposób, w jaki opuszczała dom poprzedni, bo bez płaczu, łamania rąk, całowania ścian i krzeseł... Być może, iż gdyby nawet nie żądano—odjechałaby sama; po stracie staruszki i rozczarowaniu doznanem względem filozofii niemieckiej, nic tu już jej nie wiązało.

Gdy o parę wiorst od domu mijała cmentarz, kazała furmanowi zatrzymać konie, poszła na cmentarz, posiedziała chwilę na murawie u brzegu mogiły staruszki, potem z obsychającemi na powiekach łzami do powozu wróciła—i pojechała dalej.

Należała ona do tej kategoryi natur ludzkich, które niezmiernie troszczą się o możliwą doskonałość tego co, czynią. Nie rozumiała nigdy, co to jest uczynić cokolwiek byle kiedy i byle jak. O wczesnej bardzo porze zrywała się z pościeli z energią rumaka rwącego się do boju; ręka jej nabrała machinalnego ruchu sięgania po zegarek. Wiele już lat minęło, odkąd była nauczycielką a jednak do lekcyi z uczennicami swemi przystępowała zawsze z wewnętrznym niepokojem, który jakkolwiok ukrywała starannie, przebijał się w wyrazie ognistych jej oczu. Owszem niepokój ten, zamiast umniejszać się, rósł z latami. Ze zwykłą sobie górnolotnością wyrażeń mawiała: „nauczycielstwo to kapłaństwo,“ z namaszczeniem kapłanki a z zapałem apostołki przeplatała lekcye języków, geografii i arytmetyki długiemi mowami o pracy, miłosierdziu, braterstwie ludzi, wielkości nauki i tym podobnych bardzo pięknych i wzniosłych rzeczach.

Nie można powiedzieć, aby nauczania te, jakkolwiek przedmiotami ich były rzeczy piękne i wzniosłe, odpowiadały zasadom dobrze wyrozumowanej pedagogiki. Pomimo woli i wiedzy panny Antoniny, plątały się w nich wyrażenia i zwroty, będące niby echami tłumaczonych dla wprawy we francuzki język romansów, jakoteż studyowanej w celu kształcenia się filozofii niemieckiej.

Przytem zapał, unoszący mówczynię, ruchom jej i wyrazowi twarzy nadawał cechy, sprowadzające częstokroć na dziecinne twarze słuchaczów figlarne uśmieszki. Bywały dzieci, które, słuchając moralizatorskich mów jej, śmiech w sobie tłumiły, i takie, które słuchały ich bardzo pilnie, ani pół słowa z nich nie rozumiejąc, i takie jeszcze, które rozumiały je trochę, a częściowo rozumienie to, od czasu do czasu, w postępkach swych ujawniły. Te ostatnie sprawiały pannie Antoninie rzadkie lecz żywe chwile radości. Były to niby krople rosy, spadające na czoło palone gorączką.

KRÓL JUBA.

Chodź, Petrejuszu, rzecze król Juba —
Po co nad klęską chmurzyć swe czoło?—
Nie czas żałować... skończona próba —
Potrzeba zginąć wesoło.
Cezar zwycięzca — my zwyciężeni —
Już się nie dźwigniem więcej z pogromu;
Pole zabitych krwią się rumieni
I niema walczyć już komu.
Cezar nas wszystkich osaczył w matni,
Na cóżby wszystkie skargi się zdały!
Czy my to pierwsi? czy my ostatni,
Co nędznie giniem bez chwały!

Ktoś musi zawsze ustąpić z drogi...
Dziś na nas kolej — oni są górą...
Lecz, Petrejuszu, klnę się na bogi...
Czemu spoglądasz ponuro?
Czy żal ci tęczy złudzeń rozwianej?
Żal ci wolności jasnych sztandarów?

Ja, barbarzyńca, syn dzikich plemion,
Nie będę waszym rozpaczom wtórzył;
Gdy lud zwycięzcy gnie się do strzemion,
Ma los, na jaki zasłużył.
Ja, barbarzyńca, nie znam co smutki,
Walczyłem z wami wiernie do końca —

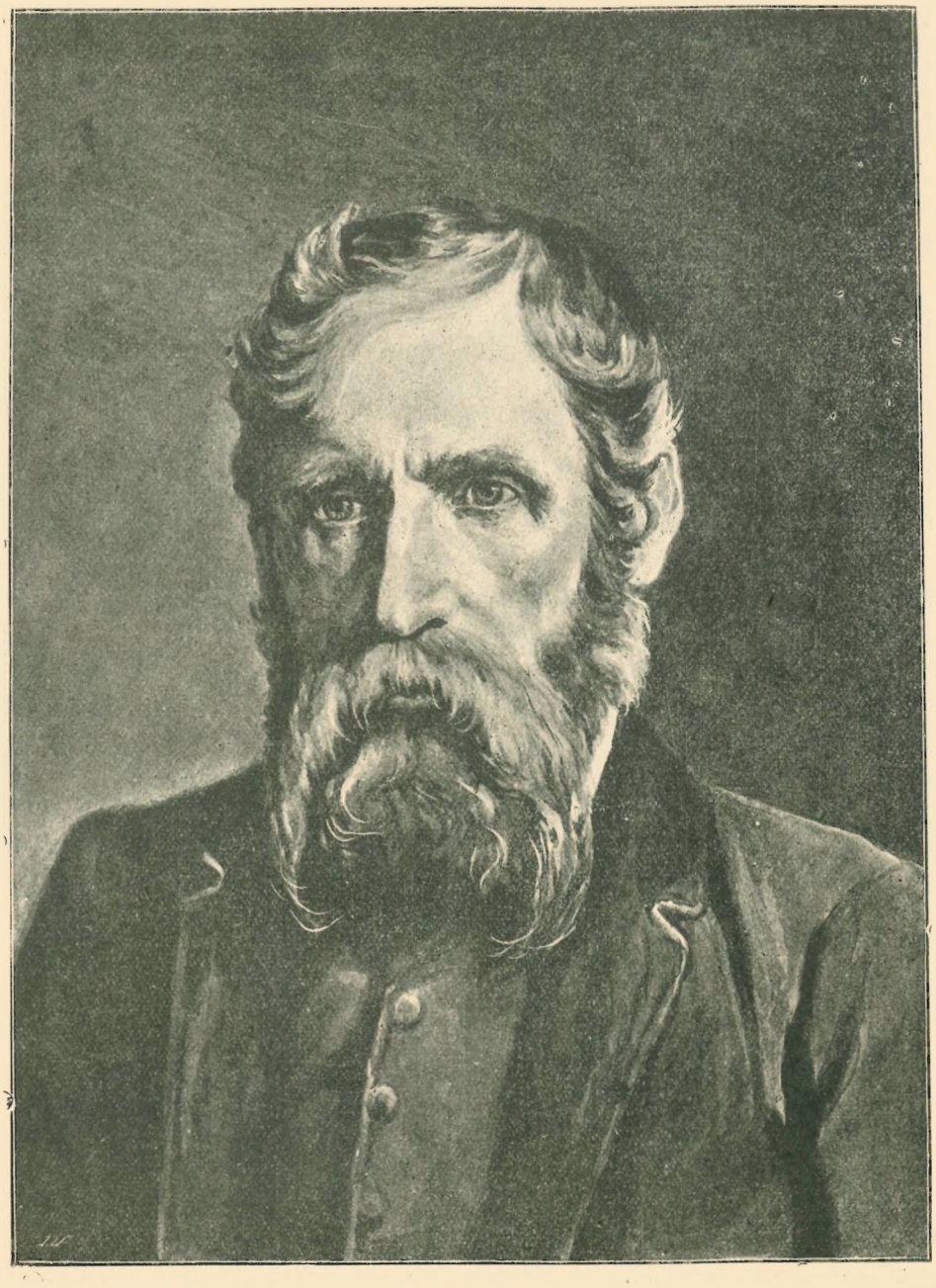

† Adam Asnyk (El-ly).

Rzymu, co będzie dźwigał kajdany
Pod stopą swoich cezarów?
Żal ci szlachetnej myśli, co ginie
A której inni podjąć nie zdolni?
Rozpogódź czoło, mój Rzymianinie,
Zgon nas od troski uwolni.

Teraz chcę jeszcze przez ten czas krótki —
Ucztować do wschodu słońca.
W moim pałacu czeka biesiada,
Więc ciebie na nią zapraszam w gości:
Zanim nam usta zamknie śmierć blada,
Wypijem na cześć wolności!

† Fryderyk Chopin.

* * *

Cóż, miły gościu? czyż nie ochoczo
Bawim się, tłumiąc myśli złowieszcze?...
Zanim nas tutaj wrogi zaskoczą,
Do picia mamy czas jeszcze.
Niech żyje słodka winna jagoda!
Niech żyje napój, zesłany z nieba!
Takich nektarów zostawiać szkoda,
Amfory skończyć potrzeba.
Więc prędzej, czary wychylmy do dna,
Każda z nich z czoła chmurę nam strąca:
Niech żyje męztwo i myśl swobodna,
Niech żyje wolność ginąca!
Chodź, niewolnico, moja ty biała,
Śnieżnem ramieniem opasz mi szyję;
Niech żyje powab pięknego ciała,
Cypryjskie bóstwo niech żyje!
Weź jeszcze swoją lirę do ręki.
I śpiewaj grecką piosnkę miłosną,
Niech żyją pieśni rozkoszne dźwięki,
Od których serca tak rosną!
Dość... dość, Greczynko! dolej nam wina
I ucisz ust twych śpiewne słowiki.
Niech nam numidzka teraz dziewczyna
Zatańczy taniec swój dziki.
Dosyć i tańca, jutrzenka chyża
Niedługo dzienne światło odnowi,
Więc nasza uczta także się zbliża
Teraz ku swemu końcowi.
Wszystko się kończy, co się zaczyna,
Czy złe, czy dobre losy człowiecze...

Ostatnią czarę spełnijmy wina —
I weźmy w dłonie dwa miecze.
Zmierzym się z sobą, tak, dla zabawy —
Wiem, że się stalą zabawim ładnie:
Komu los będzie sprzyjać łaskawy,
Ten z ręki drugiego padnie.
W walce umierać jakoś najgładziej,
I cała przykrość namysłu znika.
Kto pozostanie—niech sobie radzi
I ginie z rąk niewolnika.
Cóż, Petrejuszu? rozjaśniasz lica
I za żelazo chwytasz z pośpiechem?
Mój pomysł ciebie widać zachwyca,
Bo usta krasisz uśmiechem!
A więc skrzyżujmy nasze oręże,
O cios śmiertelny będziem się spierać,
Walczmy jak wrogi, walczmy jak męże,
Z których chce każdy umierać.
Co? ty się chwiejesz pod moim ciosem...
Padasz na ziemię, o! Rzymianinie...
Słusznie, żeś został wybrany losem,
Wszak byłeś u mnie w gościnie.
Musisz mi przyznać, że byłem hojny,
Niosąc ci w końcu ten dar żelazny —
Już nic nie pragniesz... jesteś spokojny,
Poległszy z ręki przyjaznej.
Teraz i na mnie nadchodzi kolej,
Daremnie żądać pomocy bratniej —
Greczynko! jeszcze wina mi dolej,
Daj pocałunek ostatni!...
Hej, niewolniku! zwiędły mi róże,
Przygotuj świeży wieniec na skronie,
Popraw draperyę na mej purpurze —
A teraz — ujmij miecz w dłonie.
Posłuchaj, chłopcze... wolnym cię robię,
Tylko idź ślepo za mym rozkazem:
Kiedy różami czoło ozdobię —
Przeszyj mi piersi żelazem!

Adam Asnyk.

Król Jan III

PRZEZ

Lucyana Tatomira.

(WYJĄTEK).

Pracę tę, wydaną w książkowej odbitce, autor poświęcił Władysławowi Maleszewskiemu, redaktorowi „Biesiady Literackiej.“

W chwili, gdy młodzi Sobiescy w drugiej połowie 1648 r. wracali z zagranicy w progi domowe, uderzyły były trzy straszne ciosy w zawichrzoną Polskę: klęska żółtowódzka, pogrom korsuński i boleśniejszy od obu pierwszych, bo hańbą napiętnowany, „srom pilawiecki“. Matka powitała rzucających się do nóg synów słowami Spartanki: „Nie uznam was za dzieci moje, jeżeli się staniecie podobnymi rycerzom pilawieckim!“ Ciężka i krwawa droga znaczyła się młodzieńcom na pierwszym wstępie ich do życia publicznego. Pod Zamościem stał Chmielnicki z rozjuszoną tłuszczą kozacką, a na polach pod Wolą odbywał się zjazd elekcyjny, niepokojony nadchodzącemi co chwila groźnemi wieściami, a jednak hałaśliwy, kłótliwy i niezgodny. W końcu pod groźbą kozaków obrany został Jan Kazimierz.

Lucyan Tatomir.

Koronacya, pogrzeb nieboszczyka króla, sejm koronacyjny, ślub z wdową po bracie i zerwanie nawiązanych z Chmielnickim traktatów, nastąpiły szybko po sobie w przeciągu kilku miesięcy. Miodowe tygodnie królewskiej pary zakończyła wielka wyprawa wojenna, która miała zdeptać odrazu zbuntowaną czerń kozaczą i nagiąć harde jej karki pod jarzmo chłopskiej niewoli.

Jeremi Wiśniowiecki wyruszył przodem. Pod jego dowództwem szedł Marek Sobieski na chrzest bojowy; Jan przyłączył się do orszaku królewskiego i ciągnął razem z dworem.

Jakoby dalszy ciąg godów weselnych z takim przepychem opuszczał Warszawę orszak królewski i ciągnął razem z dworem.

Ochotnicy, gwardye królewskie i poczty magnatów, ciągnęły brzegami Wisły, a środkiem rzeki płynęły świetnie przystrojone statki, unoszące króla i królową, otoczonych licznym dworem.

Śród dam dworskich królowej jaśniała urodą młoda francuzka, Marya Kazimiera, która trzymała u stóp swoich najdostojniejszą młodzież polską. Oczy młodego Jana spotkały się wówczas poraz pierwszy ze spojrzeniem pięknej cudzoziemki, a w tem spojrzeniu był wyrok jego przyszłości.

Marya Kazimiera miała z woli królowej w interesie dworu oddać rękę wojewodzie sandomierskiemu, Zamojskiemu, wzbudziwszy już gorącą miłość w sercu Sobieskiego, następnie owdowieć, zostać jego żoną, jego szczęściem i rozkoszą, „jedyną duszy i serca pociechą,“ podzielać jego sławę, a w końcu obedrzeć go z niej i zatruć mu ostatnie lata życia.

Wyprawa królewska, rozpoczęta takim tryumfalnym pochodem, skończyła się smutnie zamknięciem Wiśniowieckiego pod Zbarażem, a króla pod Zborowem.

W pierwszym obozie był Marek, w drugim Jan. Pierwszy wytrzymał w ciągu 46 dni 20 szturmów i 65 wycieczek i przeszedł straszną szkołę głodu; drugi uratował obóz królewski od podobnego jak pod Pilawcami sromu. Na widok niezliczonych hord krymskich, opasujących z dzikiemi okrzykami obóz zborowski, powstało w szeregach polskich zamieszanie; po dwudniowej walce zaczęło wojsko pierzchać, sądząc, że jest zdradzone.

Daremnie król z pochodnią w ręku przebiegał nocą zdjęte strachem hufce, napróżno wzywali wodzowie do porządku. Wtem pomiędzy zmieszane tłumy rycerstwa wpada zuchwale młody towarzysz pancerny, otoczony gromem podobnych sobie śmiałków, i piorunującą wymową uśmierza popłoch, krzepi upadłego ducha, zawstydza tchórzostwo i przywraca porządek.

Tym towarzyszem pancernym był Jan Sobieski.

Tak rozpoczął on swój zawód rycerski i tak zdobył sobie pierwszy dowód łaski królewskiej, starostwo jaworowskie, które aż do końca życia, jako pierwsza nagroda rzetelnej zasługi, pozostało mu najmilszem.

Ugoda zborowska, w sierpniu r. 1649, uwolniła armię polską z matni, ale nawiązane układy zostały znowu zerwane. W r. 1651 wyruszył król na drugą wyprawę, na którą przyprowadzili Sobiescy hufiec pancerny, własnym wystawiony kosztem. Pod Beresteczkiem przyszło do spotkania.

Trzydniowa bitwa zakończyła się zupełnem zwycięstwem Polaków; Tatarzy z Chmielnickim pierzchnęli, a kozacy bez wodza zamknęli się w obwarowanym obozie.

Sobiescy odznaczyli się przy zdobyciu bateryi nieprzyjacielskich, przyczem Jan lekką odniósł ranę i prawie tylko cudem uszedł niewoli tatarskiej.

Rokosz w obozie królewskim zmarnował jednak owoce zwycięstwa beresteckiego: kozacy uszli, a hetmani dopiero po miesiącu wyruszyli za nimi na Ukrainę. Towarzyszyli im obaj Sobiescy i brali udział we wszystkich potyczkach aż do ugody białocerkiewskiej, zerwanej niebawem podobnie jak zborowska.

Swary obozowe przeniosły się z pola bitwy do sali sejmowej i sprowadziły zerwanie sejmu z r. 1652 przez Sicińskiego, uświęcając nieszczęsne *liberum veto*. Ugoda białocerkiewska nie została potwierdzona; skarb był bez pieniędzy, żołnierz bez zapłaty, kraj bez obrony, a właśnie w tej chwili rozrzucił Chmielnicki uniwersały, wzywające kozactwo do wojny, a chłopstwo do buntu, starał się w Stambule o jedną z prowincyj tureckich dla siebie a o rękę hospodarówny mołdawskiej dla syna swego i ciągnął z czernią tatarsko-kozacką w krwawe swaty na Multany.

Hetman Kalinowski wyruszył przeciąć mu drogę, a za nim pośpieszyli obaj Sobiescy z swojemi rotami pancernemi; ale Jana wstrzymała we Lwowie obłożna, niebezpieczna choroba i tylko Marek przybył do obozu pod Batowem.

Obaj bracia pożegnali się z sobą po raz ostatni. Chmielnicki obsaczył bowiem w czerwcu roku 1652 obóz batowski, wziął całą armię polską, rozerwaną niekarnością i niezgodą, w niewolę i wydał na jatki Tatarom, którzy ją w pień wysiekli. Marek zginął w tej rzezi tatarskiej; Jana ocaliła choroba, z której wkrótce wyzdrowiał, i dziękował Bogu za podwójną łaskę: za poniewolną nieobecność w morderczej bitwie batowskiej i za odzyskane zdrowie.

Wypadek ten wpłynął stanowczo na całe życie Sobieskiego. Cudowne to uratowanie od śmierci przeniknęło do głębi umysł młodego wojownika; widział on w tem palec Boży i nabył stąd mocnego przekonania, że Opatrzność przeznaczyła go do niezwyczajnie wielkiej przyszłości. Z tego przekonania czerpał on tę odwagę, tę pewność siebie, ten niezachwiany spokój umysłu, który go nie opuszczał nigdy, nawet w najrozpaczliwszych chwilach w boju, którym podnosił ducha tych, którzy go otaczali, a przerażał i zwyciężał nieprzyjaciół.

Ścięcie głowy braterskiej orężem muzułmańskim spotęgowało w nim ową „przyrodzoną z poganami antypatyę," wyssaną z piersi matczynej, a wykołysaną na stopniach grobowców Żółkiewskich – do namiętnej żądzy zemsty nad niewiernymi.

Z tej wiary wykwitnęły wszystkie wielkie czyny Jana, któremi po całym świecie rozsławił

szeregu drobnych potyczek, składał dowody męstwa, a gdy w końcu rozpoczęto układy z Tatarami, aby ich odwieść od przymierza z Chmielnickim, ofiarował się za zakładnika i udał się do obozu tatarskiego.

W grudniu roku 1653 przyszła do skutku pomyślna ugoda z tatarstwem, poczem wypadało wyprawić posła od Rzeczypospolitej i do Stam-

KRÓL JAN III SOBIESKI.

imię Polski, niemi uniesiony, wzniósł on sobie wspaniały piedestał sławy.

Klęska batowska uderzyła jak grom w Rzeczpospolitą. Sejmy śród powszechnego przerażenia uchwaliły nowe podatki na nowe zaciągi. Oboźny koronny, Stefan Czarniecki, wyruszył przodem, a wkrótce potem stanął i sam król obozem pod Żwańcem.

Sobieski był między najpierwszymi w całym

bułu. Najprzydatniejszym ku temu okazał się chorąży lwowski, Mikołaj Bieganowski, mąż biegły w sprawach poselskich, ale niezamożny i niemający środków aby wystąpić w stolicy padyszacha ze zwyczajną w takich razach okazałością. Pożądaną więc było rzeczą, aby przynajmniej które z przedniejszych paniąt królestwa podjęło się towarzyszyć mu z pocztem świetniejzym. Ofiarował się do tego znowu młody So-

bieski, i jakkolwiek równi mu rodem utrzymywali, że nie wypada „IMci P. staroście jaworowskiemu, człeku zacnemu i najwyższemu pułkownikowi, przed panem Bieganowskiem czapkować," toć jednak uchylił czapki przed niezamożnym szlachcicem, zajął podrzędne obok niego stanowisko i otworzył szkatułę magnacką dla sprawy publicznej, aby poselstwo polskie godnie mogło wystąpić u Wysokiej Porty.

Dopełniając tego obywatelskiego obowiązku, uzupełnił Sobieski zarazem zakreślony niegdyś obu braciom przez ojca plan podróży i poznał w jego własnem gnieździe potwór otomański, przedmiot zemsty swojej, który ani przeczuwał, że tem młody giaur, o runiejącym zaledwie wąsie, towarzyszący posłowi polskiemu, spotężnieje kiedyś w groźnego „lwa Lechistanu" i podrąbie stanowczo podwaliny jego panowania.

PŁUG I KĄDZIEL.

Kochany Redaktorze!

Powiem ci szczerze, że przez całe tygodnie włóczyłem się od komina do komina; byłem u Świtalińskich, u Ziewalskich, u Płaczkiewiczów, u Hopkiewiczów... a wszędzie grałem rolę świadka, na którego się sąsiad powoływał, ile razy pretendent do kupna folwarku wątpił o egipskiej urodzajności gleby, o wysoko poprawnej rasie bydła, o świętej cierpliwości wierzycieli, o poczciwości ludu wiejskiego, który w naszej okolicy coraz więcej kradnie ale za to coraz mniej pracuje.

Trzeba ci wiedzieć, że cała moja okolica, z małemi wyjątkami, jest do sprzedania; każdy zaklina się, że do ostatka bronić będzie pracą i oszczędnością gniazda dziadów i ojców swoich, ale po cichu, chyłkiem dopytuje się u żydków o kupca, który jeżeli za ziemię orną zapłaci... to czcigodne mogiły dostanie na przykładkę.

Pan Ziewalski, który, granicząc ze mną z dwóch stron, nie może pod kloszem przywozić do siebie faktorów i kupców, także mną się świadczył, że jego pszenicę sąsiedzi rozrywają do siewu. Rzuciwszy mi się raz na szyję, kiedy już miało przyjść do sprzedania Leniuchów, zaklinał na miłość ojczyzny, abym w kontrakcie postawił warunek, że wolno będzie całej rodzinie Ziewalskich, ile tylko razy zechce, odwiedzać groby swych ojców i dziadów i budować na nich najwspanialsze pomniki.

— No... i zapewne dreny zapuścić—poddałem — bo coś mi się widzi, że woda w nie zacieka...

— A! ja mam zamiar wszystkie de noviter odrestaurować, ale widzisz taki nawał wydatków, czysta wieża Babel... Byle sprzedać raz majątek a zaraz zajmę się tem, co mi oddawna leży na sercu;— mówił sąsiad, który wiecznie ma dobre zamiary, ale po zamiarach tylko ziewa.

Icek Dynia przywoził coraz nowych amatorów lecz żaden folwarku nie kupił, bo każdy krzywił się, zobaczywszy, że w owczarni motylicy za dużo a w oborze woły i krowy mają gotową kąpiel po lada deszczyku. Nikt nie kupił, ale i targu nie zrywał, odkładając go na poświęta, chociaż Ziewalski chciał stracić po sto rubli na włóce, aby tylko mieć gotówkę na ową chwilę, którą cały świat radośnie obchodzi.

— Jeszcze trzeba ameliorować!—narzekał Ziewalski, chociaż już od kilku lat grosza jednego nie włożył w budynki, ani w rolę, ani w stawy — których ma aż pięć, i to dużych.

I czy uwierzysz, kochany Redaktorze, że za to moje wysługiwanie się sąsiadom, o małom nie pozostał bez rybki na Wigilię: szczupaka i karpia miał mi zastąpić śledź ordynarny.

Mam wprawdzie tylko dwa stawki, ale strzegę ich jak oka w głowie; to też jak oczy pozwalają mi cieszyć się pięknością świata, kiedy go wiosna wystroi jak panienkę do ślubu, albo zima opancerzy jak rycerza na boje—tak i owe stawki jednomorgowe pozwalają mi Wigilie i inne święta uroczyste, w których rodzina gromadzi się koło jednego stołu, obchodzić zasobnie, wesoło, po Radziwiłłowsku, chociaż prawie grosza nie wydaję na specyały zagraniczne.

I w tym roku połów udał się wyśmienicie; po kilku zaciągach napełniło się sześć dużych kubłów szczupakami, długiemi jak drągi, i karpiami szerokiemi jak łopata; — a drobiazgu było tyle, że dworki w fartuchy nie mogły zmieścić wszystkiego, com im wydzielił. Byliśmy wszyscy rozpromienieni; nie wiem, czy ludowi gnanemu z puszczy na puszczę więcej dała wesela manna niebieska.

W kuchni rozkładano na stole cały połów, dzieląc starszyznę od pachołków, a przenosząc na stolnicę oddzielną samych hetmanów szczupakowych, których ogony biły w deskę jak cepy w ręku najsilniejszego chłopa; wówczas to przed dwór od tyłu zajechała fornalka sąsiada Ziewalskiego, i zaraz ekonom jego oddał mi list zapieczętowany.

Sąsiad (znowu w imię mogił dziadów i ojców) zaklinał mnie o pożyczenie mu na Wigilię ryb, ale jaknajwięcej i jaknajpiękniejszych; do jego prośby dołączyła kilka słów pani Ziewalska, która ma wstręt do pisania, jako właścicielka rączki alabastrowej, o paluszkach różowych jak jutrzenka. W tej chwili owe wysmukłe paluszki wydawały mi

się grubemi paluchami, zgniótłbym alabastrową rączkę jak gliniany garnek—taka mnie złość na niedołęstwo, posunięte aż do bezwstydu, ogarnęła. Zmiąłem list, nie kryjąc się z tem przed ekonomem, którego zapytałem:

— A waszych pięć stawów?

Ekonom szarpnął guzika u kapoty, bo ciągle coś szarpać musiał, i odpowiedział:

— A co w nich jest, wielmożny panie? trzcina sama... zapuszczone... szkoda roboty i sieci...

Już miałem na ustach słowa:—A to jedzcie sobie żaby, kiedyście ich zamiast ryb wyhodowali; już chciałem ekonoma odprawić z niczem ale nagle żal mi jakiś szarpiący ścisnął serce, w gardle utkwiły wyrazy, kiedym pomyślał: więc już do tego przyszło, że dziedzic pięciu stawów pożycza ryb na Wigilię?

— Ileż u was osób będzie? — zapytałem ekonoma, zdecydowany nieść pomoc sąsiedzką.

Ekonom narachował osób piętnaście samej fa-

BIESIADA W „SALONIE ARTYSTYCZNYM.“

J. Cegliński. T. Maleszewski. J. Brodowski. J. Majewski. W. Gerson. F. Kostrzewski. L. Molatyński.

— Więc nie łowiliście wcale... nie próbowaliście nawet?

— At, wczoraj i dziś do południa moczyliśmy się po próżnicy—co się zaciągnie—to ino ziaby i ziaby.

— We wszystkich stawach?

— W ostatnim były i pijawczyny... były i ...kieś płotki... niepodobne do Bożego stw...
Co prawda, to żabska jak czapka — o· Chojnacki, stye, wypasły się szczupakami. Ro...eszedł mimo nom i wodził palcem na około de· węgierski wózek geometrycznie przedstawić w...araz w podskokach

milii, nie licząc guwernantki i ...nauczyciela, a rachunek zakończył pytaniem ni... ...że sprzedażą Leniu- i żyd zostanie?

— Jaki ż... może już nie warto głowy suszyć nad ...stycznaryuszem hr. Krasińskiego?— zapytałem.

— Co my tam nowego wymyślimy! — dowodził Hopkiewicz — cło... cło na wszystko — oto cały rozum, tego żądajmy od Towarzystwa!

— A jeżeli i na nasze zboże Niemcy cło nałożą—to co poczniemy? — zapytał pan Walewski, niewierzący już oddawna w żadną dobrą nowinę.

Teraz dopiero zrozumiałem zaklęcie sąsiada, który pisał, że pożyczeniem ryb mogę go wybawić od śmierci. Cóż było robić! I żonisko uległo dobremu sercu; najpiękniejsze ryby poszły do Ziewalskich, a nam zostały najpośledniejsze, bo na nowy połów już nie było czasu.

Kiedy u Ziewalskich raczono się pożyczonym szczupakiem, bakaliami i innemi specyałami, wziętemi more antiquo na kredyt, myśmy spożywali tylko to, co Bóg dał na własnej grzędzie; całym zbytkiem była głowa cukru, wyszafowana na strucle, ale i ją wytargowałem przy kontrakcie na buraki. Nawet na doskonałe pierniki nie wydałem ani grosza, bo je zrobiono w domu.

Co prawda, tom się oglądał mimowolnie za butelczyną węgrzyna, która ongi zawsze się znalazła na stole; ale oskoma po chwili minęła i trąciłem się kieliszkiem miodu, z własnej pasieki. A kiedy i ksiądz proboszcz swoją białą czuprynkę wplótł do naszego rodzinnego wianuszka, kiedy chłopak zbytnik stłukł talerz a córeczka rzuciła mi się na szyję, dziękując za książeczkę—to humor aż się przelewał.

Smak tego humoru czuję jeszcze, chociaż to już tydzień po Wigilii; miałem sposobność przypomnieć go sobie, zapisując rachunki przedświąteczne:—za migdały, pieprz, inne ziela, które u nas nie rosną, dałem zarobić pięciu częściom świata niecałych dwadzieścia ośm złotych. To był cały nasz świąteczny zbytek, cały przywóz z zagranicy pod dach szlachecki.

W drugie święto z kilku sąsiadami zabawialiśmy się gawędą o tem i owem, co chwila skręcając na wielką politykę. Nie może się jej wyrzec sąsiad nasz pułkownik i ksiądz proboszcz, pomimo że ciągle im się obija o uszy nawoływanie dziennikarzy, którzy każą nam pilnować tylko wylęgu jagniąt, a żonom naszym wysiadywania kurcząt i indyczą.

Okrom tej polityki, nie rachującej się z datą, zajmowała nas polityka partykularna, wyłącznie miejscowa, a mianowicie „Kwestyonaryusz hr. Krasińskiego," rozesłany rolnikom za pośrednictwem „Towarzystwa popierającego przemysł i handel" — aby poradzili, jak ratować nasze gospo-

[illegible]

faktorów i kupców, [illegible]tym drukiem, a że go pszenicę sąsiedzi rozrywają [illegible]ięc chciałem wszy mi się raz na szyję, kiedy już [illegible] na niedo sprzedania Leniuchów, zaklinał na [illegible]wet czyzny, abym w kontrakcie postawił warunek, wolno będzie całej rodzinie Ziewalskich, ile tylko razy zechce, odwiedzać groby swych ojców i dziadów i budować na nich najwspanialsze pomniki.

— No... i zapewne dreny zapuścić—poddałem — bo coś mi się widzi, że woda w nie zacieka...

i pukając w tabakierkę, ja podszedłem do biurka i wziąłem kwestyonaryusz do ręki.

Wtem od granicy Ziewalskich słyszymy trzaskanie z bata, a po chwili, bo powóz toczył się jak strzała, chociaż na drodze było błoto po kolana, wpada na ganek sąsiad i jego małżonka z różowemi paluszkami.

Żona moja, kobiecina złotego serca, wybiegła na spotkanie, mając na ustach gotową pociechę dla nieszczęśliwych ludzi, boć w oczach jej, a i w moich, niema chyba nieszczęśliwszego człowieka na świecie nad szlachcica, który musi pożyczać ryb na Wigilię. Już się miała rzucić na szyję sąsiadce, ze słowami: Miejmy nadzieję w Bogu!—jutro będzie lepiej!, już miała sercem się dzielić, kiedy sąsiadka wybuchnęła śmiechem i zawołała:—Przywożę wam nowinę prześliczną! Ani się spodziewacie, kogo będziecie mieli za sąsiada.

Zamilkła, rozbierając się z szalów i chustek, a tymczasem Ziewalski całując mię w prawy policzek, wołał:—To za szczupaka! a cmoknąwszy w lewy, dodał: — to za karasia! — a to za wszystko!— i przylepił się swemi ustami do moich na jakie dobre trzy minuty.

Nie poznałem tych ludzi: wczoraj jakby z krzyża zdjęci a dziś w brylantowych humorach; przedwczoraj pożyczyli ryb na stół wigilijny a dziś mają minę krezusów.

— Szczęśliwi albo..., pomyślałem i z uprzejmością wprowadziłem gości do saloniku.

Po przywitaniach, pani Ziewalska rzuciła się z nonszalancyą na kanapę, wystawiając swoje różowe paluszki na front, niby najcelniejsze działa, i znowu śmiać się zaczęła.

— Jakoś wesoło wypadł dla pani dobrodziejki koniec starego roku; przemówił pułkownik, odstawiając na bok fajkę.

— Ach! jakże się nie cieszyć.., przecież raz dostaniemy się w świat szerszy... zaczerpniemy powietrza dla siebie i dla dzieci... w tych Leniuchach dłużej wytrzymać było niepodobna...

— Więc sprzedane?—zapytałem.

— Kupił — odpowiedział Ziewalski, muskając wąsa — kupił je... no, droga Misiu, powiedz kto kupił, bo ja się wymówić takiego nazwiska w gronie obywatelskiem, dalibóg, wstydzę.

Pani Ziewalska, wypuściwszy z gardziołka kaskadę śmiechu, rzekła:

— Leniuchy nasze sprzedane panu... panu... za [illegible]ozwoleniem... Kiełbasińskiemu!

[illegible]jakoje nad tem nazwiskiem, co prawda zaśby doskrobanem, do rozpuku śmiać się zama wstrzymoszcz zaraz dodał:

[illegible]bastrowej, kapustą, to taki Kiełbasiński może W tej chwili ow[illegible]wać.

— A dziękuję!— wystękała pani—macie już z jednej strony Arona Szpinaka, teraz przybędzie Kiełbasiński... ładne towarzystwo!

— A kto temu winien?—pomyślałem. Język mię świerzbiał ale żona, znająca mój impet, patrząc błagalnemi oczyma, wstrzymała od wybuchu. Rzekłem więc tylko:

— Więc już nie sąsiada ale pana Kiełbasińskiego wypadnie mi zaprosić na naradę w sprawie kwestyonaryusza gospodarczego...

— A proś go sobie, drogi sąsiedzie, mnie już dajcie pokój; dosyć się żydom naopędzałem, dosyć namozoliłem nad tą niewdzięczną rolą!..

— Nie wiem — począłem — co odpowiem Towarzystwu, kiedy się wszyscy wynosicie; — hrabia Krasiński, prosząc nas o radę, nie przypuszczał, że takie pustki zastanie.

— To hrabia Krasiński sąsiadów prosi?—zapytała pani Ziewalska, pochylając się ku mnie. — A, w takim razie odmawiać nie można; mężusiu, chociaż przestałeś być rolnikiem, ale jesteś zawsze obywatelem...

— Zapewne—owszem, z chęcią wielką przyjadę na sesyę a nawet to, co uradzicie, zabiorę z sobą do Warszawy— i oddam osobiście hrabiemu.

— Co za szczęśliwa myśl — zbliżymy się do arystokracyi; mój mężu, ty i w Warszawie będziesz dla dawnych sąsiadów pracował.

— Daję panom słowo honoru, klnę się na prochy ojców i dziadów, że będę najgorliwszym członkiem Towarzystwa, że będę popierał jak największe kredyty dla was, sąsiedzi.

— O to to! sąsiedzie dobrodzieju — odezwał się dzierżawca Piaskowych Dołów, który od samego urodzenia swego, jak mawiał, żył tylko kredytem. Pani Ziewalska kończyła:

— Nie myślcie, że w Warszawie o sąsiadach zapomnę—chociaż czas nam zajmą stosunki, teatra, wyższa edukacya dzieci.. to i dla przyjaciół znajdzie się niejedna chwilka. Tęsknię jak do raju do towarzystw, o których teraz dowiaduję się tylko z gazet... Poznam Sarasatego, Modrzejewską, Mierzwińskiego... zbliżę się do arystokracyi, w której ani śladu Kiełbasińskich ale sami Zamojscy, Potoccy, Sapiehowie...

— Fiu! fiu! fiu! — odezwał się pan Chojnacki, znany weredyk — ale protest jego przeszedł mimo uszu, bo przed gankiem zadudnił węgierski wózek Hopkiewicza a on sam wpadł zaraz w podskokach do bawialni, porzuciwszy niedźwiedzie, kij, czapkę, rękawice i szalik na ziemię w przedpokoju.

† Wacław Szymanowski.

— Sąsiedzi! mam dla was brylantową nowinę!— zawołał, przywitawszy się ze wszystkimi posuwistym ukłonem, zakończonym hołupcem.

— No jaką... jaką?.. Może kredyt? — pytał dzierżawca.

— Fracha kredyt!... cło na amerykańskie zboże nałożyła już Francya, nałoży cała Europa i Amerykę dyabli wezmą! Powiadam wam, nastaną znowu dla nas złote czasy!

Po tej rakiecie wszyscy zamilkli a pani Ziewalska spojrzała na męża, wzrokiem go pytając, czy się nie zanadto pośpieszyli ze sprzedażą Leniuchów.

— To może już nie warto głowy suszyć nad kwestyonaryuszem hr. Krasińskiego?— zapytałem.

— Co my tam nowego wymyślimy! — dowodził Hopkiewicz — cło... cło na wszystko — oto cały rozum, tego żądajmy od Towarzystwa!

— A jeżeli i na nasze zboże Niemcy cło nałożą—to co poczniemy? — zapytał pan Walewski, niewierzący już oddawna w żadną dobrą nowinę.

Hopkiewicz się zachłysnął, zrobił hołupca, wykręcił się na obcasie, pomrugał oczyma izawołał:

— To na cło nie pozwolić! — właśnie w tem rozum, żeby cło tylko ich dusiło. Nie dajmy się zjeść w kaszy!

Pułkownik już się niecierpliwił, bo zaczął chrząkać i fajką o podłogę stukać, a proboszcz także coraz częściej i głośniej tabakę zażywał.

— Widzę, że kwestyonaryusz trzeba zostawić bez żadnej odpowiedzi.

— Za pozwoleniem, sąsiedzie dobrodzieju!—ofuknął pułkownik — bez jednego a nawet dziesięciu żołnierzy będzie wojna — że pan Hopkiewicz nie przyjedzie, że pana Ziewalskiego zastąpi pan Kiełbasiński...

— Przepraszam! mój mąż przyjedzie niezawodnie...—przerwała pani Ziewalska — dla samych stosunków...

— Przecież nas jeszcze jest cała ława — ciągnął pułkownik—nas, którym w głowie nie jacyś skrzypkowie i komedyanci, nie ślepe szczęście ale szczera praca, rozum i odwaga. Musimy być pająkami, co z siebie wszystko snują, a nie kuną ani lisem, szukającym pożywienia w cudzym kurniku.

Pułkownika poparło sześć głosów, a nawet i dzierżawca. Hopkiewicz najdłużej się upierał, w końcu jednak i on uległ pod warunkiem, że każde jego słowo o ocleniu zboża obcego, a wolnej drodze dla zboża naszego, będzie zapisane w protokule.

Było już późno, dalsi sąsiedzi się rozjechali, pozostało tylko kilku najbliższych, między nimi i Ziewalscy.

Po kilku lampeczkach miodu, Ziewalski wpadł jeszcze w lepszy humor i począł szeroko opowiadać, jak mu się udało wywieść w pole Kiełbasińskiego, ojca i syna;—i znowu mi dziękował za ryby, na które obaj Kiełbasińscy są łakomi.

— Stary był przekonany, że to z moich stawów, a tak się rozjadł, żem mu aż kazał sprzątnąć półmisek, bojąc się o kontrakt, który jeszcze nie był zadatkowany.

Chwalił się Ziewalski a Hopkiewicz podskakiwał na krześle, tupał nogami i wołał:

— A to z sąsiada drugi Bismark, jak Boga kocham Bismark! Ot, żeby to poznańczycy mieli takiego dyplomatę jak nasz Ziewalsio—to pan kanclerz inaczej by tańcował...

Ziewalski dziękował za porównanie go z najmądrzejszym człowiekiem w Europie, a ja zapytałem:

— A jakże tam w kontrakcie z grobami ojców i dziadów? czyś sąsiad sobie wymówił, żeby przez stary cmentarz nigdy droga nie przechodziła?

— O mało ten punkt kontraktu nie zerwał; Kiełbasiński, wpisany do kilku bractw i różańców, jak się potem mojej żonie zwierzył, obraził się, że ja nie ufam jego religijności... klął się, że on taki dobry katolik, jak my wszyscy... że szanuje groby jak relikwie... Upierałem się ale...

— W końcu ustąpiłeś?

— Nie chciałem, słowo honoru nie chciałem, wolałem rezykować los własny, los dzieci... i gdyby nie Dynia...

— To Icek cię rozgrzeszył?— pytałem, gryząc wargi.

— Upewnił mnie, że Kiełbasińskich zna, że to rodzina mieszczańska ale uczciwa, katolicka, że jeden z jego przodków ufundował kościół... Żyd bestya zna wszystkich na wylot... zresztą, mój drogi sąsiedzie, czyż już świat taki nikczemny, żeby nikomu nie ufać? Byłoby źle z nami, gdyby groby ojców i dziadów trzeba warować kontraktem... byłby to już nasz finis! Ja tego przypuszczać nie mogę, nie chcę—jestem pewny, że Kiełbasiński słowa dotrzyma, chociaż w kontrakcie nie chciał na żaden serwitut pozwolić.

Tak się tłumaczył Ziewalski, ale widać sumienie nie dawało mu spokoju, bo wychylał lampkę za lampką.

Teraz ksiądz proboszcz powstał i począł szukać czapki, a kiedym mu przypomniał, żeśmy jeszcze wiścika nie zagrali, odrzekł spokojnie ale głosem trzęsącym się ze wzruszenia:

— Nie, dobrodzieju sąsiedzie, już dziś grać nie będę—nie mam czasu.

— A cóż jegomość jeszcze robić będziesz?... przecież święto...

— Mam dziś odmówić jeden pacierz więcej, niż zwykle... odpowiedział, żegnając się z towarzystwem.

— Pewnie za tych, co w święta obfitości darów Bożych nadużyli?.. żartobliwie odezwała się pani Ziewalska.

— I za tych, którym Icek kazał sprzedać groby ojców i dziadów; odpowiedział staruszek, strzepnął czapką i ku drzwiom ruszył.

Kiedym, wsadziwszy proboszcza na bryczkę, powrócił do pokoju—Ziewalski jeszcze trzymał lampkę w powietrzu, nie wiedząc, czy ją wychylić, czy postawić, ale w końcu wychylił, widząc, że pani Micia przypatruje się z uśmiechem swoim różowym paluszkom, na które dużo liczyła w warszawskich salonach.

. . . . . .

Już dyskurs nie dał się nawiązać; zaraz po herbacie wszyscy się rozjechali a ja miałem jeszcze czas spisać listę sąsiadów, na których liczyć moż-

na, że do kwestyonarjusza coś mądrego dorzucą. Tylko z tym Kiełbasińskim była bieda... nie wiedziałem, czy go zaprosić, czy nie... Perswadowałem sobie, że przecież w Niesieckim roją się Psarscy, Owcarscy, Baranowscy, Świniarscy, Kobylańscy... doskonała szlachta, że o konduicie nowych moich sąsiadów nic złego nie słyszałem, że stan nizki, z jakiego pochodzą, idzie raczej na ich zasługę, mimo tego od Kiełbasińskich jakiś szczególny odoris mię zalatywał...

— Jak myślisz— czy go zaprosić? — zapytałem mej białogłowy, do której zawsze idę jak w dym, kiedy klina wybić nie umiem.

— A przecież to nie Niemiec... — mądrze odpowiedziała, więc Kiełbasińskich, ojca z synem, wpisałem do radzących o dobru publicznem.

Sąsiad (Wład. Maleszewski).

† Kornel Ujejski.

PIEŚŃ UKOJENIA.

Na straży niewiniątek
Jak anioł stoi;
W niej dobro ma początek,
Jej złe się boi.
Dziecko u matki łona,
Pieszcząc, kołysze;
Zbiedzonych i zmęczonych
Prowadzi w ciszę.
Burze na spokój utrze,
Gniew ułagadza;
Żebraków wygłodzonych
Do uczty sadza.
Przy niej godziny krótsze
I lżejsza praca;
Nadzieja zawiedziona
Nią się wypłaca.
Na rany, co otwarte,
Swój balsam sączy;
I mówi: „Co tu warte?
Wszystko się kończy.“
A ból gdy uśpi żywy,
Rany zasklepi,
To mówi: „Kto cierpliwy,
Będzie mu lepiej.“
Z lepszego ona świata,
Niby z westchnienia
Aniołów do nas zlata:
Pieśń ukojenia.

Kornel Ujejski.

Z KRONIK „SĘPA"

(Władysława Maleszewskiego).

Na Wystawie Majolik.

Oczy nasze i myśl gwałtem się zwracają od pięknych talerzy i wazonów na obraz majolikowy Matki Boskiej Ostrobramskiej, wyrób nieborowski, zawieszony na ścianie, jak w obozowym ołtarzu. Tłumy zatrzymywały się przed tym malowanym na kamieniu wizerunkiem i w milczeniu patrzyły na oblicze, które pod ręką artysty nic nie straciło ze swego historycznego charakteru: Matka Boża spoglądała z majoliki wystawowej, jak spogląda z pod sklepienia kaplicy wileńskiej. Ten i ów zapytywał o cenę, wszyscy żądali mniejszych egzemplarzy, bo majolika prawie łokciowa jest rzeczą zakosztowną dla średniej kieszeni—a najwięcej średniaków łaknęło owej pamiątki.

Nieśmiałym krokiem, usuwając się wszystkim na stronę i powtarzając co chwila „uniżenie przepraszam", zbliżyło się troje osób do majolik nieborowskich; on, rosły mężczyzna, z włosami jak len jasnemi, oczyma modremi jak chaber, rozglądał ciekawie talerz, po którym harcuje Zawisza Czarny, a rozglądał z takiem znawstwem, jakby sam był majstrem. Kilka uwag, półszeptem zwróconych do żony, niewiasty uśmiechniętej łagodnie, rozrzewnionej, świadczyło, że te zbytki pańskie nie były im obce... „Bardzo podobny był w większym kredensie..." dodał w końcu, wąsa pociągnął a chmura spędziła mu pogodę z czoła. Ale żona nie straciła uśmiechu, spojrzała mężowi w oczy a domyśliwszy się żalu za straconą przeszłością, położyła rękę na jego ramieniu—niby anioł skrzydło na ranie, która znowu jątrzyć się zaczyna.

Mieli iść dalej ale córeczka ich, wysmukła topolka, zawołała nagle:—Nasza Bozia! nasza Bozia! i głosikiem śpiewnym zwróciła rodziców ku majolice z wizerunkiem Matki Bożej. Wszyscy troje stanęli jak wryci;—zapomnieli, że są na wystawie: oczy łzami im zaszły, usta się poruszały może radością, może modlitwą, a dziecina napierała się, żeby Bozię pocałować. Ojciec wahał się, nie śmiał, dziecku perswadował, że widział napis: „uprasza się nie dotykać", który pewnie i do majolik się stosuje, ale córeczka nie ustępowała. Matka była odważniejszą, wzięła dziecko na ręce i podniosła do obrazka...

To najpiękniejsze wrażenie, jakie wyniosłem wystawy. Poezya na polu przemysłowem jest dziwactwem, ale czyż nie odkrywamy głowy przed krzyżem przydrożnym, chociaż za nim wiszą wieńce z warkoczów pietruszki, z koron słonecznika? Czyżbyśmy się nie przyłączyli do korowodu pogrzebowego, który przez ulice Wilna towarzyszył zwłokom starego obraźnika — d-ra Kazimierza Wilczyńskiego?

Starzec ten, o ktorym w ostatnich latach wszyscy zapomnieli, którego tylko lud ubogi nawiedzał w sklepiku ze świętościami—był niegdyś czynnym i zasłużonym na polu wydawnictw obrazkowych, był wydawcą illustrowanych „Pamiętników Paska" i „Albumu Wileńskiego". Jemu pierwszemu przyszło na myśl wyparować z naszych kościołów, z książek do nabożeństwa, z pomieszkań uboższych, nędzoty tak zwane częstochowskie; on pierwszy stanął do bezinteresownej konkurencyi z handlarzami, którzy zalewali dwory i chaty obrazami z niemieckiemi podpisami, sprzedając nieraz Fryderyka Wielkiego za świętego Antoniego, a jakąś księżniczkę niemiecką za naszą Świętą. Dziś światły kapłan łatwo może nabyć dla swego kościołka, najuboższego nawet, przyzwoite obrazy, ale wówczas musiał je za drogie pieniądze kupować od znanych artystów albo tanio od obraźników wędrownych, zamykając oczy na ręce dwułokciowe, głowy karykaturalne, serca tak poranione i czerwoną farbą ociekłe, że aż się źle robiło patrzącemu na nie.

Ś. p. d-r Wilczyński to nie kramarz ani spekulant—cały swój majątek poświęcił na wydawnictwo obrazkowe, którem kierował z wielką znajomością sztuki, opłacając litografie paryskie, bo wówczas krajowych nie było.

Raz tylko spotkałem się w życiu z tym zacnym obywatelem, uczonym i miłośnikiem sztuk pięknych; ja szedłem za miasto zobaczyć, gdzie Wilia płynie a on obchodził z kilku znajomymi góry ponarskie, upatrując punktu, z któregoby najlepiej zdjąć panoramę Wilna. Przedstawiłem mu się jako przybysz z Warszawy; nie byłem jeszcze wówczas ani kawałkiem literata, ale wyściskał mnie, wycałował, dowiedziawszy się, żem przyjechał sprawdzić, mówił żartobliwie, czy Mickiewicz prawdę o Wilii napisał. Odwiedziłem go nazajutrz; pokazał mi swoje zbiory, opowiedział projekta na przyszłość i obdarzył na pamiątkę wizerunkiem Ostrobramskiej; chciał dodać jeszcze wizerunek mego patrona ale nie miał go w swojej kolekcyi; obiecał jednak, że go przyśle. Nie przysłał. Ten dług serdeczny poniósł z sobą na tamten świat, zapomniał; bo że chciał wszystkich obrazkami obdarzać, że wierzył w nie jak w talizmany, tom widział z tej gorącej wiary, z jaką wymawiał „niech cię strzeże", dając mi obrazek z modlitewką.

Biedak! nie przewidywał wówczas, że skończy swój żywot w zapomnieniu, w ciasnym sklepowym kącie—ale może też nie przewidywał, że za ubogą trumną, w której spoczęły zwłoki w wytartą suknię odziane, iść będą tłumy, które o starym obraźniku niewiele wiedziały. Zasługa niepokalana nagle jak z nieba zlatuje i po nad trumną dopomina się o swoje prawa; — w jednej chwili niewidomemi znakami wypowiada to, na opisanie czego potrzeba ludziom nieraz ksiąg grubych. Nie wiemy, jaki obrazek włożono do rąk zasłużonogo starca — ale nie inny pewnie tylko wizerunek Ostrobramskiej; wszyscy mieszkańcy zakątka na Rossie, i Syrokomla między nimi, pod opieką tej Królowej niebieskiej w świętej ciszy spoczywają.

Pogrzeb Biskupa.

Kto traci drogą osobę, ten wyczekuje cudu; wówczas nie wierzymy w mądrość lekarza, który zapewnia, że już życie skończone, wpatrujemy się w oblicze, po którem śmierć przeszła, tulimy usta do serca, do ręki i chociaż oczy zamknięte na wieki... czekamy, kiedy one znowu spojrzą.

Takim niedowiarkiem i my byliśmy, po odczytaniu pierwszych telegramów o śmierci ś. p. księdza biskupa Kazimierza Wnorowskiego, a przecież telegramy wyraźnie mówiły, że człowiek już nie żyje, że zapalenie płuc z początku niewielkie, nagle stało się ciosem zabójczym dla chorego, który Bogu oddał ducha w dniu 20 kwietnia, o godzinie 10 i pół wieczorem.

Nie chcieliśmy wierzyć, bośmy pragnęli, bośmy wmawiali w siebie, że śmierć jest litościwą, że siłą naszej miłości, naszego uwielbienia, naszej czci synowskiej zwyciężymy rzeczywistość i zmusimy żałobne dzwony do milczenia, zmienimy płacz i narzekanie na ogólną radość.

Szlachetni ludzie oddaliby ostatnią szatę, nakazali sobie posty i umartwienia, modlili się w świątyniach i domach—chcąc uratować swego pasterza... ubogiego pasterza, który, będąc księciem Kościoła, nie miał nawet na opłacenie lekarzy, bo wszystko co rano zebrał, wieczorem oddawał ubogim. Wielbiciele ś. p. Biskupa—a wielbiło go całe miasto, cała dyecezya, kraj cały—złożyli poważną sumę na honoraryum dla lekarza warszawskiego, a chociaż ten nic nie przyjął i pospieszył z pomocą tak samo bezinteresownie, jak jego koledzy lubelscy — niemniej intencya parafian nie straciła swej wzniosłości.

W tych tłumach, wyczekujących pod murami biskupiego pałacu, w tych ofiiarach złożonych na potrzeby chorego — widzimy chrześcijan różnych

† D-r Antoni J. Rolle.

wyznań i izraelitów... Kiedy prawda stała się już oczywistą, wieże kościołów zapłakały spiżem, po domach chrześcijańskich modlono się, ulegając niezbadanym wyrokom Bożym, a w synagodze i w izdebkach izraelskich nędzarzy słychać było jęk przeciągły — jakgdyby się wydobywał z pod gruzów starej Jerozolimy.

I teraz jeszcze, kiedy już ciało ś. p. Biskupa w poświęconej ziemi spoczywa, kiedy inny kapłan dzierży berło rządcy dyecezyi lubelskiej, kiedy bieżące życie porwało już za sobą pierwsze wrażenie, pierwszą boleść—w Lublinie smutno, w rodzinach przypominają sobie czyny świątobliwego kapłana, a ubodzy wciąż się skarżą, że im Bóg zabrał anioła... Długo jeszcze smutno będzie. Smutek nie rozbija się jak gliniane naczynie; nie tylko kwiat bujny a płonący kolorami nęci nas do życia, wiąże nas z niem i smutek, jeżeli jest dzieckiem miłości, jaka łączyła wiernych z ich ś. p. ojcem duchownym.

Czemże się ten mąż opłakiwany zasłużył, że go tak wszyscy kochali, że go tak żałują? Był uczonym człowiekiem, zdolnym pisarzem i kaznodzieją ale duchownych z nauką i talentami nigdy nie brakowało w Kościele polskim; był pracowitym i poświęconym dla dobra swych owieczek, ale iluż mamy plebanów, którzy nie pytają, co się z nimi stanie, kiedy w noc burzliwą, w ulewę i zawieję, do chaty zarażonej niosą święty wiatyk konającemu;

był miłosiernym ewangelicznie, bo tylko to do niego należało, co miał na sobie—ale miłosierdzie naszych duchownych karmiło tłumy nędzarzy, pogorzelców, sierot, budowało szpitale, wykupywało niewolników; był najlepszym synem, nad grobem swej mistrzyni płakał jak dziecko a w strasznych boleściach konania uśmiechał się do swojej drogiej „mateczki", ciesząc się, że ją znowu zobaczy., ale czyż dobrych synów, czcących pamięć swych przodków już tak brakuje naszemu społeczeństwu, że za miłość dziecięcą stawiać trzeba pomniki w sercu narodu?... Nie, ś. p. Biskup był jednym z najlepszych kapłanów obywateli ale nie był jedynym; on sam to potwierdził swoją pracą wytrwałą, ożywioną wiarą w jej skuteczność... a jakżeby w nim ta wiara być mogła, gdyby nie widział obok siebie bliżej i dalej pracowników odważnego ducha, wypróbowanej cnoty i bezgranicznej miłości? Sam obowiązek dużo zdziałać może ale nie wszystko; wybuduje on gmach po najwyższe zręby, lecz nie założy na kopule piorunociągu; spełniwszy swoje zadanie na dziś, nie będzie się troszczył o jutro, w które nie wierzy. Więc w czemże była ta nadzwyczajność? — w tem chyba jednem, że ś. p. Biskup wszystkie cnoty, które w innych stanowią wybitną cechę ich charakteru, porównał w sobie tak, że żadną oddzielnie nie olśniewał, że żadną się od nikogo z czcigodnych a mądrych duchownych nie wyróżniał, tem, że chcąc go ocenić, trzeba patrzeć nie na ten lub ów czyn ale na życie całe, na całego księdza—obywatela.

Będąc uczniem w seminaryum kieleckiem, unikał wszelkich pochwał, ale był uczniem wzorowym, lewitą bogobojnym, jakim powinien być każdy, kto suknię kapłańską za głosem natchnienia przywdziewa. W suknie tę oblókł się z dobrej woli młodzieniec zaraz po ukończeniu gimnazyum kieleckiego, ojciec zaś—zasłużony pedagog—i matka intencyi syna tylko błogosławili, nie skłaniając go do niej żadnym moralnym przymusem. Takim samym później był nauczycielem w temże seminaryum, potem zaś proboszczem w Szańcu—a w końcu takim samym księciem Kościoła, biskupem lubelskim.

Wszędzie był wzorowym kapłanem, doskonałym człowiekiem; czyny jego, o których ludzie mówią, to tylko znaki, po jakich poznaje się wybranych — ale ideał kapłana opiewa nie statystyk tylko serce, co ma swoję mowę, różną od mowy ust głośnych, swoją muzykę, różną od muzyki strun metalowych.

Ś. p. Biskup był wątłym fizycznie a pracował jak olbrzym; był cichy i małomówny a unosił się świętym zapałem, kiedy nauczał lub ostrzegał; był sługą prostaczków, jak każdy poczciwy pleban, a na stanowisku biskupiem zachował majestat trono wi przynależny; umysł miał rozległy, wiedzę głęboką, nie wyklinał postępu ale nauczał pacierza i katechizmu jako mądrości, na której świat stoi; wiedział, że jak duch potrzebuje ciała, tak majestat biskupi blasku a ostatni grosz oddawał ubogiemu. W tych sprzecznościach nie było nic jaskrawego, nikogo one nie dziwiły.

I dlatego to ten dostojnik kościoła—ten książę z pastorałem w ręku, ten pan w złotem tkanych szatach jest w naszem wspomnieniu bosym pielgrzymem, który z sakwami na plecach zbiera okruszyny dla ubogich i sierot; i dlatego to gdybyśmy go zobaczyli przybitego do krzyża, umęczonego a błogosławiącego swym nieprzyjaciołom—powiedzielibyśmy, zalewając się łzami: taki człowiek nie mógł inaczej umrzeć! I umierał też ze spokojem, ze słodyczą anielską, a kiedy straszne boleści ustawały na chwilę i chory mógł mówić — pocieszał, umacniał i zapewniał, że cierpienia sprawiedliwych miną, prosił, żeby się nie trwożyć jego zgonem, bo nie na jednym człowieku prawda spoczywa. Umarł przytomny i bez skargi. Ta przyboś, ta wytarta suknia, te sakwy... nie ubliżały dostojnikowi... kwestarz i biskup szli za jedną radą: nie czyń nic połowicznie — na jutro nic nie odkładaj.

Nie wszyscy, co czcili Arcypasterza, mogli zbolałe głowy przytulić do murów, osieroconych przez swego pana; nie wszyscy mogli zgiąć kolana na bruku dziedzińca pałacowego i razem z braćmi różnych wyznań rzewnie zapłakać; nie wszyscy mogli docisnąć się z ramieniem swojem do trumny, ale wszyscy mogą upamiętnić swój żal ofiarami na pomnik.

Niech górnicy kieleccy wydobędą z gór marmurowych najpiękniejsze odłamy, niech artyści pomniki z nich wykują; jeden pomnik stanie na lubelskiej mogile a drugi w katedrze kieleckiej. Kamień pogodzi z sobą parafie i miasta i wskaże pielgrzymom, gdzie mają podążać, aby grób kapłana—obywatela błogosławił ich pracy.

Romantyzm.

Niema kronikarza w żadnym narodzie posiadającym żywą literaturę, któryby nie wspomniał w tej chwili o wielkim poecie Francyi—więc i my milczeć nie możemy. Wchodziłem w świat literacki w epoce, kiedy romantyzm Hugona był dla piszących ewangelią a każdy jego wiersz manifestem wstrząsającym młodą duszą. Pod wpływem jego słowa wyrzynały się nasze pierwsze literackie ząbki, a chociaż złote sny już minęły, nie zeszedł nam z oczu poeta, z którym się przepędziło nie jednę godzinę w osamotnionych murach, któremu winniśmy

znajomość z niejednym nadzwyczajnym bohaterem; poeta zbroił nam pięść tylko poetycznemi strofami a jednak była ona zrezygnowaną na wszystko.

Pierwszą lekcyę o Hugonie dał mi Włodzimierz Wolski, który chętnie obcował z laikami literackimi. „Chcesz wiedzieć, kto jest Hugo — mówił, pociągając swą hiszpankę—to idź do psiarni i zobacz, jak się kundysy zagryzają. Hugo nie chce, żeby narody żyły z sobą jak psy—poskramia je poezyą, jak psiarek poskramia czworonożnych batem i kijem“. —Definicya ekscentryczna ale dużo ma sensu:—Hugo burzył wały dzielące ludzkość na hordy wrogów, a nie odbierając nikomu narodowości, wołał o braterstwo w imię sprawiedliwości ludzkiej i woli Boga, w którego po wielu zwątpieniach, ukorzywszy swą pychę, uwierzył głęboko, otwarcie, pochylił głowę uwieńczoną wszystkiemi zaszczytami ziemskiemi przed Najwyższym.

Wobec tej wiary resztę przekonań poety można zapisać na karb dziwnej organizacyi umysłowej, z której wyszły szczytny typ kapłana katolickiego i potępienie hierarchii, która takiego kapłana wydała. Sprzeczność — to najpotężniejsze skrzydło geniuszu Hugona.

Wystarczy spojrzeć na własnoręczne jego rysunki, przedstawiające stare zamczyska, podziemia, zniszczone pola, opuszczoną izbę... aby go zrozumieć... Ani jednego tła pogodnego, ani jednej linii spokojnej—wszędzie ciemność, burza, pioruny, ściany połamane, pola zorane, rozpacz i zniszczenie, a nad tem albo księżyc w lód ścinający ziemię całą, albo słońce wypalające roślinność, mózg i oczy; nigdzie gwiazdki uśmiechniętej, nigdzie tego łzawego uroku, jakim jaśnieje arcydzieło, którem dziadek naucza sztuki kochania swoich wnucząt. Dziadek serdeczny, poczciwy obok potworów krew wysysających! trudno wierzyć, żeby to i tamto ta sama ręka pisała.

Żaden z poetów nowożytnych tak nie oddziaływał na umysł młodzieńczy, jak Hugo swoim romantyzmem bohaterskim; przy dziesiątym wierszu poety ogarniał czytelnika zapał, pod świeżem wrażeniem nic dla najsłabszego dzieciaka nie było niepodobnem do wykonania. Raz, po połknięciu jednym tchem jego kilkuna-tu kart płomiennych, nie mogliśmy usiedzieć w studenckiej izbie, a już była noc późna i wicher szalał po dachach miejskich. Wyszliśmy na puste ulice aby odetchnąć, aby wyciągnąć ramiona i spojrzeć w oczy jakiej awanturze; nie znalazłszy jej na bruku, poszliśmy szukać na wodzie. W małej łódce puściliśmy się na Wisłę, nie zważając, że przewoźnik ledwie się trzymał na nogach i wicher podrzucał łódką jak kołyską. Płynęliśmy długo pod eskortą śmierci a nie czuliśmy jej wcale, drwiliśmy z wichru i z fali i z przewoźnika pijanego...

Adam Krechowiecki.

Innym razem na wycieczce koleżeńskiej w poza-miejskie okolice, rozgrzani deklamacyą kolegi, chcieliśmy się rzucić na karczmę i zburzyć ją, jako gniazdo nieszczęść ludu, ogłupianego wódką. Karczma była murowana a ręce nasze bezbronne: zapał rozbił się o mury ale kilka szyb pękło i szynkarz wylał kwartę okowity na podłogę, zamiast w kieliszki wieśniaków, wracających z jarmarku. Manifestacye nasze dziś wyglądają na psoty żakowskie ale wówczas miały źródło w szczerem oburzeniu, w szlachetnym zapale — były one dziełem poety.

Naczytawszy się powieści Hugona, w każdej butelce widziałem truciznę, a w łojówce, przy której po całych nocach wiersze jego tłumaczyłem, pochodnię do podpalenia na cztery rogi świata całego, jeżeliby ten chciał się poić łzami niedoli. Poeta nie miał żadnych względów dla zasady „siła przed prawem“, nawet patryota do tego środka nigdy się nie uciekał, — wierzył tylko w siłę miłości i przebaczenia, w siłę ofiary bez granic. Był to nieraz dziwak genialny i grzesznik, mierząc go wiarą naszą, ale za miłość daną swoim i wszystkim nieszczęśliwym, dużo mu przebaczonem będzie.

Nie do nas należy wtrącać się do hołdu, jakim cały naród otacza pamięć swego olbrzyma; ponad jego trumną pierwsi katolicy podali rękę ateuszom, aby niezgodą nie budzić tego, który w ostatnich chwilach tak się do Boga wyrywał.

Po Hugonie zostały nieśmiertelne arcydzieła ale pozostały także tylko wspomnienia, z wielu jego tworów życie już zbiegło, przetrwała tylko mistrzowska forma; lecz ma on w swej dziedzinie boga, który nigdy się nie przeżyje, który wiecznie sercami wstrząsać będzie — tym bogiem to lud, to prostaczkowie, to ubodzy, to nieszczęśliwi pozbawieni swojego nieba, w własnym domu tułacze, to jego anioły ziemskie—dzieci.

Józef Ignacy Kraszewski.

Kraszewski już spokojny...

Na boleść wielką musieliśmy szukać ulgi, aby nie zdradzić posterunku, na którym trzeba stać trzeźwym i mężnym, jak stał do ostatniej chwili nasz mistrz, nasz nauczyciel, nasz ojciec duchowy. Ulgi nie szukaliśmy w starej prawdzie, że wszystko co z prochu powstało w proch się obróci — byłaby to bezsilna rezygnacya; nie szukaliśmy jej w przeświadczeniu, że tylu wielkich już utraciliśmy—byłaby to niewdzięczność; szukaliśmy ulgi w cierniach, jakie podesłało życie pod nogi Kraszewskiego i znaleźliśmy ją... On już cierni nie czuje, już mu jest dobrze, już jest spokojny.

Na łożu śmiertelnem spoczywa wielkopomnej zasługi mąż, który dał życie duchowe kilku pokoleniom, którego ręka dziś już bezwładna przez pół wieku karmiła cały naród. Przenosimy się myślą na obcą ziemię, do zajazdu genewskiego pod godłem „Pokoju", i patrzymy na oblicze czcigodne i klękamy przy łożu, aby drżącemi usty dotknąć ręki, która nam już nic nie da...

Czyż mamy przypominać zasługi, jakie Kraszewski dla narodu położył?... Któż ich nie zna. któż nie jest jego dłużnikiem—my wszyscy wykarmiliśmy się jego myślą, na nas wszystkich spłynęła sława, jaką posiadł u obcych.

I Kraszewski miał swoją wiosnę, swoje lato—obdarzony olbrzymim talentem i równie olbrzymim zapałem do pracy, nie wypuszczał z ręki ani na chwilę sierpa; ale żniwiarz ten nawet w zimie swego życia nie schodził z pola i jak za dni wiosennych zachęcał do wytrwania — do wiary w sprawiedliwość.

Mógł on grzeszyć zwątpieniem, kiedy noce bezsenne przepędzał w więzieniu magdeburskiem—grzech ten byłby mu łatwo przebaczonym, lecz nawet z za kraty pruskiej wysyłał w świat: Hosanna!

Ani jedno słowo zwątpienia w tych czarnych chwilach nie zrodziło się w jego duszy a jeśli się i zrodziło — to truł niem tylko siebie, czytelnikom go nie dawał.

Odzyskał nareszcie wolność ale nie odzyskał już zdrowia; zgarbiony, schorowany, przenoszony na rękach, jak dziecko, nie szydził z życia, które kończyło się takiem kalectwem, ale mówił: warto pracować—i pracował.

Tej potęgi ducha miał zapas niewyczerpany, leczył on nim także braci po lutni; z San-Remo wybrał się do druha swojego Lenartowicza, do Florencyi, aby pokrzepić go nie twarzą swoją zapadłą, nie postawą pogarbioną ale słowem, które nigdy nie rodziło zwątpienia. I wrócił do swego gniazdka zacisznego pocieszony, że spełnił dobry uczynek, że druha uleczył on, stary, bezsilny rozbitek, i myślał znowu zabrać się do pracy; niestety, pracy tej nie widział nawet początku, bo zaledwie z podróży wypoczął, trzęsienie ziemi nawiedziło San-Remo i zrujnowało jego domek najęty. Przeniósł się do budki w ogrodzie, zbitej z tarcic, bez żadnej wygody, nie wiedząc co robić — zostać czy uciekać... i na jaki kraj świata.

W tej budce, wobec ruin świeżych, siedząc na tapczanie, nasz olbrzym ducha jeszcze kreślił listy i rysunki, jeszcze pismem opowiadał o strasznej klęsce, której padł ofiarą. Kiedy wszyscy załamywali ręce i z rozpaczą pytali: Boże! za co nas tak ciężko karzesz?!—on znosił krzyże z pokorą.

Wierzył, że jak Mistrz Boży Golgotą zbawił ludzkość całą, tak każdy z nas cierpieniem swojem mężnie znoszonem może odkupić braci, którzy cierpieć nie chcą lub nie potrafią.

Kraszewski opuścił ową budkę i pojechał na gościnną ziemię Helwetów, do Genewy, gdzie go oczekiwał drugi mistrz sędziwy—T. T. Jeż.

W zajeździe pod godłem „Pokoju" myślał odpocząć, aby potem zająć się wynalezieniem stałego mieszkania... znalazł je, nie szukając, znalazł w grobie na ziemi pięknej, szlachetnej, sławnej i bohaterskiej ale nie swojej.

Zasnął na ręku kilku rodaków, otoczony życzeniami przyjaciół, którzy solenizantowi nadesłali telegramy z różnych stron świata; telegramów, listów, które tak lubił odbierać, już nie czytał, już ich nie rozumiał, agonia trwająca dni kilka zakończyła się śmiercią w sam dzień Świętego Józefa—w dzień imienin.

Kiedyśmy wysłali od siebie życzenia, już d-r Laskowski doniósł był Warszawie o groźnym stanie swego dostojnego pacyenta — jednak wieść ta nie powstrzymała nas; tak gorąco pragnęliśmy, żeby żył... pragnienie dało nam wiarę—czekaliśmy prawie pewni na wiadomość, że niebezpieczeństwo minęło.

Tym razem wiara nas zawiodła.

Gdzie spoczną najczcigodniejsze szczątki Kraszewskiego, czy będziemy mogli uczestniczyć w oddaniu im ostatniej posługi? o tem jeszcze nie wiemy. Niech śród nas wyrośnie jego mogiła, miejmy możność dzieciom swoim pokazać miejsce, gdzie spoczywa nauczyciel ich ojców, mistrz starej wiary, dzwonnik, który przez całe życie ostrzegał, że popiół gorszy od płomienia, zwątpienie od głodu.

Dzwon jego odzywał się ciągle: Ducha nie gaście! Chociaż ręka dzwonnika już martwa, spuścizna jego wiecznie przypominać będzie hasło to samo.

Korząc się przed wyrokami Boga, żegnamy cię, Mistrzu nasz ukochany, drogi. W świątecznej szacie ducha zbliżamy się do zwłok jednego z największych mocarzy literatury polskiej, kładziemy je na złotych marach i niesiemy na barkach do grobu, wysłanego nie laurem ani wawrzynem ale liściem polskiej brzozy i lipy, nie złotogłowiem, ale gałęźmi podlaskiej wierzby, do której tęsknił na obczyźnie...

W tobie nasz, Mistrzu nieśmiertelny, żegnamy także serdecznego przyjaciela naszego pisma; pracowałeś z nami ciągle od samego początku narodzin Biesiady. Nie ujrzymy już na jej kartach ciepłych, mądrych słów Twoich, nie skorzystamy z rad i uwag ojcowskich. „Listy z zakątka“ już się skończyły; z zakątka, który teraz zamieszkałeś—daj nam swoje błogosławieństwo!

Z pamiątek po J. I. Kraszewskim.

W puściźnie literackiej po niezapomnianym, ukochanym nauczycielu dostało się i nam kilka pamiątek.

Kiedyśmy wyjęli z różnych skrytek biurkowych wszystkie papiery, na których ręka Kraszewskiego zostawiła swoje ślady—zdziwiliśmy się temu ogromowi korespondencyi; gromadziła się ona od roku 1872, od chwili, kiedy siedząc na roli a tęskniąc do pióra, radziliśmy się Kraszewskizgo, jako także byłego hreczkosieja, jakie pismo założyć, jak je prowadzić aby nikomu nie wejść w drogę a społeczeństwu przysporzyć coś dobrego. Od tej chwili korespondencya między nami nie ustała, a chociaż tłem jej były interesa wydawnicze, niema w niej listu bez znaczenia ogólniejszego, bez pogawędki o tem, do czego ludziom „nic do tego“, bez myśli, którejby nie warto było z korespondencyi wyłuskać i przekazać potomności, jakiś rys charakterystyczny pisarza i człowieka.

Do tego wyłuskiwania zabraliśmy się ale wnet nam ręce opadły—po świeżej a tak bolesnej stracie, nie potrafiliśmy patrzeć na listy jak na zwykłe do-

Karol Brzozowski.

kumenta; my w nich słyszymy jeszcze głos jego, czujemy to ciepło, jakiem nas darzył w każdej chwili; patrzymy na te pamiątki ze łzą w oku a wydobywając je z ukrycia, myśleliśmy jak je zachować od zniszczenia, komu powierzyć, aby dostały się kiedyś dzieciom lub książnicy publicznej. Czujemy ich wartość teraz głębiej niż w chwili ich odbierania... ta korespondencya mówi do nas niby żywy człowiek.

Najpierw czytam słowa: „Cierpię cierpliwie i Bogu to oddaję... niech Bogu będą dzięki, ze dał jeszcze odetchnęć swobodnie, gdym już był tracił nadzieję... Bóg dał, Bóg wziął...“ Słowa podobne powtarzał przy każdem użaleniu się na losy i ludzi, a powtarzał pokornie, z głęboką wiarą, jakby wychodziły one z ust dziecka, co pacierzem kończy pracę dzienną i jest pewne, że Bóg w noc burzliwą nad niem czuwać będzie.

Wiara Kraszewskiego nie ograniczała się na frazesach, które inni ludzie instynktowo, dla uspokojenia własnego sumienia wciąż powtarzają; od miejsca, w którem Kraszewski wymówił owo poddanie się woli Bożej, myśli jego płyną spokojniej, weselej, zgryźliwość znika, słodycz i przebaczenie spływają z pióra... jakby się wykąpał, jakby odrodził w tem westchnieniu do Pana.

Wiara Kraszewskiego miała szatę widomą a nią był Kościół katolicki; szanował jego tradycyę, jego świętość, jego obrządki, jego leki dla duszy. W jednym z listów do nas, pisząc o ciężkiej chorobie, która go trzyma od kilku tygodni zamkniętego w domu, mówił w końcu: „Modlę się, aby Bóg pozwolił dostać się na moje śmietnisko... Z wolą Bożą zgadzać się i do końca się trzymać, o ile zdołam, będę... Wiosnę widzę tylko przez okno, bo dotąd nie wychodzę, jutro zbiorę się do kościoła..." Mówi o tem z ożywieniem, jakby czuł, że Msza święta, widok ołtarza prędzej go uzdrowi niż lekarze i apteka. Nie była to wiara samolubna ale ludzka; inaczej tęsknią Święci, lecz zwykły śmiertelnik w kościele szukał pociechy, siły dla duszy, pokrzepienia.

Trzymając się Kościoła nie mógł być obojętnym na to, kto zasiada na tronie Piotrowym; o dzisiejszym Ojcu św. mówi z widocznem przejęciem się: „Powszechnie tu są (list z Florencyi d. 11 marca 1878 r.) najpiękniejsze nadzieje na Papieżu Leonie XIII. Energia i wyrozumiałość w nim się łączą, wielkie zdolności i charakter." Dla Papieża Piusa IX czuł Kraszewski szczerą sympatyę i cześć; wspomnienia o nim przechowywał troskliwie, łagodne oblicze papieskie chciał mieć przy sobie, przed oczyma; znakomitemu rzeźbiarzowi Paglienetti'emu w serdecznych słowach dziękuje za postać Ojca Świętego, a nam się tłumaczy owem przywiązaniem, że oryginalnej fotografii nie przysyła: „Mam fotografię owego cudownego posągu Piusa IX, przez profesora Paglienetti, ale nie mogę się z nią podzielić. Może inną dostanę: warto ją dać... bo to jest arcydzieło."

Przerzucając wzrok z listu na list, w tym stosie korespondencyi nagromadzonej bezładnie, w językach polskim, francuskim i niemieckim, z Drezna, Florencyi, Homburga, Hyéres, Pau..., Magdeburga... od pierwszego z San-Remo... do ostatniego z Florencyi, d. 12 lutego r. b., natrafiliśmy na kilka listów opatrzonych ołówkowemi winietkami.

I winietki te mają swoją historyę, jak wszystko co wyszło z pod ręki olbrzyma talentu, pamięci i pracy; pisze on sam o nich z Drezna: „Nie dziwujcie się rysowanym winietkom i nie wyciągajcie z nich wniosków. Smutna to historya. Po obiedzie zawsze napada mnie senność, a gdy się zdrzemnę—głowa boli— więc, broniąc się od snu, rysuję i mażę papier... ale czasem i to nie pomaga."

Jedna winietka jest na liście francuskim z więzienia w Magdeburgu; z za murów fortecznych tęsknił do świata, do swoich, do ogródka wiejskiego - rysował więc bukiety, liście i powoje, nie mogąc ich widzieć ani dotykać. W liście tym, pod bukietem, narzeka na nieznośną wodę do picia.

Ciężkie... tłumione westchnienia wyrywały się w więzieniu z piersi Kraszewskiego, ale jak tylko zaczął narzekać. zaraz przychodził mu na myśl Bóg, poddawał się cierpieniu i skargi przerywał. Cierpienia moralne i fizyczne przygniatały go okropnie — w jednym z listów francuzkich pisze: „Z niczem nie da się porównać utrata wolności, a wy tego nie rozumiecie!... szczęśliwi... nie zamknięci!..."

Narzekania na ogromnie kosztowną kuracyą, na wydatki po hotelach, u wód, gdzie zdzierają bez litości, w listach są częste; i w tych narzekaniach powszednich znajdujemy szczegóły nie obojętne dla historyi sztuki: „Musiałem — pisze z Drezna — sprzedać prześliczny fortepian, kupiła go Sembrich." Więc znakomita śpiewaczka, którą Kraszewski zachęcał do poświęcenia się teatrowi, posiada fortepian, którym się wielki pisarz bawił w chwilach wolnych, improwizując i wygrywając cudze utwory.

Skromność Kraszewskiego była wielka, prawie tak wielka jak jego sława; lękał się głośnych owacyj, szczerze pragnął spokoju, odosobnienia, nie pozbył się natury szlachcica polskiego, któremu najmilej czas schodzi na pogawędce z sąsiadem, bez nowych znajomości i parady światowej.

Drżał na myśl swego jubileuszu; kiedy się dowiedział, że ma być świetny, modlił się o siłę do zniesienia tej radości, rad był chwilę tę odwlec a nawet wyminąć ją zupełnie. „Jest bardzo prawdopodobne, że zjazdu w Krakowie rząd austryacki zabroni... Nie gniewałbym się za to, tylko by mi żal było tylu miłych osób nie widzieć." Jednakże umiał ocenić to wielkie święto. czuł majestat, jaki mu rodacy zgotowali: „Dla mnie to będzie dzień taki, że kto go przeżyje, powiedzieć może: Nunc dimitte servum tuum Domine... Sił trzeba nawet na to, aby tak szczęśliwą przeżyć chwilę, jakiej mało kto dożył. Fiat voluntas Tua."

Nie mógł ten miłować głośnej sławy, kto tak tęsknił do owych uciech rodzinnych, jakie był zaznał śród swoich w domu rodzicielskim. Z zakątków na obczyźnie przesyłał nam życzenia świąteczne, a zawsze dodawał ubolewanie, że w tej uroczystości chwili będzie śród obcych:

„Wczoraj w niemieckiej restauracyi, bez siana, bez snopa, jedliśmy smutną wigilią. Opłatek przyszedł z Krakowa: było nas kilku tylko a kilku chorych nie było. Smutno—tęskno..." Pisał to z Drezna d. 25 grudnia 1885 r. A z San Remo przed Wielkanocą r. z. „Alleluja! a! wy szczęśliwi! Rodzina... na Wigilię złamany opłatek... na Wielkanoc dzielenie się jajkiem... a tu... a tu... tęsknota z chlebem powszednim i ciszą pustyni. Ten tylko zrozumie, co my cierpiemy, kto skosztował tułactwa. Alleluja!" A z jaką rzewną radością mówi w li-

Jan Zacharyasiewicz.

ście francuzkim o babach wielkanocnych, nadesłanych mu do celi więziennej. „Przysłano mi dwie baby ze Lwowa, jedną z Poznania, jedną z Otłoczyna, z Królestwa, a ja nie mogę ciasta nawet szkosztować... ale ucałowałem je...“

Kraszewski umiał przebaczać; pomimo tylu krzywd, jakich doznał od Niemców, ma on słowa życzliwe dla niektórych a nawet o tym i owym Prusaku wyraża się przyjaźnie, przyznając, że doznał od niejednego z nich życzliwości. Jednak niemiecka idea, wroga Polakom, przeraża go—lęka się on jej jako człowiek, który w rządach świata postawił sprawiedliwość przed siłą. „...Nic niema straszniejszego nad to zamknięcie, nad to wydarcie wolności...“ pisze po francusku z Magdeburga, a hamuje się, aby więcej nie powiedzieć przeciw swym dozorcom, którzy listy jego przed wyprawieniem na pocztę czytali. W innym liście pisze o Niemcach: „Bóg niech zmiękczy im serca... jeżeli je mają,“ a po wyjściu z wiezienia ostrzega, jak orzeł, który w klatce połamał sobie skrzydła: „Odpoczywajcie gdzie chcecie, ale na Boga! niech nikt do Niemiec nie jedzie!“ W liście z Drezna d. 31 marca 1884 r., pisze: „Męczarnie zapowiadają się nie tylko przeciw mnie, ale przeciw nam. Vae victis!“

Jeszcze tylko jedno wypisuję z pamiątek: jego dobrowolne, bez pytania z naszej strony uczynione zwierzenia, które właśnie jest czas ogłosić, kiedy

toczą się narady, gdzie mają spocząć szczątki czcigodne.

W liście z Drezna d. 31 marca 1884 r. pisze: „Dla wszelkiego bezpieczeństwa zrobiłem urzędowy testament, tak wypadło."

A w liście wcześniejszym z Drezna, d. 5 listopada 1880 r.: „Kiedyś jak błyskawica wam przyjdzie wiadomość: Kraszewski przy stoliku, w krześle— usnął na wieki..."

„Upomnijcie się aby serce moje przenieśli do Ś-go Krzyża, gdzie mnie ochrzczono."

Juliusz Kossak.

Obsiedliśmy stół redakcyjny, przy którym pierwsze miejsce zajmował Ludwik Jenike, naczelny kierownik „Tygodnika Illustrowanego". Na stole były rękopisy: rysunki, teki, księga protokularna i papierosy. Uwagę Jenikego co chwila przerywał to ten, to ów, spostrzeżeniem, nie mającem nic spólnego z przedmiotem czytanym, lub najświeższą wiadomością brukową i dowcipem, od którego pomimo dzwonka, chrząkań i upominań redaktorskich, nie mogli się powstrzymać Kostrzewski, Anczyc i Szymanowski. Niesforność ta irytowała Jenikego, który uważał komitet redakcyjny za grono senatorów, od których wyroków zależą losy nietylko pisma ale i społeczeńswa. Nareszcie i sam kochany prokonsul wybuchał śmiechem, grożąc jednak, że takie przekroczenie statutów zapisze do protokułu, na wieczny wstyd szanownych kolegów.

— Zgadzamy się na protokuł! — odezwał się tonem poczciwie rubasznym Szymanowski—ale niech go Kossak illustruje. Kossak, rysuj! — zwrócił się do pana Juliusza, podając mu papier i ołówek.

Jenike zły, że nie słuchano czytania jakiegoś bardzo mądrego ale nudnego artykułu, zgromił Wacka (Szymanowskiego) lecz jako redaktor, myszkujący po wszystkich kątach, aby najlepsze rzeczy zabrać dla Tygodnika, chciał także zobaczyć, co pan Juliusz narysował.—Może z tych psich figlów skorzysta i pismo—rzekł udobruchany.

— Ale bezpłatnie!—zaprotestował wówczas z kanapy wydawca, Unger, który miał między innemi i tę zaletę, że do redakcyi nie wtrącał się wcale, tylko pilnował kasy Tygodnika. Zwykle hojny, targował się do upadłego o kilka kopiejek, jeśli mu się zdawało, że rysunek obyłby się bez takiego wielkiego nieba, na jakie artysta sobie pozwolił, lub poemat bez kilku ostatnich strofek, za które trzeba zapłacić tak samo, jaki i za początkowe, niezbędne dla utworu. Dla gościnnego nad wyraz wydawcy każda praca literacka była tylko artykułem, bez względu, czy to powieść, poemat, historya; każda kompozycya, sielanka, batalia czy rebus, była tylko rysunkiem.

Ani redaktor, ani wydawca z darmoch kossakowskich nie mieli korzyści, bośmy szkice wyrywali artyście z pod ręki i chowali do kieszeni. Nawet Julian Bartoszewicz, pomimo powagi historycznej, upominał się o „bazgroty" Kossaka i zabierał je z sobą.

Mnie, jako najmłodszemu w tem gronie senatorskiem, dostawały się tylko okruchy: to noga końska, to łeb dzika, to hełm krzyżacki, kreślone na skrawkach papieru, na kopercie, podczas gawędki; raz udało mi się pochwycić większy szkic: jeźdźca na rozbrykanym koniu, pędzącego w tumanach kurzu. Porwałem go i schowałem pod surdut; chociaż wołano ze wszystkich stron: „Pokaż coś świsnął!" a Jenike zaproponował nawet ogólną rewizyę, zdobyczy nie puściłem, zakląwszy się, że dostaną się do niej chyba po moim trupie.

Szkic ten zachowałem dotychczas, pożółkł on ale przypomina mi lata, kiedy wszystko widzieliśmy w kolorach różowych, a w głowach mieliśmy nieraz zielono. Szkic mój pożółkł, jednak żyje, ręka zaś artysty już zastygła na zawsze—nie namówi jej do działania ani prośba kolegów, ani sława, ani obowiązek!

Kochałem pana Juljusza, podziwiałem jego urodę, grzałem się jego zapałem, mam przed oczyma jego postać typowo polską, więc nie chcę teraz patrzeć w oblicze, zmienione przez sędziwość wieku, którą podkopała długotrwała choroba. Urodę Kossaka podziwialiśmy tak samo, jak jego talent, obchodziliśmy go dokoła, z ubocza, ukradkiem, bo trzeba było wielkiej śmiałości, zuchwalstwa nawet, aby tak sobie wprost przystąpić do Kossaka, kiedy kroczył przez Krakowskie-Przedmieście, z głową wzniesioną, ze spojrzeniem przenikającem, z sumiastemi wąsami. Przechodnie ustępowali mu z drogi, przypatrując się ciekawie. Postać jego dorodna imponowała, a chociaż z wiekiem straciła swoją lekkość młodzieńczą, nie straciła tężyzny, która potrafi gromić i przebaczać, nakazywać milczenie karcącym wzrokiem i dobrotliwym uśmiechem rozwiązywać usta. Z jego powagą wieku dojrzałego, z jego dzielnością młodzieńczą rozstać się i w tej chwili nie mogę; wiem, że pan Juliusz spoczywa na łożu śmierci, że dla niego wszystko się już skończyło, mnie się jednak zdaje, że on wciąż sztuce naszej hetmani, bo go widzę w jego obrazach, akwarelach, illustracyach.

Rzadko który nasz artysta tak się zespolił nietylko duszą ale i ciałem ze swojemi dziełami, jak Juliusz Kossak; był sam zdrów, silny i urodziwy, malował też i rysował tylko urodziwych, tylko tężyznę; nie znajdziesz w jego kompozycyach kaleki, niedołęgi, złamanego nieszczęściami marudera; je-

śli gdzie się trafi jaki cherlak, to tylko nieznacznie, dla pełności obrazu, dla równowagi życiowej, która splata nietylko same wianki ślubne. Wszystkie jego postacie, to szerokoramienne dęby lub strzeliste świerki, wszystkie trzymają głowy wzniesione do góry, patrzą odważnie przed siebie a stąpają tak energicznie, że echo dudni i ziemia się ugina.

Matejko nie był nawet cieniem swych olbrzymich postaci dziejowych, i Brandt zginąłby stanąwszy wśród hufców stepowych, ale Kossak przeziera ze wszystkich swoich kompozycyj.

Szczegół ten byłby mi wątkiem do studyum o pracach artysty, gdybym się zdobył na odwagę do podjęcia tej pracy; ale ani czas, ani miejsce do oceny twórczości Kossaka, która ściśle łączy się z epoką malarstwa polskiego, wychodzącego z opłotków własnego kraju na arenę malarstwa wszechświatowego. Kossak zajął w sztuce polskiej stanowisko wybitne, odrębne, lecz nie w tem jednem jego zasługa: był on także popularyzatorem historyi i obyczajów, popularyzatorem sympatycznym, bo wydobywał na światło tylko sceny piękne, szlachetne, charaktery bez skazy, wesołość bez orgii, wystawność bez pyszałkowatości.

† Klemens Junosza Szaniawski.

Tę stronę jego zasług podniosłem podczas uczty, wydanej na cześć jubilata w Warszawie, gdy zawitał do nas z Krakowa. Wszyscy ze mną się zgodzili a jubilat wyznał, że ta pochwała najgłębiej go wzruszyła, bo jest echem posłannictwa jego zdolności.

Nie fałszował historyi, nie przeceniał obyczajów, ale brzydził się krytyką, która z zamiłowaniem wyszukuje w przeszłości stron najciemniejszych, w obyczajach samej ohydy, był podobnym pod tym względem do Sienkiewicza. Obaj oni z zawistnego losu nie robią maczugi, co duszę zabija, po nad grzechem roztaczają blaski słoneczne przebaczenia. Nie są oni oprawcami, którzy przyświecając sobie talentem, jak latarnią, czasy i ludzi z czci obdzierają.

Juliusz Kossak należał do ludzi szczęśliwych, dożył on sędziwego wieku w miłości ludzkiej, w czci ogółu i kolegów, nawet najmłodszego pokolenia; do ostatnich dni biesiadował śród swoich ukochanych postaci, a najwspanialej starca ugościł Sienkiewicz, dawszy mu do illustrowania swoją trylogię „Ogniem i mieczem". Kossak był w siódmem niebie, zabrawszy się do tej pracy; używał rozkoszy, która młodość mu wróciła chwilowo. „Ogniem i mieczem" to jego ostatnia większa praca—śniła mu się zapewne podczas choroby i umierał spokojny, szczęśliwy, że do swoich odchodzi.

Nie był on geniuszem ale talentem wyższej wartości, miarę jednak swych zdolności dobrowolnie obniżał, a oburzał się, gdy go ktoś podmawiał do olbrzymich kompozycyj.

— A Matejko?—zapytywał wówczas z roziskrzonym wzrokiem i pochylał głowę przed mistrzem, którego czuł się tylko giermkiem do niesienia przed nim berła, ale nie spółzawodnikiem, zasiadającym na tym samym tronie w świątyni sztuki. Widziałem Kossaka, kiedy u podnóża obrazu Matejki „Sobieski po zwycięstwie nad Turkami" składał, wraz z kolegami, kwiaty, jako oznakę hołdu dla dzieła, które zdobi galerye watykańskie. Kwiaty układał własnoręcznie, wybierał najpiękniejsze, piętrzył je, w wieńce łączył, a czynił to z taką troskliwością, jak czyni matka, strojąc swoją ukochaną córkę do ślubu. Płakał też łzami matki, tracącej jedynaczkę, gdy dzwony świątyń krakowskich dały znać, że mistrz Matejko nie żyje. Od tej chwili był nie-

pocieszony, żył, pracował, przewodniczył kołu literacko-artystycznemu, podejmował jako gospodarz gości, ale ciągle tęsknił do mistrza.

Gdzieśmy poznali „Pana Tadeusza."

Mnie i kilku moim kolegom przyszła ochota wyruszyć pieszo do Zgierza, leżącego o kilka mil za Warszawą. Postanowiono, zrobiono. Puściliśmy się ze wschodem słońca i ku wieczorowi przeprawiliśmy się przez Narew, na kępę, gęsto zarośniętą wikliną. Jeszcze słońce nie zaszło, więc, posiliwszy się, zasłonięci ze wszystkich ssron rozbujałemi krzakami, zabraliśmy się do czytania „Pana Tadeusza". W dołku, nakrytym darniną, spoczywało dzieło, niby w bibliotece; wydobyliśmy je stamtąd i jeden z nas, posiadający głos doniosły, zaczął czytanie. Mickiewicz był dla nas wielkim nieznajomym; usłyszawszy go po raz pierwszy w życiu, dech wstrzymywaliśmy, aby czytaniu nie przeszkadzać, wchłanialiśmy w siebie każde słowo. Niestety, trzeba było wracać, aby jutro nie spóźnić się na lekcyę Pankiewicza.

Noc mieliśmy ciepłą, jasną, piękną; niesporo nam szło z opuszczeniem tego ustronia, nie kwapiliśmy się ze schowaniem książki znowu do dołku. Uradziliśmy nareszcie, aby noc przepędzić na kępie a wyruszyć przed świtem.

Obudziliśmy się razem z ptastwem, chociaż do północy szła gawęda o „Zosi" i „Panu Tadeuszu". Obmywszy się w Narwi, jeden z nas, obdarzony niezwykłą pamięcią, powtarzał początek poematu, wczoraj po raz pierwszy w swem życiu słyszanego, ale mnie się zdawało, że jeden wyraz przeinaczył. Powstał z tego spór, a chcąc go przed opuszczeniem kępy rozstrzygnąć, zajrzeliśmy do książki. Prawda była przy koledze, który zaczął deklamować ciąg dalszy. Oczarowani harmonią słowa i pięknością obrazów, nie mieliśmy odwagi przerwać mu i przypomnieć, że już czas w drogę. Kiedy promienie słońca z za borów zegrzyńskich wystrzeliły, uznaliśmy, że już na pierwszą lekcyę nie zdążymy i że się jakoś przed Pankiewiczem „wyłżemy".

Nazajutrz rzeczywiście zaczęliśmy się wyłgiwać, podług planu ułożonego, ale nie łatwo było Pankiewicza w pole wyprowadzić; wpatrzył się w nas swym przenikliwym wzrokiem i zapytał: — Czy prawdę mówicie?—Nic więcej nie dodał, tylko czekał ale niedługo, bo w jednej chwili, jakby po nas przebiegł jakiś prąd wstrząsający, jakiś wstyd niewysłowiony, jakieś upokorzenie, równające się chłoście rózgą, zaczęliśmy opowiadać, jak to było naprawdę. Nie zatailiśmy żadnego szczegółu, powiedzieliśmy nawet o owym dołku z „Panem Tadeuszem". Profesor słuchał uważnie, coraz uważniej i na twarzy jego wystąpił lekki rumieniec, który ją zwykle okraszał po zbytniem znużeniu lub silniejszych wzruszeniach. Gdyśmy już wszystko wygadali, podniósł znowu wzrok na nas i zapytał z niezwykłą w jego ustach słodyczą:—Tak wam tam dobrze było, że nie mogliście wczas odejść? —Bardzo dobrze—odpowiedzieliśmy razem. —I pachniało?—Pachniało, panie profesorze. — Lasy są i łąki? — Tak, panie profesorze, odpowiadaliśmy ale on nagle przerwał pytania i zamyślił się. Zamyślenie rozpędził dzwonek szkolny, który rozległ się na korytarzu. Profesor, zamiast ostrej nagany, a byliśmy przygotowani co najmniej na kozę, pogłaskał nas po głowach i serdecznie uściskał...

Kto to był?

W gazecie obok wiadomości o szlachetnym czynie, spotkałem szereg kradzieży i rozbojów, które dziś są duszą każdego pisma codziennego. Zaintrygowało mię nieszczęście pewnej aktorki, okradzionej w Łodzi, i proces pewnego akrobaty konnego.

Redlich — znakomity artysta, godny satelita Matejki — pozostawia żonę i dzieci w nędzy, a śpiewaczce operetkowej, pośledniej wyrobnicy w sferze sztuki, ukradziono... brylanty prawdziwe!

Redlich — mistrz rylca i człowiek gorącego serca—na lekarstwa musiał zastawiać swe płyty sztycharskie a akrobata procesuje właściciela cyrku, który chce mu wypłacić tylko rs. 1,200 za miesiąc występów — chociaż ugodzono się na rs. 2,000!

W cygańskiem a najczęściej bez czci życiu, zarabia się na prawdziwe brylanty; w służbie pajacowskiej dorabia się fortuny—a w szlachetnej pracy dla ideału traci się siły, ślepnie się i sieroty zostawia na łasce losu... Któż temu winien?... Winni ludzie, winien świat, winna pokusa; lecz nie obwiniajmy wyłącznie swego społeczeństwa — ono błądzi jak inne, ale gorszem nie jest.

O brylantach pewnie myśleli biedni rodzice, wyrobnicy, oddając swą ślicznіutką Tecię do szkoły baletu; brylanty im się śniły i, drżąc z zimna, rozgrzewali się nadzieją przyszłości. Miała im ją przynieść dziewczynka, miała wyrosnąć na kupidyna, aby ze skrzydełkami u ramion zachwycać swym tańcem i wdziękiem... Zamiast tej przyszłości, tych śnionych brylantów... dostali spalone na węgiel ciało dzieciny, na której zapaliło się ubranie muślinowe...

Jakiś mędrzec zakapturzony, który gardzi prożnościami świata, powiedziałby: lepsza śmierć

† Jan Pankiewicz.

† Jerzy Aleksandrowicz. Karol Jurkiewicz.

niż brylanty na szyi biednej dziewczyny; może anioł, co małą tancerkę uniósł w lepszą krainę szeptał jej do uszka to samo — ale tych pociech zrozpaczonym rodzicom nikt nie odważy się powtórzyć. Mądrość nie każdą ranę goi.

Niema pociechy dla rodziców, których syn stracił wzrok nagle i na zawsze; pracował on przy naftowej lampie—nagle szkło pękło i płyn zalał oczy, które wieczna ciemność otoczyła. Był to wzorowy uczeń szkół w Ekaterynosławiu, a jakiżby z niego wyrósł dzielny człowiek, kiedy już dziecięcemi siłami zarabiał dla siebie i dla rodziców, cudzoziemców śród miejscowego otoczenia. Biedne dziecko!—dotknięte strasznem kalectwem, nie umie prosić o litość a pracować już nie może.

Patrzę codziennie z okna mego na gromadkę

dzieciaków, odrabiających lekcye przy lampie naftowej; widzę nieraz, jak się malcy popychają, wyrywają sobie książki i kajety — a stół podskakuje i lampa zsuwa się z jednego końca na drugi...

Przerażony raz prawdopodobnem nieszczęściem wybrałem się z przestrogą do rodziców. Wyszedłem ofuknięty i stanąłem o kilka kroków od ich domu, bo zdawało mi się, że słyszę jakieś gonitwy, krzyki i wołanie o ratunek. Byłem pewny, że co się stać miało, już się stało; chciałem biedz napowrót... ale to tylko stróż wołał dorożki.

Dorożka zajechała. Pan wsadził do niej żonę i córkę, pannę dorodną, i rzekł do nich: — Przyjdę po was na ostatni akt po partyi, — a dorożkarzowi krzyknął: do teatru!

Kto to był?... Rodzice owych swawolnych dzieciaków, obrabiających lekcyę przy lampie naftowej...

Archiwum pod łóżkiem.

Adam Mieleszko przez całe życie trzymał się uparcie książki, wspomnień, pamiątek; zbierał je, wyszukiwał, kupował za grosz ostatni, wierząc, że z tego popiołu życie wytryśnie, że bibljoteki i muzea w których chronił swoje zdobycze ukochane, będą źródłami ożywczemi po wszystkie czasy dla łaknących prawdy. Był to samotnik z galeryi oryginałów, do którego nic nie przylgnęło z chwili bieżącej chociaż nią się żywo zajmował. Odwiedziłem go po raz ostatni w hotelu Europejskim, gdzie wynajął sobie pokoik, na trzeciem piętrze; na stole, krzesłach, sofie, na podłodze leżały najnowsze wydawnictwa, wypożyczone z księgarń. Gospodarz tak był osłabiony wiekiem i niewygodami, że zaledwie trzymał się na nogach, a kaszląc, przyciskał ręką piersi, szarpane bólem. Mimo to, był uprzejmym, wdzięcznym za odwiedziny i z całą galantaryą zrobił mi miejsce na sofie, między książkami.

Patrzyłem na niego, jak na postać ze starych portretów; mimo schorowania i biedy, wychylającej się z każdego kąta pokoiku, nie narzekał, nie targował się o hononaryum, wyglądał raczej na protektora literatury, niż na jej wyrobnika. Z godnością, w wytartym szlafroku, przyjmował honory służby hotelowej, która nazywała go panem hrabią i z szacunkiem całowała rękę; starzec bardzo ubogi, chociaż niegdyś był zamożnym, imponował prostym ludziom, nawykłym do wybijania pokłonów przed złotym cielcem. Uprzejmy, nigdy nie przerywał rozmowy wszczętej przez gościa, choć to była rozmowa o pogodzie lub jakiej innej rzeczy równie powszedniej, lecz dopiero wówczas wkraczał na tor ulubiony, na tor przeszłości, gdy go sam gość do tego zachęcił. Niedługo czekał na moje wezwanie; widząc, czem starzec żyje, zapytałem odrazu o jego zbiory. Westchnął i odpowiedział, że tylko cząstkę małą ma z sobą, ale cząstkę najcenniejszą, z którą już się nie rozstanie przed śmiercią. „Jednak jest tego jeszcze bardzo wiele—mówił—a może życzyłby pan sobie zobaczyć?"

Zdziwionym wzrokiem powiodłem po pokoiku szukając owych cennych zbiorów a nigdzie ich nie widząc. Wówczas starzec, opierając się oburącz o krzesło, uklęknął na ziemi, nachylił się, sykną wszy po cichu, i wyciągnął z pod łóżka duże pudło, zapakowane papierami. „To moje archiwum"— rzekł i zaczął wydobywać pamiątki. Były tam stare papiery, listy, bilety wizytowe, resztki włosów, i tym podobne drobiazgi. Każdy przedmiot był starannie owinięty, ponumerowany, a włosy i strzępki naklejone na tekturę. Przy każdej wydobytej pamiątce, właściciel objaśniał, do kogo pierwotnie należała, jaką drogą do niego doszła, pokazując zaś listy własnoręczne, bilety i włosy naszych wielkich poetów, między nimi i Mickiewicza, zaraz cytował jakiś wyjątek z ich dzieł. Cytaty wypowiadał z młodzieńczym zapałem, z deklamacyą, którą widocznie się lubował. Usłyszałem przy tej pace z pamiątkami, jak gdyby nad otwartym grobem, długie ustępy z Dziadów; przerwałem je, spostrzegłszy na bladej, wychudzonej twarzy starca ogniste rumieńce, a oczy siwe, spłowiałe, nienaturalnie rozszerzone. Podniecony zapał, młodzieńczość uczucia, opłacił nagłem opadnięciem z sił—starzec się zachwiał i na skrzynię pochylił.

Pochwyciłem go w pół, podniosłem i złożyłem na łóżku. Prawie nie czułem ciężaru, bo był lekki, jak gdyby kości nie miały na sobie ciała. Oddychał z wielką trudnością, rumieniec powoli ustępował miejsca śmiertelnej bladości, oczy się zamknęły. Powoli odzyskał równowagę, oczy otworzył i, wyciągając do mnie rękę, rzekł szeptem: „Dziękuję ci, żeś mnie zrozumiał."

Zdania Czytelników.

Czytelników i przyjaciół „Biesiady“ zaprosiliśmy do współpracownictwa w pamiętnikowym Herbarzu. Z otrzymanej wielkiej ilości zdań, w ogóle z pewną dążnością i gorącem sercem wypowiedzianych, podajemy poniżej wiązankę oględnie dobraną. Wartość jej ocenią sami czytelnicy, których prosimy *o wyróżnienie trzech najudatniejszych zdań małych lub obszerniejszych.* Autorowie ich, po obliczeniu głosów wyborczych, zostaną *wynagrodzeni podarkami książkowemi.* Przegrywkę do zdań stanowi wiersz naszego długoletniego prenumeratora, p. Bernarda Sieleckiego, zatytułowany:

Biesiadzie literackiej.

Żniwo się zbliża nad złotą niwą,
W powietrzu słychać brzęk ostrej kosy,
Wioska rozbrzmiewa piosnką szczęśliwą,
Bo plon obfity wydadzą kłosy:
Ziarno, rzucone do czarnej roli,
W plon się zmieniło przy Bożej woli.
I płyną kłosy, jak złota fala
Po bujnym, pięknym, ojczystym łanie,
A choć się zdarzy jałowa hala,
W przyszłości w plenną zmienisz ją, Panie.
Nadzieja w bratnich sercach ożyje,
Gdy kłos obfity halę pokryje.
Lecz nim złożymy plony w stodole,
Przyjmij życzenia, siewco nasz miły,
I do biesiady przy wspólnym stole
Zasiądź wraz z nami pokrzepić siły,
I pij z puhara ojczyste miody:
Dziś dzień szczęśliwy, dziś twoje gody!
A gdy już przebrzmi echo radości
I lud od stołu biesiady wstanie
I pójdzie szlakiem do wrót przyszłości,
Ty ich znów prowadź, szanowny Panie,
Na ojców łany, gdzie brzęczą kosy,
Niechaj zbierają użęte kłosy!

(Kordyszówka).

B. Sielecki.

Przechodzimy do zdań:

Lepszy jeden przyjaciel bez kieliszka,
Niż nawet trzystu łakomych jak liszka.

A. K. w H.

Sława do tego przyjdzie, kto jej nie goni,
Kto wiedzą i czynem na nią sobie dzwoni.

Wacław O. w W.

Życie nie rozkosz, a świat ten nie Eden,
Zacność i szczęście, to nie synonimy:
Kiedy za szczęściem wszyscy w skok gonimy,
Zacnym pozostać zapomniał nie jeden.
Szczęsnaś, gdy twoi blizcy w życia fali
Tę o zacności pamięć zachowali.

A. D. st. Sieradz.

Ta, której szczęściem jest suknia balowa,
Nie warta sukni, nawet z Pacanowa.

Urzędnik kolei żelaznej w Radomiu.

Zbytek żądań faworów losu ci nie nagnie;
On bywa tem hojniejszy, im człowiek mniej pragnie.

F. S. z Wilna.

Od kłamstwa i pochlebstwa odzwyczajmy dzieci,
Bo to ich charaktery poniża i szpeci;
Samolubstwo serduszka wyziębia i psuje,
A gnusność najbujniejsze zdolności marnuje.
Jak chwasty wady takie wykorzeniać trzeba,
By plon dobry wydała uprawiona gleba,

Leopold Brejn.

W dziewczęciu serce czyste, buzia jak malina—
To grunt ... O reszcie człowiek łatwo zapomina.

Wal. Pog. w Kownie.

Jeśli panienka nie ma ochoty
Ni do nauki, ni do roboty,
Zajęta strojem i manierą:
Na całe życie będzie z niej zero.

Niech więc o modach nie rezonuje,
Nad wykształceniem własnem pracuje,
A z dobrych książek więcej skorzysta
Niż tam, gdzie płacą dukatów trzysta.
Niechaj ukocha rodzinną wioskę.
Niech umie dzielić domową troskę.
Niech umie wszystko uporządkować,
Jak niema komu, obiad zgotować,
W wydatkach z każdym groszem się liczyć
I w chrześcijańskich cnotach się ćwiczyć;
Z przeciwnościami cierpliwie zgodzić.
Rodzicow ciężkie życie osłodzić;
Lekkomyślnością niechaj się brzydzi.
Ubóstwa, pracy, niech się nie wstydzi;
Umieć szyć pięknie, niech newet przędzie—
To z niej rozumna kobieta będzie.

T. Rz.

Kobieta chcąc swą ręką najwięcej zarobić
Tak młodzieńca zacnego winna usposobić,
Żeby, pragnąc ukrócić straszną serca mękę,
Upadł jej plackiem do nóg i prosił o rękę.

Pracowita.

Co robić, gdy nas w życiu nadzieje zawodzą?
Co robić, gdy co poczniem w rękach się nie klei?
Brać wzór z tych, co doznawszy zawód ten łagodzą,
Że nawet w przeciwnościach nie tracą nadziei.

Wł. Bełża.

Mistrzyni cudnych złudzeń—nadziejo zwodnicza,
Matko licznej rodziny—wróżko tajemnicza!
Ten ma spokój i w życiu nie dozna goryczy,
Kto na twe obietnice z góry nic nie liczy.
Nie dać się zdradzić, sposób dla przezornych łatwy,
Nadziejo! kiedyż mądrej doczekasz się dziatwy.

Sokrates.

Wszak obowiązkiem człeka każdego
Praca na wspólnej tej roli,
Czy duchownego, czy też świeckiego
Jedno tu cieszy, lub boli...
Więc w imię Boże! wciąż dla przyszłości
Pracujmy tam, gdzie sądzono,
Wciąż ręka w rękę w wspólnej miłości
Zawsze—„pro publico bono“...
(Goworów).

Ks. A. Brykczyński.

Praca, wytrwałość, czyste sumienie
Najdroższe moje i mych ziomków mienie.
(Chanzach w Dagestanie).

Doktor Otton de Mezer.

I czemu człowiek życie sobie skraca,
Szukając skarbów i dręcząc się niemi,
Kiedy największem bogactwem na ziemi
Jest spokój duszy i wytrwała praca.
(Olszana).

K. Napiórkowski.

Kochaj Boga i bliźnich, żyj nie samem ciałem,
Lecz karm ducha i rozum swem staraniem całem;
Chwalba ludzka i ciało zniknie bez pamięci,
A duch, rozum. czyn dobry pamięć twą uświęci.
(Lipno).

Jan Orpikowski.

W wierze swojej trwaj,
Co nie ugniesz—złam,
Wpierw się złamać daj,
Nim się ugniesz sam.
(Dobra).

Ks. L. Sperczyński.

Chociaż to dzisiaj nie koniecznie w modzie,
Bądź zawsze z cnotą i sumieniem w zgodzie!
Kochaj Boga, żyj poczciwie,
Przejdziesz drogę swą szczęśliwie!
(Warszawa).

Br. Starzyński.

Tu dla nas wszystkich jedna tylko droga:
Pracować, serce podnosząc do Boga!

Helena Przygodzka.

Żadne nieszczęście nie zgniecie człeka,
który ma w sercu Boga-człowieka.
(Homel).

F. Worotnicka.

Wpływ wychowawczy, oparty na prawdzie, toruje drogę.

Nie druk, nie papier, wartość ksiąg stanowi,
Lecz to jedynie, co książka ci powie.
(Raszyn).

Ks. J. Dębowski.

Najgorzej dopieka
Zły język człowieka.
(Połąga).

Mongirdowa.

Talent wymaga poświęceń ofiary,
Talent bez pracy—zmarnowane dary.
(Warszawa).

Michał Szymborski.

Pracuj i kochaj, wiedź żywot prawy,
Miłuj, co swoje, nie szukaj sławy
I miej w dodatku czyste sumienie,
Zdobędziesz szczęście, droższe nad mienie.
(Warszawa).

Br. Starzyński.

Wiara i miłość chrześcijańska są jedynemi podstawami szczęścia człowieka na ziemi. Mickiewicz powiedział:

„Dla nas wszystkich jedna tylko droga:
Czuć wysoko i serce podnosić do Boga“.
(Sinica).

Romulus Szyszkowski.

Życzę, aby czytelnicy „Biesiady“ przyjęli za zasadę postępowania swego słowa:

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,
A całość—sama się złoży!...“

(Krzewin).

Józefa Rostkowska.

Chciałbym mieć na stare lata ciepły kąt i przyjaciela lub psa wiernego, a nie wiem kogo wybrać.

P. A. B. st. Suwałki.

Biorąc rzecz oderwanie, niema większego szczęścia jak uczyć innych, oświecać umysły, uszlachetniać serca, rozwijać pojęcia i poczucie dobra i piękna. Ale praktyka częstokroć mija się z teoryą; uczącym zatruwają nieraz życie zarówno ci, co się uczą, jak ci, co dla nich żądają nauki. Nauczycielstwo jest jednym z najpiękniejszych zawodów — ale trzeba dużo hartu, dużo dobrej woli i prawdziwej miłości bliźniego, żeby w połowie drogi nie ustać, albo z kapłana wiedzy nie stać się prostym rzemieślnikiem.

X. M.

Doskonałość.

Człowiek jako jednostka, całe społeczeństwo i ludzkość cała, jeden cel mają swojej pielgrzymki—doskonałość. Do niej całemi siłami dążyć powinniśmy. A przecież nie jeden odzywa się, żeśmy słabi i ułomni i niepodobna dosięgnąć szczytu tej doskonałości. O leniwi i niedołężni! Wystawcie sobie górę wyniosłą, na której szczyt prowadzą ostre ścieżki, a cała jej powierzchnia ubrana w zieloność ogrodów, obfitujących w barwiste kwiaty i przepyszne owoce, a u stóp tej góry bagna i kałuże, po których brniesz co kroku i zapadasz się coraz głębiej. Kto, zastraszony trudem podróży, nie odważy się postawić nawet pierwszego kroku—ten uwięźnie na zawsze w błotnistym padole. Ale jeśli ufni w swe siły pójdziemy wszyscy na wyścig po stromych i skalistych ścieżkach, to choć nie jeden zostanie w pół drogi, znajdzie się przecież na wstępie do ogrodu już nie w błotnistej kałuży. A komu sił starczy, aby szczytu góry dosięgnąć, to bohater lub święty.

(Suwałki).

Waleryan Staniszewski.

Miłosierdzie.

Miłosierdzie Boże jest nieskończone, ono ogarnie przy końcu świata całą ludzkość i wszelkie stworzenia.

(Kryszkowce).

Bronisław Kleczyński.

D-r Henryk Dobrzycki (Leszczyc).

Miłość.

Jeśli miłością swą tylko jedną obdarzamy osobę, to początek tej miłości musi być w samolubstwie.

Miłość ogarnia wszystkich, wszystko opromienia—jest słońcem, które rozprasza mroki: nienawiści, niewdzięczności, zawiści, żalu, obrazy i gniewu, i ozłaca szare półtony życia codziennego, jego zawody, braki i kłopoty.

(Siercza).

K. z Zawiszów Bielińska.

Geniusz tworzy, miłość ochrania.

(Bobryniec).

Rudolf Truszkowski.

Serce dobrej matki wtenczas dopiero dozna spokoju, kiedy bić przestanie.

(Klejwy).

Marya Borewiczowa.

Puścizna.

Przekazuję w spadku mym dzieciom, aby wszelkie przeciwności w życiu znosiły wytrwale, z ludźmi postępowały uczciwie, czasu na próżno nie mar-

nowały, zawsze sprawiedliwością i prawdą się rządziły, a gdy będą modlić się do Boga w ojczystym języku i kochać swych bliźnich, nie może im źle się dziać.

(Pabianice).

Aleksander Kosiński.

Pytanie do rozważenia.

Gdyby nie było innego żywota, jak obecny, ani innej chwały nad chwałę tego świata, może mielibyśmy prawo nie myśleć o czem innem, jeno o błyszczeniu i panoszeniu się tu, na ziemi. Ale skoro jest wieczność, dlaczegoż przenosić to, co jak sen przemija, nad to, co się nigdy nie kończy?...

(Warszawa).

Helena Pawłowska.

Pamiętać przeszłe, żyć teraźniejszem, mieć nadzieję na przyszłość.

(Kamionka).

Teofil Andzielewicz.

Wszystko dla bliźnich, sobie nic!

(Penza).

Józef Bankowski.

Gdy chcesz znaleźć Boga, szukaj go naprzód w sercu swojem; jeśliś wiernie spełnił obowiązki swego stanu, czyste sumienie upewni cię o Jego obecności, inaczej nigdzie Go nie znajdziesz.

(Malice).

Ks. G. Czerwiński.

Aby zupełnie być dobrym, nie wystarcza okazywać dobroć ludziom zasługującym na to; trzeba zarówno dobrze czynić i złym, gdyż tym sposobem można ich czasem naprawić.

(Szawle).

Michalina Dyrmontówna.

Gdyby życie ludzi było ściśle oparte na przykazaniach Boskich i kościelnych, wtedy ludzie nietylko byliby stworzeni na obraz Pana Boga, aleby i żyli podług woli Bożej i wówczas byliby tu świętobliwymi, a w wieczności zbawionymi.

(Ostrów).

Ks. Pralat Adam Jarnutowski.

Wiara, miłość i zgoda, to szczęście narodów.

(Petersburg).

Stanisław Myślicki.

Nie czyńmy swoim bliźnim rozmyślnych przykrości, bo i bezwiednie czynimy ich wiele.

(Olszana).

K. Napiórkowski.

Bóg nadzieją i ucieczką moją, a książka osłodą życia mego.

(Adamów w Witebskiem).

Teofila Nowacka.

W Bogu i pracy nadzieja nasza.

(Brąszewice).

Antoni Ossowski.

Jeżeli się na ciebie przeciwności i nieszczęścia sypią, niby z rogu obfitości, to nie trać głowy ani przytomności umysłu. Stawiaj im mężnie czoło, walcz z niemi śmiało i z odwagą a zobaczysz, że one przed tobą pierzchać zaczną.

Że jednak siły nasze zbyt za słabe, aby wśród wszechstronnych nawiedzeń nie upaść, przeto w Bogu siła nasza, do Niego się udawaj a wyjdziesz zwycięzko z toni, w którą cię nieszczęścia popchnęły.

(Poznań).

Paliński.

Małżeństwo jest wielką szkołą, wyrabiającą charaktery.

(Wojszkany).

Stefania Szadziewicz.

Uważam za skarb najdroższy w życiu: mieć pokój w duszy, stu przyjaciół i ani jednego nieprzyjaciela.

(Kleszczowsko).

Ks. P. Szpądrowski.

Szanujmy się wzajemnie i żyjmy w miłości!

(Sokółka).

Amelia Wankiewiczowa.

Każda kobieta, ślubująca wiarę dozgonną swemu mężowi, powinna być dobrą żoną, matką i gospodynią.

(Wisznopol).

Franciszka Warpechowska.

Dzielnie prowadzonemu dziełu niech nie staje na drodze lenistwo, krótkowidztwo i samolubstwo jednostek.

(Lublin).

Józef Klemens Zieliński.

Jeżeli nie możemy uczcić pamięci czyjejś oznaką zewnętrzną, tem głębiej zachowajmy ją w sercu.

(Neftianaja).

Stanisław Zjawny.

„Bogiem a prawdą".

(Sworniowata).

Bolesław Znamierowski.

Najżarłoczniejszą pijawką biedaków jest lichwa, bogaczowi zaś wysysa krew rozpusta.
(Zwierzyniec).
Władysław Biczyński.

Badając naturę, można dopiero zrozumieć jak wielkim jest Bóg.
(Kołpaki).
Stanisława Bohuszówna.

Myśli wykształconego człowieka są jak ptaki, co choć szybują pod obłoki, lecz i na ziemi potrafią znaleźć ziarna pożyteczne dla dobra ludzkości.
(Kaszonia).
Stanisław Borgoni.

Bez wiary, miłości i poświęcenia nie ostoi się rodzina, bez rodziny społeczeństwo zginie.
(Ekaterynosław).
Apolonia Bużkiewicz.

Gorliwa i wytrwała praca nie zawsze znajduje należne uznanie.
Ks. Edmund Cieślewski.

Czas biegnie najszybciej, ale i najlepiej ocenia pracę ludzi.
(Raszyn).
Ks. J. Dębowski.

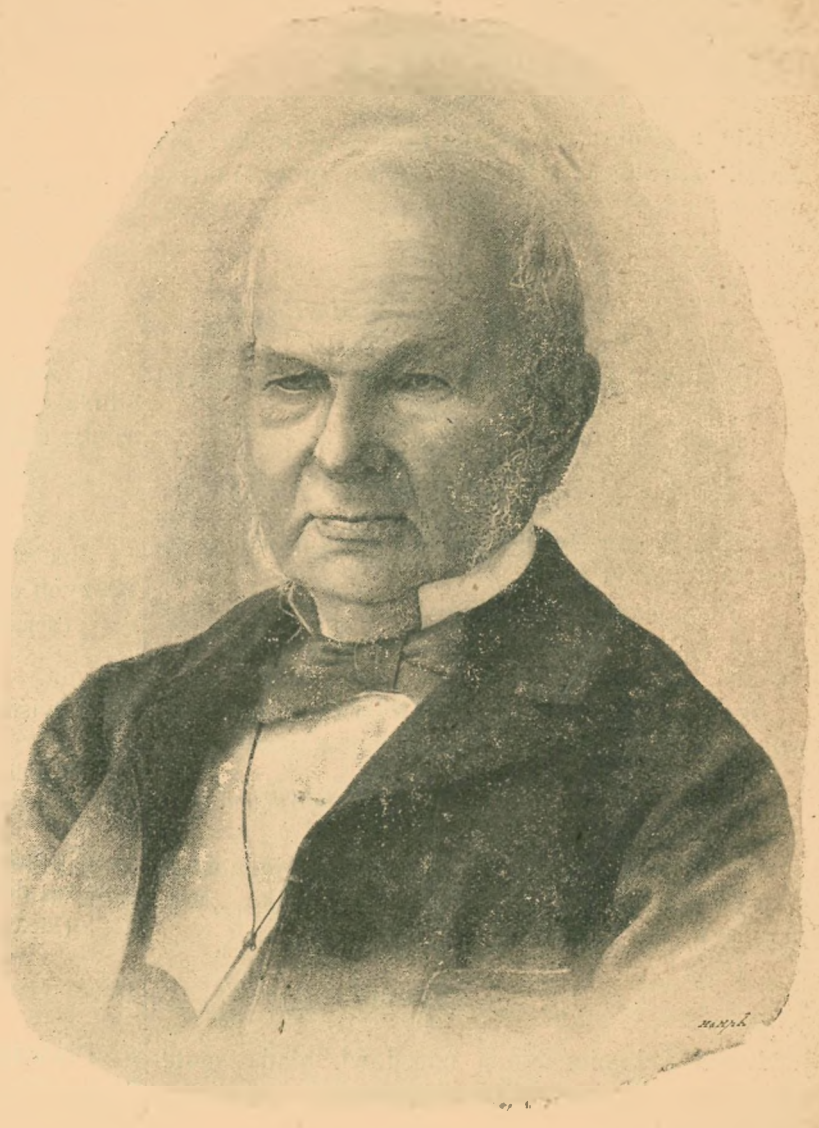

† Józef Majer.

Wpływ wychowawczy, oparty na prawdzie, toruje drogę wiecznym ideałom ludzkości.
(Kraków).
Prof. Józef Dobrowolski.

Głównym czynnikiem podziału ludzi na silnych i słabych, wielkich i małych, jest zasób energii, męztwa i wytrwałości w dążeniu ku wytkniętemu celowi. Tylko z temi przymiotami można osiągnąć coś na świecie, bez energii ani talent, ani sprzyjające okoliczności, ani nawet pomyślny wypadek losowy nie wprowadzą człowieka na szczyty.
(Wilno). *Ludwik Francuzowicz.*

Wśród nieszczęść ludzkich pierwsze miejsce zajmuje nędza moralna, która niszczy społeczeństwa, prowadząc wiele jednostek do zguby.
Michalina Gruszecka.

Nie wszystkie wicher nieszczęścia niszczy.
Michalina Gruszecka.

Gdzie krzyż i ciernie—tam róże cnót kwitną; gdzie posiew krwi dla Chrystusa—tam palma męczeństwa; gdzie posiew łez i cierpień—tam nie zwiędłe lilie zasługi; gdzie płacz dla Chrystusa—tam radość dla Aniołów i nieba całego.
(Ostrowąż).
Ks. L. Jarosiński.

Lud polski w czasach, gdy jeszcze był w ciemnościach pogaństwa pogrążony, przeczuwał już prawdy chrześcijańskie, skoro przy tworzeniu języka swego, dał miano nędzarzowi „ubogi".
(Krzyszkowce).
Bronisław Kleczyński.

Łzy młodości—to jak deszcz letni: burza, nawałnica i wnet się zjawia słoneczko... i śladu burzy nie pozostaje.

*

Nic tak nie wpływa na życie człowieka, jak nauki, dawane mu w dzieciństwie przez matkę; wspomnień ich nic w zupełności zatrzeć nie jest w stanie.

(Nowomirgorod).

Amelia hrabina Scibor Marchocka.

Wychowanie domowe jest podstawą całego życia.

(Trzciana).

Leokadya Misiągiewiczowa.

Najsmaczniejszy jest chleb własną pracą w pocie czoła zdobyty.

(Nowo-Mińsk).

Ludwik Mogilnicki.

Stokroć lepiej darować prawdziwie potrzebującemu, niż pożyczyć najbardziej obiecującemu.

(Połąga).

Mongirdowa.

W pracach społecznych, jak w życiu jednostek, dobrą wskazówką postępowania jest bajka „Młynarz, syn jego i osieł".

(Ufa).

Ryszard Olszowski.

Biada rodzinie, biada narodowi, biada społeczeństwu, jeśli się wyprze Chrystusa.

(Warszawa).

Zygmunt Rieff.

Największym filozofem jest nasz chłopek wiejski.

(Kościelnica).

Adela Rusinowa.

Jeśli słowa pamięć tylko przyjęły, czas je prędko wyruguje. Lecz słowa, gdy się wyryją na sercu, pozostaną tam na całe życie.

(Warszawa).

Michał Szymborski.

Człowiek próżny podobny jest do dzwonu pękniętego: jak ten ostatni bezdźwiękiem, tak tamten beztaktem drażni nerwy ludzkie.

(Skierniewice).

F. Święcicki.

Naród nasz odznaczał się odwagą w boju, brak nam jednak bardzo odwagi cywilnej. Wystąpić otwarcie przeciw przesądom, potępić otwarcie zgorszenie, przechodzi zwykle siły nawet tych, którzy uważają się za dobrych katolików.

(Lwów).

Maksymilian Thullié.

Pięknym przymiotem w człowieku jest wytrwałość w szlachetnych zamiarach dla dobra ludzkości.

(Ekaterynosław).

M. Szypiłło.

Uznanie świata i pochlebstwa mogą zyskać i ludzie nikczemni, na szacunek uczciwego człowieka uczciwie zarobić potrzeba.

(Pyzdry).

W. Wachowska.

Jak w zwierciadle przedmioty, tak w czynach naszych odbijają się nasze serca.

(Homel).

F. Worotnicka.

Zawiść i pycha jednostek gubią społeczeństwo całe.

(Lublin).

Józef Klemens Zieliński.

Najpożywniejszym z pokarmów jest zdrowy pokarm ducha.

(Nieftianaja).

Stanisław Zjawny.

Sumienie.

Prawdziwa zasługa szlachetnego czynu nie szuka pochwał, ani reklamy, bo jej wystarcza zadowolenie własnego sumienia, a tam wyżej czeka zasłużona nagroda.

(Żółkiewka).

Karolina Preszlowa.

Wyrzuć z serca swego swoje „ja" a będziesz prawdziwie szczęśliwy.

(Rostów nad Donem).

K. Barzykowski.

Szczęście w rozkoszy — to wróg; szczęście w cierpieniu—to Bóg!

S. Cwiklińska.

Ten szczęśliwy—ubogi czy bogaty—kto zadowolony z własnej pracy lub ze stanowiska swego.

(Szybenna).

Wikt. Dąbrowski.

Najnieszczęśliwszym człowiek jest wtedy, gdy nie umie lub nie może pracować, modlić się i kochać.

Jankowska.

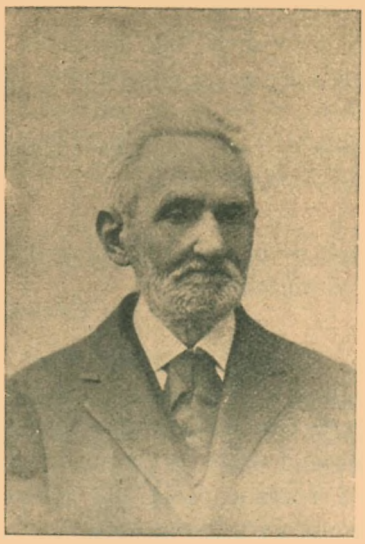

Kazimierz Kaszewski.

Ten jest szczęśliwy, kto nie ma powodu żałować źle przeżytej młodości.

(Libawa).

Jan Narbut.

Jakże rozkoszne byłoby życie człowieka, któryby zawsze i wszędzie niósł braciom szczęście w darze.

(Sołtanowszczyzna).

Anna Przygodzka.

Gdybyśmy chcieli przejść przez życie, unikając wszystkich, zsyłanych przez przeznaczenie, trosk i kłopotów, to z pewnością ta doza szczęścia, którą Bóg każdemu z nas przeznacza w udziale, o wieleby się zmniejszyła.

(Łuniniec).

Kazimierz Szczytt.

Bądź lepszym, a będziesz szczęśliwym.

(Ekaterynodar).

M. Szypillo.

Szczęście — to cudny kwiat aloesu, kwitnący tak rzadko, że wielu z ludzi nie widzi go nigdy.

(Szynkielów).

Flora Tymieniecka.

Szczęśliwy, kto wierzy.

(Garwolin).

Franciszek Wiśniewski.

Największe szczęście cieszyć się czcią i uwielbieniem rodziców.

Weronika Wolfgangowa.

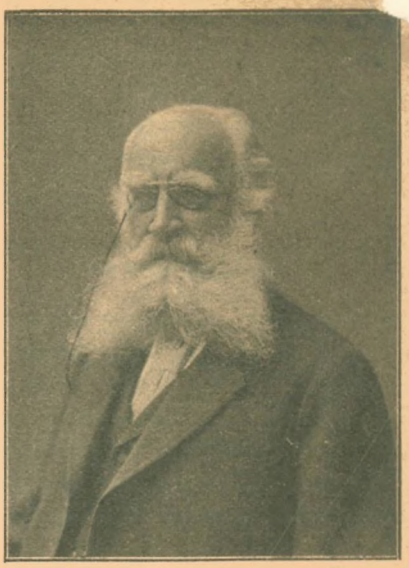

Gustaw Czernicki.

Wpływ towarzystwa

Towarzysz—nieuk bez religii sprowadza troskę i nieszczęścia.

„Zgoda“.

Wychowanie kobiet dzisiejsze odmiennem jest od tradycyjnego wychowania naszych prababek—dla których gra na klawikordzie, przędza lnu na kołowrotku i zaopatrywanie domowych apteczek, było mniej więcej „zwykłem zajęciem“.

Skromny zasób wiadomości nieledwie elementarny, był nieraz dostateczny dla córek zamożnych nawet rodzin. Nie odkrywano przed niemi szerszych horyzontów świata, nie dla jednej dom rodzicielski a następnie mężowski, był całym światem. Wychowane w bojaźni Bożej przez świętobliwe swe matki, które wszczepiały w młodociane ich serca, zasady „gorącej wiary“, dając im wzór z siebie, jaką ma być wzorowa żona i matka i obywatelka kraju z zamiłowaniem go całą duszą!... To wszystko już dzisiejszemu pokoleniu nie wystarcza. Ogólnym prądem idziemy naprzód, szukając światła w przybytku nauki i wiedzy, dokąd podwoje otwarte dla wszystkich.

Dziś nieraz dwunastoletnia dzieweczka więcej może posiada wiadomości, niż jej praprababka, gdy już szła do ołtarza. Ale pytam się: czy te nasze dawne polskie niewiasty nie zaćmiłyby nas swemi cnotami, któremi jaśniały, i mądrością czerpaną tylko z Pisma Świętego? Jestem pewną, że żadna dziś kobieta nie chciałaby się cofnąć wstecz, do owej pierwotnej prawie oświaty naszych babek, ale nie wątpię, że ani jedna z nas nie zawahałaby się ze czcią uchylić czoła przed temi,

Łzy z cnót niewiastami. Gdyby znów one walnymi stanąć mogły, zapewne z najwyższem podziwieniem patrzyłyby na kobietę doktora, adwokata i t. p.

Dziś ta sama krew przodków płynie w naszem łonie, lecz nie tak już gorącem tętnem.

Karolina Preszlowa.

Zasługa istotna.

Człowiek uczciwy i sumienny nie o to starać się powinien, aby zająć jak najwyższe stanowisko w społeczeństwie, ale o to, aby na zajętem stanowisku najuczciwiej i najsumienniej spełniać swe obowiązki. Prawdziwą też miarą zasługi i godności człowieka nie jest to, jak wysoko stanął w społeczeństwie, ale to, jak się na tem stanowisku zachował.

(Suwałki).

Waleryan Staniszewski.

Szkoda wielka, że dzieła ś p. Supińskiego, są tak mało znane i rozpowszechnione. Są w nich prawdy wielkie, głębokie, o których nie powinniśmy nigdy zapominać.

Supiński przytacza np. Paskala; „Są rzeczy, których żadna nie przeprze ustawa, gdyż powyżej praw ludzkich, stoją Boże prawa". Supiński wymienia własność, jako „świętość ziemi", jabym dodał „rodzinę" i „dobre imię".

K. G.

Jako stal w ogniu, tak charakter człowieka hartuje się w biedzie.

Edward Zenon.

„Narody nie umiejące pracować i oszczędzać zniknąć muszą z powierzchni ziemi". Zdanie to Saya, powtórzone przez Supińskiego, powinniśmy zakarbować sobie w pamięci, abyśmy swem lenistwem i rozrzutnością nie przyczynili się do obezwładnienia narodu naszego.

K. G.

Mienie odziedziczone winniśmy w całości, jeśli nie przysporzone, przekazać naszym spadkobiercom.

Habdank.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Krakowie

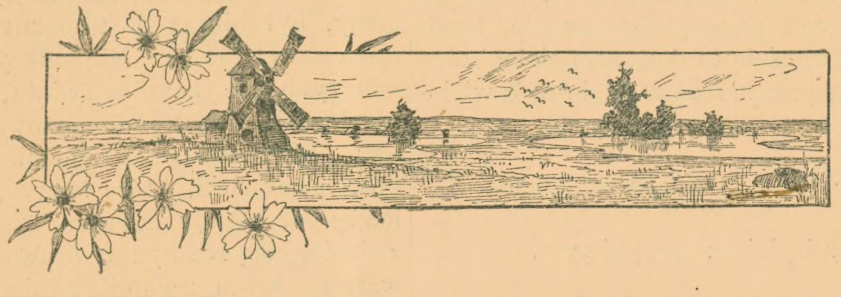

Biblioteka Uniwersytecka w Krakowie U.J.K.

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0526992